

A. S. BYATT

Cień Słońca

Przełożyła
Magdalena Gawlik-Małkowska

Prószyński i S-ka

WSTĘP

Niniejsza powieść została opublikowana w 1964 roku, gdy moich dwoje starszych dzieci miało po trzy i cztery lata, w gruncie rzeczy jednak jej pierwotna wersja powstała, kiedy studiowałam na uniwersytecie w Cambridge, w latach 1954-1957. Jest to historia bardzo młodej kobiety, historia napisana przez osobę, która *musiała* pisać, choć brakowało jej pewności, czy powinna dać upust swej chęci pisania, a nawet czy jako kobieta powinna w ogóle chcieć. Powstawała w bibliotekach i podczas wykładów, w przerwach pomiędzy pracami zaliczeniowymi i romansami. Pamiętam, że pomysł napisania jej przyszedł mi do głowy w czasie jednego z wykładów Johna Hollowaya na temat D.H. Lawrence'a. Niezwłocznie przystąpiłam do pracy i moja gorliwość wzbudziła podejrzenia wykładowcy, który spoglądając na kobiece wydanie akolity, zauważył ostro:

- Nie musi pani wszystkiego zapisywać. To nie jest aż takie ciekawe.

Nie miałam pojęcia, o czym on mówi, niemniej jednak powieść zawiera pewne założenia na temat mniej lub bardziej ciekawych wątków twórczości Lawrence'a¹ omawianych w Cambridge czasów Leavisa².

¹ David Herbert Lawrence (1855-1930) - skandalizujący pisarz angielski, autor „Kochanka lady Chatterley” i „Zakochanych kobiet” (przyp. tłum.).

² Frank Raymond Leavis - angielski przedstawiciel nowej krytyki, kierunku w badaniach literackich, rozwijającego się po 1920 roku. Propagował analizę tekstu rozumianego jako samoistna struktura znaczeniowa. Odrzucał tradycyjne metody interpretacji: historyczny, biograficzno-psychologiczny oraz socjologiczny (przyp. tłum.).

Czytając ją teraz lub tylko kartkując, ponownie doświadczam swego rodzaju niepokoju. Nie chciałam napisać powieści „o sobie”, jak my, literackie snoby i niedoświadczone istoty ludzkie, ironicznie zwykliśmy wówczas określać ów gatunek. Stałam jednak przed odwiecznym problemem początkującego pisarza. Nie *wiedziałam* nic - przynajmniej o życiu. Pamiętam, jak w moim umyśle kształtował się pierwszy, prymitywny zarys jego koncepcji, koncepcji autorstwa osoby, na której ciążyło przyszłe życie, która miała przed sobą wszystkie najważniejsze decyzje i która stwierdzała, że zapadają one bez jej wiedzy, za sprawą okoliczności, choć pozornie bez wpływu na jej wolność. I że bitwa pomiędzy seksualnością, krytyką literacką i pisaniem nieuchronnie musi się rozegrać. Sposób, w jaki kształtowała się owa koncepcja, był raczej instynktowny niż świadomy.

Moje problemy posiadały zarówno aspekt ludzki, jak i literacki. Ten pierwszy dotyczył bycia ambitną kobietą w angielskiej wersji świata kobiecej mistyki Betty Friedan³. Chciałyśmy małżeństwa i dzieci, ślubu, romantycznej miłości i seksu oraz nade wszystko normalności. („Normalność” to termin, nad którym moi bohaterowie głowią się w kolejnych powieściach, termin obecnie przebrzmiały, pełen ukrytych aluzji do konformizmu, wspartych beładnym psychoanalitycznym bełkotem). Walczyłyśmy znacznie bardziej zażarcie niż mężczyźni, którzy przewyższali nas liczebnie w proporcji jednaście do jednego, o prawo do nauki w Cambridge i ostatecznie ponosiłyśmy klęskę, przytłoczone myślami o przyszłości, nadziejach związanych z małżeństwem i czymś jeszcze - pozycji zawodowej, wykraczającej poza samo przyjęcie na uniwersytet. Mężczyźni mogli mieć jedno i drugie, pracę i miłość, podczas gdy - jak się wydawało - kobiety nie. Żadna kobieta z mojego pokole-

³ Betty Friedan - amerykańska feministka, założycielka Narodowej Organizacji Kobiecej (NOW) w 1966 roku. Książka „The Feminine Mystique” (1963) podnosiła kwestię seksualności kobiecej jako wyzwania skierowanego przeciwko tradycyjnemu (męskiemu) myśleniu politycznemu (przyp. tłum.).

nia nie oczekiwałyby, że podejmując decyzje, ewentualny mąż weźmie pod uwagę jej karierę zawodową. Ja sama rozpoczęłam badania akademickie, ale gdy tylko wyszłam za mąż, odebrano mi stypendium. Mężczyznom w mojej sytuacji zwiększano stypendia, by mogli utrzymać rodzinę. W przeciwieństwie do mojej bohaterki, zawsze wiedziałam, że muszę za wszelką cenę *pracować* (myśleć, pisać). Dopiero teraz, patrząc wstecz, rozumiem, jak ukradkowe, znękanie i publicznie *niewłaściwe* miały być w moim mniemaniu te starania. W Oksfordzie próbowałam napisać pracę pod kierunkiem Helen Gardner, która wierzyła i wielokrotnie powtarzała, że aby zyskać umysł, kobieta powinna się poświęcić jak zakonniczka. Nie chciałam i nie umiałam być wyzutym z płci umysłem. Spotygam kobiety, które pracują z dala od mężów i spotykają się z nimi w weekendy, żeby porozmawiać. Zazdroszczę im pewności, że mają do tego prawo. To było strasznie zagmatwane, ta cała walka o stypendia i zamknięta droga ku przyszłości.

Moja matka studiowała anglistykę w Cambridge, w związku z czym w latach sześćdziesiątych powinnam była sądzić, że należy pisać o pokoleniach kobiet stojących przed identycznymi problemami jak ona. Tymczasem trzymałam się z dala od jej nieustannego gniewu, depresji i frustracji, które w istotnie stanowiły siłę napędową chęci dopilnowania, aby żadna z jej córek nie utknęła w garach. Pragnęłyśmy „nie być takie jak ona” i dopiero teraz, kilka lat po jej śmierci, mam odwagę wyobrazić sobie, co działo się w jej myślach. Napisałam powieść o dziewczynie posiadającej idealnego i nieprzystępnego ojca, który - jako mężczyzna - mógł mieć to, o czym ona i ja może nie powinnyśmy nawet marzyć: determinację, sztukę oraz wizję. Henryk Severell ma niewiele lub zgoła nic wspólnego z moim ojcem - jedyną wiążącą ich cechą jest typowa dla zapracowanych mężczyzn niezdolność dostrzegania tego, co dzieje się w duszach innych ludzi.

Henryk Severell jest po części moim tajemnym „ja”, kimś, kto, jak powiedział mi kiedyś mężczyzna, w którym

byłam zakochana, „nie potrzebuje prochów ani nic z tych rzeczy z uwagi na solidną porcję meskaliny we krwi”. Kimś, kto widział wszystko namalowane zbyt jaskrawymi kolorami, zbyt wyrazistą kreską i w nadmiarze, jak pola van Gogha, magiczne jabłka Samuela Palmera, Coleridge'a⁴ z błyskiem w oku i rozwianym włosom czy Blake'a⁵, który dostrzegał nieskończoność w ziarnku piasku. Albo Lawrence'a, czciciela słońca, jeśli wziąć pod uwagę mniej godne pochwały, bardziej odbiegające od normy i niebezpieczne aspekty. Owa wizja nadmiaru budzi w wizjonerze pragnienie pisania (jak u mnie), malowania, komponowania, tańca lub śpiewu. Innym motywem, który w kółko wykorzystywałam w Cambridge, była historia Kasandry, ukochanej boga słońca i przewodnika muz, która za nic nie chciała mu się oddać, w wyniku czego sprawił, że nikt nie wierzył jej przepowiedniom. Wizjonerzy w żeńskim wydaniu to biedne, szalone, wykorzystywane sybille i pytie. W męskim zaś - prorocy i poeci. Tak przynajmniej mi się wydawało. Istniała kobieca mistyka, brakowało jednak tradycji żeńskiego mistycyzmu, który beznadziejnie nie przeczyłby samemu sobie. Nie przychodzi mi do głowy żadna kobieca sztuka, do której byłam skłonna dążyć. Virginie Woolf⁶ przepełnia rozedrgana wrażliwość, zbyt nie pobudzenie; kiedy piszę, obraz matki nasuwa mi się sam.

Korzenie matki, odrzucone przez nią, były nonkonformistyczne i purytańskie. Najlepszą rzecz, która jej się przytrafiła, stanowiła literatura angielska, lecz w swoim godnym pożałowania stanie ducha nieustannie odnosiła się do niej podejrzliwie, z tendencją do ponurego klasyfikowania artystów jako rozwydrzonych, frywolnych wyzyskiwaczy. Jakimś sposobem te podejrzewania spłoty się

⁴ Samuel Taylor Coleridge (1772-1834) - poeta i krytyk angielski, prekursor romantyzmu (przyp. tłum.).

⁵ William Blake (1757-1827) - poeta i malarz angielski. Tworzył wiersze mistycko-symboliczne, autor ilustracji do „Boskiej Komedii” Dantego (przyp. tłum.).

⁶ Virginia Woolf (1882-1940) - pisarka angielska, autorka powieści psychologicznych, nowatorskich w formie, za pomocą monologów wewnętrznych ukazujących świat ulotnych uczuć i nastrojów, m.in. „Pani Dalloway” (przyp. tłum.).

dla mnie z zajadłością dra Leavisa, który lekceważył każdą literaturę oprócz najwybitniejszej, i to będącej wybitną z przyczyn *moralnych*. Potrafił wykazać moc zdania, podkreślić jego urok i siłę przekazu oraz wyjaśnić, dlaczego inne nie spełniają swego zadania, niemniej jednak za tę pożyteczną wiedzę techniczną przychodziło zapłacić wysoką cenę. W jego świecie, podobnie jak później w świecie Helen Gardner, cokolwiek napisałeś, tak dalece odbiegało od najwyższych standardów, że lepiej było poniechać dalszych prób. Pisanie służyło temu, aby go nauczać w celu ulepszenia świata, uczynienia go bardziej sprawiedliwym i wybrednym. W cieniu nauczyciela studentci, przyszli krytycy, poeci i powieściopisarze, usychali w twórczej niemocy. Kwitł dobroduszny rodzaj mentorskiej powagi moralnej. Zadomowił się na uniwersytecie wraz z czymś, co określałam mianem moralnej bezkласowości - moi koledzy nie reprezentowali nurtu młodych gniewnych; byli co najwyżej przekonani, że głupota brytyjskiego systemu klasowego obraca się w pył. Oni stanowili kwiat społeczeństwa, lekcje literatury zaś, w szkołach, na zajęciach wieczorowych, na uniwersytetach, stanowiły ich trybunę. Niemniej byli też i tacy, którzy agresywnie manifestowali wartości „klasy robotniczej”.

Wywodzi się z nich Oliver - zajadły, myślący; ktoś, kto przypisuje literaturze wyolbrzymione znaczenie, a nie pojmuje jej ewidentnych aspektów. Przypuszczam, że reprezentuje on - w takiej mierze, w jakiej postrzegam tę powieść jako alegorię własnego życia, czym ona oczywiście nie jest - rodzaj mojego publicznego wizerunku naukowca, krytyka, osoby, która *korzysta* z literatury zamiast ją tworzyć. We wszystkich moich powieściach są zarówno bohaterowie, z których myślami czytelnik się utożsamia, jak i tacy, których mętne refleksje narzucają pozycję obserwatora. Oliver należy do drugiej grupy, jest Inny. Mógłby stać się bohaterem męskiej wersji tej historii, *l'homme moyen sensuel*, podejrzliwym wobec skrajności Henryka, winnym wobec jego żony i córki, lecz w głębi duszy „przyzwoitym”. Ta powieść niezupełnie przedstawia go w takim właśnie świetle. To strach przed nim, choć dopiero teraz rozumiem, jak wielki.

Powiedziałam kiedyś, że moja historia dotyczy paradoksu Leavisa prawiącego kazania Lawrence'owi: gdyby kiedykolwiek przyszło im się spotkać, na pewno by się znienawidzili. Opowiada o wtórnej wyobraźni, tłumiącej i wypierającej wyobraźnię pierwotną - odwołam się tu do powiedzenia Coleridge'a, gdyż jedyną osobą, którą wówczas kochałam i podziwiałam, był właśnie on.

Struktura powieści przysporzyła mi nie lada trudności. Nie posiadałam modelu, który do końca by mnie zadowalał. Mogę teraz powiedzieć, że wszystkie dostępne wzorce, Elizabeth Bowen⁷, Rosamund Lehmann⁸, E. M. Forster⁹ i Virginia Woolf, były zbyt przesiąknięte „romantycznością”, niemniej jednak żartobliwe komedie społeczne *Amisa i Waina*¹⁰ raziły mnie znacznie bardziej niż owa „romantyczność”. Wiem, że powieść nosi znamiona stylistycznego wpływu „Witaj, smutku”, książki, którą czytałam w lecie przed wstąpieniem do Cambridge i która, po pierwsze, przeczy romantyczności, a po drugie, dotyczy przypadkowo podejmowanych życiowych decyzji. Pomiędzy pierwszym szkicem powstałym w Cambridge i ostateczną wersją, ukończoną w Durham w latach 1962-1963, przeczytałam Prousta i odkryłam Iris Murdoch¹¹ - oboje łączą siłę myślenia ze świadomością zmysłową, stanowiącą część ich światopoglądu. W tym czasie

⁷ Elizabeth Bowen (1899-1973) - powieściopisarka brytyjska, uważana za dwudziestowieczną kontynuatorkę Jane Austen (przyp. tłum.).

⁸ Rosamund Lehmann (1910-1990) - pisarka brytyjska, autorka powieści psychologicznych, wzorowanych na technice narracyjnej H. Jamesa i V. Woolf, m.in. „Bez echa”, „Zatrute źródło” (przyp. tłum.).

⁹ Edward Morgan Forster (1879-1970) - pisarz brytyjski, wnikliwy obserwator relacji międzyludzkich oraz konfliktów na tle kulturowym, autor m.in. „Drogi do Indii” (1924) (przyp. tłum.).

¹⁰ Kingsley Amis, John Wain - przedstawiciele obecnego w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych nurtu „młodych gniewnych” (Angry Young Men), autorzy humorystycznych powieści w tradycji pikareski (przyp. tłum.).

¹¹ Iris Murdoch (1919-1999) - jedna z najwyższej cenionych współczesnych powieściopisarek brytyjskich, filozof. Każda z jej powieści to złożony portret określonej zbiorowości, najczęściej świata londyńskiej bohemy. Przedstawiała mechanizmy rządzące ludźmi, przyczyniające się do pogłębiania alienacji i frustracji jednostki (przyp. tłum.).

powstał również plan „Gry”, opowiadającej o lęku przed „powieścią kobiecą” jako niemoralną, destrukcyjną siłą. Ogólnie jednak rzecz biorąc, zarys „Cienia Słońca” najwięcej zawdzięcza Elizabeth Bowen i Rosamund Lehmann oraz niepewności i niezadowoleniu z istniejącego stanu rzeczy.

Jest również Lawrence, przed którym nie mogę uciec i którego nie potrafię kochać. Poznałam jego zaplecze lepiej niż Leavis, będąc osobą tak samo jak on wywodzącą się z robotniczo-inteligenckiej rodziny, wychowaną w północno-środkowej Anglii, gdzie mit i moralność czerpano z Kościoła, niewolną od przemożnego pragnienia czegoś *więcej*. Bez końca zastanawiałam się nad postacią Birkiną, którą da się wytłumaczyć tylko przy założeniu, że stanowi alter ego Lawrence'a i przedstawia nawiedzonego artystę (to znaczy kogoś, kto musi czegoś *dokonać*); w gruncie rzeczy jednak Birkin pozostaje przy tym inspektorem szkolnym, motywowanym potrzebą uczciwości seksualnej i wolności osobistej. Anna to potomkini Birkiną, portret artysty bez artysty w tle. Od Lawrence'a nauczyłam się, że nie można zatrzymać akcji powieści i przenieść się w inny wymiar z wizją miejsca, wydarzenia bądź uroczystości. Mimo to nie mogłam kochać człowieka, który napisał „Skrzydłatego węża”, i nie potrafiłam przebaczyć Bogu leavisowskiej wiary w pełnię i moralność, częściowo dlatego, że jestem kobietą, częściowo zaś dlatego, że te dwie rzeczy jakoś nie szły ze sobą w parze, ksiądz i jego wiara, Bóg i jego wiara. W przeciwieństwie do Prousta Lawrence jest dziki, gwałtowny i nieznośny sprzeciwu, lecz choć każda strona Prousta kryje w sobie głęboką mądrość, nie jest on tak bliski mojej duszy jak Lawrence. Z rozmysłem dobieram słowa.

Jeśli chodzi o tytuł, nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaką wykorzystuję obrazową metaforę lub mit, osobisty i uniwersalny. Bardzo lubiłam wiersz Waltera Raleigh¹² „Fałszywa miłość” i uważałam, że fragment wy-

¹² Sir Walter Raleigh (1552–1618) - poeta, pisarz i podróżnik angielski, wierny poddany Elżbiety I (przyp. tłum.).

brany jako motto stanowi cierpki komentarz na temat kobiecej wiary - bądź złudzenia - w potrzebę „zakochania”, co było największym niebezpieczeństwem grożącym mojej bohaterce. Te wszystkie postulaty kobiecej mistyki - kochanek, dom, żłobek i kuchnia - istotnie stanowiły „ułudę, co wielu jest serca pragnieniem”, co zresztą wielokrotnie potwierdzała moja matka, mówiąc: „Mam nadzieję, że będziesz równie szczęśliwa jak ja i ojciec”. „Materia, co zwie się słońca cieniem” to nie tylko trafne określenie. Coleridge postrzegał ludzki intelekt jako światło księżyca, odbijające blask świadomości pierwotnej, czyli słońca. Moja Anna nie jest nawet odbitym światłem, lecz zaledwie cieniem światła (patrz: „Przygnębienie - oda”) lub chmurną poświatą księżyca czy krwistym blaskiem latarni ulicznych. Obawiałam się takiego losu.

Praca nad powieścią dobiegła końca, kiedy byłam bardzo zdesperowaną uniwersytecką żoną w Durham. W ciągu dwóch lat przyszło na świat dwoje moich dzieci - sama skończyłam właśnie dwadzieścia pięć i ogarnęło mnie poczucie, że jestem stara i wszystko mam „za sobą”. Otaczali mnie młodzi mężczyźni, debatujący nad sprawami na wskroś męskiego stowarzyszenia, z którego żeńska część uczelni została bezwzględnie wykluczona, choć nie miała gdzie się podziać. Czułam się osamotniona i przerażona, a Cambridge, ze swoim brakiem uprzedzeń, flirtami, przede wszystkim zaś *biblioteką* i *pracą* jawiło się niczym wizja ziemskiego raju. Przystąpiłam do pracy - jedną ręką kołysałam plastikowy fotelik, w którym siedział mój syn, a drugą pisałam. Zatrudniłam gosposię i, uskrzydłona nowym przypływem energii, biegłam przez Palace Green do biblioteki uniwersyteckiej, by spędzić tam wypełnioną pisaniem godzinę. Dzieci były wspaniałe i bardzo je kochałam. Anna i jej mgliste lęki odsunęły się na bezpieczną odległość. Mąż zapłacił za przepisanie na maszynie stert rękopisu, a ja, za namową Johna Beera, wysłałam całość do wydawnictwa Chatto i Windus.

Cecil Day Lewis zaprosił mnie na lunch do Athenium. Bogini Atena nad drzwiami, kobiety zepchnięte

do mrocznej sutereny, uprzejmy poeta mamroczący „posiłki pensjonatowe, posiłki pensjonatowe” i rzucający cytatami z Yeatsa¹³. Na zewnątrz, w jaskrawym świetle słońca, powiedział:

- To była prawdziwa przyjemność.

Na co ja, zebrawszy się na odwagę, odparłam:

- No tak, ale czy zechce pan to wydać?

Ze śmiechem zapewnił mnie, że jak najbardziej, z tym że tytuł byłby lepszy, gdyby po prostu brzmiał: „Cień słońca” zamiast „Cień Słońca”¹⁴. W tamtej chwili byłam skłonna przystać na wszystko. Teraz wołałabym przywrócić pierwotny tytuł. Mieści się w nim dokładnie to, co miałam na myśli. Chodzi o to, że Słońce nie ma cienia.

Albo jest się Słońcem, albo niczym.

To, co piszę, jest heliotropiczne. Nie jestem pewna, czy zdawałam sobie z tego sprawę, dobierając tytuł, mimo że znałam historię Kasandry i jej niemożność zawierania bądź transmitowania ciekłego światła. Moja niedokończona praca doktorska częściowo dotyczy neoplatonicznych mitów stworzenia, gdzie Słońce to męski Logos, Nous albo Umysł, penetrujący nieruchomą Hyle, materię lub żeńską Ziemię, i powołujący ją do życia. Jest to zarówno podniecające ze względu na fizyczne odzwierciedlenie w rzeczywistości - życie przecież bez reszty zależy od światła - jak i przygnębiające, ponieważ pozostałe założenia tego poglądu nie mają racji bytu - Słońce nie posiada pierwiastka męskiego, a Ziemia - żeńskiego. Lawrence przedstawia własną wersję w „Słońcu”, gdzie kobieta z miasta kąpie się nago w śródziemnomorskim słońcu i czuje, jak wnika w nią moc wyzwalająca ją spod wpływu szarego, nieśmiałego, miejskiego męża. Ten mo-

¹³ William Butler Yeats (1865-1939) - poeta i dramaturg irlandzki, przedstawiciel ruchu Celtic Revival, mającego na celu popularyzację folkloru Zielonej Wyspy. Laureat Nagrody Nobla (1923) (przyp. tłum.).

¹⁴ Użycie rodzajnika określonego w „The Shadow of the Sun”, podkreślającego indywidualny charakter zjawiska, zastąpiono rodzajnikiem nieokreślonym: „Shadow of a Sun” (przyp. tłum.).

tyw silnie oddziałuje zwłaszcza na cierpiących-na-zimową-depresję-z-braku-światła czcicieli Słońca, takich jak ja. Słońce Lawrence'a lśni złotym, niebieskim i białym ogniem. Ponadto przypomina „on” „wielkie nieśmiałe stworzenie”, i kobieta jest przekonana, że „zna ją w kosmicznym, cielesnym znaczeniu tego słowa”. Jej upragniony stan to ślepa, bezwarunkowa bierność. W zobrazowaniu tego, co słońce wyprawia z kobietą, jest też dla mnie coś odpychającego.

Pozostaje nam również kwestia księżycy, srebrzystego, zimnego, barbarzyńskiego księżycy, będącego jedynie odbitym światłem, któremu w mitologiach zachodnich przypisywano na ogół cechy kobiece.

Wszystkie moje kolejne powieści poruszają między innymi problem kobiecej wizji, sztuki oraz poglądów (nie pomijając przy tym ich męskiego odpowiednika). W książce „Gra” nazwałam postać, która zastosowała się do monastycznej porady Helen Gardner, imieniem Kсандry widzącej, podobnie jak Anna, księżycę przez szkło. W powieści „Dziewica w ogrodzie” sposób przedstawienia postaci jest bardziej skomplikowany. Bezradny wizjoner, dostrzegający nadmiar światła, był mężczyzną i matematykiem. Postacią reprezentującą władzę - kobieta, królowa Elżbieta I, która opromieniona blaskiem czuwa nad bladym światem swego następcy. Elżbieta napisała wiersz zbliżony w wymowie do „Fałszywej miłości” Waltera Raleigh: „Troska ma niczym cień w słońcu goni mnie, lecz ucieka, gdy pragnę ją pochwycić”. Współcześni poeci i dworacy przedstawiali ją jednak jako dziewczyną *boginię księżycy*, nie tylko, jak zaznaczyła w „Astarei” Frances Yates, jako Dianę, czystą i powabną królewską łowczynię, lecz również jako wschodnie boginie ziemi i urodzaju, Astarte, Kybele z wieżyczką na głowie. Ponieważ urodziła się pod znakiem Panny, symbolizującym pełnię lata, przedstawia się ją z dojrzałą kolbą kukurydzy, atrybutem plonów i obfitości, w związku z czym sprowadza ona złoty, a nie srebrny wiek. W utworze „Ocean do Cynthii” Raleigh zwraca się do niej jako do bogini przyciągającej wszystkich do siebie na podobieństwo fal przypiływu. Moja powieść zawie-

ra parodię komicznego i magicznego rozdziału „Zakochanych kobiet”, w którym do odbitego w tafli stawu świetlistego koła księżycy Birkin kieruje słowa: „Przekłęta Astarte, Syria Dea” i kamieniami rujnuje jego harmonię, by po chwili ponownie ujrzyć go odrodzonym.

Owa scena mieści w sobie większe przesłanie, pod warunkiem jednak, że księżyc zachowa swą dziewiczą i senną naturę i pomimo odbitego światła nadal będzie przyciągał fale.

Centralną postacią „Martwej natury” ku mojemu zdumieniu okazał się Vincent van Gogh, szalony twórca napędzany światłem i słońcem (lecz również z problemami na tle seksualności oraz pracy). Podobnie jak Kassandra, miał obsesję nadmiaru światła, niemniej jednak udało mu się czegoś dokonać. W „Opętaniu”, będącym historią dwojga poetów, którzy potrafią pisać i wykorzystują tę umiejętność, podobnie jak - bez względu na tragiczne skutki - czynią użytek z seksualnej namiętności, słońce zyskuje dla obojga żeński wymiar. Dzieje się tak dlatego, że zauważyłam - chcąc wyrównać rachunki - iż u Tolkiena Słońce jest kobietą, co przypomniało mi o mojej pierwszej, ukochanej książce, „Asgard i bogowie”, gdzie niebiańskim Rydwanem Słońca powozi bogini. W mitologiach nordyckich i germańskich Słońce również jest kobietą. Moi poeci ze spokojem przyjęli tę personifikację, bez ceregieli obalając stary mit stworzenia o Nous i Hyle.

Pisząc wstęp do tej „trzydziestoletniej” książki, uświadomiłam sobie coś, co wcześniej nie przyszło mi do głowy. Wizerunkiem niezmiennie towarzyszącym koncepcji „Cienia Słońca” był obraz Samuela Palmera „Pole i gwiazda wieczorna” - obecnie kojarzony przeze mnie ze żniwiarzem van Gogha, przedzierającym się przez kipiący piec światła i biało-złocistego zboża. Obraz Palmera jest nocny i ciepły, lecz jednocześnie jasny, rozświetlony odbitym blaskiem księżycy, na którego okrągłej powierzchni odcina się wyraźny sierp. Zaczynam rozumieć, że motywy urodzaju również stanowią integralną część mojej prywatno-universalnej wizji świata. Pisząc „Cień Słońca”, przeczytałam w „Manchester Guardian” Świēt-

ny artykuł na temat turbulencji w dojrzałym zbożu i dołączyłam go do wizji urodzajnych pól, snutej przez Henryka Severella, używając wielu wyjętych stamtąd określeń, jak np. „plewka” jęczmienia (pewien rolnik, znajomy matki, pochwalił moją znajomość rolnictwa). Miałam też chyba w myślach magiczną scenę z „Tęczy”, kiedy Will i Anna spotykają się na polu oblanym księżycową poświatą, co stanowi swego rodzaju paradoks twórczy, gdyż dojrzałość zboża oraz urodzaj są dziełem żaru i światła słonecznego, podczas gdy tutaj bohaterowie ukazują się w łagodniejszym, bardziej mrocznym i chłodnym blasku, który brałam wówczas za symbol kobiecej kreatywności. Pragnęłam urodzaju, zarówno w życiu prywatnym, jak i w pracy, i bałam się, że moje światło jest pośledniejszego rodzaju, zdolne ledwie rozpraszać mrok. Potem jednak przysłała królowa Elżbieta jako bogini plonów, pracujący rażno kosiarz-śmierć van Gogha oraz wiersz Randolpha Henry'ego Asha w „Opętaniu”, opowiadający o nordyckim micie stworzenia, w którym światło dające życie pierwszemu mężczyźnie i kobiecie, Askowi i Emblu, to *żeńskie* Słońce. W swojej poezji Ash przyjmuje też, że „złociste jabłka” bogini podziemnego świata Persefony to, według Vico, zboże wyrosłe z bruzd. Cofając się myślą do tamtych pierwszych słońc, księżyców i zbóż, warto spojrzeć, jak instynktownie zostały odkryte i jak długo trwało, mimo że wszystkie materiały miałam w zasięgu ręki, nim opracowałam je i zrozumiałam.

A. S. Byatt
1991

*Forteca wolą na piasku wzniesiona,
Syreni śpiew, żar płonącego czoła,
Labirynt, gdzie dusza błądzi strwożona,
Chmura, której wiatr przegonić nie zdoła,
Materia, co zwie się słońca cieniem,
Ułuda, co wielu jest serca pragnieniem.*

SIR WALTER RALEIGH

Część pierwsza

Dom czekał; niski, nieruchomy i szary, z czystymi firanami w podłużnych oknach i świeżą linią bieli wzdłuż krawędzi schodów. Wiosną pomalowano drzwi na przyjemny kolor, coś pośredniego pomiędzy szarością i błękitem, który zdawał się cofać przed migoczącą płachtą słonecznego trawnika. Panował upał, rozedrgane kaskady powietrza spływały na żywopłot oraz słupy, i wijąc się rwącymi potokami przez trawnik, zakręcały przy schodach w strefę cienia, gdzie ponownie stawały się niewidzialne. Róże, wytwornie tłoczące się na klombach wokół trawników, zwilgotniały; jeszcze wczoraj jędrne, jakby ocukrzone płatki dziś miętko tuliły się do siebie. Trawa jednak, zieleńsza tutaj niż na tyłach domu, gdzie panował mniejszy cień, wybuchła z całą gwałtownością: równe metaliczne rzędy twardo opierały się zakusom słońca, przyszczyżone źdźbła odbijały światło, rzucając wokół szkliste refleksy srebra, zieleni oraz bieli. Ceremonialnej ekspansji trawnika przed frontem domu nie mąciła obecność stokrotek. Za to z tyłu, gdzie pewien dziewiętnastowieczny właściciel dobudował niechlujny taras z werandą i gdzie przez całe lato grano w krokieta i badmintona, rosły ich setki oraz bujna kępa babki. Jednak to właśnie od frontu, pośród niezakłóconej harmonii domu, ogrodu i podjazdu, najbardziej wyczuwało się nastroj oczekiwania - panowało tu napięcie, towarzyszące

zwykle zwarciu szyków przed ofensywą. Nastała pora pomiędzy lunchem a podwieczorkiem, kiedy wszystko sennie zamiera; tutaj jednak, w panującej na zewnątrz ciszy, blask słońca przydawał obiektom ostrości, czyniąc je tak wyraźnymi, że zyskiwały kruchość mirażu. Przejrzystość angielskiego słońca pozwalała sądzić, że lada chwila rozpadną się na kawałki, przybierając zszarzałą, zwykłą, rozproszoną postać.

Wewnątrz, na korytarzu, Karolina Severell stała nad białą misą kwiatów, delikatnie upychając niebieską łodygę najwyższej ostróżki. Jej myśli bez słów krążyły wokół przygotowań: kostki mydła, czyste ręczniki, lawendowe saszetki w szufladach, karafka i wazon z różami w gościnnym pokoju przesuwają się, jedno za drugim i w migających pośpiesznie przed oczami wyobraźni klatkach. Karolina zebrała i poustawiała wszystkie książki, rozrzucone przez męża w salonie, na podestach i w łazience. On niebawem spostrzeże ich brak i na powrót spiętrzy je w najdziwniejszych miejscach, lecz wtedy przynajmniej będzie już po wszystkim. Karolina zdjęła z kuchennego stołu szpicrutę i buty jeździeckie córki, zgarnęła z podłogi w łazience jej brudną bieliznę, z wieszaków zaś - z pewnym niesmakiem - dwie nieświeże koszule. Następnie - nie bez skruchy - uprzątnęła spod stołu w jadalni elektryczną kolejkę syna; wiedziała, że chłopiec potrzebuje przestrzeni do zabawy, jak na swój wiek wcale nie był bałaganiarzem. Bądź co bądź jednak, goście to goście, a kolejkę można potem ustawić na nowo. Kolacja była przygotowana, taca z filiżankami ustawiona, napełniony czajnik czekał na kuchence. Karolina skonstatowała chłodno, że wszystko gotowe, po czym po raz ostatni poprawiła łodygi kwiatów unieruchomione drucianą siatką wewnątrz wazonu i zdjęła fartuch. Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik.

Spojrzała na zegarek. Trzecia dziesięć. Czas leciał. Istniała niepisana zasada, której Karolina z dumą przestrzegała, że kiedy mąż przebywał w gabinecie, nigdy nie należało mu przeszkadzać. Teraz jednak uświadomiła sobie, że zapomniał o swej obietnicy przywiezienia gości z oddalonej o kilka mil stacji. Chcąc dać mu trochę cza-

su, poszła do kuchni odwiesić fartuch, po czym przeszła przez dom i stanowczo zapukała do drzwi gabinetu.

Zgodnie z jej oczekiwaniami nie padła żadna odpowiedź. Z grzeczności nasłuchiwała chwilę, po czym weszła do środka.

Jak na gabinet, pomieszczenie było bardzo przestronne i pełne światła, które wdzierało się do wewnątrz przez duże francuskie okno, wychodzące na taras. Pokój nie miał w sobie nic z wypełnionego ciemną skórą, srebrem oraz zapachem tytoniu gabinetu dżentelmena, z drugiej zaś strony nie cechowały go świadoma surowość i bałagan pokoju naukowca, z porozrzucanymi wszędzie papierami i kamieniami przywiezionymi ze względu na ich ciekawy kształt z różnych plaż. Jeżeli można było przypisać pomieszczeniu określony charakter, była to jakby zbyt duża klasa szkolna - książki na nieprzeszlonych półkach dookoła pokoju, brzydkie kwadratowe biurko z jasnego drewna, drewniany fotel oraz krzesło. Na biurku stała maszyna do pisania, na jednej z półek zaś dzban z kwiatami ułożonymi przez Karolinę. W gabinecie znajdował się duży kominek, podłogę przykrywał lekko wyswiecony dywan o barwie szałwiowej zieleni. Nie przykuwało tu uwagi nic prócz przestrzeni - czystej, niezamieszkannej, rozświetlonej przestrzeni. Gabinet stanowił ośrodek, wokół którego koncentrowały się sprawy domu - z woli Karoliny, ponieważ uznała, że właśnie tak ma wyglądać jej życie, z woli dzieci, ponieważ nigdy nie przeszło im przez myśl, że mogłoby być inaczej, oraz z woli przyjaciół i gości, w których postać Henryka Severella budziła prawie lęk i którzy zakładali, że jego potrzeby są ważniejsze i bardziej naglące niż potrzeby innych; to wrażenie Karolina usilnie starała się podsycać. Trudno zgadnąć, czy Henryk dostrzegał towarzyszące temu zabiegi, czy oczekiwał ich, lekceważył je, czy też były mu one obojętne: większość czasu spędzał zamknięty w gabinecie, a to, co tam robił, było jego prywatną sprawą. Nie należał do osób rozmownych.

Karolina machinalnie skierowała wzrok na stojące pod oknem biurko, gdzie spodziewała się ujrzeć męża, i poczuła drobne ukłucie niepokoju, widząc, że stoi bez-

czynnie w przeciwległym kącie, tak jakby od dłuższego czasu nic nie robił. Spojrzawszy na nią z góry, bez słowa zamrugał powiekami. Karolina ponownie przeniosła spojrzenie na biurko i zauważyła, że było w niecodzienny sposób zagracone - leżały tam książki, potężne sterty wystrzępionych rękopisów, zakurzone segregatory, kipiące od notatek. Przeszła przez pokój i przesunęła po blacie jedną czy dwie książki. „Siris” biskupa Berkeleya, Boehme, „Notatniki” Coleridge’a, „Wstęp do refleksji”, „Conjectura Cabalistica” Henryka Moore’a, „Dziennik” Dorothy Wordsworth. Następnie zwróciła się do męża, nie mogąc powstrzymać się od wymówek, choć wiedziała, że nie przyniosą one nic dobrego.

- Czy musiałeś zaczynać to właśnie teraz? Akurat kiedy ma przyjechać Oliver?

- Oliver? - powtórzył bez zainteresowania Henryk, nie siląc się na odpowiedź.

Podszedł do biurka i ułożywszy książki przesunięte przez Karolinę, zaczął kartkować swój rękopis. Na jego ustach błąkał się nieobecny uśmieszek, wciąż jednak stał, wobec czego ona obawiała się, że mąż w każdej chwili może czmychnąć do ogrodu i zniknąć.

- Wiedziałeś, że zaprosiłam ich na ten tydzień - powiedziała cierpliwie. - Mówiłam ci. Przyznałeś, że Małgorzata nie najlepiej wygląda. Obiecałeś, że pojedziesz po nich na stację.

- Naprawdę? - odrzekł z tym samym uśmiechem, wciąż przewracając kartki.

- Będą tu za pół godziny. Musisz się pośpieszyć, żeby zdążyć na czas.

- Czy Anna nie może pojechać?

- Nie chcą widzieć Anny - odparła Karolina, jakby to się rozumiało samo przez się.

Z trudem koncentrowała się na zadaniu nakłonienia Henryka do wyjazdu - niespodziewana obecność Coleridge’a i Wordsworth, wraz z przewidywanymi konsekwencjami, i to właśnie teraz, wyprowadziła ją z równowagi. Baczenie przyjrzała się mężowi w poszukiwaniu oznak stanu wyjątkowego pobudzenia i ekscytacji - pochyliwszy się nad biurkiem, skrzętnie notował coś ołów-

kiem na jednej z porzucanych wszędzie luźnych kartek papieru - i jak zawsze, przeszło jej przez myśl, że jest wspianiały i że bez względu na wszystko ona musi w czasie pobytu Canningów ograniczyć wpływ Coleridge'a do czterech ścian gabinetu i zmusić Henryka przynajmniej do uczestniczenia we wspólnych posiłkach, co nie będzie łatwe. Mąż poczuł wreszcie na sobie jej wzrok i odwrócił się do okna, stając do niej plecami. Było to bez porównania gorsze.

- Czy coś poszło nie tak z powieścią? - rzuciła bezradnie. - Wydawało się, że idzie jak z płatką. To znaczy, tak ciężko pracowałeś. Myślałam, że jest prawie skończona. Mówiłam Oliverowi...

- Wolałbym - przerwał jej z zadziwiającą gwałtownością Henryk - żebyś ty... ani nikt inny... nie mówiła nic Oliverowi. Pakuje nos w nie swoje sprawy, węszy i wyciąga wnioski na podstawie strzępów informacji, które każdy człowiek, obdarzony choć odrobiną taktu, pominąłby milczeniem. Będzie mnie zadręczał pytaniami. Tolerowanie go kosztuje mnie sporo wysiłku. Zupełnie nie wiem, po co został zaproszony.

- Jest ci bardzo pomocny.

- Mógłbym się bez niego obyć.

- Ależ to człowiek naprawdę ci oddany. Przyznaj sam. Zrobiłby dla ciebie wszystko. Powiedziałaś kiedyś, że w przeciwieństwie do reszty dostrzega miarę tego, co robisz. Pamiętasz? Poza tym Małgorzata bardzo blado wyglądała; jestem pewna, że to jedyny sposób nakłonienia go do urlopu. Pracuje tak ciężko, że wcale nie bierze pod uwagę jej potrzeb. - Karolina, sama będąc ofiarną żoną, przedstawiła sprawę bez cienia krytyki. Małgorzata musi troszczyć się sama o siebie; praca mężczyzny stała na pierwszym miejscu. Skoro jednak można jej pomóc, ona to robi.

Henryk nie krył irytacji.

- Zapomniałem, i tyle - rzucił oględnie. - Jestem bardzo zajęty. I naprawdę wolałbym, aby ten człowiek powstrzymał się od zadawania pytań.

- Po prostu interesuje go to, co robisz.

- Byłoby lepiej, gdyby siedział cicho. Powinien mieć

dość rozumu, aby to pojąć. Poza tym teraz... - jego spojrzenie powędrowało w kierunku papierów na biurku - ...teraz chciałbym to uporządkować. - Zawsze tak mówił. - Tym razem mógłbym doprowadzić rzecz do końca. Zdziwiające, ile satysfakcji niesie czysto intelektualne zajęcie, kiedy tyle czasu spędziło się na pisaniu... powiew świeżego powietrza i słońca. Naprawdę zmierzam w ściśle określonym kierunku.

Karolina była już na dobre wytracona z równowagi.

- Ale jakoś nigdy nie udaje ci się dopiąć swego - odzekała nieroztropnie. - Robisz tylko stopy notatek. A potem... ach, wiesz równie dobrze jak ja, co potem. Minęło już tyle lat...

- To zawsze trwa latami...

- Tym razem jednak ten twój... nastrój wypadłby zupełnie nie w porę. Musisz to zrozumieć. Oliver przyjeżdża tylko po to, aby się z tobą zobaczyć. Czy nie mógłbyś najpierw dokończyć powieści?

- Najpierw uporam się z tym - oświadczył Henryk z wyraźnym zamiarem niewdawania się w dalszą analizę swoich motywów. - Nic nie szkodzi, powieść zaczeka, wyjdzie jej to na dobre. Właśnie wpadłem na pomysł, jak to uporządkować - powtórzył nieobecny tonem i zasiadłszy przy biurku, przystąpił do segregowania papierów, ucinając tym samym jakąkolwiek dalszą dyskusję.

Karolina spojrzała na niego z rozdrażnieniem - kiedy pisał powieści, czuwała nad jego spokojem, zmieniała pory posiłków, gościła i zjednywała mu ludzi pokroju Olivera Canninga, użytecznych i zarazem zasługujących na gorącą wdzięczność za swe oddanie Henrykowi. Mimo to kiedy kilka lat temu rozpoczął swą „Analizę angielskiej myśli romantycznej”, ogarnęły ją rosnące wątpliwości: nie był to odpowiedni dla niego rodzaj pracy. Brak widocznych postępów rzucał się w oczy, podobnie jak trudności w obcowaniu z autorem - nieobecny duchem i bardziej agresywnym niż w czasie pisania powieści - podatny teraz na nieoczekiwane napady dziwnego zachowania, których obawiała się, gdyż nigdy nie umiała im sprostać. Poza tym Henryk, zwykle łagodny, był na punkcie „Analizy” niesłychanie drażliwy - wszelkie sło-

wa krytyki budziły gwałtowną reakcją, daleką od uprzejmości. Oliver Canning zaś - jak słusznie przypuszczała Karolina - nie powstrzyma się od wygłaszania krytycznych opinii. Spojrzała na zegarek, po czym przeniosła wzrok na Henryka: czas zmarnowany na wymianę zdań obudził w niej strach, czy da sobie z tym wszystkim radę.

- Proszę, Henryku, przynajmniej nie spóźnij się na pociąg. Zależy im, abyś po nich wyjechał: obiecałam, że to zrobisz. To dla nich ważne, bez względu na to, co myślisz.

Ku jej zdziwieniu, ustąpił. Wstał i z łagodnym uśmiechem rozejrzał się za marynarką. Znalazła ją i pomogła mężowi się ubrać. Następnie wręczyła mu leżące na biurku kluczyki do samochodu.

- Zdażysz, jeśli tylko się pośpieszysz. Zresztą pociąg prawie na pewno się spóźni. To miło z twojej strony.

- Wiem - odparł z niezmaconym spokojem Henryk. - Jeśli ten człowiek - dodał - znów będzie traktował mnie z wyższością wykładowcy, którego student napisał dobrą pracę wyłącznie dzięki jego wsparciu i pomocy, wysadzę go na poboczu i tam zostawię. Nie, nie martw się, już jadę. Wrócę, zanim zdażysz się zmartwić. Potem przejmiesz pałeczkę i ugościsz ich jak należy, podczas gdy ja wrócę do pracy. Tak będzie sprawiedliwie.

- Tak - potwierdziła z nadzieją Karolina.

Teraz przynajmniej wykazywał zwiększoną aktywność i zdawał się świadom otaczających go spraw. Może jednak wszystko się uda. Może jakoś przetrwają te dwa tygodnie i Coleridge nie zagarnie całej uwagi Henryka. Poczuli się na tyle pewna siebie, że zaczęła planować, aczkolwiek nie bez wahania, sposób, w jaki mogłaby tego dokonać, zupełnie jakby Henryk był po prostu figurą szachową. Zamyślona, nie dostrzegła rozbawienia, z jakim obserwował jej minę. Jego twarz pozostawała przez większość czasu nieodgadniona. Pierwsze wrażenie było przytłaczające: wysoki, barczysty, o wzroście powyżej sześciu stóp, mocnych, szerokich dłoniach i wielkiej głowie, porośniętej gęstą strzechą przedwcześnie posiwiałych włosów, łączących się z równie bujną, niemal patriarchalną brodą. Początkowo zapuścił ją, by zakryć wo-

jenne blizny, obecnie jednak stwarzała pozory rozmyślnej ekstrawagancji i pozy odpowiadającej statusowi literackiego tytana - ta poza jednakże nie kryła żadnego oszustwa; niewielu zresztą byłoby skłonnych go o to oskarżyć. Odniósł sukces i powszechnie uznawano go za jednego z garstki żyjących gigantów. Wyglądał jak skrzyżowanie Boga i Alfreda Tennysona z Hiobem Blake'a; godny, trochę dziwaczny, a zarazem potężny. Gęstwina włosów rzeczywiście wywierała natychmiastowy efekt, trudno jednak było powiedzieć o nim zrazu coś więcej. Ruchliwe rysy zdawały się cofać; oczy, ukryte pod bujnymi, srebrzystymi brwiami, były jasne i nieśmiałe, o tak nieobecnym wyrazie, że sprawiały wrażenie niemal pustych; ginące pod kępami zarostu usta sugerowały łagodne usposobienie, i niewiele ponadto. Niekiedy wykwitał na nich dobroduszny uśmiech, mężczyźnie towarzyszyła jednak aura małomówności i skrytości, która sprawiała, że nowo poznani ludzie czuli się oszukani. W miarę jednak postępującej zażyłości na ogół odrzucali to wrażenie jako nieracjonalne i puszczali swe zastrzeżenia w niepamięć.

Karolina do tego stopnia nawykła do tego widoku, że mimo okazałego wyglądu męża jej uwagi nie uszedł ani brudny kołnierzyk jego koszuli, ani tym bardziej wyczuwalny obecnie nastrój ogólnego odprężenia, niosący nadzieję na niezakłócony wyjazd na dworzec.

- To *miło* z twojej strony - powtórzyła.

Odprowadziwszy męża do wyjścia, powstała chwilę na schodach, gdzie wkrótce dobiegł ją odgłos zapuszczanego silnika. Następnie wróciła do salonu, aby zasiąść przy oknie i wyglądać powrotu Henryka. Pozwoliła sobie na zadowolony uśmieszek - jak dotychczas udało się zrobić to, co do niej należało. Reszta znajdowała się poza jej wpływem.

Chwilę później Anna, która również usłyszała zapalony w garażu silnik, ostrożnie zeszła po schodach i na moment przystanąła na korytarzu, nasłuchując panującej w domu ciszy. Miała siedemnaście lat, co czyniło ją pięć lat starszą od męskiego potomka Severellów. Była też

mniej atrakcyjna niż brat, czego świadomość dotkliwie towarzyszyła jej na każdym kroku. Choć niska jak na swój wiek i chuda, o wystających obojczykach, cierpiała z powodu związanego z dojrzwaniem przyrostu ciała, który nastoletnim dziewczętom przydaje pewnej kancistości i mało subtelnej linii policzków oraz podbródka, niweluje wcięcie w talii i pogrubia kostki, budząc wrażenie ogólnej, nieuniknionej niezdarności. Anna przez większość czasu nie dbała o sylwetkę - wyjąwszy chwile, kiedy siedziała na końskim grzbiecie lub była bez reszty czymś pochłonięta, co przydawało jej gracji - garbiła się, próbując ukryć wydatny biust, zresztą zupełnie niepotrzebnie. Jak zwykle miała na sobie bezkształtną koszulę, pamiętającą czasy szkolnej drużyny hokejowej, i grube chłopięce spodnie, przytrzymywane pomiędzy talią i biodrami starym harcerskim paskiem. Była boso, a jej stopy, nadgarstki i szyja nosiły głęboką barwę kawowego brązu: lato było słoneczne, zatem większość czasu spędzała na dworze. Włosy, proste, ciemne i delikatne, przypominały włosy Karoliny, niemniej jednak cierpiała na skutek braku zdecydowania Anny, która nie wiedziała, czy obciąć je, czy zapuścić. Obowiązujące w szkole przepisy nakazywały regularne postrzyżyny - był to środek ostrożności podejmowany z obawy przed wszami, nawet w tak kosztownej instytucji, jak ekskluzywna szkoła dla dziewcząt - i włosy wisiały teraz w nierównych kosmykach, denerwująco włączając za kołnierz. Anna miała duże, ciemne oczy i wąski nos Karoliny, lecz podczas gdy szerokie usta matki sugerowały dobroduszość, pulchne wargi córki zaciskały się w wyrazie ciągłej dezaprobaty. Wyglądała na mniej niż siedemnaście lat, i tego również była świadoma.

W tej chwili zależało jej na tym, by wymknąć się z domu i zaszyć w bezpiecznym miejscu przed przyjazdem gości. Wiedziała, że Karolina chce, aby powitała ich w czystej sukience i z upiętymi z tyłu włosami. Ów przejaw zwykłej uprzejmości urósł w jej mniemaniu do rangi wyszukanej tortury, mającej ją poniżyć - bezkształtne szkolne sukienki z góry stawiały ją na przegranej pozycji, i matka dobrze o tym wiedziała. Będzie tam również

i Jeremi, w czystej koszuli i z wyszczotkowanymi włosami, z uśmiechem zawierającym wyważoną dawkę nieśmiałego uroku, co dodatkowo pogarszało sprawę. Był na tyle młody, by z powodzeniem występować na łonie rodziny, lecz jej podobna sytuacja zdawała się nie do zniesienia: pozbawiała ją i tak nikłego przekonania co do tego, kim naprawdę jest, i wystawiała na pośmiewisko nie tylko we własnych oczach, ale również w oczach Canningów i wszystkich innych. Fakt, że Anna przypisywała przesadne znaczenie równie błahemu incydentowi, budził jej rozdrażnienie. Jednocześnie była skłonna przyznać rację ojcu, który wytykał jej brak poczucia humoru. Niemniej jednak czuła, że wbrew pozorom sytuacja jest poważna, co w pełni usprawiedliwiało chęć ucieczki.

Nie chodziło o to, że nie lubiła Canningów. Nie miała nic przeciwko żadnemu z nich. Oliver był zawsze wobec niej uprzedzająco grzeczny i nie czepiał się, za co czuła wdzięczność. Promienna uroda Małgorzaty stanowiła dla Anny przedmiot podziwu i zawiści. Prócz tego pani Canning emanowała bezbrzeżnym, niczym niezmaconym poczuciem szczęścia, w którego istnienie Anna nie wierzyła dopóty, dopóki nie przekonała się na własne oczy. Wówczas zapragnęła je podzielić i czyniła to z niezdatną gorliwością, stanowiącą źródło udręki nie tylko dla Małgorzaty, ale również i dla niej samej. Małgorzata traktowała Annę zyczliwie - próbowała rozmawiać z nią o modzie, szkole, przyszłości, jak gdyby poglądy dziewczyny rzeczywiście ją interesowały. Anna nie miała żadnych poglądów, które mogłaby przedstawić w zamian za poświęconą jej uwagę i na ogół odpowiadała pełnym zakłopotania, niewolniczym oddaniem, spóźnionym dziewczęcym zauroczeniem, na którego wspomnienie twarz paliła ją ze wstydu. Niezmiennie elegancka, Małgorzata schodziła na śniadanie w aurze złocistości i obłoku perfum, po czym zarzucała Oliverowi ramiona na szyję ze swobodą, na jaką nie mógłby zdobyć się nikt inny. Mówiła: „*Podoba mi się to, to fantastyczne*”, słuchaczom zaś udzielało się wrażenie, że są w stanie doświadczyć tego samego, jeśli tylko wykażą identyczny entuzjazm. Anna przypuszczała, że znalazłaby u niej współczucie dla

swych wątpliwości i problemów, gdyby tylko nie były one obce naturze Małgorzaty, która z pewnością wiedziała, jak należy ich unikać, co przepełniało Annę wstydem.

Wbrew przewidywaniom dziewczyny, Małgorzata przypuszczalnie nie czuła się zakłopotana jej zachowaniem. Anna z uporem zamknęła się w sobie, i ani jej oddanie, ani zmieszanie nie rzucały się w oczy. Zresztą ona sama niezbyt rzucała się w oczy. I może jeśli przed przyjazdem gości zniknie z pola widzenia, rzeczywiście uda się uniknąć tego całego zamieszania. Kiedy zaś wróci w porze kolacji, pomyślała w przypływie optymizmu, zyska prawo do milczenia nad swoim talerzem.

Ostrożnie zajrzała do kuchni w obawie, że zastanie tam Karolinę, którą jednak znała na tyle dobrze, by wiedzieć, że z pewnością czuwa już przy oknie. Następnie przeszła przez kuchnię do drzwi wychodzących na ogród i pod osłoną jesionu wymknęła się na taras. Panował tu niemal namacalny upał; powietrze zdawało się gęste niczym gorąca kąpiel. Anna wyciągnęła koszulę ze spodni i potrząsnęła jej połami, dzięki czemu chwilowy chłód swobodnie ogarnął jej ciało. Ogarnęło ją zadowolenie: skwar, choćby najbardziej dokuczliwy, nigdy nie robił na niej większego wrażenia. Była z tego dumna - oto jedna z niewielu rzeczy, łączących ją z odległym i w dużej mierze nieznanym ojcem.

Zeskoczyła z wysokości trzech stóp na trawnik; był to jeden z jej rytuałów. Nigdy nie schodziła po schodach, zawsze zeskakując w tym samym miejscu, w którym - ku irytacji ogrodnika - widniała już łysina obnażonej ziemi. Obejrawszy się za siebie, zrozumiała, że została zauważona.

Jej brat, w nieskazitelnej białej koszuli i szkolnym krawacie, wychylał się z okna swojej sypialni, wołając dźwięcznym, chłopięcym głosem:

- Anno! Dokąd idziesz?
- Do ogrodu - odparła.

Wcisnąwszy ręce do kieszeni, rzuciła mu chmurne spojrzenie ponad ramieniem. Jeremi z niepokojem podniósł głos - w przeciwieństwie do Anny posiadał towarzyską naturę, ona jednak nie była dość bystra, aby to

dostrzec, i brała jego zachowanie wyłącznie za przejaw dobrego wychowania, przypisując bratu upodobanie do rzeczy, których sama nie znosiła.

- Ależ oni zaraz tu będą. Przecież wiesz. Naprawdę, Anno, to *niegrzeczne*...

- Nic mnie to nie obchodzi. Olivera i Małgorzaty pewnie też. Nie marudź.

- Wiesz, że mama szukała cię w całym domu. Rany, ciebie chyba *nikt* nie obchodzi.

- Nikogo nie obchodzi, co ja czuję - odparowała Anna i natychmiast zawstydziła się własnych dziecinnych słów. Próbując zatrzeć złe wrażenie, dorzuciła kpiąco: - Nie wymyślaj - głosem ich dawnej gospośi, która zwykła powtarzać to przy każdej okazji: nie wiedzieć czemu zawsze doprowadzało to Jeremiego do furii.

Tak też stało się i teraz. Wobec braku sojuszników chłopiec zawsze przegrywał starcia z Anną, która nigdy nie przepadała za bratem i od kiedy zaczął chodzić, konsekwentnie unikała wszelkiego z nim kontaktu. Podobnie jak wszyscy, nie był pewien nastroju siostry ani nie miał pojęcia, czego z jej strony oczekiwać - teraz, tknięty myślą o tym, jak mogłaby się zachować, przymuszona do udziału w uroczystościach powitalnych, ogarnęły go wątpliwości co do słuszności podejmowanych prób: niech Anna lepiej zostanie w ogrodzie.

- Cóż, *mnie* nie obchodzi, co zrobisz - odpowiedział bezradnie. Lekko odął wargi i ponad jej głową przeniósł wzrok na wzgórze. Nie należał do tych, którzy przeciągają niezręczną sytuację lub silą się na rozegranie z góry przegranej walki.

Anna zrozumiała, że dał za wygraną.

- Mógłbyś być na tyle przyzwoity, żeby nie mówić im, dokąd poszłam - rzuciła bez większej nadziei i ruszyła w stronę sadu, trzęsąc się ze złości i żalu nad sobą. To straszne do tego stopnia nie znosić własnej rodziny.

Do sadu prowadziła brama znajdująca się na drugim końcu ogrodu. Był utrzymany dobrze, choć bez większego nakładu starań; w porównaniu z suszą panującą w ogrodzie tu czuło się przyjemny chłód i zieloność. Anna przemknęła pomiędzy drzewami w kierunku odległe-

go krańca sadu, gdzie mieścił się zakątek wspólny dla wszystkich tego rodzaju miejsc, krąg na ognisko, schludnie ułożone sterty kompostu, stopy trzciny i starych doniczek, wsparte o wysoki brzozowy żywopłot, za którym rozciągał się wiejski krajobraz - drogi, pola i niskie połacie pagórki. Stała tu chatka - ni to letnia altanka, ni to schowek na narzędzia, ot, coś pośredniego między nimi - zbudowana z desek i brezentu, z szerokim oknem w miejscu wskazanym przez Henryka. Wychodziło ono na szczelinę w żywopłocie, co umożliwiało dobry widok. Od strony sadu nie sposób było stwierdzić, czy ktoś przebywa wewnątrz chatki, czy nie, drzwi zaś zatrzaśkiwało się od środka.

Miejsce zostało przeznaczone dla obojga dzieci, gdy Jeremi dorósł na tyle, by się nim zainteresować. Wcześniej był to domek zabaw Anny, do którego niezbyt często zaglądała. Wciąż znajdowały się tam wstawione dla niej miniaturowe półki, ławki oraz szafki. Nigdy nie bawili się jednak razem - Jeremi zamienił chatkę najpierw na fort, potem warsztat, Anna zaś, która zawsze traktowała ją jako kryjówkę, przestała się do niej zbliżać. Ostatnio wszakże brat spędzał dużo czasu na świeżym powietrzu, zapamiętałe oddając się grze w tenisa, krokieta i badmintona oraz przede wszystkim jeździe konnej, wobec tego Anna postanowiła wrócić. Nie szepnęła o tym nikomu ani słowa, nie zapuszczała się też w tę okolicę, jeśli istniało najmniejsze choćby niebezpieczeństwo wysłania ekipy poszukiwawczej, która mogła ją tu nakryć. Uważała również, aby nie ruszać rzeczy Jeremiego - narzędzi w skrzynkach, nieudanych prób rzeźbiarskich, trocin, gwoździ - tak że ktokolwiek by tu zajrzał, nie stwierdziłby żadnych śladów jej bytności. Nie miała pojęcia co do ich podejrzeń na temat tego, co robi w ogrodzie; sądziła, że myślą, iż opuszcza go z drugiej strony i idzie na wieś. Jednym słowem, chatka do tej pory stanowiła bezpieczne schronienie, tak więc nie musiała z niej rezygnować. Było jej wszystko jedno, gdzie prześiaduje; zresztą nie miała ochoty zapuszczać się dalej.

Kiedy już znalazła się w środku i zamknęła drzwi na haczyk, spędziła trochę czasu, zastanawiając się, co da-

lej robić. Pomyślała, że gdyby nie musiała się ukrywać, mogłaby posiedzieć na słońcu albo pójść do stadniny, jeśliby nie istniało ryzyko spotkania tam ludzi, których wolała unikać. Jak zwykle, miała przed sobą problem zagospodarowania czasu aż do wieczora, bez dopuszczania do siebie przykrych myśli na temat seksu, własnej przyszłości czy też sensu życia w ogóle. Wspecjalizowała się w unikaniu podobnych tematów - czasem nie myślała o nich przez kilka godzin z rzędu - ale gdy dorosła, zaczęło jej to przysparzać coraz większych kłopotów. Próbowała potraktować to jako nieuniknioną kolej rzeczy, uważała ją jednak za trudną do zaakceptowania. Nie wyobrażała sobie, jak inaczej można sobie z tym radzić.

Kiedy już mozolnie wepchnęła koszulę z powrotem w dżinsy, po czym wyciągnęła ją na nowo, z kartonowego pudełka leżącego w tyle dużej szuflady, w której dawniej mieściły się śrubokręty Jeremiego, wydobyła zeszyt i pióro, które - jak uparcie wierzyła - miało posłużyć jej do napisania powieści. Drzemiąca w niej chęć pisania nie powinna budzić niczyjego zdziwienia. Znajomi, którzy wiedzieli, że jest córką Henryka, przyjmowali to za rzecz oczywistą, w szkole zaś nie przejawiała jakiegokolwiek zainteresowania ani zdolności do przedmiotów innych niż humanistyczne, zwłaszcza angielski. Była w nich na tyle dobra, że zakładano, przynajmniej przed awanturą, po której w atmosferze potępienia opuściła szkołę, iż pójdzie na uniwersytet. Oczekiwania pozostały niezmienione, chociaż nic nie wskazywało, by miały się spełnić. Anna beczynn timerwoniła czas, nie interesując się warunkami przyjęcia na uczelnię ani przygotowaniem do egzaminów, a Karolina, zniechęcona własnym brakiem informacji w tym zakresie i biernością córki oraz powodowana chęcią niezakłócania spokoju mężowi, ograniczała się do sporadycznych wymówek i poczucia, że powinna coś z tym fantem zrobić przed jesiennym powrotem Anny do nauki. To takie męczące, mówiła; gdyby nie te problemy, szkoła sama by się wszystkim zajęła. Zresztą nie ma sensu podejmować żadnych decyzji, dopóki Anna sama nie wie, czego chce. Nie ma pośpiechu - dopóki się nie zdecyduje, zawsze może pozostać w domu.

Anna nieuważnie przeglądała zapisane stronicie. Z pisania czerpała niekiedy ogromną satysfakcję, lecz jej zapął gaśł wraz z końcem zdania lub co najwyżej akapitu. Stąd w zeszytcie miała ledwie garść zwietrzałych zapiszków - zwrotów typu „światło jak noże”, „jesteśmy całym sami” oraz połowę wiersza „Drzewa zieleniły się kiedyś, rzecz jasna, tylko przez ciebie” - niezbyt oryginalnych, dla niej jednak niezmiernie istotnych, ponieważ weszły w jej posiadanie, z chwilą gdy przelała je na papier. Co się tyczy domniemanej powieści, o ile w ogóle posiadała ona fabułę, życie bądź tempo, stanowiła podobny szereg urwanych motywów - bohater w typie Heathcliffa¹, którego nikczemność Anna, pod wpływem niespotykanej w jej wieku naiwności, uznała za bardzo pociągającą cechę; bohaterka, na wpół nieśmiała, na wpół zdecydowana pójść za głosem serca, o twarzy „osnutej chmurą” metalicznych włosów - miedzianych, brązowych lub srebrzystych, w zależności od woli autorki - przy czym owa wyświechtana metafora była dla Anny symbolem oszałamiającej urody.

Tak czy inaczej, bez względu na prawdziwość i przypuszczalną wartość przyjemności czerpanej z tego w dużej mierze wtórnego oraz nieprawdopodobnego przetworzenia znanej opowieści, w przeciwieństwie do większości bystrych dziewcząt w jej wieku Anna nie potrafiła oddać się marzeniom o przyszłej karierze literackiej, rozpoczętej za sprawą dzieła różniącego się od obecnej pisaniny, będącego wynikiem mozolnej pracy, na którą nie tylko nie miała ochoty, ale do której nie czuła się również zdolna. Gdyby pozostawiono ją w spokoju, z powodzeniem mogłaby czerpać inspirację z własnych marzeń i typowych emocji. Nie wchodziło to jednak w rachubę. Istniał przecież Henryk Severell. Nieraz przychodziło jej do głowy, że to głównie z jego powodu pisanie, i to pisanie powieści, tak często zaprzętało jej myśli. Owo przypuszczenie nie podnosiło jej na duchu - ba, do-

¹ Heathcliff - bohater powieści „Wichrowe Wzgórza” Emily Bronte (przyp. tłum.).

datkowo utrudniało określenie swych suwerennych pragnień oraz miejsca w życiu. W kwestii pisania ojciec działał na nią przytłaczająco. Reprezentował niedoścignięty standard; godzinami przesiadywał w gabinecie, wypełniając stronicę (posiadał twórczą płodność geniusza), z lekkim, zadowolonym uśmiechem w gęstwinie brody, i Anna wiedziała, że nigdy mu nie dorówna. Obserwowanie Henryka pozbawiało jej marzenia siły. Dlatego też nie mogła wiedzieć ani choćby podejrzewać, jaką moc w sobie kryją. Powinna się *im* oddać, lecz kiedykolwiek zbłądziła myślami w tym kierunku, konfrontacja z ojcem była nieuchronna.

Było to przykre zwłaszcza w domu; w szkole odległość dawała jej pewne poczucie swobody. Teraz także kilkakroć przerzuciła kartki zeszytu, po czym, odłożywszy go na bok, przysunęła się do rozgrzanej szyby okna i wyjrzała na pola. Nauczyła się dusić w zarodku myśl o Henryku, wyłączając się automatycznie przed wejściem na niebezpieczny grunt. Przez chwilę dotykała szyby, poruszając kurz nagromadzony w zakamarkach framugi, nim przeniosła się myślami gdzie indziej.

Aż do niedawna nie było wiele tego „gdzie indziej”. Anna tkwiła po uszy w tej warstwie angielskiej klasy średniej, który przedłużyła dzieciństwo aż do późnego wieku dojrzewania. Inna nastolatka, mająca przed sobą przyszłość ekspedientki, prowadziłyby już bujne życie towarzyskie i erotyczne, lecz Anna w dalszym ciągu spędzała czas wśród innych dziewcząt, uczennic mieszczącej się na wsi szkoły z internatem, gdzie jedyną formą kontaktu była wieczorna paplanina osóbek bardziej doświadczonych niż ona, lub w domu, również na wsi. Tutaj wciąż oficjalnie była dzieckiem, na które czekał szereg wakacyjnych rozrywek, takich jak tenis, jazda konna, pikniki oraz przyjęcia rodzinne - z perspektywą pakowania do kufra kijów hokejowych, podkolanówek i wełnianych rękawiczek, z chwilą gdy owa krótkotrwała idylla dobiegnie końca.

Zawsze cechowała Annę łagodność oraz niezwykła umiejętność życia teraźniejszością. Dzieciństwo generalnie nudziło ją; nie chciała być dzieckiem ani nie wyraża-

ła typowo dziecięcych zachcianek. Jej najmłodsze lata przypadły na okres wojny. Spędziła je samotnie, najpierw mieszkając z matką w dużym domu w Darton, potem z rodzicami matki na plebanii w Derbyshire, gdzie pozostawała pod opieką guwernantki wraz z trzema córkami miejscowego biskupa. Niespecjalnie za nimi przepadała, a jeszcze mniej za guwernantką, gorliwą chrześcijanką, która spędzała większość czasu, zachęcając dzieci do czytania Biblii oraz sporządzania papierowych postaci Jael i Sisery, Dawida i Goliata albo Chrystusa ukrzyżowanego. Ze względu na wrodzoną niezręczność manualną Anny jej święci i patriarchowie byli straszniejsi niż Goliat, i to właśnie ich brzydota, nie Homer, nie złota kraina, nie odkrycia ani towarzyszące im podniecenie, uderzała ją najbardziej, kiedy cofała się myślami do okresu tamtej wczesnej edukacji. Karolina, wyuczona towarzystwem własnych rodziców oraz nieobecnością Henryka - przebywał wtedy w japońskim obozie jenieckim w Birmie - z trudem pozwalała się kochać. Zbyt ufnie też zakładała, że Anna jest szczęśliwa, gdyż łatwo potrafiła znaleźć sobie zajęcie i nie dręczyły jej napady hysterii, gniewu, astmy ani żadna przypadłość, będąca udziałem innych dzieci.

Anna z rezygnacją pogodziła się z takim stanem rzeczy. Odkąd sięgała pamięcią, narastało w niej poczucie, że tkwi na uboczu w oczekiwaniu na znak, na sygnał uwolnienia, na wydarzenie, które pozwoli jej zaistnieć i umożliwi podjęcie zdecydowanych działań oraz ujawni cel życia. Przyszłość kryła szereg możliwości, w zestawieniu z którymi teraźniejszość wypadała nadzwyczaj błado. Dawniej Anna sądziła, że tym przełomem stanie się powrót Henryka z Birmy, lecz kiedy wrócił, a mimo to nic się nie zmieniło, postanowiła czekać dalej. Dzieciństwo to rozległy, pozornie bezkresny obszar, pozostaje więc pędzić dzień za dniem na podobieństwo skazańca, który mimo nadziei na przedterminowe zwolnienie - o ile będzie dobrze się sprawował i wcześniej nie umrze - czuje, jak wyrok osacza go ze wszystkich stron, odcinając od przyszłości i jasnych stron życia. Anna wierzyła, niekiedy wręcz żarliwie, że życie polegające wyłącznie na je-

dzeniu, spaniu i zabawie kiedyś musi się skończyć. To pozwalało jej wytrwać, jadła więc, spała i bawiła się z rozmysłem, który nosił znamiona rytuału.

Męczarnie fizycznego dojrzewania, które dopadły ją później, niż to zwykle bywa, nadeszły z zaskoczenia. Naraz doświadczała nadmiaru energii oraz nieokiełznanych napadów cielesnego niepokoju, znajdujących ujście w rytmicznym waleniu głową w ścianę, gryzieniu palców lub przynajmniej samotniczych wędrówkach, które jedynie potęgowały jej napięcie. Chodziła z zaciśniętymi pięściami, tak że ślady paznokci odbijały jej się na dłoniach, i tak mocno zwierzała zęby, że nie mogła rozluźnić obolałych szczęk. Świat dokoła zyskał nieoczekiwany urok, tak przemożny, że widok zieleni, kiedy spoglądała na niebo przez skrzyżowane, ozłoczone na brzegach gałęzie jabłoni i lśniąca okragłość liści na tle bezkresnego błękitu, doprowadzał ją do łez. Lato dotkliwie doświadczyło jej zmysły, otoczenie utraciło proporcje - dotyk wilgotnej trawy, woń mokrej ziemi, a nawet osobliwy układ światła na wypolerowanych przez matkę stołach budziły jej niepokój. Towarzyszył Annie ustawiczny przesyt, a jednak wciąż nie było widać końca; zupełnie jakby coś zamknęło ją w uścisku i mimo protestów włączyło w opętańczy korowód, nigdy bez reszty jej sobie nie podporządkowując: chwile szalonego podniecenia i lęku przeplatały się z okresami letargu. Wówczas z trudem zdobywała się na wyjście do ogrodu albo - jeśli już tam była - oderwanie rąk od ciała bądź oczu od ścieżki, by zwrócić uwagę na drzewa lub wzgórza i rozpięte nad nimi niebo. I tak trwała, gdyż głęboko zakorzenione w niej lenistwo dopuszczało zarówno wewnętrzny zgiełk i chaos, jak i nudę dzieciństwa. Wierzyła, że przetrzyma tę burzę tak samo, jak przetrzymała okresy spokoju. Niemniej jednak budziło to w niej złość - dlatego, skoro jest zdolna przetrzymać, skoro może doczekać swego przełomu, musi znosić tyle upokorzeń? Na dodatek upokorzeń urojonych, gdyż nawet rozpacz zdawała się tylko chwilowym spełnieniem. To było najgorsze.

Wreszcie, na kilka tygodni przed przymusowymi wakacjami, zakochała się. Wybranek nazywał się Michał Farne i któregoś popołudnia nieoczekiwanie pocałował

ją w stadninie należącej do niejakiego Jana Ellisa, gdzie trzymał swojego konia i gdzie Anna przychodziła z Jeremim na jazdę. Aż do tamtej chwili nie budził jej szczególnego zainteresowania, choć zazdrościła mu jego konia, ogromnego czarnego wierzchowca, który zdobywał nagrody w skokach przez przeszkody w całym hrabstwie. Michał był duży, jasnowłosy, sympatyczny i miał kanciate ramiona. Niedawno wrócił z Cambridge, gdzie ze słabym wynikiem skończył historię, i czekał na powołanie do marynarki wojennej. To wszystko, co Anna o nim wiedziała i czego miała odwagę się dowiedzieć. Z chwilą kiedy uznała, że jest w nim zakochana, uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, jak się w jego obecności zachowywać. Unikała wzroku chłopaka, nie wspominając już o rozmowie czy jakiegokolwiek zachęcie. Raz czy dwa Michał wpadł ni z tego, ni z owego do domu Severellów, gdzie zdumiona Karolina poczęstowała go herbatą. Raz też zabrał Annę do kina i przez cały czas trzymał ją za rękę, podczas gdy ona cierpiała męki, nie mogąc się doczekać chwili, kiedy znajdzie się w łóżku i będzie mogła przeżyć wszystko od nowa. Wreszcie, zniechęcony jej milczeniem i chłodnym wzrokiem, odszedł i więcej się nie pojawił.

Anna nie próbowała dociekać przyczyn - częściowo dlatego, że nie nawykła do jakichkolwiek interwencji w zachodzące wydarzenia, po części zaś dlatego, że dopiero kiedy zniknął, uwalniając ją tym samym od zastanawiania się nad każdym kolejnym zdaniem, w pełni uświadomiła sobie, jak bardzo go kocha. Wprawdzie raz czy dwa razy poszła do stadniny, by w niemej desperacji spoglądać na niego z oddali, lecz nie odważyła się podejść do chłopaka czy go zagadnąć. Patrzyła tylko, jakby chciała nauczyć się go na pamięć: jego ubrania, twarzy, budowy, zarysu pośladków w bryczesach, srebrzystej linii włosów wygolonych nad uchem. Gdy z rzadka rzucał jej zaciekawione spojrzenie, rozpaczliwie kuliła ramiona w nadziei, że stanie się niewidzialna. Prócz tego baczniego, żalostnego spojrzenia nie było w niej nic prowokującego. Michał zaniechał prób dalszego kontaktu.

Kiedy w pełni to do niej dotarło, pogrążyła się w miłości jak kamień w wodzie, zapadając w nią bez śladu

i bez reszty. Godzinami snuła urojone rozmowy i wymieniała uściski; noc w noc obsesyjnie śniła o Michale, podczas spacerów zaś wyobrażała sobie, że lada chwila on stanie na jej drodze. Stwierdziła, że pomimo oczywistego braku zdolności plastycznych potrafi narysować jego wierną podobiznę, w związku z czym zapełniała zeszyty identycznymi wizerunkami kwadratowej, uśmiechniętej twarzy lub mocnej sylwetki w mniej lub bardziej prawdopodobnych pozach. Chłopak stał się sposobem widzenia i magicznego zagarnięcia na własność zaobserwowanych rzeczy, które budziły w niej taki niepokój. Podnosiła wzrok na gałęzie i mówiła: „Michał, Michał, Michał”, łącząc jedno skomplikowane doznanie z drugim i prowadząc wcześniejszy irracjonalny niepokój do zrozumiałego uczucia miłości, którym można było zawładnąć przynajmniej poprzez nadanie mu nazwy.

Stanowiło to swego rodzaju postęp. Sęk w tym, iż Anna wiedziała, że tak jest, i znała przyczynę istniejącego stanu rzeczy, za co do głębi sobą gardziła. Coś w niej ostrożnie odsuwało się od tej miłości, przygotowując się na jej rychłe zakończenie. Towarzyszył temu wewnętrzny chłód, obawa i wahanie. Anna była im niechętna i próbowała je ignorować, uparcie obstając przy tym, co stanowiło dla niej źródło otuchy.

Teraz jednak Michał na chwilę stał się drogą do pierwszego, niepewnego poczucia władzy. Anna usiadła swobodnie na ławce i spojrzała na widoczne za zakurzoną szybą pola, widząc drogi biegnące przez twarz ukochanego oraz jego włosy w splątanej złocistości zboża. Po raz pierwszy doświadczyła ostrożnego uczucia przynależności do świata, odkrywając sposób na zawładnięcie jasnością widzianych rzeczy. Mimo lęku podniosło ją to na duchu.

Wpozbawionym korytarza pociągu osobowym z Londynu do Darton znajdowały się wysokie, niewygodne siedzenia bez podłokietników. Canningowie byli sami w przedziale i usiedli naprzeciw siebie w rogu. Oliver pracował. Z chwilą gdy wsiedli do wagonu, otworzył swoją aktówkę i obłożwszy się papierami, zaczął czytać oraz notować, od czasu do czasu postukując długopisem o zęby. Małgorzata nie spuszczała zeń wzroku. Urękawiczone dłonie złożyła na leżącym na kolanach egzemplarzu „Listenera”, który kupiła z uwagi na zamieszczone w nim zdjęcie Henryka, komentarz na temat słuchowiska na podstawie jednej z jego powieści, nadanego w programie trzecim, oraz list Olivera, wytykający błędy tam popełnione. Pod „Listenerem” ukrywała jeden z tanich, kolorowych magazynów kobiecych, zakupiony w dworcowym kiosku, kiedy stało się jasne, że w czasie podróży Oliver nie zamierza z nią rozmawiać. Teraz wstydziała się tego i nie śmiejąc otworzyć czasopisma, udawała, że go nie ma, choć była niemal pewna, że Oliver widział, jak je kupowała. Zawsze była uzależniona od tego rodzaju czasopism, postrzegając je jako obcy, acz wygodny świat, pełen porad na temat udoskonalenia „domu” lub własnego wizerunku, z których wprawdzie nie korzystała, lecz w których doskonale się orientowała. Zamieszczano tam ponadto powieści oraz listy, które czyniąc

miłość powabną, niezbyt skomplikowaną i żywiołową namiętnością, rzucały nieco owego powabu i czaru na zwyczajne życie sekretarek, lokatorek przedmieść oraz samotnych dziewcząt, zamieszkujących londyńskie mieszkania. Małgorzata nie czuła się bynajmniej jedną z nich, choć wbrew temu, co sądziła, jej stosunek do sprawy odbiegał od postawy łagodnego rozbawienia. Wierzyła w miłość oraz jej moc ożywiania, rozświeclania i transformacji, w miłość jako ucieczkę od monotonii, toteż czerpała z tych historii oraz ich znanych, szczęśliwych zakończeń autentyczną pociechę, rzucona na obcy i suchy ład, gdzie zarówno miłość, jak i monotonia stanowiły tak nieznanne i skomplikowane formy, że nieraz nie potrafiła ich rozróżnić, dopóki nie było już za późno.

Oliver, jak odkryła, uważał czytanie tych gazet za moralnie niewłaściwe. Kiedy jednak po ślubie nie zaprzestała do nich zaglądać, nie odezwał się na ten temat ani słowem. Opinia męża dotarła do niej zupełnie przypadkowo, kiedy podsłuchiwała jego rozmowę z przyjacielem o studentkach kobiecej uczelni, gdzie pracował. Była to jedna z tych jego gwałtownych, nieznośnych sprzeciwu tyrad, które przerażały zarówno ją, jak i studentki. „*Nigdy* nie ma czasu, aby to czytać - powiedział wtedy. - Życie jest tak krótkie, poza tym zawsze istnieje lektura, dzięki której można wzbogacić swoją wiedzę lub zyskać na coś pogląd”. Zgodnie z przewidywaniami, przyjaciel Olivera przyznał mu rację, Małgorzata zaś przeżyła kolejny wstrząs, jeden z tych, na jakie była narażona w czasie pożycia z Oliverem: nigdy w porę nie nauczyła się odróżniać rzeczy o niebywałym znaczeniu moralnym, i stąd popełniane przez nią liczne życiowe błędy.

Teraz, spojrzawszy na zdjęcie Henryka i nasyciwszy się dumą z powodu nazwiska Olivera, rzetelnie i niezaprzeczalnie widniejącego pod listem, straciła ochotę na dalszą lekturę „*Listenera*”. Oliver i tak dokładnie go w jej obecności omówił. Zamiast tego zajęła się obserwowaniem męża i wypatrywaniem Darton przez okno, z każdym ruchem i stukotem pociągu odczuwając poprawę humoru.

Wszyscy, łącznie z samą Małgorzatą, uważali, że Caningowie stanowią dziwną parę. Małgorzata zwykła

analizować to spostrzeżenie z uczuciami oscylującymi pomiędzy zakazanym podnieceniem, poczuciem wyzwolenia oraz kompletnej bezradności, jak gdyby zapuściła się w strefę, której nigdy nie będzie jej dane pojąć. Przeważnie jednak podobało jej się to; zawsze z radością nawiązywała stosunki z ludźmi, tak jakby całkowite zaangażowanie miało przyczynić się do powstania czegoś naprawdę istotnego. Czasem rzeczywiście tak się działo. Niekiedy jednak ludzie bezpodstawnie podejrzewali ją o interesowność, choć na dobrą sprawę nie potrafiliby określić, nawet gdyby zadali sobie trochę trudu, by to sprawdzić, czego mogłaby od nich chcieć. Niewykluczone, że częściowo działo się to za sprawą jej nienagannego wyglądu: obdarzona klasyczną, budzącą dystans urodą, miała w sobie coś marzycielskiego i dystygowanego, co pozornie wykluczało zażyłość. Była wysoka - o dobre sześć cali wyższa od Olivera - i jasnowłosa, o złocistej cerze i wielkich, jasnobrązowych oczach. Nosiła długie włosy, zgodnie z teorią, że mężczyźni lubią je najbardziej, jeśli są ładne i ich ułożeniu nie poświęca się zbyt dużego zachodu. Jak wiele naturalnych blondynek, nigdy nie była do końca przekonana, czy jej wygląd nie jest odrobinę wulgarny. Wmawiała sobie też, że wolałaby być ciemnowłosa, śniada i tajemnicza, co nie przeszkadzało jej gruntownie zgłębiać naturę swej egzystencji blondynki.

Oliver był drobnej budowy, i jak wszyscy ludzie podobnej postury, miał zwyczaj siadać ze sztywno wyprostowanymi plecami, uniesionymi ramionami oraz lekko zwróconą ku górze głową. Doskonale panował nad ciałem, przez co gdy siadał, zdawał się jeszcze mniejszy, zupełnie jak nieduże zwierzę - mysz polna albo szczur wodny - które potrafi precyzyjnie się przez najciaśniejsze szczeliny. Podłużna i wąska czaszka wydawała się zbyt duża w stosunku do ciała, nos i usta były ostro zarysowane, a nad oczami widniały wyraźne łuki brwi. Oliver miał bladą, delikatną skórę, czarne zaś, postrzępione włosy, krótkie po bokach i z tyłu, nad czołem tworzyły niesforną trójkątną grzywkę, której kosmyki niekiedy wchodziły mu do oczu. Miał też drobne stopy i - pozornie nieporadne dłonie o kościach tak kruchych, iż zdawało

się, że można je zmiażdżyć najlżejszym uściskiem. Sposób, w jaki chwycił pióro, wskazywał, że to wrażenie jest mylne; cechowała Olivera drobiazgową precyzją, dzięki której mógł bez przeszkód pisać nawet w pociągu. Małgorzata jak zwykle obserwowała męża z uczuciem pewnego podniecenia. Należał do mężczyzn - na ogół drobnych - w których pod fasadą doskonałego opanowania kobiety natychmiast wyczuwają potężną energię seksualną.

Nikt nie był w stanie przewidzieć ich ślubu ani wyjaśnić przyczyn, dla jakich go zawarli. Byli małżeństwem od pięciu lat, poznali się w Cambridge, gdzie Oliver, powojenny absolwent, kończył pracę doktorską i ubiegał się o stanowisko wykładowcy. Był dojrzałym studentem; urodzony w 1922 roku, w 1940 powołany do wojska, na uniwersytet wstąpił w roku 1946, ukończył studia w 1949 i przez kolejne trzy lata pisał swój doktorat. Kiedy się poznali, o pięć lat młodsza Małgorzata czuła się pod wieloma względami młodsza o całe pokolenie - szczególnie dlatego, że w wieku dwudziestu trzech lat była odrobinę starsza od wszystkich otaczających ją młodzieńców, choć nikt nigdy nie zwracał na to uwagi.

Wyrzała przez okno na pola i działki, spośród których nawet najbardziej ponura jaśniała w słońcu, to znikając, to jawiąc się w polu widzenia niczym zwiastun czekających ją letnich wakacji. Kłosa pełne ziarna, wysoki łubin, przykurzony błękit drakwii, słodki groszek i jaskry, melanz jaskrawego różu i złota, o ileż ostrzejszy i bardziej wyrazisty niż gasnące iskry i żwir syjący się spod kół pociągu. Następnie ponownie skierowała wzrok na kolana, gdzie napotkała przymglone w druku spojrzenie Henryka Severella. Ostatnio życie Canningów nie układało się pomyślnie i myśl o Henryku stanowiła dla Małgorzaty zapowiedź nie tylko fizycznego komfortu i wytchnienia, na które oboje zasługiwali, ale również obietnicę większej przestrzeni do życia i zrozumienia tego, jak żyją, czego - według niej - potrzebowali nawet bardziej. Oliverowi dobrze robi codzienna rozmowa z człowiekiem o takim umyśle, pomyślała. Nie sprecyzowała, pod jakim względem miało mu to wyjść na dobre,

czuła jednak, że się nie myli. Mówiono, że Henryk Sevrell jest, jakkolwiek by na to patrzeć, geniuszem pochłoniętym sprawami innymi niż te, z jakimi oni zmagali się na co dzień. Żywiła mglistą nadzieję, że odrobina tego blasku spłynie na Olivera, a co za tym idzie, na nią: miało się to odbyć na zasadzie pierwszej komunii, pierwszego wyznania miłości - nadszedł czas na refleksję i kontakt z otchłaniają.

Oliver podniósł głowę i zmarszczył brwi.

- Gdzie jesteście? - zapytał.

- Następny przystanek Darton - odparła Małgorzata.

- Zostało może dziesięć minut.

- Henryk pewnie się spóźni - powiedział Oliver, chowając papiery do torby. - Wyglądam jak należy?

- Wspaniale - odparła szczerze Małgorzata.

Rzuciwszy jej podejrzliwe spojrzenie, Oliver wstał i starannie przyczesał włosy, przeglądając się w lustrze.

Pociąg wjeżdżał na stację Darton. Oliver wsunął okulary do kieszeni i przystąpił do ściągania walizek z półki. Ściskając w ręku kapelusz, Małgorzata wychyliła się niebezpiecznie z otwartych na wprost drzwi i omiotła spojrzeniem peron. Henryk już tam był; przechadzał się pomiędzy odbijającymi słońce bańkami na mleko, ocierając chustką czoło. Niewiele brakowało, a spóźniłby się. Henryk już jest, wszystko będzie dobrze, pomyślała z przesadną ulgą Małgorzata, i kiedy pociąg zatrzymał się z szarpnięciem, zeskoczyła na peron i hałaśliwie stukając wysokimi obcasami, pobiegła w kierunku Henryka. Zwracając powszechną uwagę, dopadła go, po czym rzuciwszy mu się na szyję, ukryła twarz w zagłębieniu jego masywnego ramienia.

- Henryku! - zawołała. - Henryku, och, Henryku! Drogi Henryku, co za wspaniały dzień. Ach, Henryku, jak miło cię widzieć!

- Ciebie również - zrewanżował się Henryk. - Obawiałem się, że mogę się spóźnić.

Nadszedł Oliver z walizkami. Miał kropelki potu nad górną wargą.

- Witaj, Oliverze - powiedział Henryk. - Pozwól, że to wezmę. - Uwolniony z uścisku Małgorzaty, sięgnął

po walizki, postawił je, by potrząsnąć dłonią Olivera, po czym ponownie ujął bagaże i ruszył w stronę barierki biuletowej, a goście usiłowali dotrzymać mu kroku.

- Dzień dobry, panie Severell - pozdrowił go biler i zapytał o Jeremiego, którego wyprawy do szkoły zyskiwały rangę sympatycznych okazji towarzyskich, kiedy to chłopiec uprzejmie pytał o zdrowie żony zawiadowcy oraz trudności z ułożeniem letniego rozkładu jazdy. Henryk zapewnił go, że Jeremi ma się dobrze, i skierował się ku parkingowi, wołając po drodze, że syn zajął pierwsze miejsce w kategorii skoków jeździeckich juniorów na pokazie w Aruncester. Biler okrzykiem wyraził swoje gratulacje, tymczasem Henryk wepchnął Olivera i jego walizki na tylne siedzenie, Małgorzatę na przednie i ostro ruszył z miejsca.

- Lubią cię - zauważyła Małgorzata.

- Lubią Jeremiego - odparł Henryk. - Ten chłopak wykończy się, zabiegając o sympatię ludzi.

- Skoro go jednak lubią... - zaczęła Małgorzata.

Henryk nie podjął tematu, pograżając się w milczeniu tak dla niego charakterystycznym i zdeterminowanym, że żadne z Canningów nie odważyło się go zakłócić. Odprężona Małgorzata z przyjemnością wypatrywała domu, Oliver zaś, sztywno wyprostowany na swoim siedzeniu, przyciskał dłonie do skórzanego obicia, z rosnącą troską obserwując chaotyczną jazdę Henryka.

Gdy zajechali przed dom, mącąc panującą w ogrodzie ciszę zgrzytem żwiru, Małgorzata ujrzała Karolinę czekającą na schodach z ręką wspartą o ramię Jeremiego i przygotowała się na radość ceremonii powitalnej. Henryk otworzył jej drzwi; wyszła na słońce, strzepując spódnice i uśmiechając się do róz. Karolina i Jeremi ruszyli ścieżką na ich spotkanie. Na chwilę przytuliła twarz do chłodnego policzka Karoliny, po czym zaczęły zasypywać się uwagami o wspaniałej pogodzie i przyjemnej podróży, co, jak pomyślała z humorem Małgorzata, świadczyło o ich wzajemnym zrozumieniu i niezmienności panujących między nimi stosunków. Mogła uściskać Karolinę, gdyby nie obawa, że zakłóciłoby to ustalony porządek rzeczy.

Jeremi podszedł bliżej i wyciągnawszy do niej rękę, głosem nieco zachrypłym z nieśmiałości zapewnił, że niecierpliwie oczekiwał jej przyjazdu. Małgorzata posłała mu zagadkowy uśmiech. Był pięknym dzieckiem, choć zdawała sobie sprawę, że chłopcy niekoniecznie pragną wysłuchiwać podobnych komplementów, równie śniadym jak Karolina i Anna, o wysoko sklepionych kościach policzkowych, wyrazistym spojrzeniu oczu ocienionych niezwykle długimi rzęsami i skórze tak gładkiej, że Małgorzata z trudem oparła się pokusie, aby jej nie dotknąć. Uznała, że nie spodobałoby mu się to, i może miała rację, choć podobne odczucia starszych kolegów w szkole witał zachęcającym uśmiechem. Jeremi po prostu lubił być lubiany.

- Czy mógłbym ponieść twoją torbę i kapelusz, ciociu Małgorzato? - zapytał, i Małgorzatę znów ogarnęła radość z otaczającej ją powszechnej akceptacji.

To Karolina wpadła na pomysł, żeby dzieci nazywały Olivera i Małgorzatę wujkiem i cicią - ta sama zasada obowiązywała w przypadku większości bywających w domu dorosłych. Pomysł rozbawił Olivera, uradował Małgorzatę, Jeremiemu zaś udostępnił pełen zakres korzystania z imion, mający wydatnie posłużyć mu w późniejszym życiu. Anna w miarę możliwości zwracała się do nich bezosobowo bądź też oscylowała pomiędzy „panem Canningiem”, „wujkiem Oliverem” lub zwyczajnie „Oliverem”, w zależności od stanu ducha czy też aktualnej teorii na temat stopnia antypatii, jaką darzy ją Oliver.

Karolina zaprowadziła Małgorzatę na górę do srebrzysto-różowego pokoju, wskazała jej szuflady, ręczniki oraz szafki i skwitowawszy z uśmiechem komplement pod adresem kwiatów, usiadła bezceremonialnie na łóżku, by potowarzyszyć gościowi w przygotowaniach do zejścia na podwieczorek. Świadczyło to o zażyłości typowej dla dziewczyny, która czeka na szkolną przyjaciółkę i nie opuszcza jej ani na chwilę zamiast dyskretnie zostawić ją samą. Obie milczały; Małgorzata, ponieważ nie chciała popsuć panującej atmosfery cichej przyjaźni, komunii, w której w jej mniemaniu obie uczestniczyły, Karolina zaś, ponieważ ogarnęła ją nagła złość na Annę,

i z trudem powstrzymywała się, by nie dać jej upustu w niepohamowanym wybuchu gniewu i rozczarowania.

Choć nadmierna refleksyjność nie leżała w jej naturze, ostatnio zapytywała samą siebie, dlaczego drobne wykroczenia Anny często budzą w niej taką agresję. W dzieciństwie należała do czyścioszek, które płaczem reagują na pójście na plażę, ponieważ piasek jest brudny, obecnie zaś ogarniały ją mdłości na widok kołnierzy koszuli Anny lub jej brudnych stóp, pnących się po schodach. Kiedy, tak jak teraz, potrzebowała córki, ta chowała się gdzieś w lepkiem od potu ubraniu, klejącym się do ciała, nieskora powitać gości, odciążyć Henryka czy pomóc przy stole. Kiedy jej nie potrzebowała, na pewno mogła liczyć na natrętną obecność spoconego ciała Anny, rozwalonego na całą długość na dywanie w salonie, pogrążonego w prywatnej melancholii, którą Anna obciążała matkę, z góry odrzucając jej pomoc lub jakąkolwiek ingerencję. Jeremi nie zachowałby się w ten sposób. Skulone w wiecznej rozpacz ramiona córki przywozdiły Karolinie myśl o złym duchu, co zawładnął życiem, które przeznaczyła dla męża i rodziny, i mącił w nim, nie dając nadziei na wyzwolenie.

Przygotowała się na uczucie irytacji - gotowa jednocześnie je stłumić - towarzyszące obecności dorastającej pod tym samym dachem kobiety. Annę trudno jednak nazwać kobietą; nie ma o niczym pojęcia, myślała z narastającym gniewem Karolina; pozbawiona motywacji i woli, pozostanie tu na zawsze, podczas gdy ona, Karolina, będzie się starzeć, nieuchronnie tracąc siły zamiast radować się tym, co tak mozolnie zbudowała. Macierzyństwo nigdy nie stanowiło jej powołania, w takim stopniu by skłonić ją do rezygnacji z marzeń o prywatności wykluczającej obecność dzieci; przybrały one na sile z początkiem menopauzy. Anna nie odejdzie, dopóki ktoś jej do tego nie zmusi; pora, aby dyskusja na temat uniwersytetów doprowadziła do takich czy innych wniosków. Postanowiła przedyskutować to z Oliverem. Ten zna się na rzeczy; ona dowie się, czy jest sens wysyłać Annę na jakąkolwiek uczelnię. Dzięki temu uniknęłaby konieczności zwracania głowy Henrykowi. Podjęcie de-

czyżi przyniosło jej otuchę, choć i tak czuła mdłości na myśl o tym, że Anna zjawi się na kolacji, oczywiście w dżinsach, rozczochrana i z brudnymi rękami.

- Dziś jest chyba goręcej niż zazwyczaj, nie uważasz? - zagadnęła, dumna, że pomimo tylu trosk udaje jej się zachować pozory spokoju.

- Strasznie - przytaknęła Małgorzata - ale powietrze jest o wiele świeższe niż w Londynie, przez co upał здаje się mniej uciążliwy.

Umyła już ręce i twarz i siedziała teraz przy toalecie, rozczesując włosy. Przebywając u kogoś, zawsze korzystała z pokoju gościnnego, by zadbać o siebie w bardziej gruntowny i zrelaksowany sposób niż w domu. Urządzała przedstawienie na własny użytek i użytek innych, z upodobaniem obserwując swą twarz w obcych lustrach. Odgrywała przed sobą rolę wytwornej damy, obiektu marzeń wszystkich małych dziewczynek oraz ich dorosłych odpowiedników, upatrujących okazji do zostania nią w bliżej nieokreślonej przyszłości lub w obcym otoczeniu, w miejscach wolnych od osobistych asocjacji, pokojach gościnnych, toaletach restauracyjnych oraz lustrach wiszących po drugiej stronie stołu podczas uroczystych kolacji. Pośpiesznie odwróciła się do Karoliny, przytrzymując ręką rozgrzane pasma włosów i delikatnie nawijając je na szczotkę. Tak naprawdę nie musiała śledzić w lustrze własnych ruchów.

- Nie masz pojęcia - zaczęła - ile oznacza dla mnie ta wizyta. To prawdziwy odpoczynek po upalnym londyńskim lecie. Istne niebo!

- Kiedy widziałyśmy się ostatnio, odniosłam wrażenie, że jesteś trochę znużona.

- Jestem wykończona - wybuchnęła Małgorzata. - Sprawy ostatnio nie układają się najlepiej. Ja... - Stłumiła ochotę do zwierzeń; nie należało tak szybko burzyć spokoju, zresztą nie była pewna reakcji Karoliny. - Upał mi nie służy - zakończyła, ponownie zwracając się w kierunku lustra.

Pociągnęła rzęsy tuszem, a wargi pomadką, kilkakrotnie dotknęła ciemnym ołówkiem pieprzyka w okolicy ust. Podczas tych zabiegów jej twarz przechylała się

to w jedną, to w drugą stronę, napinając się, to znów kurcząc, aż wreszcie znieruchomiała, kiedy Małgorzata przycisnęła do umalowanych ust papierową chusteczkę. Gotowa do wyjścia, z przyjemnością obdarzyła przeciągłym spojrzeniem swoje odbicie. Karolina patrzyła na nią bez emocji. Dawno pozostawiła za sobą przekonanie o użyteczności i konieczności wymiany zwierzeń, a opinia, że moda, dzieci oraz prowadzenie domu to odpowiedni temat do rozmowy, ustąpiło miejsca rzeczywistemu zainteresowaniu wyżej wymienionymi kwestiami. Zakłopotanie Małgorzaty nie uszło jej uwagi, postanowiła jednak pominąć je milczeniem.

- Skoro jesteś gotowa... - powiedziała łagodnie.

Małgorzata wstała i podbiegła do okna. Wyrzała na ogród, przesuwając spojrzenie od drzew owocowych aż do wznoszących się dalej pagórków. Wszystko nadal lśniło od upału. Poniżej Henryk i Oliver kierowali się w stronę sadu; Henryk szedł wielkimi krokami, a Oliver z rękami splecionymi na plecach podążał tuż za nim, opuściwszy ramiona pod ciężarem domniemanej togi. Małgorzata omal nie zawołała, żeby na nią poczekali, zaraz jednak odstąpiła od tego pomysłu. Oliver wolałby zostać sam z Henrykiem. Ostatecznie to było coś, spacerować w towarzystwie Henryka Severella w jego własnym ogrodzie. Małgorzata odwróciła się do Karoliny.

- Jestem gotowa - przytaknęła. - Tutaj jestem gotowa na wszystko.

Anna usłyszała szmer ich głosów i skuliła się na swojej ławce. Spoglądając jednym okiem w szczelinę pomiędzy deskami, dojrzała zbliżające się sylwetki; najpierw wielką głowę ojca wśród gałęzi, potem prawie biegnącego za nim Olivera, drobnego i czarniawego.

- A więc przyjechali - mruknęła do siebie, oplatając rękami kolana i nieruchomiejąc. - Oliver już nie daje mu spokoju. - Tkwiło w niej wrodzone pragnienie chronienia Henryka przed pytaniami, poza tym miała już okazję widzieć ich razem. - Nie żeby to miało cokolwiek wspólnego ze mną - dokończyła. Głosy zabrzmiały wyraźniej.

- Miło mieć to wszystko za drzwiami - powiedział Oli-

ver. Podeszli do żywopłotu i stanęli przy bramie, niedaleko Anny, spoglądając na pole i rosnące za nim skupisko głogu i brzoź oraz widniejące dalej wzgórze, zielonkawo-rdzawe od paproci i szarzejące nagimi głazami. - Czy to wszystko należy do ciebie?

- Tylko do granicy ogrodu.

- Zawsze stwarzasz wokół siebie aurę właściciela ziemskiego, dlatego myślałem, że to też twoja własność. Skąd mi to przyszło do głowy?

- Nie wiem - odparł niezgodnie z prawdą Henryk.

- Zielony skrawek Anglii - ciągnął Oliver - jak dawniej, przed nastaniem subtopii, przed betonem, blachą falistą i spalinami samochodowymi, zanim Londyn, Birmingham i Manchester zaczęły wyciągać ku sobie swoje macki i dyszeć wszędobylskimi wyziewami. Szczęściarz z ciebie.

Henryk zdrzął pod wpływem czegoś, co mogło być irytacją.

- To straszne - podjął wobec milczenia Henryka Oliver - że kiedy przyjeżdżam na wieś, kiedy widzę prawdziwą trawę i drzewa, nie wierzę, wyobrażam sobie, że to wszystko na niby, zachowane wyłącznie na mój użytek, wiesz, jak w wypadku zabytkowych budowli, zagranych krzesłami z epoki tylko po to, by je na powrót ożywić. Mimo że nigdy *tak* nie wyglądały, nie było tam *tych* krzeseł. Myślę sobie, tu posadzili drzewo, tam zasiali zboże, w rogu obrazka puścili strumień, tak abym mógł zyskać posmak tego, czym dawniej była wieś. A jednak to wszystko zdaje się sztuczne i wymyślne. Nie masz podobnego wrażenia? Jestem pewien, że gdybym minął granicę twojego ogrodu, po kilku zaledwie krokach napotkalibyśmy coś straszego. Och, wiem, że to bzdura, ale jakoś trudno mi uwierzyć, że tak nie jest.

- Ależ napotkałbyś coś straszego. Niedaleko stąd stawiają właśnie cały szereg azbestowych chlewni. Bardzo subtopijnych chlewni. Nie wiem, czy masz coś przeciwko subtopii dla świń.

Oliver parsknął cichym, ostrym śmiechem.

- Ale czy nie uważasz czasem, że to wszystko jest dość kruche? - zapytał po chwili. - Musisz wiedzieć, co

mam na myśli. I że utraciło obecnie dawne znaczenie? Nie budzi to w tobie poczucia winy? Nie sądzisz, że powinieneś wyjść naprzeciw straszliwej prawdzie?

- Wyjść naprzeciw? - powtórzył śpiewnym, zamyślnym głosem Henryk. - Masz na myśli opisanie czy potępienie, a może jedno i drugie? Nie, nie sądzę. Zresztą nie wiedziałbym, jak należy tego dokonać. Nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego. I chyba nie muszę. Niby dlaczego miałoby być inaczej?

- Ponieważ to fakt. I to dość istotny.

- Dla mnie to jest wystarczająco istotne - mruknął w gęstwinę brody Henryk.

Odwróciwszy wzrok od Olivera, utkwił spojrzenie we własnych dłoniach, spoczywających obok siebie na szczycie bramy, dużych, niezdarnych, jakże biernych. Na jego twarzy odmalował się wyraz pustki; poczuł złość na Olivera za to, że dzięki domniemanej trosce odgrywa rolę prekursora swej przeklętej subtopii, narzucając ją tam, gdzie nie ma racji bytu, wyznaczając granice ziemi Henryka, którą on sam uważał za bezkresną. Oliver zdawał się świadom, jeśli nie jego gniewu, to pewnego zażenowania. Przez jakiś czas milczał, po czym spróbował podejść rozmówcę z innej strony.

- Mam wrażenie, że to wszystko - powiedział, trzymając się z uporem otaczającej ich scenerii - musi być dla ciebie oazą spokoju na tle wojny w dżungli i tak dalej. Mnie południe wydaje się zbyt nudne, nawet w porównaniu z miejscem, skąd pochodzę. Spodziewałbym się ujrzeć wrzosowiska, ziemię najeżoną skałami, pełną ostrych krawędzi i różnic poziomów. Południe jest dla mnie zbyt zaokrąglone. I trochę zbyt dopracowane.

- Nie mam rozwiniętego zmysłu proporcji - odparł zagadkowo Henryk.

Poruszył się nieznacznie, kołysząc głową w górę i w dół, jak gdyby zdrętwiał mu kark. Anna ujrzała na chwilę jego twarz, oczy, a potem usta, rozchylone, po czym znów zaciśnięte, następnie brodę. Zupełnie jak rozjuszony koń, pomyślała. Oliver powinien oduczyć się tych dziennikarskich zagrywek; każdy widzi, że Henryk tego nie lubi.

- Och - powiedział Oliver. - Zdenerwowałem cię, dlaczego?

Henryk roześmiał się.

- Pewnie dlatego, że tyle ze sobą niesiesz. Wszystkie problemy rozwoju miast, północ kontra południe, górnicze wioski w Derbyshire, dżungle w Birmie, ach, no i mają pracę. Drażyłybyś w nieskończoność. Dlaczego nie możesz po prostu patrzeć i zostawić tego wszystkiego w spokoju? Lubię obserwować to wzgórze.

- Wszyscy wiele ze sobą niesiemy. Nie ma na to rady.

- W porządku - odparł Henryk, czyniąc dłonią ugodowy gest. - Ale dajmy temu spokój, dajmy spokój.

- To nie w moim stylu - odrzekł z kpiącym smutkiem Oliver. - Nie tak postępuję. Być może sprawdza się to w twoim przypadku. Tylko ja jestem pełen troski, nie wydaje mi się też, żebym siedział beczynnienie: ja myślę. - W jego głosie zabrzmiała na wpół protekcyjna, na wpół obronna nuta. Następnie zbliżył się do Henryka i rzucił ostro: - Ty też myślisz. Inaczej po co pisałbyś powieści zamiast wierszyków? Kiedy zobaczymy następną?

Henryk odsunął się.

- Nie wiem. Zajmuję się pracą naukową.

- Czego dotyczy?

- Och... Coleridge'a... - odpowiedział niechętnie, stwierdzając, że nastąpiło osobliwe zbliżenie pomiędzy pisarzem i jego dociekliwym czytelnikiem. Towarzyszyła mu mniejsza, niż nakazywał rozsądek, przestrzeń na zachowanie prywatności bądź dokonywanie odkryć. Obaj byli wylewni na papierze: on rozpisывał się na temat swojego świata, Oliver zaś na temat błyskotliwej interpretacji owego świata. Jeśli o to chodzi, znali się nawzajem lepiej, niż to zwykle bywa między mężczyznami, wobec czego jakakolwiek rozmowa była bezzasadna. Jednak jako mężczyźni nie potrafili nawiązać ze sobą żadnego kontaktu. Oliver wywiercił swym świdrującym umysłem serię eksperymentalnych otworów, a on, Henryk, starał się, jak mógł. Nie lubił, gdy ktoś nastawał na jego prywatność. Żałował, że zdradził tak wiele na temat swojej pracy. Opamiętał się, kumulując całą energię na pragnieniu ucieczki, i utkwiał wzrok

w swoich dłoniach spoczywających na szczycie bramy, w pomarszczonych przegubach, w szorstkiej, złuszczonej warstwie farby pod nimi, w krótkich, sterczących włoskach, które połyskiwały na nadgarstkach. *Mogę spoglądać na sęk w kawałku drewna dopóty, dopóki mnie nie przerazi*, powiedział Blake. Henryk spoglądał na wybrany obiekt dopóty, dopóki nie zatracił się w nim bez reszty. Cień liści na prawej ręce, w postaci drobnych krągłości i podłużnych kresek, sprawił mu szczególne zadowolenie; na lewej błyszczały kropelki potu nagromadzone w porach skóry. Jego ręce rozrosły się, rozpraszając mrok. Poczł lekki zawrót głowy, kiedy z oddali doleciał stanowczy głos Olivera:

- A Anna? Gdzie jest Anna?

Oto bezpieczne pytanie, nadające pozory zwyczajnej wymiany zdań, a nie przesłuchania.

- Nie wiem - odparł. - Ostatnio miewa humory. Zakochała się.

- Szczęśliwie?

- Oczywiście, że nie.

- Przykro mi - powiedział oschle Oliver. - Pewnie niedługo wraca do szkoły?

- Nie, została... zostaliśmy poproszeni o jej zabranie. W ostatnim semestrze uciekła ze szkoły.

- Kto ją namówił? Dokąd uciekła?

- Nie wiem - odparł Henryk. Było jasne, że myśl o ewentualnym współniku córki nie powstała mu w głowie. - Nie wiem, a ona nie ma wielkiej ochoty rozmawiać na ten temat. Nie wtrącamy się.

- Powinniście się dowiedzieć. I co teraz?

Henryk z roztargnieniem odsunął się od bramy.

- Tego chyba nikt nie wie. Myślę, że ma dość oleju w głowie. Zanim popadła w tarapaty, nauczyciele byli tego samego zdania.

- Czy to nie pora - ciągnął ze znajomością rzeczy Oliver - by podjęła jakąś decyzję?

Anna ujrzała, jak przechodzą między drzewami, jeden za drugim. Padły jakieś niezrozumiałe słowa, po czym dosłyszała słowa Henryka:

- Wyrośnie z tego.

Następnie dobiegł ją cichy pisk furtki ogrodowej. Wyrośnie z tego, powtórzyła w myślach. Oczywiście, że wyrosnę. Jestem w trakcie wyrastania, dlatego to tak boli. Przez cały czas wyrastam ze wszystkiego, i to zbyt szybko. Ależ to boli. Oczywiście, pomyślała w przypływie nagłej nienawiści do ojca za to, że zdradził ją tak łatwo, tak bezmyślnie; oczywiście, że jestem głupia. Wiem, że jestem głupia, wiem, że z tego wyrosnę. Tymczasem jednak, dopóki to nie nastąpi, otacza mnie nicość. Tkwię we własnej głupocie, dokładnie tak samo, jak w miłości. Może nawet bardziej.

Zakłócili jej nastrój, przypominając o sprawach, które rozmyślnie wyparła ze swojej świadomości, o przyszłości i, gorzej, daremnej próbie ucieczki, o której wołałaby zapomnieć. Pewnego niedzielnego ranka, kiedy pozostałe dziewczęta wkładały odświętne kapelusze, szykując się do kościoła, po kryjomu opuściła szkołę i złapała pociąg do najbliższego dużego miasta, czyli Yorku. Postanowiła je zwiedzić; nie miała nic do roboty, była niedziela, niedziela zaś narzucała beczynność. Z walizką objijającą się o kolana weszła na ogrodzenie i szybkim krokiem przeszła po jego szczycie, spoglądając pogodnie na dachy i trawiaste skarpy. Sam brak konieczności pozostania w szkole zdawał się wyzwoleniem, samodzielne działanie przepełniało ją lekkością i chęcią, by śpiewać.

Wieczorem jednak zaczęła krążyć od jednego hotelu do drugiego, obawiając się wejść do środka. Czuła, że tam, w rzęsimym świetle, portierzy i recepcjoniści natychmiast ją przejrzą. Odkryją, że nie udzielono jej przepustki stamtąd, gdzie powinna się teraz znajdować, wybadają, skąd przyjechała, i zaczną dzwonić. Błądząc w niezdecydowaniu, przebyła kawał drogi, by z zapadnięciem zmierzchu trafić z powrotem na stację, gdzie przysiadła na walizce, wpatrując się posępnie w budynek dworcowego hotelu. Była bardzo zmęczona, z nieba siał deszcz. Sięgając myślą wstecz do tamtej chwili, czuła, że nie było się czego bać i że zachowała się beznadziejnie głupio - mimo to zadrżała na wspomnienie ponurej ulicy, rozświetlonej zimnym blaskiem gazowych latarni i przytłaczającej „północności” miasta, które za dnia wydawało jej się tak czyste i pogodne.

Wreszcie zdecydowała się wstąpić do pierwszego napotkanego domu - niedużego wiktoriańskiego pensjonatu, pomalowanego nierówno na czekoladowy brąz, o wąskich, brudnych oknach oraz zręcznie wymalowanym szyldem z czerwonym napisem. Noclegi ze śniadaniem, 10/6. Pokój zrobił na niej okropne wrażenie - poddasze z matową szybą w oknie oraz szarymi, wiotkimi zasłonami i pościelą, która wydawała się jakby tłusta w dotyku. Żelazne łóżko zgrzytało przeraźliwie. W pokoju nie było lustra, jedynie wysoki stół z miednicą pokrytą warstwą kurzu. Widok z okna dopełnił poczucia, że utknęła w pułapce - kiedy z wysiłkiem pchnęła okno, by spojrzeć na niebo, jej oczom ukazała się płaszczyzna przeciwległej ściany wraz z pograżonym w ciemności oknem. Okno nie dało się z powrotem zamknąć, przez co wiało prosto na łóżko. Kiepsko spała tej nocy.

Potem nastąpił szereg niepowodzeń. Niechętnie spoglądając wstecz, Anna bezskutecznie usiłowała zgłębić ich przyczynę. Kiedy tam trafiła, w gruncie rzeczy nie bardzo wiedziała, co zamierza ze sobą zrobić, choć teraz, z perspektywy ogrodu, możliwości zdawały się liczne. Mogła poszukać pracy. Mogła posiedzieć w katedrze i przemyśleć swoje plany. Mogła w ciągu dnia pracować, a nocą pisać powieść. Zamiast tego rano i po południu chodziła do kina i zajmując najtańsze miejsca, niekiedy dwukrotnie oglądała cały repertuar. Najpierw określała to umowną nazwą „oczekiwania”, potem jednak wyczerpały jej się pomysły. Gdy odwiedziła już wszystkie kina, niemal doszczętnie pozbywając się gotówki, spakowała walizkę, zapłaciła gospodyni, po czym wydała ostatnie grosze na bilet powrotny. Cały czas zachowywała niezmany spokoj, jakby oszołomiona codzienną rutyną: zimnym śniadaniem, wczesnym, również zimnym lunchem, kinem, kolacją, kinem i zimnym łóżkiem. Nie uważała bynajmniej, że podobny ciąg wydarzeń jest nieunikniony; skłaniała się raczej ku opinii, że wszelkie jej poczynania są pozbawione znaczenia, że egzystuje w próżni i równie dobrze może robić to, jak co innego. Droga prowadziła w dół, i kiedy jej umysł pracował tak na zwolnionych obrotach, poprzez klapki na oczach ujrzała przed

sobą jedyne wyjście: powrót do szkoły. I z tym samym niewzruszonym spokojem postanowiła wrócić.

Gdy nocą zajechała na miejsce, zapędzono ją do izolatki, nie pozwalając zamienić z nikim ani słowa. Nazajutrz zjawił się Henryk i oznajmił, że ma się spakować, ponieważ zaraz jadą do domu. Anna, która spędziła okres przymusowego odosobnienia, siedząc na łóżku i wyglądając przez okno, na jego widok nie ruszyła się z miejsca.

- Jak to? A kiedy wrócę? - zapytała, przenosząc spojrzenie na ojca.

- Nie wrócisz - skwitował Henryk. - Mam cię stąd zabrać.

- Dlaczego?

- Twierdzą, że nie wiedzą, co z tobą robić. W ogóle nie uczestniczysz w życiu szkoły. Uważają, że w twoim przypadku zawiedli i lepiej ci będzie gdzie indziej.

- Sporo się nagadali.

- Owszem. Dzwonili przez cały ubiegły tydzień. I to często.

Anna przyłożyła rękę do ust: musiało to fatalnie zakłócić rytm pracy Henryka.

- Ciekawe, czemu nie zostawiaj mnie w spokoju - rzuciła ponuro.

- Szukała cię policja.

Anna przetrwała tę informację i zamilkła na dobre. Z zewnątrz dobiegał stukot odbijanych raketami piłek tenisowych; Henryk zdawał się nasłuchiwać i liczyć. Następnie skierował wzrok na widniejące za oknem niebo, a może na dyndający sznurek rolety.

- Cóż, gdzie zatem byłaś i po co? - zapytał nieodgadniętym tonem.

Anna widziała jedynie jego brodę i fragment odwróconego podbródka.

- Pojechałam na północ - odparła. - Fajnie było. Chyba wiesz, że nie narozrabiałam. Nie ma o co robić hałasu.

Czuła świadome pragnienie, by Henryk zasypał ją pytaniami, w jakim celu uciekła, na czym jej zależało, i wyjaśnił jej, dlaczego ów postępek był tak nikczemny. On jednak milczał. Nie wrócili więcej do tego tematu.

Potraktowała to jako dyskretne uszanowanie jej prywatności i była mu wdzięczna. Przynajmniej chciała w to wierzyć, gdyż pod wdzięcznością czaiła się obawa, że domniemana dyskrecja jest w istocie obojętnością. Z pewnością wołałaby, żeby ojciec nie zostawił jej samej z odpowiedzialną analizą tego, co się stało.

Siedziała przez chwilę, mimowolnie rozmyślając o bocznych ulicach Yorku i ubolewając nad brakiem innych tematów do refleksji. Upał nieco zelżał. Naraz usłyszała kroki, po czym doleciała ją gorzkawa woń tanich papierosów. Ktoś próbował otworzyć drzwi, które uchyliły się na tyle, na ile pozwolił haczyk.

- Anno - powiedział Oliver. - Wpuść mnie.

Anna siedziała bez ruchu, w milczeniu.

- Oczywiście, sam mogę otworzyć drzwi - podjął, wsuwając dwa cienkie, zażółcone nikotyną palce w szczelinę i podważając haczyk.

Wciśnięta w róg obserwowała, jak wchodzi. Zamknął za sobą drzwi i zatarł ręce, papieros zwiisał mu z kącika ust. Zaraz jednak ujął go w palce i chwila, gdy Oliver wyglądał jak uliczny opryszek, zniknęła bez śladu.

- No i? - zapytał.

Anna rzuciła mu krnąbrne spojrzenie znad podkurczonych kolan.

- No i? - powtórzyła jak echo, nie ruszając się z miejsca.

- Wiedziałem, że tu jesteś. Co robisz?

- Nic takiego.

- Całe popołudnie? Nie podoba mi się myśl, że nas unikasz, zwłaszcza że nie masz nic szczególnego do roboty. To chyba niezbyt rozsądne. Zresztą matka wszędzie cię szuka, co nie wpływa na poprawę jej humoru. Przyjdiesz na podwieczorek?

- Nie chce mi się - odparła Anna. - Nie sędzę, żeby moja nieobecność robiła jakąkolwiek różnicę - dodała mimowolnie, demaskując się.

- Ach, rozumiem! - zawołał Oliver, jak gdyby powierzyła mu istotne wyznanie. Poczul się zaproszony: przyciągnął spod ściany jedną ze skrzynek Jeremiego, Wytarł ją z kurzu i usiadł naprzeciw Anny. - Nawet jeśli rzeczy-

wiecie tak jest, warto traktować ludzi na ich własnych warunkach. W ten sposób więcej się korzysta. Na przykład dlaczego nie zrobisz czegoś z włosami? Chyba lepiej jest móc widzieć? Zawsze nosisz te spodnie?

- Mój wygląd chyba nie ma tu żadnego znaczenia - odrzekła Anna, dotknięta do żywego. - Tak mi wygodnie.

- Zawsze trzeba tak czy inaczej manifestować swą obecność w świecie. Twoje niechlujstwo, jakże mało oryginalne, stanowi dość zwyczajny protest. Sądziłem, że skoro chcesz przeciwko czemuś występować, stać cię na więcej niż dzinsy.

- Chcę tylko - zaczęła Anna, zsuwając się z ławki i stając do niej plecami, gotowa do ucieczki - chcę tylko, żeby pozostawiono mnie w spokoju. Bez urazy.

- Tak nie można. - Anna ruszyła ku drzwiom i Oliver wyciągnął rękę, aby ją zatrzymać. - Nie, zaczekaj. Powinnaś się cieszyć, że poświęcam ci tyle uwagi. A teraz powiedz, co zamierzasz zrobić.

- Mam zamiar umyć ręce i iść na podwieczorek, jak grzeczna dziewczynka.

- Nie bądź niemądra. Pytam, co chcesz dalej robić. Ze swoim życiem.

- Skąd mogłabym wiedzieć...

- Masz jakiś pomysł?

- Nie... muszę... muszę pomyśleć. Mam mnóstwo czasu. Coś wykombinuję.

- Zdecydowanie nie lubię tego zwrotu. Ile ty masz lat? Osiemnaście? Pora zacząć myśleć. Jeśli wkrótce czegoś nie zrobisz, kwestia studiów, na przykład, rozwiąże się samoistnie, co oznaczałoby zamknięcie przed tobą pewnej drogi na tym etapie. Przypuszczam, że jesteś zdolna.

- Z niektórych przedmiotów.

- Wystarczy. Spróbuję coś wymyślić.

- Nie wiem, czy chcę...

- Postaramy się określić, czego chcesz.

- Proszę - zawołała Anna - zostaw mnie w spokoju!

- Mam wrażenie, że zbyt długo pozostawiano cię w spokoju. Nie przyszło mi do głowy, że w tym cały problem. - Zmienił mu się głos. Dodał łagodniej: - Dlaczego

uciekłaś ze szkoły? - Z chwilą gdy padło to pytanie, Anna uznała je za nie do zniesienia.

- Nie twoja sprawa. To nie ma z tobą nic wspólnego. Sama nie wiem dlaczego. Proszę...

- Ktoś powinien był cię o to wcześniej zapytać...

- Nie krytykuj nas. Nie rozumiesz, że w ogóle nie należało ci o tym wspominać? *To nie ma z tobą nic wspólnego.*

- Anno... - zaczął Oliver.

Przemknęła obok niego i znalazła się między drzewami. Jej kroki rozbrzmiewały donośnie; pomyślała, że ją goni. Kiedy jednak dopadła furki i obejrzała się za siebie, stał sztywno obok chatki z rękami niezgrabnie wciśniętymi do kieszeni i obojętnym wyrazem twarzy. Weszła do domu, żeby umyć ręce przed podwieczorkiem.

Pierwszy tydzień wizyty upłynął bez większych zawirowań, po części dlatego, że z uwagi na skwar niektórzy woleli ograniczyć się do siedzenia w ogrodzie lub spacerów do wioski i z powrotem zakurczonymi bocznymi drogami wśród krzewów głogu. Wszystkich ogarnęła potrzeba spokoju i beczynności, jak gdyby upał odebrał im wolę jakiegokolwiek działania.

Jedynie Jeremi tryskał niespożytą energią, przez co wszyscy zapamiętali go jako nieodłączny element słonecznej pogody oraz wakacyjnego ducha. Wszędzie było chłopca pełno, bezustannie poszukiwał partnerów do tenisa czy badmintonu, kogoś, kto pojeździłby razem z nim konno, podziwiał jego skoki lub towarzyszył mu na rowerze w kilkumilowej wyprawie na odkryty basen. Wkraczał w wiek, kiedy ręce i nogi zyskują pajęczą chudość, a głos zawodzi, co jednak na swój sposób przydawało mu uroku. Pięknie opalony, niczym natarty oliwą atleta, i w ciągłym ruchu, zapadł im w pamięć jako żywotna postać o bacznej, zaferowanej twarzy i członkach wyraźnie rysujących się na tle słońca.

Dla Małgorzaty był symbolem uporządkowanego życia Severellów. Dla Anny skrajnym przykładem dotkliwej pustki lata, spędzonego pod rodzinnym dachem, za co jednak nie ponosił winy. Nie wydawało się prawdopodobne, by Anna kiedykolwiek - prócz masochistycznych

chwil samoponiżania - zinterpretowała coś na jego korzyść.

Karolinę z kolei uszczęśliwiał bezgranicznie. Wszystko układało się jak po maśle, lepiej, niż mogła przypuszczać, lecz w każdej innej dziedzinie życia istniał szereg pęknięć, które lada chwila mogły się ujawnić. Jedynie pogoda i Jeremi dopisywali, dając jej pełne oparcie; czuła, że z boską pomocą opanuje sytuację, o ile wszyscy bez szemrania zadowolą się tym, co zostało im ofiarowane. Przypuszczała, że już nigdy nie będzie tak samo - Jeremi, który w tym roku rozpoczynał edukację w szkole publicznej, do następnych wakacji utraci część swojej niewinności - wołała jednak nie wybiegać myślą w przyszłość. Cokolwiek się wydarzy, zawsze będzie mogła wrócić pamięcią do tego okresu.

Również dla Jeremiego tegoroczne lato stało się synonimem niewinności; w retrospekcji, w długi czas potem, kiedy inni zaczęli postrzegać je jako zwiastujące kłopoty potencjalne zagrożenie, on, właśnie z perspektywy czasu, uznał te wakacje za wymarzone, dwanaście lat zaś za wiek idealny, choć to raczej nie wyszło mu na dobre. We wrześniu wrócił do szkoły i został uwiedziony; ów incydent nie wzbudził jego zdziwienia, choć pociągnął za sobą dalsze próby podlizywania się, oszukiwania i mydlenia ludziom oczu na szerszą niż dotychczas skalę. Ta strona medalu, w przeciwieństwie do nieobliczalnego wpływu, jakie wydarzenie wywarło na jego przyszłość, nie przyniosła mu satysfakcji: nie podobało mu się, że zaczęto oczekiwać jego udziału w kłótniach na tle zazdrości oraz w kręgach wzajemnej adoracji. Słusznie podejrzewał, że na zawsze utracił wolność.

Anna stała się, wbrew swym oczekiwaniom, częścią matczynego planu bawienia gości bez przeszkadzania Henrykowi lub ujawniania jego niebezpiecznego stanu ducha. Pierwszego wieczoru, kiedy poszła spać, Karolina odbyła z Oliverem poufną rozmowę, podczas której spotkała się z jego pełnym zrozumieniem oraz gotowością niesienia pomocy. Wspólnie przestudiowali świadectwa Anny, starannie zbierane przez Karolinę od czasu, gdy córka skończyła jedenaście lat, i przejrzeni nadesłane ty-

dzień wcześniej wyniki ostatnich egzaminów, którymi Anna nie okazała najmniejszego zainteresowania. Były zdumiewająco dobre.

- Nie miała powodu uciekać - orzekł z humorem Oliver.

Karolina spojrzała na gościa z dezaprobatą; fakt, że radziła się go w kwestii przyszłości córki, nie dawał mu prawa komentowania jej posunięć. Oliver wyraził chęć przejrzenia jej prac, więc Karolina zabrała go do garażu, gdzie na dnie kufra Anna trzymała szkolne podręczniki i zeszyty. Tam też, w gęstniejącym letnim zmroku, zapoznał się z jej wypracowaniami - esejami, wierszami, romantycznymi dziewczęcymi kompozycjami - i twardo zaciskał usta, mądrze potrząsając głową, podczas gdy Karolina krążyła wokół niego, załamując ręce nad bałaganem panującym w kufrze, śladami zaschniętego błota z łyżew, dżemu i płatków mydlanych, które osiadły na leżących na dnie książkach.

- Ładne - osądził wreszcie Oliver. - Ładne. Niezbyt to wszystko oryginalne, trudno jednak Bóg wie czego na tym etapie oczekiwać. Sądzę, że przy pewnym nakładzie starań zdołamy wysłać ją do Oksfordu albo Cambridge. Chyba tak będzie najlepiej.

- Nie wiem, jak będzie najlepiej. Mam wrażenie, że ona się niczym nie interesuje.

- Odrobina ciężkiej pracy przyspieszy podjęcie takiej czy innej decyzji. Jeśli chcesz, w czasie naszego pobytu dam jej kilka lekcji.

Karolina szczerze wyraziła wdzięczność. Taki układ zapewniał utrzymanie Olivera z dala od Henryka oraz pozbycie się Anny, zarówno teraz, jak i - przy odrobinie szczęścia - na najbliższe trzy lata.

Następny dzień przyniósł gwałtowną scenę, kiedy poinformowana o swej przyszłości Anna na wieść o bezprawnym naruszeniu prywatności jej zapisków przez Olivera wybuchnęła płaczem.

- Dlaczego wobec tego zostawiasz je widoku publicznym, skoro nie chcesz, żeby inni je oglądali? - zareplikowała Karolina i poszła napisać prośbę o formularze zgłoszeniowe na uczelnie w Oksfordzie i Cambridge, rekomendowane przez Olivera.

- Posłuchaj, Anno, jestem po twojej stronie, choć to ja zawiniłem - oświadczył Oliver. - Mimo to jednak proszę, abys w ciągu najbliższych kilku dni stosowała się do moich zaleceń. Ostatecznie nie zabawię tu długo. A teraz przestań płakać, weź pióro i kartkę, to spróbujemy ustalić, co cię interesuje i w czym musisz się jeszcze podszkolić.

Anna powzięła stanowczy zamiar stawienia oporu, ale Karolina ustawiła już w półcieniu na trawniku stolik do kart oraz dwa płócienne krzesła, Oliver zaś cierpliwie zadawał Annie kolejne pytania i na podstawie monosylabowych odpowiedzi ułożył listę lektur, plan zajęć, tematy wypracowań oraz punkty do dyskusji.

- Damy radę - uznał, a Anna, mimo początkowego zniechęcenia, przyznała mu rację. Okazał się świetnym nauczycielem, ona zaś była na tyle inteligentna, by stanowić dla niego wyzwanie. Wspólnie szperali w księgozbiornie Henryka i zamawiali brakujące pozycje, większość dnia spędzali przy swoim stole, wieczorami natomiast Oliver zadawał Annie tyle wypracowań, że przestała krępować się własnego stylu, pragnąc jedynie wyprodukować na czas to, czego od niej oczekiwał. Nawet jeśli czasem nachodziła ją gniewna refleksja, że została wpakowana w coś, nad czym nie miała nawet czasu się zastanowić, przyznawała w duchu, że równie dobrze może robić to, jak cokolwiek innego. Nie zobowiązywało jej to do niczego, dając, pomimo uszczypliwości Olivera, jednocześnie satysfakcję z faktu, że kogoś tak bardzo interesowały jej przemyślenia i możliwości. Co więcej, ku zadowoleniu Anny, wyznaczono jej tym samym określone miejsce, stwarzając okazję do pytań w rodzaju: „Jak ci idzie?”, zadawanym przy kolacji, na które mogła udzielić jasnej dla wszystkich odpowiedzi; była kimś. Kimś, kto może nie w pełni odpowiadał jej wizerunkowi samej siebie, chociaż pewnie nie miała prawa wysuwać co do tego zastrzeżeń: chyba to właśnie młodość wzbudzała w niej pragnienie ukazania swego prawdziwego oblicza - choć nie był to obraz budzący szczególną sympatię. Anna nie różniła się pod tym względem od innych młodych ludzi. Tak więc nie bez przyjemności rzuciła się w kilkudniowy wir pracy.

Małgorzata z takim zapałem nastawiła się na miłe spędzenie czasu, że doprawdy niesprawiedliwością było, aby upał do tego stopnia dawał się jej we znaki; rzeczywiście bardziej tradycyjne angielskie lato odpowiadałoby jej znacznie lepiej. Zabezpieczała się olejkami i kremami, Ambre Solaire, lanoliną i wielkimi kapelusami, lecz jej skóra i tak pękała i łuszczyła się, włosy zaś wychodziły garściami i kruszyły się na końcach. Skwar spowolnił jej reakcje, odbierając jasność widzenia i stwarzając poczucie izolacji od ważnych spraw, które działały się wokół niej, izolacji powodowanej całym ciągiem fizycznych dolegliwości - oparzeniami ramion, pogorszeniem wzroku czy otarciem kostek paskami od sandałów.

Dzielnie jednak radziła sobie ze wszystkimi niedogodnościami, wciąż zapewniając Karolinę, że to najszczęśliwsze lato w jej życiu. W głębi duszy wszakże czuła, że coś przechodzi jej koło nosa, i później raz jeszcze przeanalizowała całą sytuację, przypisując znaczenie wszystkim rozmowom i wydarzeniom, które miały miejsce, oraz tym, które nie zaistniały wcale. Jedno nie ulegało wątpliwości: Oliver czuł się szczęśliwy, a Severellowie w pełni go zaakceptowali. Kiedyś nawet przedstawił jej łaskawie swoją teorię na temat błędów w wychowaniu Anny i nie narzekał, kiedy w chwilach wolnych od pomocy Karolinie przysiadła się do ich stolika. Mimo woli była odrobinę zazdrosna o wysiłek, jaki Oliver wkładał w rozwój Anny, podczas gdy nigdy nie wykazywał zainteresowania jej własnym, wyleczyła się jednak z tego, sama uczestnicząc w metamorfozie dziewczyny. Obdarowała ją szminkami i rajstopami, a któregoś dnia, gdy upał nieco zelżał i Oliver dał uczennicy wolne popołudnie - „na przetrwanie George'a Eliota²” - po konsultacji z Karoliną zabrała Annę do miasteczka, gdzie kupiła jej szarą pasiastą spódnicę z jedwabistej bawełny, dwie koszule, tusz do rzęs oraz prostą, kremową, wy-

² George Eliot (właśc. Mary Ann Evens) (1819-80) - pisarka angielska, zwolenniczka pozytywizmu, autorka powieści odbijających problematykę intelektualną epoki, m.in. „Młyn nad Flossą”, „Silas Marner” (przyp. tłum.).

tworną sukienkę, którą Anna sama zaniósła do domu i wepchnęła do szafy, by nigdy jej nie włożyć.

Był też, oczywiście, Henryk. Nie zachowywał się najlepiej, choć być może tylko Karolina, która obserwowała go z obawą, nie szczędząc wysiłków, by nie zdradzić swego zaniepokojenia, była bezustannie tego świadoma. To nie słońce budziło jego rozdrażnienie. Jak salamandra lub inne zimnokrwiste stworzenie, lubił żar, który wraz ze wzrostem temperatury potęgował jego energię. Niejednokrotnie, jak sam twierdził, rozważał przeprowadzkę w okolice Morza Śródziemnego albo do Meksyku, co nie wchodziło w rachubę, gdyż wszędzie poza Anglią Karolina czułaby się nieszczęśliwa. Canningowie też nie byli źródłem jego irytacji, choć ich obecność nie budziła jego zadowolenia - kiedy bowiem Karolina zapytała nieśmiało, czy miałby coś przeciw przedłużeniu ich wizyty, gdyż Oliver tak bardzo pomaga Annie, Henryk odburknął:

- A cóż to ma za znaczenie? - I spojrzawszy na nią spode łba, uciekł do gabinetu.

W jego pracowni chaotycznie narastały sterty papieru; niewiele teraz sypiał i w środku nocy zrywał się z łóżka, by zapisywać lakoniczne uwagi na kopertach, które następnie wciskał do szuflad lub kieszeni. One również trafiały do gabinetu i gęsto zaścielały biurko oraz dywan. Pozostali wiedzieli, że nie wolno im niczego dotykać. Raz czy dwa razy Henryk niegrzecznie potraktował Olivera, który niebacznie zapytał o jego dokonania. Karolina musiała tłumaczyć, że mąż jest w stresie, że większość jego pracy „twórczej” przypada na tegoroczne lato i że obecny rok okazał się niełatwy. Oliver odrzekł, że oczywiście rozumie, lecz Karolina nadal czuła, że bardziej szanowałby Henryka, gdyby ten w czasie posiłków zachowywał się normalnie. Nie był zresztą pod tym względem odosobniony.

Nie chodziło wcale o to, jak domyślała się Karolina, że mąż większość czasu pracuje, choćby nad „Analizą romantyzmu”. To jego niepokój przechodził wszelkie pojęcie. Henryk najwyraźniej zaczął dziwadzić. W trakcie posiłków bez słowa zrywał się od stołu i pędził do ogrodu; zapytany o coś, rzadko kiedy udzielał odpowiedzi,

i kilkakrotnie widziano go, jak pięć czy sześć razy z rzędu bezszelestnie chodzi tam i z powrotem po schodach, przekraczając po trzy stopnie, jak gdyby zależało mu na wzmożonej aktywności fizycznej. Pozostali mieli okazję obserwować z ogrodu, jak spaceruje po tarasie na zewnątrz pracowni z rękawami podwiniętymi powyżej łokci i czupryną gorejącą w słońcu niczym biały płomień. Niekiedy zapuszczał się do ogrodu, omijając z daleka stolik i z takim natężeniem wpatrując się w pochylone nad nim dwie śniade twarze, że Oliver i Anna nie wiedzieli, czy ich widzi, czy też spogląda przez nich, jak gdyby byli powietrzem.

- Pracujący geniusz - mruknął kiedyś oschle Oliver, kiedy potężna postać odwróciła się i pośpiesznie cofnęła do gabinetu.

Anna wstydziła się za ojca; kimkolwiek był, nie powinien manifestować swojego natchnienia niczym poeta w aureoli boskiego szaleństwa, co zresztą, jak pomyślała, biorąc pod uwagę jego zwykłą łagodność, wcale nie odpowiadało rzeczywistości. Kazał Oliverowi nabrać błędnego mniemania o nim i Anna nie wiedziała, jak to naprawić.

Pewnego ranka, gdy powietrze do tego stopnia przesiąkło żarem i blaskiem, że większa jasność i upał zdawały się niemożliwe, po powrocie z inspekcji ogrodu oraz szklarni Karolina oznajmiła czekającej w kuchni Małgorzacie, że temperatura jest wyższa o dwa stopnie niż poprzedniego dnia, co stanowiło tego lata rekord. Małgorzata odparła z westchnieniem, że trudno w to uwierzyć. Karolina po raz pierwszy zdradziła pewne oznaki napięcia.

- Człowiek wbrew sobie zaczyna czekać - powiedziała. - Rzecz jasna, wiadomo, że to nie ma sensu, że powinno się korzystać z pogody i wygrzewać na słońcu. Ale... przypuszczam, że wynika to z angielskiej natury... trudno oprzeć się wrażeniu, że to *musi* się skończyć, że dziś albo jutro nastąpi burza, której nie cierpię, równowaga zostanie przywrócona, a z akacji odłamie się kolejna gałąź. Niemądrze tak się martwić, kiedy nie ma ku temu żadnych podstaw, ale nic na to nie poradzę.

- Jest istotnie duszno - odparła Małgorzata.

Nie był to jej dobry dzień, wiadomość zaś, że ma być jeszcze goręcej, nie czyniła go lepszym. Oliver, który podczas pobytu na wsi stał się nad wyraz czuły i pobudliwy, „Chodź tutaj, Małgorzato - mówił co wieczór z uśmiechem - nie musimy gniesć się pod kocami”, ostatniej nocy nie poświęcił jej wiele uwagi, przez co rano Małgorzata ponownie została rzucona na pastwę lęków i rozterek, które ze sobą przywiozła. Miłość obnaża, myślała, czyni człowieka zależnym i pewnie nie sposób osiągnąć takiego stopnia zażyłości, który odpędziłby troski, kiedy coś - nie określiła, co - idzie nie po naszej myśli. A jednak nie jest to *do końca* wykluczone, dorzuciła w duchu.

- Ogród potrzebuje deszczu - podjęła Karolina. - Jeremi świetnie radzi sobie ze spryskiwaczem, a my nanosiliśmy Bóg wie ile konewek, lecz wszystko na nic, jeśli wkrótce nie popada... - Umilkła i w ciszy obie zajęły się przygotowaniami do lunchu. Następnie Karolina rzuciła obojętnie: - Tobie pewnie też chłód przyniósłby trochę wytchnienia. Wciąż nie najlepiej wyglądasz. Chciałam, żebyś wypoczęła, widać jednak, że nasze starania spełniają na niczym.

- Ależ skąd - zaoponowała Małgorzata, czując jednocześnie nowy przypływ znużenia. - Naprawdę. Sam pobyt tutaj i czynności takie, jak gotowanie, sprzątanie i... ach, jak mam to wyjaśnić? - W jej podniesionym głosie pojawiły się niemal piskliwe nuty. - Wytłumaczę ci. W Londynie robię to i tamto, odkurzam dywan, układam poduszki, wszystko zaś wydaje się tak banalne, że ogarnia mnie wrażenie, jakbym miała robić to do *śmierci*. Co wówczas bym po sobie pozostawiła?

- Ja nazywam to sztuką życia - odrzekła Karolina. - Ktoś musi wykonywać te czynności.

- Owszem - przytaknęła gorliwie Małgorzata. - Zauważyłam, że u was wszystko odbywa się na tej zasadzie. Dlatego właśnie... chodzi o to, że tutaj robisz to *dla* kogoś. Dla Henryka, Anny, Jeremiego. Zyskuje to pewną wagę, gdyż jest przeznaczone dla nich; jeśli jednak nikomu na tym nie zależy, a ty nadal musisz robić swoje?... Wiesz co - ciągnęła, odsłaniając pielęgnowany skrycie

niepokój - czasem myślę, że Oliver w ogóle nie powinien był się żenić. Mam wrażenie, że nie zależy mu... - zaważała się - ...na tym, by kogokolwiek *znać*..

Drobna zmarszczka pomiędzy brwiami Karoliny dała Małgorzacie do zrozumienia, że powiedziała za dużo i zbyt głośno.

- Przeraża mnie powrót do Londynu - uzupełniła miękko.

Przez chwilę spoglądały na siebie ponad wyszorowanym stołem Karoliny. Na napiętej twarzy Małgorzaty malowała się żałosna prośba, której nie miała siły ukryć. Oblicze Karoliny było nieodgadnione; stała spokojnie, z dłońmi płasko przyciśniętymi do blatu, następnie uniosła głowę, chcąc może coś powiedzieć, kiedy za jej plecami zjawił się Henryk, ucinając nierozpoczętą rozmowę, i ponad ramieniem żony pochwycił desperacki wyraz twarzy Małgorzaty. Wiedziałem... - pomyślał z satysfakcją. Ciekawe tylko, co?... Bezwiednie odsunął tę myśl na później i kaszlnął. Małgorzata z mizernym skutkiem próbowała przywołać się do porządku - oplótłszy ciało rękami, skuliła ramiona i skrzywiła się, usiłując zatuszować wzruszenie. Mimo to nadal nie odrywała wzroku od Henryka.

- Chcesz czegoś? - zapytała Karolina.

- Nic - odpowiedział Henryk. - Niczego szczególnie. - Przeniósł ciężar z jednej stopy na drugą, po czym zaczął ręce o wystającą framugę i przeciągnął się.

Małgorzata spoglądała na niego urzeczona. Ów gest niezwykle wydłużył jego ciało - w swej nieskazitelnie białej koszuli wydał się naraz nieproporcjonalnie wielki w stosunku do przestronnej przecież i przewiewnej kuchni. Pomyślała przelotnie, że bez trudu mógłby rozsadzić sobą ściany. Karolina zaczęła rozbijać jajka, dzieląc skorupki na niewiarygodnie równe połówki, do których przelewała kragłą, elastyczną złocistość, podczas gdy przezroczyste białko zwieszało się gęstymi, ciężki sopłami, by niespodziewanie chlapanąć do miski. Karolina odcięła sopol brzegiem skorupki, stuknęła kolejnym jajkiem o krawędź miski i rzuciła ostro:

- Nie jadłeś śniadania.

- Nie miałem ochoty.

Karolina milczała przez chwilę, sondując palcami skorupki, rozbijając i dzieląc. Następnie przelała białka do naczynia w różyczki i postukała w nie łąpatką.

- Przygotowuję cytrynowy placek beżowy - oświadczyła. - Na lunch.

Henryk w milczeniu wisiał z rozkrzyżowanymi ramionami na framudze. Zastanawiał się, jakiemu przerażającemu wyznaniu przeszkodził, i spojrzał na Małgorzatę, jak patrzy się na roślinę, która wędnie bez żadnego widocznego powodu. Małgorzata nie wytrzymała jego wzroku; miała wrażenie, że przejrzał ją na wylot - jego podobieństwo do kościelnego boga jej dzieciństwa rzucało się w oczy - i ofiarowywał bezgraniczną mądrość, której nie była w stanie przyjąć. Ileż znaczenia nadaje wszystkiemu, pomyślała, kierując spojrzenie na rosnące hałdy piany w naczyniu Karoliny. Ogarnęło ją przemożne uczucie, że coś się wydarzy. Henryk był tak wspaniały, że cokolwiek się stanie, również takie będzie.

Henryk zaczął spacerować po kuchni, zaglądając do szafek, brzęcząc łyżkami i obijając się o krzesła.

- Jeśli nie masz tu nic do roboty, idź sobie, dobrze? - poprosiła Karolina. - Rozpraszasz mnie.

Henryk ponownie okrążył stół i stanął przy tylnych drzwiach z ręką na klamce.

- Dokąd idziesz? - zapytała Karolina tak ostro, że Małgorzata spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Wychodzę - odparł Henryk. - Przecież wiesz.

- Lunch będzie o pierwszej - oznajmiła stanowczo, acz z nutą porażki w głosie.

- Nie czekajcie na mnie - powiedział z roztargnieniem. - Mogę nie...

- Weź przynajmniej kapelusz...

- Nie mam - odrzekł Henryk, otwierając na oścież drzwi, w wyniku czego skwar wtargnął do pomieszczenia. - Zgubiłem. Zapomniałaś?

- Dostaniesz porażenia.

- Wiem - odpowiedział Henryk. Przecisnął swą potężną postać przez próg. - Wiem. - Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Karolina usiadła przy stole i ukryła twarz w dłoniach. Małgorzata przez chwilę stała w milczeniu, po czym spytała:

- Dokąd on poszedł?

- Nie mam pojęcia - odparła Karolina. Wstała i ponownie przystąpiła do wyrabiania placka. - To nie pierwszy raz. Po prostu wychodzi. Przestałam się wtrącać. Widocznie tego potrzebuje. Czasem to tylko dzień lub dwa. W najgorszym razie cztery i pół tygodnia. Zawsze wraca niezmiernie wyczerpany. Trudno się nie martwić; on... on po prostu przestaje wtedy być sobą. Że nie wspomnę o tym, jakie to dokuczliwe dla innych. Przepraszam, że trafiło właśnie na czas waszej wizyty. O ile istotnie przypadł. - Oznacza to konieczność przedstawienia taktownych wyjaśnień Oliverowi, pomyślała gniewnie, a im bardziej zadowolę Olivera, tym bardziej rozżłoszczę Henryka, kiedy po powrocie dowie się, co o nim mówiłam. On nie zadaje sobie trudu, by pomyśleć o tym zawczasu. - Zresztą może jestem w błędzie - dodała. - Niewykluczone, że najwyczejajniej w świecie zjawi się na lunch albo na podwieczorek. Zobaczymy.

Mimo to obie wiedziały, że Henryk nie zjawi się ani na lunch, ani na podwieczorek. Przez jakiś czas rozmyślały o nim jako o istocie potwornej, zgoła pozbawionej ludzkich cech, zmierzającej tam, dokąd one nie mogły ani nie chciały podążyć. Ogarnął je niepokój - męski imperatyw wdarł się w ich świat, zakreślając nieznane im dotąd horyzonty, i tchnął powiewem, od którego zadrżały. Wkrótce jednak odzyskały rezon i powróciły do swych czynności, jak gdyby cień Henryka nadał dodatkowe znaczenie nawet wzgardzonemu plackowi cytrynowemu.

Karolina pomyślała o czekającej ją przeprawie z Oliverem, z wolna czerpiąc przyjemność z wyimaginowanych obrazów. Myśl o Henryku i o tym, co powie mu po powrocie, pozostawała na dalszym planie. Tymczasem Małgorzata niespodziewanie odkryła nową perspektywę: zachowanie Olivera w porównaniu ze zniknięciem Henryka odsuwało od niej dezaprobatę żon przyjaciół męża, które ganiły ją za to, że nie potrafi go przy sobie zatrzymać, gdy nie informował jej, dokąd i kiedy się udaje, ani też, w jakim celu. „Widocznie tego potrzebuje” - twierdziła Karolina. Nie sprawiała przy tym wrażenia osoby, która czuje się z tego powodu odrzucona.

Ponacinały rzodkiewki w różyczki, a pomidory w nenufary i ostrożnie poukładały je na lodzie. Henryk nie wrócił na lunch i różyczki zjedzono, pozostawiając tylko łodygi, podczas posiłku w ogrodzie zaś stopniały lód przybrał postać mazi podbarwionej lekko na różowo sokiem z pomidorów. Następnego dnia czekały je kolejne zajęcia. Jak powiedziała Karolina, ktoś musiał je wykonać. Takie przynajmniej istniało założenie.

- Podoba mi się ta spódnica - zwrócił się w ogrodzie Oliver do Anny. - I pomadka. No i twoja nowa fryzura. Cieszę się, że nie obraziłem cię na tyle, byś z przekory wrosła w dzinsy.

Wolałabym, żeby nie uważał tego komentarza za konieczny, pomyślała Anna.

- Dostałam ją od cioci Małgorzaty - odparła oschle, wygładzając dłońmi pasiastą spódnicę. - Ładna, prawda? To pewnie sprawa matki. Powiedziała: „Czy ty nie mogłabyś zabrać Anny do miasta i zmusić ją do kupienia jakichś przyzwoitych ubrań? Nie słucha własnej matki, to może posłucha ciebie. Podziwia cię”. - Parafraza wypowiedzi Karoliny była tym wyrazistsza, że Anna powstrzymała się od własnej intonacji bądź komentarza.

- Naprawdę? - zapytał Oliver.

- Co naprawdę?

- Podziwiasz moją żonę?

- Naturalnie. - Podniosła na niego zdziwione spojrzenie spod świeżo uczernionych rzęs i zasznurowała świeżo umalowane usta. - Każdy by ją podziwiał. Ona wiele rozumie. To po prostu odpowiednia spódnica. Według mnie, wygląda po prostu jak czyjaś spódnica, a nie spódnica czyjejś córki, no wiesz, jakby została przez kogoś wybrana z półki w dziale dla nastolatków lub grzecznych dziewczynek.

- Pasuje do ciebie - zauważył z przyciężką galanterią Oliver.

Anna posłała mu smętny uśmiech.

- Właśnie, że nie. Jest ładna i anonimowa, dlatego mi się podoba. Nie lubię rzucać się w oczy.

- Dlaczego?

- Och, ponieważ...

- Sądzę, że w Cambridge zmienisz zdanie. Większość tamtejszych dziewcząt raczej rzuca się w oczy. Obawiam się, że to je psuje.

- Może - przyznała bez entuzjazmu Anna. - Ale i tak się nie dostanę, po co więc zawracać sobie tym głowę.

- Dostaniesz się, jeśli spróbujesz. Masz dość oleju w głowie. Oczywiście, bez przesady: wykładowcy nie padną na kolana, błagając cię o przyjęcie stypendium. O ile jednak starczy ci rozsądku, dasz sobie radę. Poza tym jesteś córką Henryka Severella.

- Ja to mam szczęście - odparła Anna. - Skoro to tyle znaczy.

Niespodziewane pojawienie się samego Henryka, który pośpiesznie przeciął trawnik i zarumieniony stanął nad stołem, uniemożliwiło Oliverowi odpowiedź. Henryk zakołysał się na palcach, jakby miał zamiar puścić się pędem w kierunku sadu. Oliver zapalił papierosa, a Anna spuściła głowę, by przyjrzeć się na wpół rozpuszczonej kostce lodu w szklance gęstej domowej lemoniady. Z wolna udzielił się jej nastrój ojca. Zapanowała konsternacja, częściowo dlatego, że Henryk zjawił się we własnej osobie akurat w momencie, kiedy o nim mówili, oraz dlatego, że rozpiekało go widoczne podniecenie, którego przyczyn nie zamierzał im zdradzić. Kilkakrotnie powtórzył: „No cóż” i raz: „Widzę, że jesteście zajęci?”, po czym spojrzał srogo na Annę, która unikała jego wzroku.

- Świetnie sobie radzimy - powiedział Oliver. - Anna to mądra dziewczyna. Bardzo jestem z niej zadowolony.

- To dobrze - odparł z roztargnieniem Henryk, nie słuchając.

Anna z irytacją dostrzegła wzburzenie Olivera; przy odrobinie taktu mógłby łaskawie zauważyć, że chwila nie jest odpowiednia na rozmowę. niesprawiedliwością było osądzać Henryka - a tym samym i ją - na podstawie chwilowego rozkojarzenia. Bez względu na jego powody.

- Po moim wyjeździe powinieneś chyba zorganizować dla Anny dodatkowe lekcje - podjął Oliver. - Potrzebuje, by ktoś wskazał jej drogę i czytał wypracowania, to naturalne. Mógłbyś dać ogłoszenie, chyba że znasz kogoś nauczyciela. Znasz?

Henryk zamrugał i rzuciwszy Oliverowi skrajnie aroganckie spojrzenie, przeniósł wzrok na widoczne ponad żywopłotem wzgórze.

- Przepraszam - powiedział. - Chyba na mnie już czas. Wybaczcie.

Oliver chciał coś dodać, lecz Anna pod stołem kopnęła go w kostkę. Przełknął ślinę i spuściwszy głowę, zamamrotał coś pod nosem.

Skoro masz iść, nie stercz tutaj i nie doprowadzaj mnie do szaleństwa, rzekła w duchu Anna. Jakby zwolniono jakąś niewidzialną zaporę, Henryk ruszył przed siebie, prawie biegiem wyminął drzewa i niebawem znalazł się na wzgórzu, tworząc rozświetloną brodą, włosami i koszulą widok imponujący, a zarazem nieco niedorzeczny, jak człowiek słusznej postury, który biegnie do autobusu. To ostatnie odcięło go od nich bardziej, niż mógłby tego dokonać towarzyszący mu splendor; niezmiernie osamotniony, bez mała przedmiot, począł brnąć wśród paproci porastających zbocze.

- Chryste, ależ on pędzi - skomentował Oliver; przez chwile oboje byli pochłonięci obserwacją, następnie Oliver zapytał: - O co w tym wszystkim chodziło? Zrobiłaś mu coś na złość?

- Oczywiście, że nie. Nie w tym rzecz.

- Co się wobec tego stało?

- Nic - odrzekła Anna.

- Był poruszony - nie ustępował Oliver. - Dokąd poszedł?

- Skąd mam wiedzieć? - zawołała ze złością Anna. Wciąż widziała połyskującą w oddali białą żagiew włosów, chłodną i jasną na tle miękkiego złota oraz rdzy paproci. Opanowała ją świadomość własnych ograniczeń; brak znajomości celu wyprawy ojca i jego myśli napawały ją rozpaczą. Oddałabym wszystko, aby być taka jak on, aby wiedzieć, jak to jest, zapłakała w duchu. Jak można tu siedzieć, skoro istnieje ktoś, kto przypisuje rzeczom tak ogromne znaczenie, choćby teraz, wspinając się na wzgórze? - Czasem taki bywa - powiedziała wymijająco.

- Po prostu odchodzi. Przestaliśmy zwracać na to uwagę.

- Dała do zrozumienia, że zwracanie uwagi jest raczej

w złym guście. - Pewnie chciałby podumać na osobności - dodała. Podumać, powtórzyła w myślach, co za bezna-dziejne słowo. Jakim cudem jednak znaleźć lepsze okre-ślenie, kiedy tak niewiele się wie i kiedy człowiekowi do-kuacza świadomość własnej bezradności? Plama bieli za-majaczyła na szczycie przełęczy, po czym uniosła się na chwilę w powietrze i znikła im z oczu.

Zaniepokojony Oliver podzielił jej nastrój i uniół się z krzesła, spoglądając za Henrykiem, jakby i on naraz poczuł się nieswojo.

- Ciekawe, o czym? I w jaki sposób? Nie wiem, co z tobą, ale dla mnie czytanie jego utworów oraz świadom-ność, że sam nigdy, choćbym się nie wiem jak starał, nie stworzyłbym czegoś podobnego, są porażające. Nie cho-dzi tu tylko o jego umiejętność władania słowem, lecz o doświadczenie: brak mi znajomości jego punktu wyj-ścia, opieram się jedynie na domysłach. Odwiedza miej-sca, w których nigdy nie byłem. Nie jestem pewien, czy to odpowiednia strefa pobytu lub obiekt zainteresowa-nia dla większości ludzi. Trudno jednak, przynajmniej mnie, zachować dystans. Pewnie to fascynacja tym, co obce: napisano mnóstwo znakomitych dzieł, które nie są mi obce; dzieł, które równie dobrze sam mógłbym napi-sać, rozumiesz. Takich, które w trakcie czytania przejmujes w posiadanie i czujesz, że masz prawo je krytyko-wać, gdy coś ci się w nich nie podoba. Z nim jest inaczej. Podczas lektury jego książek walczę z własnymi przekon-aniami, lecz zawsze czuję, że przymusza mnie do ugody. Przyjmuję jego punkt widzenia, *dlatego, że on wie*, nie dlatego, że ja wiem. Czasem dręcę się rozmyślaniami, jakim cudem udaje mu się to osiągnąć, za pomocą jakich procesów. Niewiele zdradza na ten temat, prawda? Jak wygląda jego praca?

- Nie wiem - odparła Anna.

Coś w głosie dziewczyny zwróciło uwagę Olivera; od-wróciwszy wzrok od wzgórza, przyjrzał się jej bacznie.

- Chyba nie lubisz o nim mówić - rzucił ostro.

- Właściwie nie mam o czym.

- Nie musisz traktować mnie jak natrętnego pismaka - oświadczył Oliver. - Wiesz, że nie zależy mi na artykule

„Historia ojca autorstwa Anny Severell”. Chciałbym poznać twoje zdanie.

- To chyba jedno i to samo, co? Zresztą ja nie mam zdania.

- Co oznacza, że masz, tyle że nie chcesz się do tego przyznać - podsumował Oliver przyjacielsko-oskarżycielskim tonem.

Annę opanowała fala bezsilnego gniewu, który ogarnia nas, gdy ktoś przedstawia nam rzekomo gruntowną psychoanalizę nas samych, jakikolwiek zaś protest z naszej strony, rzetelnie umotywowany własnymi przemyśleniami, jedynie niezbitcie potwierdziłby jego domysły. Poza tym zbyt często wypytywano ją o Henryka. Niestety, działo się tak, że z chwilą gdy ludziom zdawało się, iż znają ją lepiej niż tylko powierzchownie - dziewczęta w szkole, nauczycielka angielskiego, a nawet, o dziwo, Michał - pytali ją o ojca. A ja, pomyślała, kim ja jestem?

- Życie w jego cieniu musi być dla ciebie niełatwe - powiedział Oliver. - Wielcy ludzie zawsze ciążyą na następnym pokoleniu. A geniusz jest, niestety, samolubny; mam wrażenie, że jesteś tak pochłonięta nim, iż nie pozostaje wiele miejsca na refleksję o sobie. Cóż, to chyba nie jest coś, co przyciągnęłoby jego uwagę.

- Większość czasu spędzam w szkole - odparła z rezygnacją Anna. - Nie zależy mi na tym, by ktoś w szczególny sposób zwracał na mnie uwagę. Nic mi nie jest.

- Za szkołą chyba też nieszczególnie przepadałaś, co? Rozmyślałam o tym od przyjazdu i czuję, że nie dostrzeżesz - albo nie chcesz dostrzec - zagrożeń. Musisz być ze sobą szczerą, bardziej niż większość ludzi, albo dasz się pochłonać. A to byłaby strata.

Annę przeszedł dreszcz. Nie odpowiedziała.

- Oto twój ojciec. Nie jest zwykłym ojcem: jak często z tobą rozmawia, zabiera cię do miasta albo zwraca uwagę na twoje ubranie? Jednocześnie prowadzi życie, które byłoby dla większości nie do przyjęcia, czerpiąc z niego większą satysfakcję niż inni. Cóż, nie będziesz taka jak on, spójrzmy prawdzie w oczy, toteż lepiej odetnij się od tego, inaczej nigdy nie odnajdziesz własnej tożsamości. Nie, nie sprzeczasz się ze mną...

- Chciałam powiedzieć, że on rozmawia... rozmawiał ze mną.

- Wiem, że starasz się w to wierzyć. Od chwili przyjazdu jednak nie było mi dane tego zobaczyć. Jest jeszcze twoja matka. Stawia go na pierwszym miejscu. Uważa, że ty powinnaś robić to samo. Dla niej on stanowi opokę. Zgadza się? Ona cię nie lubi.

Annę przebiegł kolejny dreszcz; Oliver miał zwyczaj wygłaszania zwięzłych opinii, jak gdyby były one prawdami absolutnymi, bezwzględnie wykluczającymi pozostałe stanowiska. Nie zgadzała się z tym, sądząc, że sprawy były o wiele bardziej skomplikowane. Choć może jednak fakt, że Oliver tak silnie wyprowadził ją z równowagi, świadczył o tym, że trafił w sedno. W tym momencie wydało jej się oczywiste - i bolesne - że matka po prostu jej nie lubi. Na ogół nie myślała o takich sprawach, gdyż - podobnie jak inne dziewczęta - pragnęła normalnego domu, zwyczajnych, niczym niewyróżniających się rodziców, którzy dbaliby o swoje dzieci, jak na ojca i matkę przystało. Dlaczego on mi to robi? - pomyślała z rozpaczą.

- Nie wiem, dlaczego cię nie lubi - ciągnął przytłumiony głos. - Wyraźnie grasz jej na nerwach; nie jestem jednak pewien, co tu jest przyczyną, a co skutkiem. Tak czy siak, masz słabszy system obronny i dotkliwiej z tego powodu cierpisz. Twój brat opracował sobie własny sposób zyskiwania miłości na tym jałowym gruncie. Może to świadczyć o jego słabości, nie wiem. Nie on mnie w tej chwili najbardziej interesuje. Tak się, niestety, składa, że sytuacja finansowa nie wymusza na tobie konieczności odejścia z domu. Nie istnieje nic, co powstrzymałoby cię od gnicia w tym ogrodzie i podziwiania geniusza, co? I ostentacyjnego czekania, aż ktoś zechce cię poślubić. Jestem o tobie wystarczająco dobrego zdania, by uważać, iż stać cię na więcej niż po prostu bycie czyjąś żoną. Gdybyś tylko zechciała coś z tym wszystkim zrobić.

Anna poruszyła się na swoim krześle.

- Co się stało?

- Sądzę, że przypisujesz sprawom wyolbrzymione

znaczenie. Tak naprawdę to wcale nie jest tak, jak... jak myślisz. - Rzecz dziwna, najbardziej ubodło ją przekonanie Olivera, że ona nigdy nie dorówna Henrykowi, że zawsze będzie towarem gorszego gatunku, gdyż właśnie do tego sprowadzała się wygłoszona przez niego tyrada. To nie było takie pewne, jej przełom miał dopiero nastąpić, jeszcze mogła zaistnieć - w cieniu Henryka czy nie - w sposób, który wbrew przewidywaniom Olivera nie musi okazać się banalny. Wiedziała o życiu więcej, niż podejrzewał, lecz wobec jego świdrującego wzroku owa wiedza zdawała się nikłym oparciem.

- Czytasz jego powieści? - zapytał.

- Naturalnie - odrzekła Anna, widząc, jak odnotowuje w myśli jej zakłopotanie. Przeczytała wszystkie powieści Henryka tylko raz, możliwie jak najszybciej, powodowana przekonaniem, które zapewne zyskałoby pełne zrozumienie Olivera, mianowicie że zbyt wnikliwa lektura sprawiłaby, iż ona zatraciłaby własną tożsamość. Poza tym do niedawna towarzyszył jej dziecinny, irracjonalny lęk, że ojciec mógł się obnażyć i publicznie zrobić z siebie głupca. Wreszcie, co sugerował sam Oliver, była dostatecznie bystra i wystarczająco podobna do Henryka, aby w produkcie końcowym rozpoznać elementy wykorzystanego surowca, i nie podobała jej się myśl o ojcu uosabiającym tak badawczą i bezlitosną inteligencję. Świadomość tego uniemożliwiała zażyłość. Mimo to, wbrew mniemaniu Olivera, nie zastanawiała się nad tym często i rozmyślnie wyrzekła się myśli o twórczości rodzica. Ostatecznie chyba mieszkali razem wystarczająco długo - od czasu jego powrotu z wojny - by nauczyła się oddzielać pisarza od ojca, prawda? Henryk nie postrzegał siebie jako geniusza. Był miły, łagodny i przyjacielski, o ile tylko nic nie zaprzętało jego myśli. Oliver widział w nim to, co najgorsze; nie chcąc go urazić, powstrzymała się od komentarza.

- Najważniejsze to być szczerym z samym sobą. Tego, że ktoś cię lekceważy, nie zmienisz, udając, że jest inaczej. Możesz sobie kręcić nosem, ale ani przez chwilę nie udawaj, że sytuacja się zmieni, bo to nieprawda. On nie jest jedynym wyznacznikiem norm, musisz określić so-

bie własne, w obrębie swoich możliwości. I nie spodziewaj się po nim zbyt wiele - prócz startu, który ci ofiarował, oraz jego towarzystwa, które nie jest do końca złe i które może posłużyć ci za bodziec. Nie wolno jednak oczekiwać tego, czego nie może ci dać, zainteresowania twoimi zdolnościami czy choćby naturalnej ciekawości. Większość dzieci stanowi przyszłość swoich rodziców, lecz on jest własną przyszłością i wyklucza w niej twój udział. Nie miej mu tego za złe: jesteś Anną, nie córką Henryka Severella. I musisz żyć własnym życiem.

Anna zdobyła się jedynie na ponowny protest. Henryk wcale nie był wobec niej taki bezlitosny.

- Przerażasz mnie - powiedziała.

- Owszem, ponieważ nie chcesz myśleć. Wkrótce jednak pójdziesz po rozum do głowy i zobaczysz, że mam rację. Piszesz coś?

- Nie.

- To dobrze.

- Ale co mam robić? - zapytała Anna, która pod wpływem zawziętej miny Olivera i jego szorstkiego, profesorskiego tonu była skłonna przyznać mu we wszystkim rację.

- Na razie dostań się na uniwersytet. Tam znajdziesz się wśród ludzi, którzy wiedzą, jak świat wygląda naprawdę, i dokonują wyborów takich jak ten, który stoi przed tobą. Odzyskaj wolność, to zobaczysz.

Anna pochyliła głowę nad książkami.

- Nie podoba mi się pomysł, aby to wszystko rzucić. To chyba nie jest takie proste.

- Wręcz przeciwnie. Wystarczy spróbować. Dzisiaj zajmijmy się Matthew Arnoldem...

Henryk znalazł się na nasłonecznionej przestrzeni. Zejście ze wzgórza było bardziej strome niż wejście. Dolina miała zaokrąglony kształt; jej górną część pokrywały kępy paproci oraz porozsiewane tu i ówdzie kamienie, spód zaś porastały drzewa, głównie brzozy. Płynęła tamtędy również wartka rzeczka o dnie usianym licznymi głazami i brzegach spiętych drewnianym mostkiem z poręczą. Po drugiej stronie drzew widniał gąszcz maślano-

żółtych kolcolistów oraz paproci. Na moście stał chłopiec wpatrzony w rzekę. Biwakował w pobliskiej dolinie z przyjacielem i, jak to bywa między dwójkiem ludzi spędzających samotnie wakacje, pokłócili się, w związku z czym posepnie obserwował wodę, żałując, że zdecydował się na ten biwak zamiast wpaść na jakiś lepszy pomysł. Górna krawędź czaszy doliny była niemal pionowa, około dziesięciu stóp skały porośniętej sztywną jak drut trawą. Henryk pojawił się na szczycie tak niespodziewanie, że chłopiec nie miał czasu mu się przyjrzeć - zwalista postać z ramionami falującymi na tle nieba. Bezwiednie wykonał ruch, aby go ostrzec - co z uwagi na odległość i tak nie miało większego sensu - przed gwałtownym uskokiem. Henryk jednak, niebaczny na nic, poślizgnął się na kamieniu i dziko wymachując rękami w celu zachowania równowagi jednym susem znalazł się na dole, niby potężny zwierz, pradawny biały byk, w pełni kontrolując sytuację.

Pochylona głowa oraz skłębiona masa włosów i brody zasłaniająca twarz nadawały mu z daleka przerażający i jakby nieziemski wygląd. Pęd powietrza lub jakiś przypadkowy gest uniósł mu włosy, spiętrzając je po obu stronach głowy na podobieństwo rogów, co dodatkowo potęgowało wrażenie. Cała postać, srebrzyste włosy i biała odzież - uwolniona ze spodni koszula przypominała kolczugę - lśniła, jakby emanując własnym światłem, a nie odbitym blaskiem słońca zawisłego nad wzgórzem.

Chłopca najbardziej poruszyła determinacja, z jaką Henryk brnął przed siebie. Parł do przodu w linii prostej, przesadzając nierówności i przedzierając się przez kolcolist z łoskotem uciekających mu spod stóp kamieni. Kiedy zszedł na dół, co wydawało się ledwie chwilą, w rzeczywistości zaś, mimo tempa, w jakim się posuwał, trwało znacznie dłużej, i skierował się ku rzece, chłopiec uskoczył na bok, szukając schronienia za pnem drzewa. Niewytłumaczalny strach przyprawił go o mdłości; albo mężczyzna podejdzie bliżej, albo skręci sobie kark w rzece, której koryto było w tym miejscu dość szerokie. Z powodu tegorocznych upałów poziom wody był niski,

dzięki czemu przestrzeń pomiędzy brzegami wydawała się nadzwyczaj głęboka i najeżona ostrymi głazami, które połyskiwały oliwkowozielonymi kępkami mchu. Henryk stanął na brzegu, po czym ignorując most, bez namysłu wkroczył jedną nogą do rzeki i opierając stopę na śliskim kamieniu, gładko przetransportował się na drugi brzeg. Otrząsnąwszy się, wyszedł na słońce i ruszył w stronę następnego wzgórza.

Chłopiec mimowolnie przeniósł wzrok w kierunku, skąd nadszedł nieznajomy, chcąc ujrzeć, jaka siła go popychała, lecz słoneczna dolina świeciła pustkami, a horyzontu nie mąciło żadne niecodzienne zjawisko. Ponownie więc skierował spojrzenie na Henryka, który z niezmienną prędkością sunął ku kolejnej przełęczy.

Henryk bał się tego, ku czemu zmierzał czy raczej co go ku sobie ciągnęło. W istocie znał już na tyle swój obecny nastrój, aby móc przewidzieć rezultat wędrówki. W pewnym sensie również mógł nad nim czuwać, wiedział też, po co idzie i jak daleko może zajść. Co więcej jednak, za każdym razem przeżywał wszystko na nowo, co przy jego obecnym, jeszcze w miarę racjonalnym stanie ducha, stanowiło przerażającą perspektywę. Najchętniej dałby za wygraną i spokojnie wrócił do domu, musiał jednak iść przed siebie, wszystko jedno, jak daleko, iść, dopóki nie opuszczą go wszystkie siły - obecnie zaś czuł się niestrudzony.

To, co z upodobaniem określał precyzyjnym, medycznym określeniem jako „ataki wizji”, spłynęło na niego stopniowo, osiągając szczyt, gdy on sam był mniej więcej w wieku Anny. Początkowo przybierało formę niewytłumaczalnej czujności, wyostrenia wzroku; obraz zarejestrowany i utrwalony jako wizualny kamień probierczy, drzewo niczym rozszczepiona i płonąca świeca, uwieńczona trzaskającym płomieniem zielonego światła. Lecz pewnego dnia, na głównej ulicy miasteczka, gdzie mieszkał jako chłopiec, obraz odcisnął na nim niezatarte piętno, uruchamiając niezmienną odtąd lawinę wypadków. Po raz pierwszy ujawniła się wizualna ostrość - twarde kontury, tnące i nieoczekiwane niebezpieczne pęknięcia w chodniku, łososiowe róże i mętne, ceglane czerwie-

nie frontonów domów zgęstniały, zapierając mu dech w piersi. Owe wizje nie sprawiały Henrykowi przyjemności, co obecnie przypisywał swemu ówczesnemu brakowi wiedzy na temat natury zjawiska oraz powodowanym strachem próbom jego zdławienia. W momencie gdy obraz ulegał zmianie, następował po nim oszałamiający przypływ płynącej z wnętrza siły, dzięki czemu, tak jak teraz, wydłużał krok i spychając z drogi wszystko i wszystkich, parł naprzód. Towarzyszyła temu obłądna myśl, czy wzorem Samsona nie mógłby wyrwać z ziemi słupów latarni i osadzić ich głębiej.

Z biegiem lat nauczył się godzić z podobnymi atakami. Odpowiednio wcześniej rozpoznawał symptomy - wyostrenie wzroku, inne niż to, którego doświadczał jako młodzieniec; tym razem był to ostrzegawczy błysk w zielonym szklanym przycisku do papieru, niebezpiecznie urzekający, nieproporcjonalnie istotny. Zaprzestawał pisanania, niezdolny oddać się czynności równie absorbującej i wymagającej; powrócił do swych badań nad wizjonerami, odnajdując w ich sentencjach i opisach nieopisywalnego swego rodzaju zaproszenie oraz inspirację. Później, kiedy ponownie stał się artystą, uznał fragmenty Blake'a za banalne, a niektóre zapiski Coleridge'a za bezsensowne, wówczas jednak wszystko splatało się w jego umyśle, znaczenia tworzyły sieć, której węzłem łączącym były nadchodzące doznania. Wiele o tym rozmyślał, bezwzględnie akceptując zjawisko jako najistotniejszą sferę swego życia. Już przed wojną domyślił się, że owe wizjonerskie chwile stanowią bezpośrednie źródło siły i że jedynym sposobem, aby znaleźć dla nich ujście, jest utrwalić je na papierze w bezlitosnym, manierycznym zapisie, odległym od doświadczeń będących udziałem większości, co rozrzedzi bądź skoncentruje to coś, co znał, do jaskrawej intensywności, z jaką to przeżywał. Przed wojną niezupełnie wiedział, jak tego dokonać; nauczył go tego dopiero pobyt w obozie jenieckim.

Co ciekawe, nigdy nie wypróbował gatunku innego niż powieść - być może w grę wchodziła wynikająca z nieśmiałości potrzeba dystansu, wobec formy dramatycznej, nim w ogóle mógł zabrać głos. Jego myśli ukła-

dały się na kształt epopei wokół ludzi oraz akcji stanowiących całość. Zawsze towarzyszyła mu świadomość, że jego własne, indywidualne doświadczenia nie są najlepszym tworzywem.

Kończąc Cambridge, napisał inspirowaną Hardym³ powieść, rozgrywającą się na wsi, wcale udaną, opublikował ją, po czym odnalazł nową drogę, która na jakiś czas przyniosła mu zadowolenie i w wyszukany styl, przypominającym wczesnego E.M. Forstera, tworzył przypowieści o mocy ziemi, korzystając ze stosunkowo neutralnych środków ekspresji; obecnie, przynajmniej dla większości jego czytelników, bohaterowie tych utworów żyli jedynie na papierze - rolnicy, driady, Apollo, Dionizos, Pan. Mimo powszechnego podziwu ogarniało go przemożne wrażenie, że jego dzieła krępuje pękający w szwach kaftan bezpieczeństwa.

Swą siłę czerpał z tej ziemi, nie potrafił jednak uczynić z Anglii miejsca akcji czy podnieść jej do rangi symbolu. Podziwiał grupę Bloomsbury⁴, choć nie umiał dzielić jej zdystansowanego, niemal z lotu ptaka spojrzenia na kraj i społeczeństwo, jego wymowną obecność. Mimo opinii Olivera, nie miał w sobie dość z dżentelmena, by odnaleźć w tym głęboką wartość; nie chciał pisać o społeczeństwie, a jednak odseparowanie się od niego przysparzało mu niezmiernych trudności. Podobne motywy kryły się za jego wyjazdem do Japonii, gdzie na uniwersytecie nauczał angielskiego i pisał swoje japońskie powieści, historię przymusowego pobytu generała na skalistej wyspie, relację poświęconą jedynie jego walce o przetrwanie, jedną lub dwie śmiałe powiastki na temat duchowej dyscypliny mnichów i żołnierzy oraz studium kryzysu, nie sumienia, lecz świadomości.

³ Thomas Hardy (1840-1928) - angielski powieściopisarz realistyczny schyłku epoki wiktoriańskiej, autor powieści takich, jak „Tessa d'Urberville” i „Juda nieznaną” (przyp. tłum.).

⁴ The Bloomsbury Group - londyńska grupa literacka, działająca od 1904 roku. W jej skład wchodził m.in. Virginia Woolf, E. M. Forster i Lytton Strachey. Krytykowali oni wiktoriańską wizję świata w kwestiach religii, moralności oraz zagadnień społecznych (przyp. tłum.).

Przed wojną powrócił do Anglii, po czym z uwagi na swą znajomość japońskiego raz jeszcze został wysłany na wschód przez armię. Jak się okazało, jego umiejętności nieszczególnie się przydały, gdyż prawie natychmiast został wzięty do niewoli. Zniósł to lepiej niż wielu innych - był silny - teraz zaś unikał jakiegokolwiek wzmianki na ten temat. Mimo to nauczył się czegoś; to właśnie pobyt w obozie przyniósł rezultat w postaci dwu powieści. Wojenne epepeje zwróciły na niego uwagę Olivera, który bez wahania ochrzcił je mianem pełnych tragizmu dzieł sztuki.

Henryk zawsze posiadał osobliwą, geometryczną pamięć wzrokową, grupy obiektów sprowadzały się dlań do rangi pojedynczego symbolu. Teraz, kiedy wędrował wśród setek jaskrawożółtych świateł kolcolistu, na powierzchni dystygowanego angielskiego słońca, płynącego po przejrzystym niebie niczym dystygowany angielski anioł, emanujący siłą i spokojem, widział drugi gniewny, miedziany krąg, tańczący obłąkańczo po nieboskłonie pociemniałym złudną obietnicą burzy. Oba zdały mu się niczym wlot stożka, którego środek przemierzał, deptając paprocie i darń, tam i z powrotem w słupie słonecznego reflektora, wśród unoszącego się wokół brunatnożółtego pyłu. Widzieć je razem oznaczało przydanie im dodatkowej mocy. Szedł coraz szybciej, wprawiając w ruch całe ciało. Gdyby teraz znieruchomiał albo podniósł wzrok, sytuacja by go przerosła.

Wspiał się na kolejne wzgórze, z którego zszedł w głąb doliny, gdzie wzdłuż wysokiego ogrodzenia z białawego kamienia, otaczającego czyjaś posiadłość, biegła droga. Robiło się późno, lecz wciąż w oddali miał przed sobą jaśniejące wzgórze.

Poszedł na skróty drogą; wysypano ją smolistym żwirem, w który pod wpływem upału wstąpiło życie. Tu i ówdzie iskrzył się i wybuchał, od czasu do czasu rozlegał się cichy syk w miejscu, gdzie zaokrąglony pęcherz smoły wznosił się, pękał i znów opadał. Na obrzeżach drogi, tam gdzie żwiru nie pokrywał kurz, szlak odbijał światło pełzające wraz z nim wzdłuż stopionej powierzchni. Henrykowi droga nie przypadła do gustu: choć opustoszała,

ku jego irytacji przypominała mu Oliverowski sposób widzenia świata, świata jako obrazu wciśniętego w ramy pozostawiającej niedosyt, dopracowanej schludności. Poza tym szło się po niej zbyt łatwo; jedyną przeszkodę stanowiła tylko lepkość smoły. Przeciął więc drogę, oparł jedną rękę na szczycie ogrodzenia, podskoczył i zawiśnięwszy na nim na chwilę, powoli podciągnął się do góry, usiadł okrakiem na murze i już był po drugiej stronie, mając przed sobą rozciągający się milami wiejski krajobraz, łagodne pochylenie terenu oraz liczne pagórki w oddali, ku którym skierował kroki, przedzierając się przez poszycie i mijając okoliczne drzewa. Zgiął się w pół i stwierdził, że wspinaczka nie pozbawiła go sił. Jego włosy i brodę zraszał jednak pot, a koszula zwilgotniała, tracąc nieco ze swej pierwotnej bieli. W swoisty sposób było go mniej niż wtedy, gdy wyruszał w drogę.

Kiedy zapadł wieczór, od domu dzieliło go wiele mil. Po drodze minął zbiornik wodny, większy niż staw, mniejszy niż jezioro, który przebrnął w bród, zmuszony do przepłynięcia krótkiego odcinka pośrodku. U kresu podróży odbył batalię z długimi, lepкими wodorostami, które oplótłszy jego ciało, poderwały się z dna i uniosły za sobą kłęby czarnego mułu, pozostawiając na rękach, brodzie, koszuli i spodniach Henryka nieregularne kleksy czerni, zieleni i szarości. Błoto zasychało na skórze, tworząc pękającą po zaschnięciu skorupę. Z hałasem brnął przed siebie, tym razem mniej widoczny, z wyjątkiem białej korony głowy, jak gdyby celowo pragnął zamaskować swą obecność. Obejrzał się na wodę, wzdłuż spłaszczonej, białej i lustrzanej powierzchni której rozciągały się pozostawione przez niego gasnące wstęgi i pofałdowania, z pluskiem rozbijające się o szuwary. Na jego oczach słońce opuściło taflę, przez co białawe lustro nabrało głębi i pociemniało, tchnąc nieoczekiwanym chłodem; niebo przybrało odcień nasyconego błękitu, który przeszedł w gęstniejącą szarość. Henryk wyszedł na leżący ugięciem teren - splecione paprocie porastały płaski, pobrużdżony i gdzieniegdzie podziurawiony grunt, spiętrzony tu i ówdzie w nienaturalne pagórki po-

marańczowo-szarej, gliniastej ziemi, poprzecinanej śladami maszyn. Zauważył, że podjęto tu próbę zagospodarowania terenu leśnego - wokół leżały powalone pnie martwych drzew, smutno zwieszając wyschnięte, splątane korzenie. Przeciwnie końce pni straszły bezkrwawymi ranami precyzyjnie amputowanych koron. Korę wciąż porastały szare i żółte kępki gęstego mchu oraz soczyste zielone porosty, chwytające pierwszy brzask księżyca, który rozsnuwał zimne światło nad tym krajobrazem spustoszenia. Henryka opuściła perspektywa, rozpadliny i pęknięcia rozwarły się w jego oczach jak kratery; puścił się między nimi biegiem w swych mokrych butach, zdjęty panicznym strachem nie przed tą ciemnością, lecz inną. Zawsze wiedział, że najgorsze byłoby, gdyby stracił kontrolę, ugrzązł w wizji krzyczącej nie ukrytym znaczeniem bądź nadmiarem, lecz czym innym, świadomością nicości, wciąż dostatecznie obecnej, by słać ostrzeżenia w głąb sfery, w której bezustannie przebywał.

Dotarł do szlaku biegnącego pomiędzy dwoma wysokimi nasypami, na których szczytach rosły strzeliste drzewa z blaskiem księżyca osiadłym na liściach. Droga prowadziła do ociążałych od zboża pól, pomimo chłodu nocy roztaczających dokoła ciepłą woń, pól łagodnej zieleni i bladego złota, okolonego drzewami.

Henryk ruszył przed siebie w strefie cienia i zboże zakołysało się w obie strony na kwadracie otwartej przestrzeni, kłosa z westchnieniem oparły się o siebie, zmieniając kolor od szarości, poprzez słomianą żółć do szklistego złota. Ogarnęło go złudzenie, że towarzyszą mu inni wędrowcy, perłowoszare postacie, przewyższające wzrostem ludzi i emanujące własnym światłem. Ich nieprzeliczone rzesze wyminęły go i uniosły się ponad żywopłotem. Przesadziwszy bramę, znalazł się na jeszcze rozleglejszej przestrzeni, stąpając po szczeciniastych szpikulcach zżętego zboża, tamci zaś maszerowali przed nim rzędem wśród snopów, pozostawiając na kłosach białe pasma światła niczym gniazda lub włókna ślimaczego śluzu.

Uspokojony nieobecnością słońca Henryk podążył równym krokiem za nimi. Potencjalnemu obserwatorowi wydałby się komiczny, z białą czapą włosów, zaschniętymi strugami błota i uwięzłymi na spodniach wodorostami, które w blasku księżyca odzyskiwały swą naturalną barwę. Pomędzy wiązkami siana, niemal bezcielesnymi klatkami światła, nasunęła mu się myśl o Józefie; metalowe opiłki gwiazd obsypały niebo. Jakież to było aroganckie i wymyślne, przyszło mu do głowy, i jak bardzo nie chciałby znaleźć się w sytuacji, gdy słońce, księżyc oraz gwiazdy i snopy kornie chyłą się przed nim, oddając mu cześć. Co za odpowiedzialność i jaka niedogodność, gdy świat wyznacza nam w ten sposób pozycję względem innych. Józef miał też zawsze rację po swojej stronie, piekarz, podczaszy, faraon, jego rodzina, żona Putyfara, słońce, księżyc i snopy, wszystko przychyliło się do jego zdania i świadczyło o jego nieomyślności. Może dałoby się osiągnąć podobny stan rzeczy, o ile mogło to stanowić rzeczywisty przedmiot pragnień. Henryk porzucił myśl o Józefie; proroctwo nie było jego domeną, pochylone snopy zaś podobały mu się w obecnej postaci, emanujące własnym napięciem i światłem, niemające z nim nic wspólnego. Było bardziej prawdopodobne, że położy się przy nich, by nigdy nie wstać, a one opuszczają swe kształty, kładąc się w poprzek jego człowieczej ścieżki. Gdyby tak się stało, niestety, przestałby być sam. I dlatego nie dowiedziałyby się; zbyt pochłaniałyby jego uwagę.

Teren stał się bardziej płaski i przewiewny; po prawej majaczył zarys pagórka pokrytego uroczo zwartymi, kulistymi zaroślami o barwie nasyconego bursztynu, musniętego czerwoną poświatą miesiąca. Księżyc wyznaczył przed wędrowcem ścieżkę, którą ten udał się posłusznie, chwilowo uwolniony od przymusu wspinaczki. Pozostawił za sobą szlak czarnego pyłu: jeszcze nie wiedział, jak daleką pozostało mu przebyć drogę.

Nieobecność Henryka zakłóciła wakacyjny nastrój; Karolina czuła, że zniknięcie męża wypadło nie w porę, choćby dlatego, że wszyscy instynktownie zaczęli wyciekiwać jego powrotu: snuli się w pobliżu okien, zbyt często kierując spojrzenia na rysujące się ponad ogrodem wzgórze. Choć zatroskana o jego bezpieczeństwo, wołała traktować te ucieczki jako podróże w interesach, z których przywoził materiał na jedną lub dwie powieści. Pragnęła, by pozostali zachowywali się z podobnym dystansem. Zwłaszcza Anna, która po dwóch czy trzech dniach nieobecności ojca stała się nie do zniesienia, opuszczała lekcje z Oliverem i zbywała pytania na temat postępów w nauce, mówiąc, że oszukiwali się, sądząc, iż coś z niej będzie, i że to wszystko nie ma sensu. Oliver również nie krył napięcia i obnosił się z aurą niewypowiedzianej krytyki.

Kiedyś przy kolacji rzucił:

- Muszę powiedzieć, że przyjmujecie to wszystko bardzo spokojnie. Skąd wiecie, że nie skręcił sobie karku?

Anna oszczędziła Karolinie krępującej konieczności obrony, wołając:

- Odczep się od niego, przestań nas wreszcie poniżać!
- I zalawszy się łzami, zerwała się od stołu.

Karolina przeprosiła Olivera za brak manier córki, przez co nie musiała nic wspominać o jego własnych.

Skorzystała z okazji, aby posprzątać w gabinecie Henryka, a przynajmniej odkurzyć go i zamieść podłogę, starając się przy tym nic nie ruszać. Na szczęście po powrocie raczej nie będzie potrzebował tych wszystkich świstków. Następnie przystąpiła do innych zaległych czynności, takich jak uzupełnienie zapasów, mycie i przesuwanie przedmiotów, aby gdy Henryk wróci, mogła bez przeszkód się nim zająć. Przypomniała sobie o puszkach płynnego nawozu, które kupili okazjnie od Jana Ellisa, właściciela stajni; od czasu zniknięcia Henryka nie miał ich kto odebrać. Pomyślała, że byłoby to wymarzone zajęcie dla krnąbrnej córki, i niezwłocznie poszła do ogrodu, żeby jej poszukać.

Anna siedziała z Oliverem przy stole, co było obiecujące. Mimo to, idąc przez trawnik, Karolina usłyszała, jak Oliver zadaje córce trzy pytania i na żadne nie uzyskuje odpowiedzi. Wyglądało na to, że Anna uparcie obstaje przy swoim.

Karolina podeszła bliżej i powiedziała:

- Jeśli jesteś zajęta, nie chcę przeszkadzać, czy nie mogłabyś jednak w wolnej chwili odebrać puszek od Ellisa... wiesz, o jakie puszki chodzi. Jeśli zapomniałaś, Ellis ci powie.

- Anna jest trochę zmęczona - wtrącił Oliver. - Przerwa dobrze jej zrobi.

- Nigdzie nie pojadę - odparła Anna. - Przykro mi.

- Anno.

- Niech pojedzie ktoś inny.

- Ja pojadę - zaofiarował się Oliver. - A Anna pojedzie ze mną. Nie bądź niemądra, Anno.

- Nigdzie nie pojadę - powtórzyła Anna.

Karolina stała obok, bawiąc się kluczykiem od samochodu. Gdzieś w głębi poczuła irytację, że ten intruz rządzi jej dzieckiem, zrozumiała jednak, że w ten sposób osiągnie swój cel: oboje znikną jej z oczu. Oliver rzucił dobrze znane spojrzenie Karolinie w kierunku wzgórza, za którym zniknął Henryk.

- Dlaczego? - zapytał. - Dlaczego nie pojedziesz?

Anna kręciła się pod jego spojrzeniem, jak gdyby patrząc dostatecznie długo, mógł odgadnąć rzeczywistą przyczynę jej odmowy.

- Jest za gorąco - rzuciła nedorzecznie, po czym dała upust dziecinnej złości, która narastała w niej od dłuższego czasu: - Ciekawa jestem, kiedy będę mogła nazwać swoje życie własnym.

- Odpowiedź brzmi „nigdy”, a skoro jeszcze nie dorostaś na tyle, aby to zrozumieć, najwyższa pora. Uczę młodzież wystarczająco długo, by przyzwycząić się do podobnych ataków szczeniackiego buntu, nie mogę jednak powiedzieć, że za nimi przepadam. Nie widzę też powodu, dla którego miałbym je znosić. Dlaczego nie chcesz pojechać? Podaj mi powód; czy jest tam ktoś, kogo wołałabyś unikać? Powód to powód, jestem w stanie to zrozumieć. Mam nadzieję, że postępuję fair. No, mów dlaczego.

- Nie rozumiem, po co mam jechać, skoro jedziesz ty.

- Ponieważ nie znam drogi, ponieważ zmiana otoczenia dobrze ci zrobi, ponieważ jeśli cię zostawię, pograżysz się w tych swoich rozmyślaniach, i ponieważ po drodze możesz przedstawić mi swoje refleksje na temat związku pomiędzy literaturą a moralnością. Oto całe mnóstwo powodów. - Wstał i wziął od Karoliny kluczyki. - Idziemy.

Anna wstała i ruszyła za nim, nie patrząc na matkę, która powiedziała:

- To nie potrwa długo. - I stała nieruchomo pośrodku trawnika, odprowadzając ich wzrokiem. Ogarnął ją pewien niepokój, jak gdyby ktoś próbował za nią załatwić jej sprawy. Od tej chwili jej uczucia wobec Olivera przeordziły się w zdecydowaną antypatię.

- Widzisz, mówiłem, że cię nie lubi - oświadczył w samochodzie Oliver. - Nic jej nie obchodzi, co do ciebie mówię, prawda?

- **Pewnie** uważa, że masz rację.

- To niczego nie zmienia. Powinna zaprotestować, kiedy ci rozkazuję. Wyobraź sobie, jak by się zachowała, gdyby na twoim miejscu był Jeremi.

- Po co ciągle do tego wracasz? - zawołała Anna. - Co próbujesz osiągnąć?

- Chcę, żebyś wreszcie podjęła decyzję - odparł Oliver. Gwałtownie przerzucił bieg i zaklął pod nosem. - I przejrzała na oczy. Którędy mam jechać?

- W lewo.

- Dobrze. Nadal go nie ma. Czy wy się w ogóle nie martwicie?

- Nie.

- Ciekawe dlaczego. Te notoryczne ucieczki wyglądają mi na rodzinną tradycję. Nie podoba mi się to. Mam rację? Próbowowałaś go naśladować?

- Zadawanie podobnych pytań - odburknęła Anna tak nieuprzejmie, jak tylko potrafiła - nie prowadzi do uzyskania odpowiedzi. Myślałam, że już to do ciebie dotarło. Skręć w prawo, to droga dla wozów. Może wobec tego wrócimy do literatury i moralności? - Często z własnej inicjatywy nawiązywała do lekcji, aby tylko uniknąć ostrych „psychologicznych” pytań Olivera, dotyczących przyczyn jej eskapady, przyszłości i tym podobnych.

Farma i stajnie Ellisa znajdowały się na skraju długiej, wąskiej drogi. Anna wskazała Oliverowi kierunek, mówiąc:

- To tam. Możesz zaparkować na poboczu. Dalej musisz iść na piechotę.

Oliver posłusznie zatrzymał auto, po czym wychylił się z okna i zajrzał przez gałęzie żywopłotu.

- Przecież mogę dojechać - rzekł.

- Owszem. Mieści się tam nawet traktor. Sęk w tym, że z uwagi na konie nie lubią tu samochodów; poza tym w przypadku spotkania z traktorem czy przyczepą mogłoby się okazać zbyt ciasno.

Gdyby wybrała się sama, na pewno podjechałaby bliżej, gdyż nie była dość silna, by przydźwigać puszki na taką odległość. Teraz jednak powtórzyła:

- Nie lubią tu samochodów. - I chcąc uniknąć dalszych komentarzy, wysiadła z auta.

Oliver siedział przez chwilę przy włączonym silniku, bębniąc palcami, po czym wyjął kluczyk ze stacyjki i podążył za Anną.

Droga prowadziła nieco w górę, zwężając się pomiędzy wysokimi żywopłotami głogu, z których zwisały długie, splecione pasma siana pozostawione przez przejeżdżające wozy, oraz połamane gałązki, naruszone masyw-

ną sylwetą traktora. W ziemi po obu stronach widniały głąbokie koleiny, wypełnione zaschniętym błotem ze śladami niezliczonych kopyt, pośrodku zaś biegł porośnięty trawą odcinek. Wokół unosiła się woń kurzu i schnącej trawy. Anna, która bez patrzenia potrafiła wskazać każdą bruzdę i zagłębienie, szybkim krokiem ruszyła koleiną, obserwując, jak pył gromadzi się pomiędzy palcami jej obutych w sandały stóp. Maszerowała równie szybko jak ojciec, w podobny sposób wysuwając głowę. Nie czekała na Olivera i po chwili spostrzegła, że pozostał w tyle.

- Co to ma być, wyścig? - dobiegł zza jej pleców cichy głos.

Obróciła się na pięcie.

- Idę za szybko? Przepraszam.

Oliver, w swoich czarnych butach mieszczucha, dogonił ją i rzucił bez tchu:

- Chciałbym swobodnie się rozejrzeć, to wszystko. Dla was, Severellów, spacer to rozgrywka z terenem. Po co ten pośpiech?

- Wcale się nie śpieszyłam. Chyba po prostu tak właśnie chodzę. To męczące dostosowywać się do czyjegoś tempa.

- Jasne - odpowiedział Oliver. - Czy nie moglibyśmy pójść na kompromis? Wolałbym wyglądać jak człowiek. - Spojrzał na nią nieruchomym wzrokiem i dodał, na wpół karcąco, na wpół przepraszająco: - Przepraszam, że zmusiłem cię do przyjazdu, chociaż nie miałaś na to ochoty.

- Nieważne. - Odwzajemniła jego spojrzenie.

Był spocony, prawie parował; jego twarz lśniła, miał na sobie za grubą odzież i wyraźnie źle się w niej czuł. Po raz pierwszy widziała go na przegranej pozycji, dzięki czemu zdołała wykrzesać z siebie odrobinę przyjaznych uczuć. Oliver wyciągnął dłoń; przyjęła ją. Kiedy dotarli razem do bramy, wciąż trzymali się za ręce.

Dziedziniec był duży i brukowany kamieniami, wśród których soczyście zielenił się mech. Obok koryta z wodą ustawiono wysoki zbiornik. Teren ogradzał ceglany mur, wyblakły do barwy w niczym nieprzypominającej nowszych, pomidorowoczerwonych cegieł. Jego szczyt wień-

czyły szarozielone kamienne płyty. Anna i Oliver zajrzeli przez bramę, po bokach której spoczywały dwa identyczne kamienie, niczym głowy potężnych figur szachowych. Po przeciwnej stronie znajdowały się boksy pokryte granatową farbą, spłowiałe, lecz wciąż schludne. Dokoła było pusto i słonecznie; jedyny odgłos wywoływał sporadyczny ruch konia w którymś z boksów; towarzyszył temu zgrzyt metalu o kamień.

Po lewej stronie, przywiązany do zamocowanego w ścianie pierścienia, stał wielki czarny wałach, ciężki i potężny. Zwiesił głowę, na wpół drzemiąc. Na jego widok Anna uwolniła rękę i przecięła podwórko. Oliver, z dłońmi splecionymi na plecach jak Napoleon, podążył za nią.

- Ładne miejsce - zauważył. - Niektóre konie żyją lepiej niż ludzie, nie uważasz? Może tak powinno być, ale to przynajmniej jakieś spostrzeżenie, prawda? W Londynie na pokój wielkości tego boksu przypada osiem osób. Sam widziałem. Duży pokój w domu, gdzie przyszedłem na świat, był niewiele większy.

Anna zastanowiła się przelotnie, kiedy i dlaczego zaczął odwiedzać slumsy; istniało tyle rzeczy, których o nim nie wiedziała. Ledwie tu przyszedł, już przewraca wszystko do góry nogami, burząc cudzy system wartości.

- A co ty byś zrobił? - zakpiła z daleka, wiedząc, że nie znajdzie na to precyzyjnej odpowiedzi.

- Wystrzelałbym konie - odparł żartobliwie. - Zacząłbym od sedna sprawy.

Spostrzegła, że z rozbawieniem obserwuje jej wzburzenie.

- Chyba nikogo tu nie ma - dorzucił zdawkowo. Stąpawszy na środku dziedzińca, rozejrzał się wokół. - Ładne zwierzę. Nie powiem, żebym znał się na koniach.

- To Czarodziej - poinformowała go Anna, podchodząc do zwierzęcia, po czym znów się cofając. - Wygrywa w wyścigach plenerowych, w skokach też jest dobry, ale nie można na nim polegać; bywa narowisty.

- Jeździsz na nim?

- Nie, to znaczy, kiedyś jeździłam, ale wylądowałam pod drzewem. Jestem dla niego za słaba.

Oliver wybuchnął głośnym śmiechem, jakby jej odpowiedź rzeczywiście go rozbawiła. Wyglądało na to, że nie ruszy się z miejsca. Jego śmiech rozniósł się po kamiennym dziedzińcu; koń łypnął okiem i Anna wystraszyła się.

- Pan Ellis jest pewnie w wozowni - powiedziała, z trudem powstrzymując się, by nie szarpnąć Olivera za rękaw. - O ile nie wyjechał. Pójdziemy zobaczyć? Lepiej się pośpieszmy...

- Ci Severellowie - mruknął Oliver, idąc za nią. - Nic tylko mnie popędzasz. Zapomniałaś, że lubię się rozejrzeć? Na co dzień nie widuję koni. Wspaniała angielska przeszłość sprowadzona do...

- Proszę! - przerwała mu Anna.

Schyliwszy głowy, weszli do pomieszczenia na końcu szeregu boksów znajdujących się po prawej stronie. Wozownia na pierwszy rzut oka wydawała się pusta. Anna odetchnęła z ulgą. Gdyby on tu był, na pewno by go zauważyła. Z niezadowolaniem stwierdziła, że drżą jej ręce.

Okazało się, że w kącie, w głębokim skórzanym fotelu śpi Jan Ellis. Był to nieduży człowieczek o ogorzałej twarzy; krótkie nogi w bryczesach skrzyżował równo na wysokości głowy i oparł o szklaną gablotę, zawierającą wstążki, rozety i puchary. Dokoła niego, na podobieństwo lian, zwieszały się z sufitu uzdy rozsiewające zapach mydła do skóry oraz wosku. Pomiedzy nimi połyskiwały nakładki i łańcuchy oraz splecione rzemienie i trofea myśliwskie. Ellis cicho poświstywał przez nos.

Świat stajni stanowił jedyne spośród dziecięcych umiłowań Anny, któremu miała nadzieję oddać się bez reszty. Kochała konie, istoty piękne i miłe w dotyku, ciche i, w przeciwieństwie do ludzi, wyzbyte jakichkolwiek oczekiwań. Było to coś więcej niż tylko świadomość, że dziewczyna w jej wieku powinna wykazywać zainteresowania akurat w tym, a nie innym kierunku. Dotykała mydła do siodeł i gąbki z nabożną czcią nowicjusza mającego dostąpić uroczystej ceremonii; przyswajała sobie ezoteryczny słownik jeździectwa z zapamiętaniem adepta wiedzy tajemnej. Naturalnie jednak, pomyślała teraz, czując, jak pod wpływem mrocznej woni pomieszczenia na powrót ogarnia ją nostalgiczny czar,

nigdy nie zdołała dostąpić wtajemniczenia i stać się częścią tego świata. Samo przestrzeganie rytuału nie decydowało o przynależności dopóty, dopóki ów rytuał nosił znamiona widowiska: należało go wchłonąć i rozpracować od środka, czego nigdy nie osiągnęła. W przypadku jeździectwa sytuacja przedstawiała się gorzej niż z innymi, bardziej estetycznymi rytuałami, gdyż w znacznym stopniu opierało się ono na praktyce, zdrowym rozsądku oraz tężyznie fizycznej. Etos książek przygodowych, z centralną postacią dziewczyny-sowizdrzała, bezlitośnie wykpiwający sentymentalizm i wrażliwość, przemawiał przeciwko niej.

Ona pełniła rolę obserwatora tak świadomego drobnych rytuałów, podszytych obłudą szkolnych podwieczorków i modlitw, że tutaj, gdzie powinna z wdzięcznością czerpać garściami to, co jej dawano, stawała wbrew samej sobie. Rozkosz, z jaką pieściła uzdę, poprawiała kłamrę czy przesiewała palcami owies i otręby, stała się jej przekleństwem. Wyzaczyła sobie niemożliwe standardy; uznała, że nie przystoi radować się szybką jazdą na ujeżdżalni - na podstawie zasłyszanych informacji hołdowała przeświadczeniu, że należy koncentrować się jedynie na czekającym ją skoku i ewentualnej nagrodzie. Mimo to umykała jej praktyczna nuta w rozmowie i choć z przyjemnością przysłuchiwała się debatom na temat kolek, łubek i łogawizny, częściowo z uwagi na tę przyjemność nie czuła się na siłach, by w nich uczestniczyć. Jan Ellis uważał, że Anna świetnie jeździ konno, i często prosił, by zamiast niego pokazywała konie, lecz podświadomie traktował ją jak mieszkankę innego świata, która jedynie dla zabawy gości w świecie zamieszkanym przez niego. Anna pragnęła, by szanował ją za to, co robi - dziecko jeżdżące dla zabawy dysponuje wachlarzem przeróżnych rozrywek, a jego celem jest życie pełne najrozmaitszych wartości; jazda konna stanowi tylko miły przerywnik. W dzieciństwie nie zaznała wielu przyjemności - dzięki dokładnym przemyśleniom zyskała w tej mierze absolutną pewność - zarazem jednak nie dane jej było również doświadczyć życia, przez co nie przysługiwał jej nawet status obserwatora. Ostatnio, kie-

dy unikała stadniny ze względu na obecność Jeremiego i z powodu Michała, te kwestie zeszły na dalszy plan.

Przykucnąwszy na kaflowej podłodze obok Ellisa, nieśmiało dotknęła jego kolana. Obudził się natychmiast i bez zdziwienia popatrzył na nią z uśmiechem.

- Panie Ellis... przepraszam, że przeszkadzam...

- Anna Severell. Proszę, proszę. Już myślałam, że na dobre nas opuściłaś. Co się z tobą działo? Jeremi jest u nas częstym bywalcem... doskonale mu idzie... a ty przepadłaś jak kamień w wodę. Pewnie miałaś coś lepszego do roboty, co?

Anna uśmiechnęła się. Należał do nielicznej garstki ludzi, których darzyła autentyczną sympatią.

- Przygotowuję się do egzaminów. Wie pan, jak to jest.

- W środku lata? A cóż to za egzaminy?

- Och, nieważne, nie ma o czym mówić.

- Ładnie wyglądasz. Bardzo ładnie, jeśli wolno mi stwierdzić.

Anna zaskoczona zamrugała powiekami; przypomniała sobie, że nigdy nie widziała go inaczej niż w bryczesach i gdyby przed przyjazdem tu pozwolono jej chwilę pomyśleć, uznałaby wizytę w spódnicy za nie na miejscu. Niemniej jednak komplement pochlebił jej i jednocześnie zbił ją z tropu.

- Nie tylko mnie było ciebie brak. Młody Michał Farne wpada tu prawie codziennie i zawsze wypytuje: „Gdzie Anna?”, „Dlaczego nie przyszła?”.

- Michał... - powtórzyła Anna jak we śnie. - Michał... naprawdę?

- A jakże - potwierdził z zadowoleniem Ellis. - Mówi: „Nie rozumiem, co w nią wstąpiło”. Muszę mu wspomnieć o tych egzaminach, na pewno chciałby to usłyszeć.

Anna opuściła głowę, tak by włosy zasłoniły jej twarz, i zacisnęła ręce na podołku. Zza stosów uprząży dobiegł stłumiony kaszelek, co uprzytomniło jej obecność Olivera.

- Och - powiedziała. - Przepraszam. Na śmierć zapomniałam.

- Nic nie szkodzi - zapewnił Oliver, postępując do przodu.

- Panie Ellis, to mój... to jest... to jest pan Canning, jest u nas gościem. Przyszliśmy po puszkę.

Opuściwszy nogi na podłogę, Ellis wytarł ręce w spodnie i wyciągnął dłoń do Olivera.

- Jak się pan miewa? Nie zauważyłem pana. Najmocniej przepraszam.

- Nic nie szkodzi - odparł Oliver.

- Przyniosę puszkę z domu. To niedaleko. Pozwoli pan, że pomogę...

- Ależ...

- Ja pomogę - zaofiarowała się Anna. - To moja wina, powinniśmy byli pana uprzedzić, to niemiędzy z naszej strony.

- Wykluczone. Są dla ciebie za ciężkie. Zostań tu, a jak ktoś przyjdzie, powiedz, żeby zaczekał. We dwóch damy sobie radę. Proszę tedy, panie...

Anna wybiegła za nimi na dziedziniec i patrzyła, jak wychodzą przez bramę za stajnię. Dom i gospodarstwo leżały w pewnym oddaleniu od stadniny. Anna przez chwilę stała na podwórku, spoglądając na Czarodzieja, po czym cofnęła się do wozowni i znalazła jego zgrzebło. Powoli zaczęła czesać konia i przyciskając twarz do jego żeber oraz wciągając w nozdrza ciepły zapach zwierzęcia, kolistymi ruchami obu rąk masowała jego boki i zad. Przyzwyczajony do niej koń z przyjemnością poddał się tym zabiegom i trąciwszy ją nosem, rozluźnił się niezgrabnie, napierając na dziewczynę ciałem. Żar słońca, woń zwierzęcia i rytmiczne ruchy stopniowo zrobiły swoje; Anna przymknęła oczy i oddała się sennym rozmyśleniom. Z rozmarzenia wyrwał ją niespodziewany ruch konia, który odsunął się, wydając stłumiony dźwięk.

Oślepiąca słońcem, przestała cokolwiek widzieć; dziedziniec, przyciemniony niczym negatyw, rozkołysał się na wszystkie strony, ledwie widoczny spoza wirujących jej przed oczami świetlistych kręgów. Znajoma postać przecięła plac, złocista głowa na złocistej szyi, wystającej z kołnierzyka błękitnej koszuli. Oto Michał, prawdziwy Michał, w samym środku lata i dziewczęcych marzeń. Obraz znieruchomiał i dziedziniec na powrót stał się kwadratem bladego słońca. Pozbawiona tchu,

odłożyła szczotkę na murek i po chwili wahania usadowiła się obok niej. W tej pozycji czuła się bezpiecznie.

Michał wyciągnął złocistą rękę do konia, który pochylił łeb i trącił ją radośnie miękkimi wargami.

- Witaj, Anno - powiedział chłopak. - Dawno cię nie widziałem.

- Szczotkowałam go. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. - Ledwo starczyło jej siły, by wypowiedzieć ostatnie zdanie do końca. Poczowała, jak żołądek wędruje jej do gardła.

- Szczęściarz. Uwielbia to, zmysłowa bestia. - Michał klepnął konia w szyję; przez skórę zadowolonego zwierzęcia przebiegł dreszcz.

Nastała dłuższa chwila ciszy. Anna mimowolnie zastanowiła się nad tym, jak zapamięta to spotkanie.

Michał powiedział:

- Minęło dużo czasu...

- O tak.

- Teraz prawie wcale cię nie widuję.

- Nie.

- Zupełnie nie wiem, dlaczego...

Anna uparcie trzymała się zasady, aby pewne sprawy - sprawy istotne, takie jak pocałunek Michała - pozostawały niewypowiedziane, tak jakby w ogóle nie miały miejsca. Należało zachowywać się jak gdyby nigdy nic; być może właśnie to zdumiewało go w niej najbardziej. Przyciśnięta do muru twierdziłaby, że byłoby nieładnie przypominać mu coś, co prawie na pewno dawno wymazał z pamięci. Lecz istotna przyczyna, owo pragnienie zatarcia śladów, tkwiła w niej samej, choć nie sposób było wyłonić jej motywów.

Rzuciła pośpiesznie:

- Musiałam pracować; uznali, że powinnam przystąpić do tych głupich egzaminów. Poza tym od dłuższego czasu mamy gości. Sam rozumiesz.

- Tak - odparł Michał. - Sądziłem jednak... no wiesz, dawniej ciągle tu przesiadywałaś. Pomyślałem więc, że to ma coś wspólnego ze mną.

- Ależ skąd - zapewniła żarliwie Anna.

Michał przyjrzał się jej, marszcząc szerokie brwi.

- Dziwna jesteś. Nie rozumiem cię. Wiele o tobie myślałem - oświadczył.

- Ach tak.

- Poza tym... - dorzucił - ...nie mogę cię rozgryźć. Przy tobie człowiek nigdy nie wie, na czym stoi.

- Ach tak - powtórzyła Anna, do której raptem dotarło, jak bardzo się ośmielił.

- Jeżeli... jeżeli cię zdenerwowałem, czy coś takiego, nie możesz nie przychodzić tu z mojego powodu. To znaczy... wtedy nigdy nie wiadomo, o co tak naprawdę chodzi... To jest, wolałbym, żebyś tego nie robiła. Jeśli...

Anna nie odpowiedziała, próbując dogonić własne myśli. Zgodnie z jej przeświadczeniem, Michał powinien wykazać beztroskę, pewność siebie, ba, nawet odrobinę bezwzględności; dzięki temu łatwiej można go było podziwiać. Nie bardzo wiedziała, co począć z jego rozterką; wprawdzie dodawała ona otuchy, ale jednak w jakiś sposób umniejszała mężczyznę w oczach Anny. Dając mu szansę wyjścia na prowadzenie, powiedziała:

- Nie, nie, ty nic nie rozumiesz. Po prostu bałam się, że nie będziesz chciał mnie widzieć.

- Ale *dłaczego?* - prawie krzyknął.

- Cóż, myślałam... - Anna zawahała się.

Michał nieoczekiwanie uśmiechnął się czarująco i otoczył ją ramieniem.

- Wobec tego wszystko w porządku. Zgoda? Nic się nie stało, prawda? Tylko zmarnowaliśmy ładną pogodę. Znowu będziesz przychodzić?

- Tak - odrzekła. - Chciałabym.

- Tęskniłem za tobą - powiedział po prostu z tak szczerym, uszczęśliwionym i pełnym nadziei uśmiechem, że wątpliwości Anny rozplynęły się bez śladu.

Oczami wyobraźni ujrzała możliwy dalszy ciąg. Mogła być normalną dziewczyną i mieć swojego chłopaka, tak jak inne. Wyobraziła sobie wspólne dni, spędzone na spacerach i konno. Okazał na jej widok taką radość, że zwykła obawa przed chociażby *rozmową* wydała jej się odległa i niedorzeczna. Mieli sobie tyle do powiedzenia i łatwość, z jaką im to przychodziło, tylekroć przewyższała adorację na odległość. To było prawdziwe, cokolwiek

to słowo oznaczało. Ostatnia myśl obudziła w niej echo innego głosu, który niewiele myśląc, stłumiła.

- Wiesz, że nigdy nie widziałem cię inaczej niż w džinsach? - powiedział Michał. - Ładnie wyglądasz. Tak jakoś inaczej, ale ładnie.

- To przez gości - rzuciła lekceważąco Anna. Machinalnie zanurzyła palce we włosach.

- To żaden wstyd wyglądać kobieco, bez względu na przyczynę - oznajmił Michał, siadając obok niej i przygarniając ją do siebie.

Zapadła cisza, której towarzyszył uścisk; Anna czekała, dotkliwie świadoma złocistej obecności Michała. Krew zaszumiała jej w żyłach.

- Anno... - zaczął Michał, pochylając się nad nią.

- Anno - powiedział Oliver. - Jesteś gotowa? Pora wracać do domu.

- Widzę, że się znaleźliście - dorzucił zza jego pleców Jan Ellis.

To nie *twój* dom, pomyślała ze złością Anna. Michał pośpiesznie zeskoczył z murku.

- Wuju Oliverze, to Michał Farne. Michale, to mój wuj, pan Canning.

- Ach tak - rzucił tonem prawdziwego wujaszka Oliver. - Wiele o panu słyszałem.

Co nie jest prawdą, uzupełniła w duchu Anna, wlepiając wzrok we własne kolana i chowając się za włosami. Pragnęła, by Oliver zabrał puszki i niezwłocznie wrócił do Darton, skoro już w ogóle tam przebywał. On jednak nie zdradzał pośpiechu; stał z wyrazem zaciekawienia na wystrzonej twarzy i czekał na odpowiedź Michała. Michał był potwornie zakłopotany; należał do tego typu mężczyzn - chociaż Anna nie znała ich na tyle, by stosować podobne uogólnienia - którzy przyłapani na publicznym okazywaniu emocji, całkowicie tracą równowagę psychiczną. Na opaloną twarz wpełzł mu purpurowy rumieniec, stwarzając ciekawy efekt kolorystyczny; mimo to Anna daleka była od postrzegania go w kategoriach estetycznych.

- Rozumiem, że często jeździ pan konno - podjął Oliver. - Co jeszcze pan robi? Jestem ciekaw, czym pan się zajmuje?

Speszony Michał pośpieszył z wyjaśnieniami, podczas gdy Oliver egzaminował go niczym niedoszłego stypendystę bez większych widoków na otrzymanie wyróżnienia.

Jaki pożytek będzie miał ze swojego dyplomu? Czy uważa, że przysługuje mu prawo zamieszkiwania tej ziemi i uprawiania tego rodzaju sportów na koszt innych? Po co w ogóle startował na uniwersytet, zapytywał z punktu widzenia wykładowcy Oliver, niech mu wybaczy ciekawość. Czy nie lepiej wyszedłby - skoro chce hodować konie - podejmując naukę na uczelni rolniczej? Cóż zyskał, studiując tę swoją historię? Istniały odpowiedzi na te pytania, Michał jednak nie należał do ludzi, którzy mogliby ich udzielić, ton Olivera zaś z góry stawiał go w pozycji oskarżonego. Anna wysłuchiwała jedynie początku wymiany zdań. Siedziała przejęta do głębi gniewem i zakłopotaniem, pełna nienawiści nie do Olivera za jego brak taktu, lecz do Michała za to, że nie potrafi obronić swego stanowiska, bez trudu pozwalając zepchnąć się na pozycję nieśmiałego młodzieńca o łamliwym głosie. Było to z jej strony trochę niesprawiedliwe; wrażliwość Michała bądź jego uległość w kwestiach nierówności społecznych, poruszanych przez Olivera, można mu było niewątpliwie zaliczyć na plus. Przedmiot rzeczywistego ataku Olivera okazałby obojętność wobec jego zarzutów i odbierałby ataki z niezmaconą cierpliwością i pobłażliwością, na jaką zasługują sprawy mało „istotne”. Niestety, rozmowie towarzyszył zgoła nieadekwatny ładunek emocjonalny - Oliver nasączał swe kąśliwe pytania takim jadem, że człowiek silniejszy od Michała poczułby się przyparty do muru. Lecz Anna osiągnęła wiek, który godności - zarówno własnej, jak i przyjaciół - przydaje bez mała gigantyczne znaczenie; a „prawość” Michała stanowiła jeden z czynników decydujących o jej miłości. Teraz więc, kiedy z zatroskanym uśmiechem szukał wyjaśnienia poczynań, za które w jej mniemaniu żadną miarą nie powinien się tłumaczyć, albo mamrotał: „Ach, ma pan całkowitą rację, w zupełności się z panem zgadzam” - uparcie milczała, nie dając po sobie poznać, że cokolwiek do niej dociera. Co mam robić? - myślała.

To Ellis położył kres przesłuchaniu, które dawało Oliverowi nieograniczone pole do popisu. Podczas krótkiej wędrówki od domu do stajni doszedł do niezwykle kategorycznego wniosku, że Oliver Canning to wyjątkowo odpychający jegomość. Teraz zaś, na widok napuszonego kogucika, drącego pióra z sympatycznego Michała Farnę'a tylko w tym celu, by zrobić wrażenie na Annie Severell, krew zabulgotała mu w żyłach.

- Przepraszam - wtrącił. - Mam masę roboty, może więc zabierzecie stąd te puszki, jeśli łaska.

Anna z ulgą zeskoczyła z murku.

- Pozdrowienia dla rodziców, Anno, i małego Jeremiego.

- Tak - odrzekła Anna. - Dziękuję. - Jej twarz na powrót przybrała swój zwykły pochmurny wyraz. Oliver podniósł puszki i skierował się ku bramie.

- Dziękujemy - rzucił, przyjmując antypatię Ellisa jak rzecz najzwyklejszą pod słońcem.

- Pomogę panu - zaofiarował się Michał.

- Dziękuję - odparł Oliver. - To miło z pańskiej strony. Musimy się pośpieszyć.

- Zaglądamy do nas częściej - powiedział do Anny Ellis, świadomy jej zakłopotania i chętny je rozproszyć.

- Dziękuję - odrzekła Anna. - Chciałabym. Mam te egzaminy, wie pan, ile to zamieszania. Ale mimo to spróbuję. - Oboje wiedzieli, że nie mówi szczerze.

- Szybciej - ponaglił spod bramy Oliver i wyszedł na drogę.

Anna została na dziedzińcu, dopóki Michał nie osiodłał konia. Następnie razem ruszyli do wyjścia, Michał z uprzężą w jednej oraz ciężką puszką w drugiej ręce, i Anna, rozmyślnie powłócząc nogami w piasku. Michał zaśmiał się niepewnie.

- Ależ ten twój wuj zawzięty. Poczułem się jak głupiec. Wiesz, to okropne, kiedy ludzie traktują cię, jakbyś był do niczego. Dlaczego on?...

- Nie powinieneś mu pozwolić - burknęła ze złością Anna.

- Och, sam nie wiem. Trudno go nie podziwiać. Pewnie w jakimś stopniu ma rację. Nie sądzisz?

- Nie - odrzekła Anna. - Nie sądzę. Nie mówmy o nim, dobrze?

- Martwisz się czymś?

- Nie - rzuciła oschłym głosem Olivera. - Niby czym?

Zanim dotarli do samochodu, Oliver schował swoją puszkę i stał oparty o bagażnik, obserwując ich.

- Widzę, że w tę stronę wcale ci się nie śpieszy, Anno - zauważył, odbierając puszkę od Michała. - Dziękuję - powiedział. - Wsiadaj, Anno.

Anna stała obok konia ze wzrokiem utkwionym w Michale, nie okazując swego desperackiego pragnienia, aby uczynił to, co do niego należy, i przywrócił dawny stan rzeczy. Chłopak zawahał się chwilę, po czym umieściwszy nogę w strzemieniu, zwinnie wylądował w siodle. Koń wykonał gwałtowny ruch w stronę żywopłotu, wbijając w ziemię zaokrąglone kopyto.

- Krnąbrny jest - powiedział Michał.

- Anno... - zaczął Oliver.

- Anno... - wtrącił Michał. - Zobaczmy się, prawda?

- Anna zacisnęła pięści, spoglądając na niego nieprzytomnym wzrokiem. - Będę czekał. Spędzam tu teraz większość czasu. - W siodle odzyskał cały swój urok i siłę; podczas gdy koń kręcił się i parskał, on siedział niewzruszony niczym złocisty święty Jerzy. Oślepiąca słońcem wychylającym się zza pleców Michała, Anna widziała rozproszone wokół jego głowy promienie, okalające ją niby płomienista aureola. - Na mnie już czas - rzucił spoza kręgu światła.

- Michał...

- Do zobaczenia, Anno.

- Tak - odrzekła beznadziejnie Anna.

Michał ścisnął konia piętami i na odchodne obejrzał się z uśmiechem, po czym odjechali, czarny i złocisty, z mocą rozgarniając powietrze. Anna machinalnie wstała w pozostawiony przez nich obłok kurzu.

- Michał - powiedziała. - O, Michał, Michał, Michał...

- Robisz z siebie przedstawienie, jak określiłaby to moja matka - rzucił z za jej pleców oschły głos. - Pewnie sama to widzisz.

Anna obróciła się w jego stronę.

- A co ty robisz?
- Dosyć tego - uciał Oliver. - Wsiadaj do samochodu.

Henryk wciąż szedł. Teraz przemieszczał się bardzo wolno, lekko i mechanicznie, nie zważając na chwilowe zakłócenia jasności umysłu i poczucia własnej tożsamości. Znajdował się u kresu wytrzymałości, był bardzo brudny. Gdy odyskiwał świadomość własnego ciała, wydawało mu się ono osłabione, kruche i całkowicie pozbawione masy. Przemierzał wierzchołek krętej przełęczy; doszedłszy do końca, niespodziewanie znalazł się na rozległym polu uprawnym. Przystanął, zakołysał się i prawie upadł, następnie oprzytomniał na tyle, by spojrzeć uważniej.

Ujrzał przed sobą szereg pól o pełnej rozpiętości barw, od czerwonego złota poprzez pergamin aż po biel - Capelle-Desprez, wypowiedziała mu pamięć - niczym szklane włócznie. Na pobliskim polu plewki jęczmienia spływały ku dołowi, celując w ziemię; po drugiej stronie równiny, na skraju innej krągłej przełęczy, widniało pole spletanego wiatrem owsa. W szumiącym oceanie bladeści wirowały roztańczone smugi cienia. Przez chwilę spoglądał w pole musztardowej żółci, sycąc oczy jej rzęsy blaskiem, dopóki nie zakręciło mu się w głowie. Kiedy z powrotem przeniósł wzrok na zboże, żółta poświata nałożyła się na migotliwe fale, które choć przezroczyste, jednocześnie rozgorzały wewnętrznym ogniem. Światło ruszyło z miejsca, pełgające języki maków rozpełzły się po ziemi. Zbiegł niezdarnie po zboczach i podążając w ślad za nim, znalazł się pośród ogarniętych pożogą kłosów; gorejące drzewa i krzewy z sykiem i trzaskiem ocierały się o biegnącego; słyszał, jak powietrze płonie z gniewnym zaśpiewem. Ogarnęło go uczucie, jak gdyby nie tylko on, ale i krzewy toczyły beznadziejną walkę o zachowanie swej istoty w miazdzącej jaskrawości powietrza, strwożone groźbą zagłady niby wypełnione próżnią metalowe puszki. Ujrzał dolinę pod postacią czaszy światła, wytworzonej za pomocą strun blasku pochodzących ze zboża, dostojnie mrocznych drzew, żywotów upstrzonych plamami intensywnej bieli oraz nie-

go samego, napiętego do granic wytrzymałości pod naporem świetlnych lin.

Rozpalony bezmiar blasku spływał w dolinę na wprost niego, gromadząc się na kłosach; słyszał, jak jego łoskot kruszy ciszę. Postać Henryka stała się przesmykiem klepsydry, ośrodkiem łączącym dwa punkty zespolenia światła. Złociste, kapłańskie sylwetki o złotych obliczach i ognistych mieczach wstąpiły zwartym szykiem w ocean zboża niczym żniwiarze; rozpoznał je, rozumiejąc, że jego wędrówka dobiegła końca. Liczne jak smocze plemię powstały z roziskrzonych ziemi; wiedział, że są pozbawieni namacalnej, realnej postaci oraz indywidualnych cech: stanowiły jedynie wytwór rozgorączkowanej wyobraźni. Nieoczekiwany napór oślepiającego światła przysłonił mu obraz: wiedział, że to zjawisko przywraca świadomość istnienia, nim wszystkie inne strawi pożar. Przewrócił się i stoczył na skraj pola, podczas gdy jego wewnętrzne oko otwarło się z wolna na chłodną, rozległą i białą równinę, na której spoczął.

- Anno...

- Słucham?

- Gniewasz się. Dlaczego?

- Dobrze wiesz.

- Zakładam, że sprzeniewierzyłem się twoim kryteriom dobrego wychowania. Wcale nie żałuję.

- Widzę. Nie wydaje mi się, aby był sens o tym rozmawiać. Jeszcze ktoś posądziły mnie o bezczelność wobec starszych. Dwukrotnie wzięłeś niewłaściwy zakręt. - Uznała, że skoro wreszcie nakłonił ją do mówienia, powinna to zaznaczyć. - Chciałabym jednak dotrzeć do domu. Skręć w prawo, to może znowu wjedziemy na dobrą drogę.

- Wolałbym, żebyś przestała się garbić i kurczowo trzymać fotela. To mnie rozprasza.

- Przepraszam - odparła Anna, nie zmieniając pozycji.

Zapadła cisza. Samochód, krztusząc się, podskakiwał na wybojach, wokół unosił się swąd palonej gumi. Oliver siedział sztywno za kierownicą ze zmarszczonymi brwiami.

mi i spojrzeniem utkwionym przed siebie. Emanowała z niego chęć przedyskutowania całego zdarzenia: Anna zastanowiła się, czy aby nie prowokował tego typu sytuacji, wiedziony chęcią późniejszej analizy. Jeśli tak było, z jej punktu widzenia metoda wydawała się chybiona. Uznała, że milczenie będzie w tym wypadku najprostszym i najskuteczniejszym rozwiązaniem.

- Pewnie myślisz - zagadnął po chwili Oliver - że to z mojej strony prozaiczne i *nadgorliwe* wcinąć się z problemami natury społecznej w popołudniową idyllę z młodym dżokejem?

- Próbuję *nie* myśleć.

- Bardzo nieroztropnie, stanowczo ci to odradzam. Jeżeli o mnie chodzi, nie potrafię odpędzić od siebie myśli o bystrym, niewinnym, prostym chłopcu z ogólniaka, któremu odebrano szansę na godne życie, ponieważ twój przyjaciel posiadał akurat wystarczające zasoby materialne lub spryt, by spędzić trzy lata na uczelni, pławiając się w rozkosznej beczynności. Pewnie uważasz to za oczywiste i nieuniknione. Ja nie. Uważam, że takim jak on nie powinno ująć to na sucho.

- Skąd możesz wiedzieć, że nie jest inteligentny?

- A jest?

Anna nie odpowiedziała.

- Sama widzisz - skwitował Oliver. - Już ja ich znam, uczyłem takich. Banda sympatycznych chłystków, pozbawionych ambicji intelektualnych, na ogół przyjacielskich, skruszonych, że nie potrafią sprostać moim wymaganiom co do wypracowań, ale co tam, łatwiej im jest nie zmuszać się do wysiłku, aby cokolwiek zrozumieć. Raz w roku upijają się do nieprzytomności na jachcie, powodując kolizję z drugim jachtem; może uznasz mnie za ponuraka, niemniej jednak twierdzę, że to szczeniackie wybryki. Systematycznie demolują pokój jakiegoś odszczepieńca, który nie potrafi biegać, wybrał niewłaściwą szkołę albo w zbyt oczywisty sposób ubiega się o wyróżnienie. Pewnie powiesz, że z tego wyrosną, lecz niektórym z nas jakoś udaje się uniknąć tego etapu. Cóż, być może nie znam się na żartach, sam uważam się za odszczepieńca, określam to jednak jako nieodpowiedzial-

ne i haniebne. Może powiesz, że takie rzeczy już się nie zdarzają, ale nie, wręcz przeciwnie, widziałem je na własne oczy. Nie będę udawał, że to mi się podoba. Trzeba być szczerym.

- Nie musisz być... nieprzyjemny.

- Nie muszę udawać, że coś nie istnieje; to byłoby oczywistym kłamstwem.

- Michał to mój przyjaciel: próbował jedynie okazać ci grzeczność. To *mój* przyjaciel; nie reprezentuje żadnej postawy ani stylu życia, jest zwyczajnie sobą. I nie ma z tobą nic wspólnego. Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju?

- A ty... - zaczął ze złością Oliver. - Dokąd, twoim zdaniem, zmierzasz? Próbowалаś się nad tym zastanowić? „Michał, Michał, Michał” - przedrzeźniał. Dokąd to cię zaprowadzi? Czy on jest w stanie ofiarować ci coś wartościowego? Jako bystrą dziewczynę z przyszłością, podejmującą odpowiedzialne próby rzetelnej analizy samej siebie - oraz świata - co cię może łączyć z tym skostniałym stylem życia? Chryste... czy nie widzisz siebie u jego boku? Bale myśliwskie, obiadki, niedzielne msze, odziedziczona piastunka, kosze piknikowe na pokazach koni, paplanina o psach i koniach, tweedowe spódnice, konserwatywne kobiety, kary chłosty i stryczek!... Spójrz prawdzie w oczy: nie możesz dać się uwięzić, to nie jest prawdziwy świat, lecz ledwie substytut życia, naprawdę; w gronie, w którym obraca się twój przyjaciel, nie odnajdziesz autentycznych ludzi. Tylko spróbuj to sobie wyobrazić, do diabła.

- Nie wydaje mi się, aby to miało jakikolwiek związek...

- Ach, jasne, że nie. W gruncie rzeczy nie ma. Powiedzieć ci, w czym rzecz? To nie przypadek, że ten młodzieniec reprezentuje typ mężczyzny, którego twoja matka chętnie ujrzałaby u boku swojej córki, jakkolwiek nie sądzę, aby rzeczywiście miała na myśli ciebie. Sęk w tym - i musisz się z tym pogodzić - że żadne z nich nie zauważy cię ani nie zaakceptuje, dopóki nie określisz swego położenia. Uwierz mi jednak, ta dość żałosna próba wpasowania się w wizję matki ani trochę nie poprawi twojej sytu-

acji, lecz przekreśliли szanse na osiągnięcie czegoś wartościowego. Koniec końców można liczyć tylko na siebie.

Anna czuła się pokonana.

- Zawsze przesadnie się zagalopowujesz - odparła słabym głosem.

- A ty uparcie nie chcesz sięgnąć wzrokiem dalej niż na koniec własnego nosa - odparował Oliver.

- To całe psychologiczne uzasadnienie... ja...

- Trafiłem w sedno, co?

- Nie wiem - jęknęła Anna. - Mam na ten temat nieco inne zdanie.

Rozważyła możliwość ślubu z Michałem; nigdy dotąd nie posunęła się w myślach tak daleko, w ogóle nie myślała o małżeństwie; to była przyszłość, podobnie jak jej oczekiwany przełom, zbyt daleka, aby wyrzucić na nią jakikolwiek wpływ. W swojej charakterystyce Michała Oliver pominął kwestie najistotniejsze: jego łagodność, piękne ciało, nierozzerwalny związek z latem i słońcem, brak konieczności wybiegania myślą naprzód. Poza tym okrutne było ze strony Olivera sugerowanie, że Michał mógł wzbudzić przychylność matki, skoro Anna w istocie upatrywała w nim drogę ucieczki przed jej dezaprobatą. Nowa koncepcja wzbudziła w niej niepewność; to okropne, pomyślała Anna, nawet jeżeli jest tylko połowicznie zgodne z prawdą.

- Zawsze mówisz mi, czego mam nie robić. Cóż więc powinnam zrobić?

- Mówiłem ci. Wyjdziesz z domu, ustal w zgodzie z samą sobą, co chciałabyś w życiu zdziałać - nauczać, pracować w bibliotece czy biurze - i do dzieła. Na własny rachunek. Jedno jest pewne: jeśli będziesz siedzieć z założonymi rękami i wdychać rozrzedzone powietrze ojca, zostaniesz nikim. Duchem, cieniem; wcale nie przesadzam.

- A jeśli wołałabym tu zostać?

- Nie sądzę, aby istotnie tak było.

Anna rozważyła niewspółmierne do sytuacji zaangażowanie Olivera.

- Naprawdę nie pojmuję - powiedziała z wolna - dlaczego wykazujesz tyle troski. Skąd ten upór? Nadal nie rozumiem, dlaczego byłeś taki okropny dla Michała.

- Pewnie dlatego, że cię lubię.
- No tak, ale dlaczego?
- Już ci mówiłem, po prostu poczułem do ciebie sympatię. I tyle. Czuję się osobiście dotknięty.

Anna sprowokowała to wyznanie, czerpiąc zeń złośliwą i niewinną przyjemność; spodobało jej się, że dysponuje dostateczną siłą, by to osiągnąć. Nie miała pojęcia, co dalej, wołała też uniknąć kolejnych niesnasek, poza tym wciąż czuła urazę do Olivera, kiedy jednak ukradkiem zerknęła na jego błyszczącą od potu, zaróżowioną twarz, wypełniło ją niejasne poczucie dumy posiadania. Dokonałam tego, pomyślała w swej niewinności, dzięki temu zyskując nad nim przewagę.

Henryk przetoczył się na plecy i usiadł. Zabrało mu to trochę czasu. Odwykł od swego ciała, tak więc sińce, otarcia i zadrapania, których był wcześniej nieświadom, teraz dotkliwie dawały mu się we znaki. Dziwne, że obraz tego, co widział i czego doświadczył, już zdążył zatrzeć się w jego pamięci. Jak zawsze towarzyszyło mu jednak przekonanie o bezzasadności lęku, który nie miał nic wspólnego z absolutnym brakiem poczucia czasu i ekscytacją. Oparłszy się na rękach, skierował wzrok na słońce, to samo słońce, pozbawione wszak swego morderczego blasku, płynące ku niemu, bezkresnie oddzielone warstwami powietrza czystego, namacalnego, przejrzystego jak woda. Ogarnęło go poczucie niekłamane szczęścia, wymordowaliśmy lepszych od nas, pomyślał też, na powrót zdolny do refleksji, jakże więc możemy teraz, wobec takiego doświadczenia jak to, znaleźć odpowiedniki słów „wyjątkowo”, „nieznośnie”, „idealnie”, „bez końca”? Należy opracować język nowy i oczyszczony, sprawy zaś, które trzeba poruszyć, wymagają właśnie takich skrajnych określeń. Znowu stawał się rzemieślnikiem, co również dało mu poczucie rozkoszy; myśl o biurku, pisanej powieści oraz słowach przelewanych na papier rozgrzała go i na jego usta wypłynął mimowolny uśmiech.

Mimo to nie śpieszył się. Nie ruszając się z miejsca, rozmyślał o słońcu. Rozważał los Faetona pośród niebios i obecny samotniczy tryb istnienia; nieruchome słońce

świeciło z oddali łagodnym blaskiem, wolne od jakichkolwiek związków. Bardziej niż wszystko inne zdumiewała go ludzka skłonność do refleksji - metaforyczny powiew platonizmu, przyszło mu do głowy, w kontekście rozważań o słońcu; gdybym tylko zyskał absolutną pewność, że metafora ani odrobinę nie zmniejszała tego, co mam na myśli, nie wyznacza zbyt zażyłego związku między mną a tym, co dla mnie raczej stanowi niezbity fakt niż symbol świadomości, inteligencji czy władzy, nie tracąc nic ze swej niebiańskiej niewzruszoności. Metafizyka fascynowała Henryka, nie mówiąc już o religijnym symbolizmie - wizjonerskie okresy w dużym stopniu wspomagała jego znajomość platońskich idei intelektualnych znaczeń słońca i światła oraz złożonych koncepcji Coleridge'a na temat refleksyjnej natury księżycowej poświaty oraz księżycowej natury umysłu. Złość ogarniała go tylko wtedy, gdy owe symbole zyskiwały rangę pewników i następował przeskok w takie czy inne przekonanie, kwestie nieśmiertelności oraz istnienia wyższej siły sprawczej, odwoływały bowiem od istoty problemu; on nie odczuwał potrzeby nieśmiertelności ani wybiegania myślą poza wszechświat.

Przyszło mu do głowy, że nigdy nie przestanie spoglądać na światło ze *świadomością*, iż to robi. Nigdy nie przestawało go zdumiewać, że oto człowiek widzi i wie, że widzi, choćby nie do końca wiedział *co*. Wyobrażał sobie śmierć, przynajmniej w takich chwilach, jako przejście w głąb coraz bardziej przejrzystej bezczynności. Miewał odmienne nastroje, lecz tego lata rzadziej dawały o sobie znać, tak że zaczął się nawet zastanawiać, czy aby nie zdołał wypracować sobie sposobu życia, który może się okazać zarówno satysfakcjonujący, jak i na swój sposób wartościowy.

Klucz maleńkich, czarnych ptaków odwrócił jego uwagę; przez chwilę lśniły wysoko w górze, po czym zapadły się w próżnię. Henryk wstał, jak gdyby dano mu znak. Wokół niego szumiał mlecznobiały łan zboża o bezkształtnych kłosach i rozkołysanych na wietrze źdźbłach; z oddali dobiegał iluzoryczny łoskot miękko rozbijających się fal. Henryk niemal natychmiast domyślił się, że

mglistość obrazu winien przypisać swemu skrajnemu wyczerpaniu.

- To będzie nie do zniesienia - powiedział głośno, wyraźnie akcentując słowa pośród dźwięczącej ciszy otoczenia - jeśli tym razem nabawię się choroby. Muszę zobaczyć. Dowiem się, jeśli pójdę dalej.

Ruszył chwiejnie skrajem pola, powłócząc nogami w piasku. W pewnej chwili upadł w zboże. Była to morderczo żmudna wędrówka. Skupiony na kolejnych kilku calach drogi, przed sobą nie widział nic prócz nich. Bez reszty oddawał się temu, co robił. Kiedy szedł, rany na jego nogach i stopach ponownie zaczęły krwawić. Ból był nie do zniesienia.

Oliver kipiał złością. Anna domyśliła się wreszcie, że celowo mylił drogę, by móc dłużej snuć swoje wywody. Robiła, co mogła, aby go nie słuchać, on jednak mówił dalej, wykładając jej swoją wizję „rzeczywistości”, zaangażowania oraz społeczeństwa, którego ona może wprawdzie nie lubić, lecz z którym musi osiągnąć pewną płaszczyznę porozumienia, na własnych warunkach, „jeśli w ogóle ma zrobić coś pożytecznego”. Lawrence opuścił Anglię, zauważyła Anna, przekonana o związku pisarza z poruszonymi przez Olivera problemami. Lawrence, odpowiedział Oliver, był jednostką wybitną i prorokiem, podczas gdy ona, Anna, jest umiarkowanie inteligentną dziewczyną, pozbawioną - o ile udało mu się to sprawdzić - szczególnych zdolności. Poza tym pozbawiony znaczącego sobie tła społecznego Lawrence nie spłodził już nic wartego uwagi.

- To dwie sprzeczne ze sobą sprawy - zauważyła Anna.

- Właśnie, że nie. Zresztą obie nie dotyczą ani mnie, ani ciebie, lecz jego. I co byśmy skorzystali na pobycie w Meksyku? Raczej nie czułbym się upoważniony, by prosić kogokolwiek o opłacenie naszej podróży. Musimy sami pilnować własnych spraw. Ja uczę ludzi rzeczywistości. Ty próbujesz określić własną tożsamość. Bez względu na to, w czym cieniu pozostajesz.

- Z jednej strony wmawiasz mi, że jestem kimś, a z drugiej odbierasz nadzieję. To nie do zniesienia.

- Problem w tym, że boisz się dowiedzieć, kim tak naprawdę jesteś. Dopóki czegoś nie zrobisz, nie musisz przyznawać, że istnieją sprawy, o których nie masz pojęcia...

- Nieprawda.

- Ależ prawda. Mówisz sobie: jestem młoda. Jeszcze nie muszę myśleć, a kiedy to uczynię, będę w stanie zrobić to czy tamto. Przyznasz mi rację? Czy nie tak właśnie jest? Ale ty wcale nie jesteś *taka* młoda. Podobne stawianie sprawy do niczego nie prowadzi. Zważ, proszę, jak krótkie jest twoje życie. Na dodatek masz tylko jedno.

- Biorę to pod uwagę - odrzekła Anna.

Skęcili w wąską drogę: po jednej stronie widniało strome wzniesienie skoszonego pola, odgradzonego od nich niewysokim żywopłotem. Potykając się, Henryk zbiegł po zboczu, upadł na kolana, poderwał się i na oślep przebył ostatni odcinek. Przesadziwszy żywopłot, z impetem uderzył w bok nadjeżdżającego samochodu. Na oczach córki błysnął białkami, po czym bezwładnie osunął się na ziemię.

- Oliverze - powiedziała Anna. - O nie. Oliverze. Przecież to ojciec.

- Do cholery, nie szarp mnie, kiedy prowadzę - huknął roztrzęsiony Oliver.

Anna oderwała dłonie od jego ramienia.

- Co zrobimy? - zapytała. - Co teraz zrobimy?

- Zamknij się - burknął.

Wyszedł na drogę; Anna uczyniła to samo. Stanęli nad Henrykiem, który leżał na plecach z rozrzuconymi nad głową ramionami. Wyglądał groteskowo; na jego widok ogarnęło Annę podszyte gniewem zakłopotanie. Odzież wisiała na nim w strzępach, sklezione błotem owłosienie na piersi poprzetykane było łuskami pokruszonej słomy, widocznymi również we włosach oraz na brodzie, która wyglądała makabrycznie; w jej splotach biegły strużki zaschniętej krwi z mniej lub bardziej głębokich skaleczeń, na szyi widniał osad rzeczno-mułny, włosy zaś sterczały na wszystkie strony niby wielobarwne promienie obrazkowego słońca, szare, zielonkawe,

żółte, krwistobrunatne i czarne jak ziemia. Ciężko oddychał przez otwarte usta; z jednego ich kącika sączyła się krew, żłobiąc koryto w grubej warstwie kurzu, pokrywającego twarz jak maska. Odślonięte oblicze mężczyzny wydawało się zdumiewająco nagie i wychudzone; pozbawione życia, tchnęło pustką. Przymknięte oczy zapadły głęboko w czaszkę; powieki drgały niekiedy, ukazując wyrócone białka. Bezładne ciało bez reszty wypełniło drogę, stopy były złączone, jak gdyby jego właściciel padł rażony ciosem w kark. Annę ogarnęło straszne przeczucie, że skompromituje się do reszty, nie panując nad własnym żołądkiem.

- Najważniejsze, że żyje - skwitował Oliver.

- Tak - odparła Anna.

- To już coś.

- Co *zrobimy*?

Żadne z nich nie czuło się na siłach, by go dotknąć.

- Wygląda, jakby stoczył walkę - zauważył Oliver.

- Bo ja wiem.

- Albo starł się z siłami natury, co nie wchodzi w rachubę. Choć według niego, trudno raczej z nią wygrać.

- Co *zrobimy*?

- Wygląda, jakby dopadł to, co gonił. Zdaje się, że porządnie dostał w kość, nie uważasz?

- Przestań...

- Cóż więc się stało? Nie ciekawi cię to? Wygląda, jakby próbował zrobić to, co zwykle bywa zadaniem buldożera. A jeśli chwycił się za bary z buldożerem...

- Przestań...

- Nie pozostaje mi nic innego, jak wykazać zrozumienie. Jakoś trudno mi uwierzyć w tę całą walkę z żywiołami. Nad wszystkim sprawujemy kontrolę - kłamstwem byłoby twierdzić, że tak nie jest.

- Proszę cię, przestań. Ty chyba nic nie rozumiesz. Nic cię to nie obchodzi. On może być bardzo chory. Nie traktuj go przez cały czas jak *przedmiot*.

- Nie sądzę, by życzył sobie, aby traktować go inaczej. W pewnym sensie spełniam jego wolę.

- Oliverze, proszę...

- No dobrze. Co wobec tego robimy? Kiedy przycho-

dzi do działania, tworzymy dość nieporadną parę, nie uważasz? Co proponujesz? Podniesiemy go? Czy nie pogorszy to ewentualnych urazów wewnętrznych? Naprawdę usiłuję coś wymyślić. Ciekaw jestem, co robił przez te wszystkie dni.

Usta Anny zadrżały. W tym momencie Henryk otworzył oczy i spokojnie utkwiał wzrok w obojgu.

- Patrzcie państwo, a to dopiero - powiedziała opanowanym głosem, zgoła nielicującym z jego wzbudającym litość wyglądem. - Skąd się tu wzięliście? Bałem się, że sam nie trafię.

- Gdzie byłeś? - zapytał staccato Oliver.

Henryk ponownie zamknął oczy. Anna uklękła przy ojcu i wzięła go za rękę.

- Proszę - powiedziała. - Nic ci nie jest? Możesz wstać? Wrócisz do domu? Bez ciebie było okropnie, nie mógłbyś już wrócić?

Henryk delikatnie odwzajemnił jej uścisk.

- Oczywiście, daj mi chwilkę, a zaraz dojdę do siebie.

- Jak to się stało? - drążył Oliver.

- Czy nie widzisz, że on nie chce powiedzieć? - zawołała Anna. - Zresztą jakie to ma znaczenie? I kim w ogóle jesteś, żeby tak wypytywać?

- Nie bądź bezczelna - uciął Oliver, za pomocą nieczystego chwytu przypominając o swojej przewadze człowieka dorosłego.

Z niespodziewaną łatwością Henryk dźwignął się do pozycji siedzącej.

- Pomogę ci - rzekła Anna. - Oprzyj się na mnie. Teraz wsiądziemy do samochodu...

- On nie potrzebuje pomocy - zauważył Oliver.

Mimo to Anna pomogła Henrykowi wsiąść na tylne siedzenie i usadziła go w rogu. Następnie ulokowała się obok i zatrzasnęła drzwi. Zasiadłszy za kierownicą, Oliver z morderczą powolnością zawiózł ich do domu, nie odzywając się po drodze ani słowem. Henryk również milczał; zamknawszy oczy, podskakiwał jak manekin na każdej nierówności. Anna spoglądała na niego z zawiścią - chciałabym mieć oddać się czemukolwiek równie bez reszty jak on, pomyślała. Zdawał się jej przerażająco od-

legły. Rozpaczliwie zapragnęła ujrzeć w nim sprzymierzeńca, który wesprze ją w walce przeciwko zdrowemu rozsądkowi Olivera; inaczej zginie. Istniała odpowiedź na słowa, które padły - i nie padły - z ust Olivera, i Henryk musiał ją znać. Ostatecznie ona, Anna, była jego córką. Przysunawszy się bliżej ojca, popatrzyła na niego błagalnie. Na jego widocznych spoza brody ustach zamajaczył lekki uśmiech. Mimo to nie otworzył oczu.

Niezmieniony wygląd domu obudził w niej poczucie klęski. Wejść tam, umyć ręce i zasiąść do kolacji graniczyłoby z aktem ostatecznej kapitulacji - nie wiedziała tylko, czy wobec Olivera, czy też Karoliny. Lepiej zrobić dziecinną scenę, utrzymując stan napięcia, niż bez protestów pograżyć we wczorajszym - a może jutrzejszym? - systemie nakazów i restrykcji. Czując strach i upokorzenie, nie umiała sprecyzować, w czym tkwi ich źródło. Lecz Henryk, po powrocie nie wiadomo skąd, w aurze innego, barwniejszego świata, wzbogacony o wiedzę, której nie dane im było dostąpić, będzie wiedział. Oby tylko zechciał jej to zdradzić.

Wszyscy troje wysiedli z samochodu i spojrzeli na dom. Nikt nie wyszedł im na spotkanie. Wydawało się pusto wszędzie.

Henryk, który najwyraźniej już prawie wrócił do siebie, oznajmił:

- Muszę się doprowadzić do porządku, zanim Karolina mnie zobaczy. - I skierował się w stronę domu.

- Cóż - zaczął tonem oschłego rozbawienia Oliver, lecz Anna wpadła mu w słowo:

- Nic do mnie nie mów, nie teraz... - I ruszyła za ojcem.

- Musimy porozmawiać - rzucił za nią jeszcze Oliver, ale udała, że nie słyszy.

Bez pukania pchnęła drzwi do pokoju ojca i weszła do środka. Henryk siedział na łóżku, z wysuniętym podbródkiem, wyglądając przez okno. Choć emanował samozadowoleniem, jego postawa nie zachęcała do zwierzeń.

- A, to ty - odezwał się na jej widok. - Podaj mi gąbkę, dobrze? Spróbuję coś z tym zrobić.

Anna posłusznie zmoczyła gąbkę w strumieniu gorącej wody, wycisnęła ją i podała mu; zaczął nieporadnie wycierać strużki zaschniętej krwi. Anna oparła się o framugę, obserwując jego poczynania.

- Gdzie byłeś? - zagadnęła po chwili.

- Nie wiem. Po prostu szedłem.

- Co robiłeś?

- Nie wiem. Chyba kręciłem się w kółko. Pewnie dostałem porażenia słonecznego.

- Ale czy teraz czujesz się *inaczej*? Jaka *różnicę* uczyniła ta wyprawa? Chciałabym to wiedzieć...

Henryk przechylił głowę na bok i spojrzał na córkę.

- A nie wiesz?

- Próbuję zgadnąć - odparła pośpiesznie Anna. - Ale nie, nie wiem, naprawdę. Chcę cię zapytać...

- Tak? - zachęcił Henryk.

Anna męczyła się, usiłując precyzyjnie sformułować pytanie.

Henryk starannie skrywał ogarniające go zniechęcenie. Ludzie, zwłaszcza nieszczęsna Anna, zawsze czegoś od niego chcieli w sytuacjach, kiedy był najbardziej znużony lub pochłonięty własnymi sprawami. Odpływał myślami w dal; zaprzestał wysiłków mających na celu doprowadzenie do porządku brody i oparł się wygodnie na łóżku.

- Mów dalej, proszę - powiedział neutralnym - miał nadzieję - tonem, ani odpychająco rodzicielskim, ani fałszywie jowialnym. Wymagało to dużego wysiłku. W innych okolicznościach dałby z siebie więcej.

Anna rozważyła poszczególne możliwości, odrzucając jedną po drugiej. Nie mogła nawiązać do Michała; było to zbyt upokarzające; zresztą Henryk i tak nie wykazałby w tej kwestii zrozumienia. Nie mogła też otwarcie przedstawić zarzutu, że broniono jej dostępu do wiedzy, którą powinna posiadać - Henryk reprezentował władzę rodzicielską; to jego wyrok, choćby tylko zaoczny, więził ją w ogrodzie. Wciąż była ledwie w zarysie świadoma natury rad Olivera. W zarysie mieszczącym w sobie zagadnienie „życia jako takiego” w wersji większości istot ludzkich, przynajmniej narodowości brytyjskiej; pracy,

małżeństwa oraz kultury; planowania urbanistycznego i Aktu o Publikacjach Obscenicznych⁵; czasopism; nauki dla laików; wskaźnika rozwodów i narodzin; raka płuc; przestępczości nieletnich oraz fabrycznej monotonii - Oliver opowiadał jej o tym wszystkim, w wyniku czego stworzyła w wyobraźni szokujące obrazy - kawalerka, cocktail party, chłopak-spotyka-dziewczynę w Londynie - znane jej z magazynów kobiecych, gdyż tyle tylko wiedziała o pracy; nigdy niczego nie usłyszała na ten temat od swych nauczycielek, które w jej oczach (oraz zapewne w oczach Olivera) były równie odizolowane od życia, jak ich podopieczne.

Dlatego też nie mogła powiedzieć Henrykowi: „Skoro Oliver twierdzi, że muszę zrobić to i to, dlaczego ja czuję, że nie mogę, choć uważam, że ma rację?”. Poza tym sęk tkwił gdzie indziej: gdyby nie chodziło o samego Henryka, problem straciłby rację bytu - podobnie jak ona utraciłaby punkt oparcia w starciu z Oliverem. Albo bez udziału ojca opracowałyby kontrofensywę. Kiedy człowiek miał lat sześć czy siedem, pomyślała, albo nawet trzynaście, mógł nie lubić przymusowego przesiadywania w ogrodzie; niemniej jednak nie pozostawiano mu wówczas wyboru. Myślała wtedy, podobnie jak teraz, że jakoś przez to przebrnie. Lecz obecnie, sięgając myślą wstecz, dochodziła do wniosku, że udostępniono jej czas na bycie sobą i samodzielną ocenę rzeczywistości. Mimo to, podobnie jak gaz, którego objętość rośnie w wąskim zbiorniku, urosła, wypełniając bez reszty ograniczoną przestrzeń ogrodu, szkoły i dziewczęcego ciała. Eksplozja była nieunikniona: w tym względzie Oliver miał rację; wiedziała o tym przed jego przyjazdem. Musiał nastąpić jakiś przełom. Żywiła desperacką nadzieję, że żadna z je-

⁵ **Obscene Publications Act (1958, 1964)** - zabraniał publikacji materiałów zmierzających do „deprawacji czytelnika” (według definicji z 1868 roku), choć nie precyzowano jej granic ani natury. Jednym z najgłośniejszych skandali literackich była powieść Lawrence’a „Kochanek Lady Chatterley”; sprawa znalazła epilog w roku 1960, po procesie sądowym, kiedy to uwolniono książkę od zarzutu obsceniczności, wyrażając zgodę na publikację pełnego tekstu (przyp. tłum.).

go sugestii nie wchodzi w grę. Był to jej przełom, jej transformacja, jej decyzja o podjęciu właściwych kroków po przedłużonym okresie nieuniknionej bierności.

W duchu przyznawała rację Oliverowi, który przekonywał, że monotonna egzystencja domowa nie służy niczemu wartościowemu, prawdopodobne zaś poglądy oraz styl życia Michała są nie do przyjęcia. Czuła jednak, że chodzi o coś więcej, może o umiejętność cierpliwego oczekiwania oraz akceptację kolei losu, które choć mały heroiczne, w końcu przywiodłyby ją do wyczekiwanego przełomu. A może nie? Skąd mogła to wiedzieć, zamknięta w ograniczonej przestrzeni szklanego akwarium? Lecz Henryk wiedział; miał to wypisane na twarzy, spokojnej i jednocześnie ożywionej jak żadna inna. Znalazł trzecie wyjście, ani ślepy zaułek, ani świat niezliczonych trosk Olivera, lecz przedłużenie, dalszy ciąg tego, co osiągnęła do tej pory.

Kiedy dotarła do końca chaotycznej i żadną miarą niewyczerpującej analizy swego położenia, ogarnęło ją irracjonalne przekonanie, że wyłuszczyła ojcu całą sprawę i pozostaje ją jedynie przedyskutować. Czekwała, aż on coś powie. Gdy jego milczenie przedłużało się, oświadczyła zasmuconym i nieco rozdrażnionym głosem:

- Nie mam pojęcia, co ze sobą robić.

Mam dar do bagatelizowania samej siebie, przyszło jej do głowy.

Henryk usiadł i podrapał się w kark.

- Chyba sobie coś zwichnąłem - powiedział. - Ludzkie ciało jest zdumiewająco odporne.

- Proszę cię! - zawołała Anna.

- Przecież słucham - zapewnił ją Henryk, badając ostrożnymi dotknięciami mięśnie karku.

- Miałam potworny dzień - oznajmiła Anna. - Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Dłużej tak nie mogę. Nic nie robię, wszystko wydaje mi się pozbawione znaczenia... posłuchaj, przecież powinieneś to rozumieć, naprawdę, *wszystko wydaje mi się pozbawione znaczenia*, pomyśl tylko, jak trywialne jest to, co robię: noszenie puszek, nakrywanie do stołu, zmywanie, przebieranie się, spacer. Czy kiedykolwiek tak się czułeś?

- Owszem - odpowiedział Henryk. Czuł, że powinien coś dodać, lecz zmęczenie ponownie dało o sobie znać, a piskliwy, dziecinny głos córki wwiercał mu się w czaszkę. - W twoim wieku czułem to samo - dodał z wysiłkiem. - Bywa gorzej, zanim człowiek dopatrzy się w czymś sensu. - Mętne uogólnienie, pomyślał z poczuciem winy.

Anna postanowiła zignorować jego słowa; czekała na podobne zapewnienie, zdało się jej jednak wymijające i donikąd nie prowadziło.

- Dobrze, więc chodzi o mój wiek - rzekła wreszcie. - Powiem ci coś: nienawidzę książek dla młodzieży; są śmiertelnie nudne. Głupie i nieważne, podobnie jak ja, i opowiadają o niczym, znowu jak ja. Ludzie wychodzą z założenia, że wszystkie bzdury, jeśli tylko dadzą się przelać na papier, są interesujące - ja jestem odmiennego zdania. Nie protestowałabym tak, gdyby... nie rozumiem, po co napuścili na mnie Olivera Canninga. Dla niego jestem interesująca aż do bólu. Powtarza mi, dlaczego wyrosłam na bezużyteczną, niekochaną i pozbawioną celu jednostkę... i wciąż mówi mi, co mam robić. I dlaczego nic nie robię. Ostrzegam cię, że dłużej tego nie zniosę.

- Czemu nie pojechał do domu?

- Ponieważ postanowił przygotować mnie do egzaminu na studia. Na co nie mam ochoty. To chyba zupełnie bez sensu, skoro sama nie wiem, co chcę ze sobą zrobić.

- Coś musisz.

- Mówisz zupełnie jak on! - rzuciła desperacko Anna. Ojciec nie miał zamiaru uchylić rąbka tajemnicy, ona zaś ewidentnie nie dysponowała dostateczną siłą, by go do tego nakłonić.

- Przepraszam. Nie powinnaś zwracać na niego zbyt wiele uwagi. Masz dużo czasu... Jest tyle innych... - Znużenie nie pozwoliło mu dokończyć zdania. To do niczego nie prowadziło, ledwie ją widział. Desperacja Anny docierała do niego jak przez mgłę. Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Był świadom potrzeb córki. Lecz nawet gdyby nie doskwierało mu zmęczenie, dałaby o sobie znać nieśmiałość; nie miał zwyczaju rozmawiać, ani z Anną, ani

z kimkolwiek innym, o tym, co wiedział. Położył się więc z powrotem na łożku, luźno zwieszając ręce, i spod kosmatych, zakurzonych brwi rzucił jej skruszone spojrzenie. - Nie zwracaj sobie tym głowy, Anno - powiedział łagodnie.

Ona zaś, biorąc jego nieśmiałość za lekceważenie lub brak zainteresowania, pomyślała, że mimo wszystko Oliver musi mieć rację. I wybuchnęła płaczem, robiąc scenę, która zgodnie z jej przewidywaniami, stanowiła ostatnią deskę ratunku przed uległością. Henryk leżał nieruchomo, nieobecny duchem, z twarzą doskonale obojętną wśród resztek swego patriarchalnego wdzięku niczym oblicze śpiącego dziecka i, mimo zasnuwającej ją mgiełki znużenia, jak ono pełną wigoru. Bezładnie rozrzucone kończyny świadczyły o przyjemności, jaką czerpał z tego, że nie musi nimi poruszać. Błoto i krew na jego twarzy zastygły w obrzędowe ornamenty nałożonej przez szamana farby. Nie spuszczać wzroku z ojca, Anna zanosila się płaczem, przez niego, przez Olivera, przez osobliwą naturę rzeczy, które do tej pory traktowała jako oczywiste. Hałas zwabił Karolinę, która szła korytarem z naręczem prześcieradeł, i na odgłos dobiegający z pokoju Henryka bez namysłu wpadła do środka.

- Henryk! - zawołała, kładąc prześcieradła na komo-dzie.

Henryk otworzył oczy, próbując usiąść.

- Nie, nie siadaj, nie bądź niemądry; jeszcze zrobisz sobie krzywdę. Coś ty wyprawiał? - Nie oczekiwała odpowiedzi; sytuacja znalazła się w jej rękach. Przeszła przez pokój i bacznie przyjrzała się mężowi. - Migrena? - zapytała, po czym przyniosła mu kodeinę oraz szklanek wody. - Czy coś ci dolega?

Henryk przecząco pokręcił głową.

- Nie zasługujesz na to, by się o ciebie troszczyć. Chyba lepiej będzie, jeśli się położysz. Rozbierz się. - Przesiadła obok i zaczęła delikatnie wycierać mu gąbką twarz. - Mój biedny Henryku - powiedziała łagodnie, prosząc, by pozwolił jej roztoczyć nad sobą opiekę.

Henryk z uśmiechem nakrył ręką jej dłoń. Wciśnięta w kął Anna znowu zaczęła płakać, wydając z siebie brzyd-

ki, zachrypnięty odgłos, zduszony i natarczywy. Uwaga Karoliny przeniosła się na nią.

- Ach tak, to ty. Co się z tobą dzieje? Co tu robisz? Dlaczego nie powiedziałaś mi, że wróciłam?

- Jest zdenerwowana - wtrącił Henryk. - Coś wyprowadziło ją z równowagi.

- Ostatnio dość często jej się to zdarza; zaczynam tracić cierpliwość. Mogłaś trochę pomyśleć, Anno, zanim tu przyszłaś zawracać ojcu głowę, kiedy źle się czuje i potrzebuje odpoczynku. Czy ty *kiedykolwiek* myślisz o innych?

Nie ruszając się z miejsca, Anna bezradnie machnęła ręką. Łzy ciekły jej strumieniami po policzkach i nosie i kapały na szyję.

- Wszystko przez to słońce - dorzuciła łagodniejszym tonem Karolina. - Żadne z was nie zna umiaru. Lepiej też się połóż, Anno. Weź tabletkę, masz tu wodę, i marsz do łóżka. Później przyniosę wam kolację. - Zaciągnęła roletę i w pokoju Henryka zapadł mleczno-kawowy półmrok. - Tak jest lepiej. - Myśl o wieczorze bez Anny poprawiła jej nastrój; widząc, że córka nie rusza się z miejsca, powtórzyła: - No idź, mówię do ciebie. Do łóżka.

Henryk milczał. Anna rzuciła mu desperackie spojrzenie, po czym opuściła pokój i powlokła się korytarem w stronę swojej sypialni. Karolina wycisnęła gąbkę i z niezwykłą ostrożnością zaczęła wycierać mężowi twarz.

- Cieszę się, że zawsze wracasz - powiedziała. - To śmieszne, ale wciąż boję się, że tego nie zrobisz.

- Dlaczego? - zapytał.

- Och, czasem myślę, że istnieje tyle ciekawszych niż to miejsce, do których mógłbyś się udać.

- Bo ja wiem - odparł. Dłoń Karoliny znieruchomiała. Podniósłszy wzrok, zobaczył wyraz troski malujący się na twarzy żony. - Nie mam zamiaru odchodzić, nie wolno ci tak myśleć - zapewnił. - Gdybym tego pragnął, powiedziałbym ci. To znaczy... nigdy nie odszedłbym bez ciebie. Rozumiesz, co mam na myśli, prawda?

- Tak - odrzekła Karolina i znów zaczęła go myć, jak ktoś, kto usuwa mech z nagrobków cmentarnych.

Zgodnie z obawą Anny, przed drzwiami czekał na nią Oliver. Wiedziała, że twarz jej poczerwieniała i napuchła od łez i że Oliver znajdzie na to własne, nie do końca chybione wytłumaczenie. Z wahaniem cofnęła się w stronę pokoju Henryka, po czym zebrałszy się w sobie, ruszyła na spotkanie intruza.

- Anno, proszę, wysłuchaj mnie - zaczął. - Chcę, żebyś zrozumiała. Chyba nie jesteś sprawiedliwa.

Anna zlizwała łzę z kącika ust.

- Zostałam odesłana do łóżka - odparła. - Przynajmniej pozwól mi tam dotrzeć.

A nie mówiłem, powiedziała jej mina Olivera, który na szczęście powstrzymał się od komentarza. Zastąpił Annie drogę; aby sięgnąć klamki, musiałaby go odepchnąć. Roztrzęsiona i przejęta paraliżującym lękiem, czuła, że konieczność dotknięcia go załamałaby ją doszczętnie. Stała więc i spoglądała na niego w poczuciu kompletnego osamotnienia.

- Chcę powiedzieć, że nie chciałem cię urazić. Przepraszam, jeśli sądzisz, że wtykam nos w cudze sprawy. Pragnę jedynie pomóc. Przykro mi z powodu tej sprzeczki. Jesteś ostatnią osobą, którą umyślnie bym zranił...

- Nieważne, wiem, że nie miałeś nic złego na myśli. Chyba zbyt to wyolbrzymiasz.

- Mam wrażenie, że wcale tak nie myślisz.

Anna ponownie zalała się łzami.

- Przestań moralizować. Skoro już muszę dorastać, pozwól mi to robić na swój sposób.

- Tu nie chodzi tylko o dorastanie.

- Przestań *moralizować*.

- Przepraszam - odparł purpurowy na twarzy Oliver. - Nie chciałem zaczynać od nowa. Przepraszam. Naprawdę nie chciałem tego powiedzieć. Chciałem tylko... wiem, że zabieram się do tego w niewłaściwy sposób... chcę, żebyś wiedziała, że ja to znam. To znaczy, obchodzi mnie to, co się z tobą dzieje. Myślałem, że wołałabyś zyskać pewność, że ktoś to naprawdę obchodzi... ale...

- Osobliwy rodzaj troski - przerwała mu bez ogródek Anna. Ta niespodziewana próba zażyłości przeraziła ją bardziej niż wcześniejsze kazania. W tej sytuacji trud-

niej było przyjąć pozycję obronną. - To ładnie z twojej strony - dodała. - Mimo wszystko uważam, że demonizujesz.

Oliver popatrzył na swoje buty.

- Tak czy inaczej, to miło, że potrafisz zdobyć się wobec mnie na szczerość - oświadczył ponuro, jakby próbował doszukać się w sytuacji jakichkolwiek plusów.

Anna poczuła się okropnie. Mówił prawdę, rzeczywiście próbował pomóc i wykazał nieudawaną życzliwość; nie miała prawa ranić go ani obrażać - o co widocznie nie było trudno - tylko dlatego, że ucierpiała jej własna duma, częściowo z powodu Michała, częściowo z powodu ojca, co do którego Oliver, niestety, chyba miał rację, za co w najmniejszym stopniu nie ponosił winy.

- Przepraszam - powiedziała. - Zachowuję się okropnie, wszystko przez to zamieszanie. Wcale tak nie myślałam. Wiele dla mnie zrobiłeś i naprawdę jestem ci wdzięczna...

- Zapomnijmy o tym - rozpromienił się Oliver.

Wyciągnął rękę. Anna nie zdobyła się na to, by ją uścisnąć; instynktownie przeczuwała, że jakikolwiek kontakt fizyczny nie wchodzi w rachubę. Zamiast tego, chcąc wzbudzić jego litość, zaczęła się słaniać i zwieszając głowę, chwiejnie oparła się o drzwi.

- Czuję się okropnie - wyznała. - Jestem taka zmęczona. Upał i to całe zamieszanie...

Oliver okazał natychmiastową troskę.

- Wyglądasz na wyczerpaną. Biedna Anna. Połóż się i spróbuj zasnąć. Warto nauczyć się wypoczywać. - Otworzył przed nią drzwi. - No już, idź do łóżka i odpocznij. Chyba trochę za dużo od ciebie wymagamy, zasługujesz na wolny wieczór.

Anna przemknęła obok Olivera, zanim zdążył poklepać ją po ramieniu, i posławszy mu blady uśmiech, zatrzasnęła drzwi. Nie była pewna, czy nie przyszłoby mu do głowy, aby wejść i otulić ją kołdrą. Przemknęło jej przez myśl, że rozegrał to w taki sposób, aby była mu wdzięczna za troskę i otwarcie drzwi, chociaż wcześniej bronił jej do nich dostępu. Kiedy jednak, zrzuciwszy ubranie, wślizgnęła się do łóżka, odczuła nieznaną dotąd

kobiecą satysfakcję. Oliver był męczący, ale mówił prawdę, rzeczywiście lubił ją i nie bagatelizował jej spraw. I bez względu na zastrzeżenia co do miary jego zainteresowania, błędem byłoby je odrzucić. Jestem taka samotna, pomyślała w nowym przypływie żalu nad sobą, nie mogę lekceważyć niczyjej troski. On uważa, że jestem kimś, kimś zbyt wartościowym, by zostawić go w spokoju, powiedziała sobie w duchu, wspominając furię, z jaką przyjął jej hipotetyczną przyszłość w roli prowincjonalnej żony, i niemal ogarnęło ją rozbawienie. Jest bystry, powinien wiedzieć lepiej, muszę być dla niego uprzejmiejsza, pomyślała, zasypiając.

Następny dzień przebiegł bez zakłóceń. Dwa dni później Michał zadzwonił dwukrotnie, lecz Anna zmamiła go mglistymi obietnicami na temat przyszłego tygodnia, o ile nie będzie miała dużo pracy. Tymczasem wszyscy zaangażowali się w przygotowania do pikniku.

Organizowany przez Karolinę piknik w St Anne Crane stanowił każdego lata stałe wydarzenie rodzinne niemal od czasu, kiedy przybyli do Darton. Karolina uparcie wyznawała zasadę, że „rodzina musi coś robić wspólnie” i że „dzieci potrzebują obojga rodziców”. Nigdy nie spędzali razem wakacji, w dużej mierze z tego powodu, że najlepsze dzieła Henryka powstawały właśnie w lecie, dlatego też z niezwykłą stanowczością nalegała, aby aktywnie uczestniczył w pikniku, który dzięki temu stał się ceremonią pełną rytualnych znaczeń oraz powodem obaw, czy aby wszystko potoczy się jak trzeba. St Anne Crane leżała na wybrzeżu, w odległości kilku mil od domu. Był to miły, ustronny zakątek, o jakiego znalezieniu wszyscy marzą, zazdrośnie zatajając jego istnienie przed przyjaciółmi i znajomymi. Znajdował się poza zwykłym zasięgiem wypadów z Darton, w wyniku czego każdy pobyt poprzedzała długa i męcząca jazda samochodem, rozpoczynająca się - by dodatkowo przydać przedsięwzięciu rozmachu - bladym świtem, przed zwykłą porą wstawania.

Tego roku, zgodnie z postanowieniem Karoliny, piknik przypadał na ostatni dzień pobytu Canningów; dwa lata wcześniej przyznała niechętnie, że rodzinna solidarność zyska, jeśli do zabawy dołączy się pewien obcy element. Inaczej bowiem, bez względu na szczytny cel, za-

chodziło prawdopodobieństwo, że Henryk zapomni się i pójdzie swoją drogą, a Anna w przypływie złego humoru odmówi zabawy z Jeremim; raz czy dwa razy podobnie przykre incydenty miały miejsce. W tym roku okoliczności były Karolinie na rękę: zapewni Canningom zajęcie, pokazując przy tym, ile wysiłku wkłada się w zapewnienie im rozrywki wykraczającej poza elementarne obowiązki gospodarzy, poza tym Henryk otrzyma szansę przynajmniej częściowej rehabilitacji w oczach Olivera, i to bez konieczności wdawania się w zbędne wyjaśnienia; przy okazji pokaże mu kościół normański, co będzie miłym i mało absorbującym zajęciem.

Nie poddając się rezygnacji, wiele przygotowań do pikniku poczyniła w trakcie nieobecności Henryka. Złatwiła wynajęcie drugiego samochodu i na kilka dni naprzód zadbała o wiklinowe kosze piknikowe, termosy oraz sztuce. Zamówiła jedzenie, wymyła ekwipunek pływacki, zapakowała płócienne krzesła i sprawdziła, czy w samochodzie znajdują się właściwe mapy. Kiedy wreszcie nastał dzień wyjazdu, spokoju nie dawały jej tylko dwie troski - zwykły niepokój o pogodę, który, jak przekonywała sobie samą, wydawał się w tych okolicznościach nieco absurdalny, oraz o zdrowie Henryka. Niebo było równie błękitne i czyste jak co dzień - Karolina odwzajemniła jego anielskie spojrzenie ponad stołem, kiedy nalewała kawę i nakładała kedgeree⁶ osobom zgromadzonym przy wczesnym śniadaniu. Siedzący naprzeciw Henryk tryskał zdrowiem; jego skaleczenia goiły się, przespał smacznie ostatnie dwie noce i w tej chwili spożywał obfity posiłek. Jeremi, który pochłaniał drugi talerz kedgeree, podchwycił jej zatroskane spojrzenie w stronę okna.

- Mam nadzieję, że pogoda się nie popsuje - rzucił gorliwie. - To byłoby straszne, prawda?

- Och, na pewno się nie popsuje - zapewniła Małgorzata. - Nie teraz, kiedy to takie ważne.

- Pokładasz wzruszającą wiarę w dobrą wolę pogody

⁶ Kedgeree (ang.) - potrawa z ryżu zmieszanego z rybą i jajkami.

- wtrącił jej mąż. - Ale istotnie nie sędzę, aby miało pa-
dać. Nawet biorąc pod uwagę rachunek prawdopodob-
ieństwa, uważam, że to nie wchodzi w grę.

- Zawsze stroisz sobie ze mnie żarty - odparła Małgo-
rzata.

- Wcale nie, powiedziałem tylko, że to wzruszające,
i jestem wzruszony. Serio.

- Nie mogę jeść kedgeree w taki upał - oświadczyła
Anna, odsuwając krzesło. - Mogę odejść?

Karolina zeszywniała z mimowolnej irytacji. Anna
przyszła na śniadanie spóźniona i rozczochrana, w sta-
rych džinsach i z rozpaloną twarzą. Jej dłuższy pobyt
w domu stanowił niepokojącą perspektywę.

- Jesteś rozgorączkowana, kochanie - powiedziała
z pozornym spokojem Karolina. - Na pewno dobrze się
czujesz? Spałaś?

- Jak suseł. Nie sędzę, żebym miała gorączkę. Po pro-
stu nie lubię kedgeree. - Anna wstała i wyszła, zatrza-
skując za sobą drzwi.

- Ładne maniery - orzekła Karolina.

- Zdaje mi się, że ona nie najlepiej wygląda - wtrąci-
ła Małgorzata.

- Jak zwykle. Trudno się temu dziwić. Dbanie o zdro-
wie uważa za coś poniżej swojej godności. Musi to za nią
robić ktoś inny, tak że w końcu zawsze musi z tego wy-
niknąć awantura.

- Przepraszam - powiedział Oliver i poszedł za Anną.

Henryk poderwał się z krzesła tak zwinnie, jak po-
zwalała mu na to masa jego ciała, i skierował się w stro-
nę gabinetu. Karolina chwyciła go za rękaw.

- Henryku! Drugi samochód. Kto go odbierze?

- Oliver. I Anna, naszym autem. Daj im coś do robo-
ty. Anna może jechać z powrotem. Ostatecznie po co
uczyła się prowadzić? - I, niezłomny, udał się do gabi-
netu.

Karolina westchnęła.

- Wszyscy lubią pikniki, ale nikomu nie przyjdzie do
głowy, że wymagają one trochę zachodu. Anna jest nie-
możliwa. Sędzisz, że Oliver będzie miał coś przeciwko te-
mu?

- Na pewno nie. - Małgorzata zawahała się. - Naprawdę uważam, że ona nie najlepiej wygląda.

Karolina zasznurowała usta.

- Pewnie traktuję ją w nieodpowiedni sposób. Ciekawe, jak ktoś inny poradziłby sobie z nią na moim miejscu, ot co. Podobny brak zainteresowania czymkolwiek przechodzi wszelkie pojęcie. I ta niezaradność w sprawach codziennych... Anna wykazuje nieprawdopodobną ignorancję w kwestii szybkości i odkurzaczy. Kiedyś będzie musiała sobie z nimi radzić; jest kobietą, nikt nie zrobi tego za nią. Ale przecież jej to nie interesuje. Ona z niczym nie daje sobie rady. Nawet ze szkołą, a bądź co bądź, każdy musi przez to przebrnąć, prawda? Dwukrotnie stamtąd uciekała; nie pamiętam, czy ci mówiłam, w końcu ją wyrzucili. Uważam to za dosyć radykalne rozwiązanie, lecz trudno ich winić. To wszystko pewnie moja wina - takie istnieje założenie, prawda? Czasem jednak, patrząc na niektórych ludzi, myślę, że po prostu tacy przyszli na świat, a obwinianie rodziców w gruncie rzeczy do niczego nie prowadzi. Czuję, że moja złość nie przynosi rezultatów, natomiast do głębi zdumiewa mnie fakt, że... że... nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ona nie ma ze mną nic wspólnego. Nic. Tak jakby się mnie wyparła, ni mniej, ni więcej.

- Czy nie czas po prostu, aby wyjechała? - podsunęła Małgorzata. - Nie jest w wieku, kiedy na ogół ma się ochotę tkwić w domu. Znam to uczucie, chyba nie ma nic niezwykłego w...

- Nie - ucięła Karolina, która nie miała zamiaru dopuszczać do świadomości faktu, że dzieje się coś niezwykłego, i być może miała w tej kwestii rację. - Tak czy inaczej, zupełnie nie wiem, dokąd ją wysłać.

- Mogłaby nas odwiedzić. Z radością ją przyjmę; dotrzyma mi towarzystwa w czasie nieobecności Olivera, on zaś będzie mógł kontynuować z nią lekcje. Ma o niej wysokie mniemanie; Anna skorzysta na tym, że ktoś poświęci jej trochę uwagi... to znaczy, wskaże ukryte w niej możliwości... Co ty na to? Zapytam Olivera, zapytam też Annę; może zdołam się dowiedzieć, na czym jej naprawdę zależy...

- Sama nie wiem - odrzekła z powątpiewaniem Karolina, próbując zestawić korzyści płynące z pozbycia się Anny i zapewnienia jej konstruktywnego zajęcia z rosnącym długiem wobec Olivera. - To dla ciebie za duży kłopot. Muszę porozmawiać z Henrykiem. Zobaczymy...

- Zrób to - odparła Małgorzata. - A ja pogadam z Anną, dobrze?

Godzinę później Karolina zebrała wszystkich na trawniku i policzywszy ich, raz jeszcze przejrzała zgromadzone wcześniej rzeczy.

- Nigdy nie sądziłam, że naprawdę się uda. Dobrze... kosze są w bagażniku naszego samochodu. Koce, przybory do pływania, apteczka, zestaw Jeremiego do krykieta i sprzęt do nurkowania w wynajętym aucie. Mapy są w obu; będzie najlepiej, jeśli Henryk poprowadzi nasz samochód, a Oliver pojedzie za nim w wynajętym. Niech Małgorzata i Anna pojedą z Henrykiem, a Jeremi i ja z Oliverem, tak abym mogła go pokierować, jeśli Henryk zniknie nam z oczu. To już chyba wszystko; dom jest zamknięty, prawda, Henryku? Czy wszyscy macie kapelusze?

Mieli, prócz Olivera, który z pozorną obojętnością patrzył w inną stronę; obserwując go, Anna pomyślała, iż musi udawać, że nie słyszy, ponieważ nawet on nie jest w stanie przyznać się do braku kapelusza i skapitulować, tłumacząc się przed matką. Sama Anna została zmuszona do przebrania się, w wyniku czego oboje z Jeremim stali się zdumiewająco do siebie podobni, oboje w zwykłych szarych krótkich spodenkach, białych koszulach i płóciennych kapeluszach od słońca. Opaleni i długonozcy, niczym nie różnili się od innych wiejskich dzieci na wycieczce. Anna wepchnęła odrastające włosy pod kołnierz koszuli. Stała z rękami w kieszeniach, wypiętym brzuchem i ściągniętymi ramionami.

- Wolałabym, żebyś nauczyła się bardziej dbać o postawę, Anno - powiedziała łagodnie Karolina.

Anna przestąpiła z nogi na nogę.

Małgorzata włożyła bawełnianą suknię w białe i różowe pasy, z sutą spódnicą na halce; na to narzuciła biały

pikowany żakiet, zapinany na maleńkie perłowe guziki. Na nogach miała białe sandałki na niewysokim obcasie, na głowie zaś biały kapelusz wielkości młyńskiego koła, przewiązany pod brodą różową wstążką. Był to jeden z jej „kobięcych” dni - wybrała taki strój, rezygnując na jego rzecz z džinsów i espadryli. W rękę trzymała małą skórzaną kosmetyczkę, wypełnioną balsamami oraz kremami ochronnymi. Oliver przyznał - kpiąco, lecz z widocznym zadowoleniem - że wygląda bardzo ładnie. Lubił kobiece stroje, powiewne spódnice i przepastne dekolty, kapelusze i naszyjniki, bez względu na to, czy były modne, czy nie. Tymczasem Karolina zachnęła się na widok delikatnych sandałków - nie nadawały się na spacer po kamieniach - oraz zwiewnej halki, niepasującej do skalistych klifów. Kobiety bezdzietne, pomyślała, są pozbawione poczucia rzeczywistości. Sama włożyła błękitno-białą, wzorzystą suknię z płótna, sandały od Clarka oraz letnią wersję ogrodowego kapelusza Henry'ego Heatha. Krótkie rękawy, żadnych halek. Zauważyła, że Oliver nie ma kapelusza.

- Może weźmiesz któryś z kapeluszy Henryka? - natarła na gościa.

- Raczej nie, dziękuję. Mam grubą czaszkę, słońce na nią nie działa. Nie lubię kapeluszy.

Karolina poczerwieniała.

- Lato jest wyjątkowo upalne, a nad morzem słońce zawsze bardziej doskwiera...

- Daj mu spokój. - Stojący przy samochodzie Henryk tonął aż po grzbiet nosa pod osłoną ogromnej panamy, którą Karolina triumfalnie wygrzebała kiedyś w sklepie z militariami, po tym jak Henryk oświadczył, że jego głowa przewyższa rozmiarem wszelkie kapelusze znajdujące się w sprzedaży. - Daj mu spokój. Jest dorosły, nie musisz się o niego troszczyć. Nie sądzę, aby specjalnie ucierpiał. Ja chodziłem bez kapelusza i spójrz na mnie. Jestem zdrow jak ryba.

Skutecznie odwrócił tym samym uwagę Karoliny od Olivera.

- Na pewno? Naprawdę nic ci nie dolega? Możesz prowadzić? Może lepiej Anna...

- Nie marudź, moja droga - uciał Henryk. - Nic mi nie jest. Sam powiozę się ku zagładzie. Powiedziałbym ci, gdyby mi coś dolegało.

- Wątpię - wtrącił Oliver, lecz jego kłopotliwa uwaga pozostała niezauważona.

Podróż była długa, pełna kurzu i niezbyt podniecająca. Anna w milczeniu siedziała za plecami Henryka i Małgorzaty. Nadal uparcie wierzyła, że lepiej jest jechać, choćby bez większych nadziei, niż dotrzeć do celu, dlatego też niechętnie wynurzyła się na chwilę z zamroczenia, kiedy pokonali ostatni niewielki pagórek - od jakiegoś czasu pięli się w górę - i szeroką, brukowaną główną ulicą, biegnącą pomiędzy wysokimi, ogrodzonymi chodnikami, wjechali do miasteczka St Anne Crane. U stóp wzniesienia znajdował się plac; Henryk zaparkował auto i otworzył Małgorzacie drzwi. W samochodzie panował piekielny upał, mimo to pogrążona w letargu Anna nie ruszyła się z miejsca. Powietrze było krystaliczne, słońce obmywało pobielaty plac, zewsząd dobiegało nawoływanie mew, ona jednak nie czuła się na siłach, by zdobyć się na jakikolwiek wysiłek; skulona na tylnym siedzeniu, rzuciła okiem na plac przez zakurzoną szybę, podczas gdy Henryk oprowadzał Małgorzatę po placu, będącym jednocześnie ośrodkiem i krańcem wioski. Reszta uczestników wycieczki pozostała daleko w tyle. Małgorzata drobiła za Henrykiem, wydając okrzyki zachwytu. Dół jej sukni powiewał i jaśniał w słońcu.

- I tyle - oznajmił Henryk. - Ulica, plac i puby, po jednym z każdej strony. Ten mur tutaj odgradza nas od morza.

Małgorzata stanęła obok Henryka i wychyliła się przez ogrodzenie; od dna dzieliła ją stroma pochyłość, przechodząca w skalistą plażę oraz przystań z dwoma czy trzema przycumowanymi kutrami. Po prawej stronie wysuwał się język klifu, osłaniający żwirowe pasmo plaży.

- Na szczęście plaża jest częściowo niedostępna - podjął Henryk. - Pewnie dlatego zostawiono ją w spokoju. Zresztą ten odcinek nie jest szczególnie interesujący; od naszej zatoczki dzieli nas kawałek drogi, dość uciążliwy, choć miejscami w skale wykuto prowizoryczne schody.

Małgorzata niepewnie spojrzała na swoje buty.

- Ależ tu pięknie! - zawołała. - Jakiś ty sprytny, że udało ci się znaleźć taką perłę. Co za dziewiczy zakątek.

Podchwyciwszy ostatnie słowa, Anna wzdrgnęła się mimowolnie. Określenie wydało jej się wulgarne i nie na miejscu; skojarzyła je z nieuczciwością folderów turystycznych, które nagłaśniają istnienie tajemniczych miejsc, dzieląc się ich „dziewiczością” ze wszystkimi czytelnikami i spychając je tym samym do ogólnej kategorii dziewiczego uroku i nieskalanej „scenerii”. Ona nie widzi, pomyślała zawzięcie Anna, wykrzykuje tylko jak papuga: „dziewiczy, dziewiczy”. Następnie rozżłościł ją własny snobizm - konieczność dzielenia się sekretnymi miejscami sama w sobie stanowi dobry powód do gniewu; poza tym nie można było wykluczyć, że Małgorzata ma problemy raczej z doborem słów niż realną wizją Świata, co nie zawsze idzie ze sobą w parze. Henryk również wychylał się przez ogrodzenie, wskazując jej miejsce, gdzie niewidoczny w cieniu pubu George'a mały normański kościółek przycupnął na wzgórzu.

Anna spojrzała na widoczną ponad murem bladą, połyskliwą linię morza i zastanowiła się nad tym, co najbardziej utkwi jej w pamięci z dziecięcych pikników w St Anne, czy fizyczna rozkosz czerpana ze wspinaczek, kąpieli i zabaw w piasku, pośród odgłosów fal i mew, w której pograżała się bez reszty, czy też towarzyski dyskomfort, odczuwany w tej chwili. Bariera okna zapewniła jej konieczny dystans - uprzedmiotowione wspomnienia jawiły się niczym poddawany oględzinom, pokryty patyną kurzu i zarysowań stary negatyw. Opustoszały plac, upstrzony nieregularnymi cieniami w miejscu, gdzie się znajdowała, i zbiegały od słońca od strony morza, spowijała warstwa znaczeń i aura tajemnicy - tajemnicy towarzyszącej próbie zebrania i porównania ocalałych wspomnień.

St Anne, dokąd po raz pierwszy Karolina zabrała ją na tradycyjny piknik, przez lata stanowiła dla Anny wymarzoną kryjówkę oraz granicę wolności. Było to pierwsze miejsce, które uznała za piękne - pewnie dlatego, że tak jej powiedziano - do tej pory nosiła w sobie wysub-

telniony obraz jego pustki i przejrzystości, budynków stłoczonych na skraju nicości i rozpiętego za nimi horyzontu, który jaśniał metalicznym błękitem, tworząc fundament bezcielesnej, rozwodnionej barwy nieba. Przypomniała sobie ciężar i mrok małego kościoła oraz jego stęchłą woń. Przypomniała sobie również zatoczki, gdzie przesiadywała samotnie u stóp leja, otoczona strzelistymi ścianami kredy, mając otwartą płachtę nieba nad głową i połyskliwą toń przed oczami.

Z biegiem lat wypieściła w sobie owe trzy obrazy, dzięki czemu teraz jaśniały przed jej oczami pełnią barw, umożliwiając nieskrępowany dostęp do siebie; na swój sposób objęła to miejsce w posiadanie. Niemniej jednak sentyment, jakim je darzyła, stanowił nieodłączny element przeszłości. Kiedyś uznała okolicę za boleśnie piękną, obecnie zaś myślała to samo, nie dlatego jednak, że ta myśl uderzała ją z nową intensywnością w obliczu podziwianych widoków, lecz dlatego, że owo przekonanie nostalgicznie zapadło jej w pamięć. Ciężko Annie mgliste podejrzenie, że chwila świadomości w gruncie rzeczy nigdy nie nastąpiła, uniemożliwiającej jej pełne zrozumienie sytuacji, reminiscencje zaś stanowią sumę wrażeń splecionych z późniejszymi wyobrażeniami, które w żaden sposób nie przystawały do pozostałych wspomnień, przesyconych ciągłą frustracją z powodu obecności Jeremiego, matczynej determinacji, mającej na celu zapewnienie im dobrej zabawy, skwaru i uciążliwej wędrówki oraz pośpiechu niezmiennie towarzyszącego przyjazdom i wyjazdom. Być może przeszłość w swej rzeczywistej postaci, pomyślała, bądź terażniejszość, kiedy już stanie się przeszłością, są niemożliwe do zapamiętania lub nawet mało istotne. Może człowiek tworzy siebie na bazie tego, co wypracował na podstawie zarejestrowanych zjawisk, i może jego dokonania lub odczucia liczą się o tyle, o ile mają na to wpływ. Anna wiedziała doskonale, co rozumie przez tworzenie siebie - stanowiło to jej zasadniczy cel - nie wiedziała jedynie, jaką obrać ku temu drogę. Aby stworzyć siebie, ważniejsze było może ująć w ramy pamięci pełną wizję, niż skonstruować ją od podstaw. Albo też, z drugiej strony,

podobne założenie opierało się na kłamstwie. Wiedziała, że należało przypisywać ujrzanym zjawiskom istotne znaczenie. A co, jeśli sposób widzenia jest czymś sztucznym? St Anne jest dla mnie piękne teraz, stwierdziła w duchu - albo będzie nawet jeszcze piękniejsze, kiedy wrócę wspomnieniami do tej chwili - lecz szczerze powiedziałwszy, nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek widziała je tak, jak wierzę, że je widziałam.

Wspomnienia zaś, myślała dalej Anna, rzucając chmurne spojrzenie na ojca i Małgorzatę, która ze śmiechem przytrzymywała rozwiewaną wiatrem suknię, wspomnienia nie trzymają się kupy, z chwilą gdy pochwyci się jedno, drugie umyka. Nie potrafię pamiętać jednocześnie o uroku miejsca i kłopotliwości rodziny; wobec tych dwu rzeczy stają się dwiema osobami. Mimo to obie kwestie nie ulegają wątpliwości, tworząc siebie zaś należy wziąć pod uwagę tylko to, co prawdziwe, inaczej cała misterna konstrukcja rozsypie się na części. Nie można nic zdziałać, będąc dwiema osobami - jedną rozsądną, o bystrym spojrzeniu i jasno określonej pozycji, drugą o naturze rozkapryszonego dziecka. Gdybym odeszła, by żyć własnym życiem, myślała, może potrafiłbym być wszystkim tym, czym w gruncie rzeczy jestem lub muszę być - wówczas zobaczyłabym, a nie tylko pamiętałam, że widziałam. Owa refleksja przywołała wspomnienie Olivera, wraz z pytaniem, co jego obecność i pomysły wniosą do jej obrazu St Anne. Nieoczekiwanie straciła otuchę. Obserwując Henryka, który przecinał plac, jedną ręką podtrzymując pod łokieć Małgorzatę, a w drugiej niosąc kapelusz, przyszło jej do głowy, że życie, któremu ona poświęca tyle rozważań, stanowi jedynie grę mającą podnieść ją na duchu. Nie znajdę nic godnego uwagi lub działania, przemknęło jej przez myśl. Równie dobrze mogą poprzestać na tym, co jest.

- Anno! - zawołał Henryk. - Nie przyjdiesz popatrzyć? Mamy dziś taki ładny dzień.

- Anno! - zawtórowała mu Małgorzata, podczas gdy dziewczyna wysiadła z samochodu i oparła się o maskę. - Jak możesz kisić się w tym zaduchu? Och, ależ z was szczęściarze. Tak tu pięknie. Oliver będzie zachwycony.

Niewiarygodne. Nie miałam pojęcia, że gdzieś uchowały się równie cudowne miejsca. *To powietrze...* - rzuciła z podziwem, jak gdyby powietrze było dziełem zręcznego projektanta przestrzeni.

Na wzniesieniu pojawił się drugi samochód. Sunął gładko, bez kłopotu towarzyszącego jeździe Henryka, miękko podskakując na kocich łbach. Anna ujrzała głowę matki, zwróconą w stronę Olivera i zastanowiła się, o czym ci dwoje mogą ze sobą rozmawiać. Wkrótce zobaczyła z bliska ich roześmiane twarze.

- Ależ tu uroczo! - wykrzyknął Oliver, wyskakując na plac i zatrzasnąwszy drzwi. - Ależ uroczo. - Obszedł samochód i z przesadną galanterią pomógł Karolinie wysiąść. - To chyba pierwowzór St Cecyli z twojego „Biednego potwora”, prawda, Henryku? Zawsze uważałem, że to dość faulknerowski⁷ motyw. Dziwne. Muszę uważnie przyjrzeć się okolicy. Na pewno jest tego warta. Najpierw jednak musimy się napić, co wy na to? Od tego upału zaschło mi w gardle. Niedaleko są dwa puby, usiądziemy na tym murku i napijemy się, nie sądzicie, że to dobry pomysł? - Kipiał energią, wciąż się z czegoś śmiejąc pod nosem.

Małgorzata, która miała zamiar podbiec do niego i podzielić się wrażeniami, nagle jakby straciła animusz i przysunęła się bliżej do Henryka. Kiedy nie było Olivera, zawsze wyobrażała sobie, co zrobi, gdy on się zjawi; tym razem spodziewała się, że odurzony morskim powietrzem, złoży na jej policzku roztargniony pocałunek i wzięwszy ją za rękę, będzie się zachwycał się urokiem okolicy. Tymczasem jednak nie odstępował Karoliny i energicznie organizował dalszy przebieg wycieczki. Ryśując kółka czubkiem buta, Anna pomyślała, że Oliver jest dzisiaj bardzo dorosły. Miała na myśli coś konkretnego, coś, co miało związek z rozbawieniem jego i matki.

⁷ William Faulkner (1897 - 1962) - wybitny pisarz amerykański, laureat Nagrody Nobla (1949); w swoich powieściach i opowiadaniach ukazywał społeczno-obyczajową rzeczywistość amerykańskiego Południa. Jego utwory odznaczają się głęboką analizą ludzkiej psychiki, często jej stanów patologicznych. Autor m.in. „Wściekłości i wrzasku”, „Światłości w sierpniu”.

- Sama nie wiem, Oliverze - rzuciła z powątpiewaniem Karolina. - Zawsze trochę trwa, zanim znajdziemy miejsce na piknik... To kawałek drogi stąd.

- Ach, nie zwracałbym sobie tym głowy! - wykrzyknął Oliver, beztrudnie nieświadom czekającej ich długiej wędrówki przez skały oraz severellowskiej determinacji, towarzyszącej zwykle organizacji idealnego pikniku. - Chyba damy sobie radę. Nie marudź, to fatalnie wpływa na pikniki. Jeśli o mnie chodzi, nie ruszę się stąd na krok, dopóki się nie napiję. Prowadziłem jak wariat i coś mi się za to należy. Idziemy. - Doprowadził Karolinę do ogrodzenia. - Usiądź tu grzecznie. Czego się napijesz?

- Jabłecznika - poddała się Karolina.

- A ty, kochanie? Anno?

- Dzieci lubią lemoniadę - oznajmiła Karolina. - Schweppsa, jeśli będą mieli.

Oliver dobrodusznie mrugnął do Anny. Dzisiaj jej miejsce było obok Jeremiego; wydawało się, że zawarto co do tego ciche porozumienie. Jeszcze wczoraj chciała tam pozostać.

- Trzy piwa, jeden jabłecznik, dwie lemoniady - obliczył Oliver. - Pomożesz mi, Henryku?

Skierowali się w stronę pubu George'a.

- Możesz zacząć wyładowywać zapasy - zaproponowała córce Karolina.

Annie wciąż doskwierało typowe dla dziewcząt w jej wieku i całkowicie niezrozumiałe dla innych uczucie, że przy jej przemożnym wyczerpaniu każdy najmniejszy ruch spowoduje omdlenie, torsje lub przynajmniej dotkliwy ból głowy. Powlokła się do samochodu i wyjęła z bagażnika kosze z prowiantem.

Karolina zacisnęła usta. Anna wróciła do siedzących rządkiem na murze pozostałych uczestników pikniku i usiadła na końcu, obok Jeremiego, ze szklanką niechcianej lemoniady w ręce i w poczuciu całkowitego osamotnienia. Jeremi kołysał się lekko, pogrążony we własnych myślach. Anna była jedyną osobą, wobec której nigdy nie czuł się w obowiązku podtrzymywać rozmowy. Nieskora zjednywać sobie ludzi, pozostawała obojętna na tego rodzaju towarzyskie zabiegi. Siedząca obok

chłopca Małgorzata, kątem oka popatrując na Olivera, wylewnie gratulowała Karolinie wyboru miejsca pikniku, ta zaś z wdziękiem przyjmowała jej entuzjazm, jak gdyby urok St Anne był w przeważającej mierze jej zasługą. Oliver, u boku Karoliny, objaśniał Henrykowi jego własną technikę symboliki morskiej w „Biednym potworze” oraz powód, dla którego motyw śmierci w promieniach słońca na plaży jest tak efektowny. Wychyliwszy się za plecy pozostałych, Anna zauważyła, że Henryk nie słucha. Uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu Oliver bezustannie jej towarzyszył, jutro zaś miał wyjechać. Nagle zrozumiała, że pomimo jego męczącego sposobu bycia będzie za nim tęsknić.

Traktuje mnie jak *kogoś*, powtórzyła w myślach. Nie jakbym stanowiła część określonej całości - element układanki - albo *koncept*, jak fotografie rodzinne czy ten niedorzeczny rząddek, który tworzymy, siedząc jak kury na grzędzie. Na w pół rozmyślnie kopnęła rozkołysaną, dziecięcą nogę brata. Jeremi, który nucił coś pod nosem, umilkł i rzuciwszy jej rozżalone spojrzenie, ostentacyjnie roztarł łydkę. Anna odchyliła się bardziej do tyłu, ponownie sięgając stopami nóg Jeremiego, który w ponurym milczeniu ze zdwojoną energią rozcierał łydkę, i sprawdziła, czy Oliver jest świadkiem jej udręki. Mimo podejrzenie uprzejmej miny Henryka wciąż nie orientował się, że ten go nie słucha. Annę ogarnęła złość na ojca. Wszyscy widzą, że Oliverowi bardzo zależy na jego zdaniu, pomyślała; jakie to przykre i egoistyczne tak go lekceważyć. Jeszcze wczoraj doszłaby do wniosku, że Henryk ma rację, wyłączając się z dyskusji, dzisiaj jednak w imieniu Olivera poczuła się dotknięta do żywego. Co on sobie wyobraża, pomyślała; za kogo on się w ogóle uważa?

- Jeśli mężczyźni poniosą kosze piknikowe, a dzieci koce i sprzęt do pływania... - zaczęła Karolina, podnosząc głos o jeden ton i gładko ucinając wywody Małgorzaty.

Energicznie zapędziła ich na skalistą ścieżkę: najpierw szedł Henryk, za nim podążał Oliver, dalej Małgorzata, Anna oraz Jeremi. Szli gęsiego; Karolina zamyka-

ła pochód, czuwając nad stadkiem. Ścieżka była wąska i nierówna, wiła się wzdłuż mniej lub bardziej stromej krawędzi klifu, przylegając do niej gdzieś w miejscach, gdzie skała ukruszyła się. Po lewej stronie lśniło morze, po prawej widniały połacie trawy porastającej pagórki i wzniesienia, która mimo niemal bezwietrznej aury szeleściła i poświsływała. Małgorzacie, której dawał się we znaki lęk wysokości oraz niewygodne buty, zakręciło się w głowie. Skręcili w lewo i ścieżka poczęła wić się wokół zwieńczeń zatok; co jakiś czas Henryk przystawał i spoglądając przez ramię, wskazywał na schody bądź krętą dróżkę, prowadzącą w dół, a wtedy Karolina wołała: „Nie, to chyba jeszcze nie to, jak myślisz?” - po czym ruszali dalej.

Opierając podbródek na okazałej stercie koców i zmagając się z nieposłusznym sprzętem do krykieta, Anna wydłużyła krok w sposób charakterystyczny dla swojej rodziny i znów z nadzieją podążała przed siebie. Pogrążywszy się w marzeniach, snuła wizję chatki na klifach St Anne, gdzie mogłaby w samotności pisać dobre powieści, kontemplując wodę. Miałaby pokoje z niewielkimi oknami w głębokich wnękach, zaniedbany ogród oraz białą kuchnię z kamienną podłogą i wielką szumiącą lodówką - ów sprzęt w pewien sposób nadawał obrazowi znamię realności. Henryk umarł albo przeniósł się w okolice Morza Śródziemnego czy do Meksyku, zresztą i tak publikowałaby pod pseudonimem, dzięki czemu nikt nie wpadłby na to, że nosi nazwisko Severell. Miałaby stół z maszyną do pisania, ustawiony pod oknem z widokiem na morze; cały ranek spędzałaby na pracy, a popołudniami chodziła na długie spacerowiska; opuszczałaby dom zgodnie ze swoją wolą, nikt nie odwiedzałby jej nieproszony ani nie wtrącałby się w nie swoje sprawy. Czas płynąłby na korzyść Anny.

Spacerowała po ogrodzie, przemierzała schody, zaglądając do pokoi - było to znajome i skuteczne ćwiczenie wyobraźni; uszczęśliwiona spoglądała na morze, łącząc czerpaną z obserwacji przyjemność z rozkoszą płynącą z pisania, dzięki czemu jedna stawała się złudną gwarancją drugiej. Mroczne trąby fal roztrzaskiwały się o skały

leżące u jej stóp, rozlewając się mętными, złowrogimi pasmami na gładkiej, pobladłej powierzchni. Dalej zbłąkany podmuch wiatru chłostał taflę, pozostawiając na niej sine pręgi. Zapamiętam to, postanowiła w duchu, jak gdyby obietnica mieściła się w samym akcie widzenia. Zapamiętam, wiedziałam, że potrafię...

Uświadomiła sobie, że Małgorzata dwukrotnie z naciśkiem wypowiedziała jej imię.

- Anno...

- Och. Przepraszam. Zamyśliłam się.

- Czy... daleko... jeszcze... mamy iść? Nogi mnie boją... jestem taka głupia, włożyłam nieodpowiednie buty... ta wysokość przyprawia mnie o zawrót głowy. Kiedy staniemy?

Anna zrównała się z Małgorzatą na rozszerzeniu ścieżki, poprawiając jednocześnie zsuwający się sprzęt Jeremiego. Podkusiło ją, aby cisnąć cały pakunek w dół, uznała jednak, że skoro brat znajduje się tuż za jej plecami, realizacja pomysłu raczej nie wchodzi w grę. Z pozycji doświadczonego piechura udzieliła zatem odpowiedzi Małgorzacie:

- Matka nie spocznie, dopóki nie miniemy kościoła. - Właśnie zbliżali się do wzniesienia, na którym stał. - Tym sposobem każdy, kto będzie chciał go obejrzeć, będzie musiał cofnąć się spory kawałek. Poza tym spójrz, tam, w zatoce, ktoś jest. Nie możemy zatrzymać się w miejscu, gdzie są ludzie.

- Dlaczego? - zapytała Małgorzata, która lubiła ludzi i przy każdym nowym spotkaniu żyła nadzieją na objawienie.

Widoczne w dole osoby wyglądały na nieszkodliwe; para siedząca na płóciennych krzesłach i rozchichotane dzieci, brązowe jak czekoladki, w czerwonych i pstrokatych skrawkach majtek, zanurzające drobne stopki w spienionej wodzie. Małgorzata lubiła małe dzieci. Uniósłszy głowę, Anna rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

- Nie wiem dlaczego. To piknik rodzinny... to znaczy, nigdy nie przyłączamy się do innych. - Zastanowiła się. - Swoją drogą, szkoda. Na co dzień ma się dość widoku rodziny.

- Tak sobie myślałam - podjęła Małgorzata - co ty teraz zrobisz? Po wyjeździe Olivera. To znaczy... kto będzie cię uczył?

- Pewnie znajdą mi nauczyciela. W gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi.

- A nie wolałabyś znaleźć się poza domem? - drażyła Małgorzata. - Ja na twoim miejscu na pewno bym wolała. Musisz żyć własnym życiem... no wiesz... decydować, na co wydajesz pieniądze, chodzić na prywatki, mieć własnych przyjaciół... i wracać do domu, kiedy sama zechcesz.

- No tak - odparła zdawkowo Anna.

- Zastanawiałam się, czy nie chciałabyś pomieszkać u nas. Oliver mógłby kontynuować wykłady... wiem, że to dla niego ważne... a mnie twoja obecność sprawiłaby ogromną radość. Mogłybyśmy robić różne rzeczy, przedstawiłabym cię znajomym... bądź co bądź, znalazłabyś się w Londynie. Pomyśl tylko o przyjęciach, szatańskich ciuchach... i teatrach. Nie ingerowałabym w twoje sprawy, oczywiście, jeśli Oliver uznałby, że wszystko odbywa się bez szkody dla nauki. - Zaśmiała się niepewnie; całkowicie straciła poczucie kontaktu z rozmówczynią, która oznajmiła obojętnie:

- Nie pozwolą mi.

Anna nie miała pojęcia, skąd czerpie tę niezbitą pewnością. Rodzice nie zwracali na nią większej uwagi, czuła jednak, że zgodnie sprzeciwiliby się jej wyjazdowi. Rozumiało się samo przez się, że jej miejsce jest tutaj.

- Ja uważam, że ci pozwolą. Rozmawiałam z twoją matką.

Anna zerknęła na Małgorzatę znad swojego tobołka w nowym przypływie zainteresowania.

- Naprawdę? Sądzisz, że?... Coś ci powiem... on... wujek Oliver... na pewno nie będzie zachwycony. Co myśli na ten temat? Podejrzewam, że ma mnie dosyć.

- Nie wolno ci tak mówić. Wierzy w ciebie i traktuje cię poważnie. Już ja to wiem.

Annie stanął przed oczami obrazek przedstawiający Canningów siedzących razem na łożku i poufale roztrząsających jej sprawy. Ujrzała wspartą na poduszkach

Małgorzatę, ze skupioną twarzą i burzą gęstych włosów rozsypanych wokół. Olivera w piżamie - jakakolwiek inna jego wizja w negliżu nie wchodziła w rachubę. Co dziwne, po upomnieniach Olivera pomysł Małgorzaty podniósł ją na duchu - wcale nie odebrała go jako ingerencję w jej sprawy, lecz jako punkt oparcia. Propozycja dotycząca ubrań, prywatek, przyjaciół, interesującego życia pośród interesujących ludzi uczyniła świat Olivera bardziej gościnnym oraz, w porównaniu z jej światem, bardzo atrakcyjnym. Mimo to ogarnęły ją wątpliwości, czy mieszkając dłużej z Oliverem, zdoła pozostać przy zdrowych zmysłach.

- To miło z twojej strony - powiedziała do Małgorzaty. - Sądzę jednak, że w ciągu tygodnia przyprowadzę go o obłąd.

- Pozwól, żeby sam wypowiedział się na ten temat - skwitowała Małgorzata, wspaniałomyślna w imieniu Olivera, a jednocześnie gotowa skwapliwie chronić jego spokój. Poczuła, że jak dotąd, nie zrobiła nic, by nawiązać z Anną prawdziwy kontakt; nastąpiła zdawkowa wymiana zdań, podczas której dziewczyna unikała jej wzroku. Chciała pokazać Annie, że ktoś ją naprawdę rozumie, jest po jej stronie i czynnie daje temu wyraz, lecz nie potrafiła dobrać słów, by to uczynić. Anna obudziła w niej irytację, którą za wszelką cenę próbowała stłumić; prawdopodobnie zdenerwowałaby się bardziej, wiedząc, że inni na ogół reagują na dziewczynę dokładnie w ten sam sposób. - Zazdroszczę ci; masz wszystko przed sobą - powiedziała. - Nie uwierzysz, ale naprawdę ci zazdroszczę.

Anna rzuciła jej spojrzenie podejrzliwego żrebaka, lękliwie, ze świsem wciągając powietrze. Nie musisz patrzeć na mnie z takim politowaniem, pomyślała Małgorzata; osoby w twoim wieku zwykle nie zdają sobie sprawy z tego, ilu rzeczy można im zazdrościć; ta świadomość przychodzi za późno. Wszyscy uważają, że mam tyle przed sobą, snuła swoje myśli Anna; ja też tak czasem sądzę, ale to nieprawda - nie wiem, co to mogłoby być, a kiedy się dowiem, wtedy dopiero będzie źle. Mimo to poczuła wdzięczność za szczerą, choć daleką od wylew-

ności, życzliwość Małgorzaty. Była jej bardziej wdzięczna niż Oliverowi, lecz Małgorzata oczywiście nie miała o tym pojęcia.

- Henryku! - zawołała Karolina do męża, który niespodziewanie przyśpieszył kroku i spoglądał w morze, nie poświęcając wiele uwagi widocznej w dole plaży. - Może zatrzymamy się tutaj? Wygląda uroczo...

- On nie słucha - powiedziała do Małgorzaty Anna ze znajomością rzeczy, podczas gdy pochód zafalował i rozproszył się - Henryk maszerował przed siebie; Oliver pobiegł za nim i chwycił go za rękaw. - A nie mówiłam - dodała. - Zawsze to poznam. - Oderwawszy się od szeregu, po schodkach wykutych w skałę zbiegła do zatoczki. Zanim ktokolwiek inny ruszył w jej ślady, rzuciła tobołek i stanąwszy na krawędzi klifu, zapatrzyła się na wodę. Miejsce było wymarzone - szeroka piaszczysta półka w otoczeniu wzniesień i zagłębień u stóp wysuniętej w morze skały. Nasłoneczniony zakątek świecił pustką.

Małgorzata, która zesła ostatnia, nalegając na pomoc Olivera, ukradkiem szepnęła mężowi:

- Poprosiłam Annę, aby na jakiś czas zamieszkała z nami w Londynie. Pomyślałam, że mógłbyś ją dalej uczyć. Poza tym wyjazd dobrze jej zrobi.

- Czyżby?

- Mam wrażenie - ciągnęła radośnie Małgorzata - że w istocie potrzeba jej trochę rozrywki. No wiesz, chłopak, potańcówka, późne powroty do domu. - Roześmiała się. - Och, wiem, że praca jest na pierwszym miejscu, ale czy nie wydaje ci się, że mam rację?

- I ty zamierzasz jej to wszystko zapewnić?

- Przyszło mi do głowy, że mogłabym przedstawić ją kilku osobom. Sama ostatnio wiele nie bywałam, też na tym skorzystam...

- Rozumiem. Co na to Anna?

Małgorzata ponownie wybuchnęła śmiechem.

- Martwiła się, co powiesz. Twierdzi, że w ciągu tygodnia przyprawi się o obłąd. Powiedziałam, że będziesz zadowolony z jej obecności.

- Czyżby?

Małgorzata popatrzyła na niego niepewnie.

- Pomyślałam też... że i dla nas byłoby lepiej... gdyby ktoś jeszcze... z nami zamieszkał. Czasem... kiedy ludzie działają sobie na nerwy...

- Ach tak - odparł Oliver. Spojrzał na Annę, która stała nad brzegiem na lekko rozstawionych, długich nogach w dzieciennych szortach, z rozwianymi wietrzykiem włosami; wzrok Małgorzaty podążył za jego spojrzeniem.

- Za kilka lat będzie całkiem ładna, nie sądzisz? Gdyby ktoś jej o tym teraz powiedział, na pewno miałyby to dla niej ogromne znaczenie...

- I tak niedługo się dowie. Nie zwracałbym sobie tym głowy.

- Jest tak pozbawiona pewności siebie! W jej wieku wiedziałam znacznie więcej o świecie. To straszne, jak niewiele mają z życia dzieci z angielskiej klasy średniej. Hokej zamiast tańca, konie zamiast ludzi...

- W tym względzie przyznaję ci rację...

- I uważasz, że to dobry pomysł z tym zaproszeniem? Oliver spojrział na Annę, po czym rzucił szorstko:

- Zawsze jesteś zbyt wspaniałomyślna. Z własnej inicjatywy chcesz zadowolić cały świat. Nie wydaje mi się, aby to w jakikolwiek sposób na nią wpłynęło; poza tym mam za dużo pracy, żeby jeszcze douczać kandydatów na studia. Ona chyba w gruncie rzeczy ma rację: w ciągu tygodnia przyprawiłaby mnie o obłąd. Jeśli jednak już nas oboje do czegoś zobowiązałaś...

Usta Małgorzaty zadrżały.

- Ależ skąd, nie...

- Nie muszę nikogo douczać, nawet córki Henryka Severella...

- Wiem - odrzekła Małgorzata. - Nie chodzi o to. Myślałam tylko...

Karolina obwieściła wołaniem, że należy pomyśleć o lunchu. Zeszli po schodach; Karolina zachęcała:

- Chodźcie, chodźcie, nigdy nie zabierzemy się do jedzenia, jeśli wszyscy nie pomogą. Chyba możemy usiąść dokoła tego głazu... jak przy stole. Jeśli się nie pośpieszymy, przed strawieniem nie będzie czasu na kąpiel.

Pikniki Karoliny były niezmiennie udane, zapięte na ostatni guzik, i zawsze w sam raz. Poszczególne produk-

ty były popakowane, schłodzone i podane w plastikowych pudełkach i na talerzach we wszystkich możliwych kształtach, rozmiarach i barwach; Karolina nakryła skałę obrusem i porozkładała na niej prowiant. Z przyjemnością podzieliła sałatę i przyozdobiła misternie rozkrojonego pomidora kędzierzawymi liśćmi endywii, jak gdyby układała kwiatową kompozycję.

- Te nowe sztuczne tworzywa bardzo ułatwiają życie - powiedziała. - Myślę, że to taki współczesny cud. Nie wiem, jak dawałam sobie radę bez tych naczyń. Są takie lekkie, czyste i mają ładne kolory.

Henryk podniósł błękitny przezroczysty pucharek i wygiął go.

- To trochę odrażające - rzekł, obmacując naczynie ogromnymi palcami. - Jak martwa albo sztuczna skóra. Bezcielesne. Wyobrażam sobie, że żyjemy w świetle ładnie barwionej skóry i kiedy stracimy ciepłość, będziemy musieli nauczyć się rozdzierać zamiast tłuc, co wymaga większej pomysłowości, sprytu oraz siły, więc dzięki temu staniemy się bardziej bezwzględny i podłymi złoczyńcami. Każdy umie stłuc talerz.

- Nie rozumiem, dlaczego chciałbyś niszczyć te naczynia - rzekła spokojnie Karolina. - Według mnie, są bardzo ładne.

- No właśnie - wtrącił Oliver. - Symbolizują postęp, nowoczesność, poprawę standardu życia, a na dodatek są ładne. Przestań być takim tradycjonalistą.

Henryk uśmiechnął się w gęstwinie brody.

- Chyba muszę się przyznać, że mam upodobanie do staroci: cynowych naczyń, rogowych łyżek i lepionych garnków, solidnych, ulegających stopniowemu zużyciu. Macie pojęcie, co z biegiem czasu dzieje się z plastikiem? Nie robi się coraz cieńszy i delikatniejszy, jak róg. Nie, rozdyma się i łuszczy, jak trąd.

- Henryku - upomniała go ze śmiechem Karolina.

Henryk poparł swe oświadczenie zamasztyłym gestem.

- Jak chorobliwa narośl - nie ustępował. - Nienaturalna, od początku do końca.

- Naturalna, nienaturalna - zabrał głos siedzący po

turecku na kocu Oliver i wychylił się do przodu, obnażając zęby jak terier przypuszczający atak na szczura. - Uważam tę terminologię za niezdrową, Henryku. Symbolizuje jedną z twoich cech, która budzi mój niepokój. To poślednia wersja dziwactwa Williama Morrisa⁸, złoty wiek, cudny powrót do średniowiecza, odwoływanie się do natury, czymkolwiek by była. Czyż nie jest naturalną kolejną rzeczą, że człowiek zajął się produkcją plastiku? Jakże mamy przyjąć twoje słowa, skoro nakłaniasz nas do życia w świecie, który nie istnieje i nie może istnieć?

- Mówiłem o plastiku - odrzekł z urazą Henryk.

- Koniec końców zrozumiesz, że nie sposób odżegnać się od tego, co jest. Plastik towarzyszy nam, stanowi niezbity fakt, w związku z czym musisz uznać jego istnienie, inaczej przegrasz. Należy zastosować pewną ugodę.

- Mówiłem o plastiku - powtórzył Henryk. - O niczym innym, tylko o nim. Nie chodzi o to, że podważam jego istnienie. Powiedziałem jedynie, co czuję, dałem wyraz swojej niechęci.

- To żadne rozwiązanie. Antypatia nie wykluczy go z twojego życia. Nie możesz przed nim uciec.

- Właśnie, że mogę - odparł z nieoczekiwanym rozdrażnieniem Henryk. - Mogę, jeżeli nadal mówimy o plastiku. Czy ty nie masz poczucia hierarchii wartości? Niektóre rzeczy są ważne, inne nie, o niektóre dbam, o inne wcale. Nie pozwolę - rozumiesz? - nie pozwolę, abyś łapał mnie za słowa i robił z nich problem. To intelektualnie nieuczciwe. Nie masz prawa oskarżać mnie o utopijne poglądy; nie w tym rzecz, i dobrze to wiesz. Nie piszesz nic równie głupiego jak rzeczy, które czasem mówisz. Nie pozwolę, byś prowokował mnie do wygłaszania jakichkolwiek deklaracji. Nic na tym nie zyskasz. Nie pomożesz mi w pracy, jeśli o to ci chodzi. Gdybyś zaprze-

⁸ William Morris (1834 - 1896) - poeta i prozaik angielski, przedstawiciel nurtu prerafaelityzmu, mającego na celu przekonać naród o potrzebie nowego spojrzenia na społeczeństwo oraz przepojenia literatury i sztuki poetycką wyobraźnią i radością twórczą, zagubionymi wraz z postępem nowoczesności (charakterystyczny zwrot w kierunku epoki średniowiecza) (przyp. tłum.).

stał pochopnych osądów, zaszedłbyś o wiele dalej. W dodatku uważam, że jeśli chcesz coś w pełni zrozumieć, w ogóle powinieneś przestać osądzać. Takie jest moje zdanie. - Utkwił w Oliverze aroganckie spojrzenie. Następnie otrząsnął się jak wielki pies i dodał, spuszczać wzrok: - Zawsze uważałem się za człowieka przyjaznego innym, nie pozwolę jednak, aby ktokolwiek mnie zaczepiał.

Sięgnął po kurze udko - parodia średniowiecznego rycerza, pomyślała Anna - odgryzł potężny kęs i przeżuł go ze złością. Na policzki Olivera z wolna wypłynął purpurowy rumieniec i mężczyzna na chwilę przymknął oczy.

- Doprawdy, Henryku - odezwała się Karolina tonem matki, której pociecha zachowała się niegrzecznie wobec gościa i bez względu na to, kto ma rację, powinna niezwłocznie okazać skruchę.

Dochodząc do siebie, Oliver mruknął z udawaną bez troską:

- Gdyby chodziło o jakąkolwiek deklarację, na pewno bym o tym wspomniał.

Odwróciwszy się od stołu i reszty towarzystwa, Henryk skierował wzrok na morze. Skoncentrował się na jego odgłosach, na złowrogim pomruku, obecnym nawet w najbardziej pogodny dzień. Karolina zrozumiała, że go straciła, że po lunchu wstanie i odejdzie, nie ma siły. Ogarnął ją gniew na Olivera i chcąc go zatuszować, zwróciła się do gościa, proponując mu jeszcze kawałek kurczaka.

Karolina wytarła naczynia papierowymi serwetkami i zapakowała je do koszy. Jeremi otoczył ją ramionami.

- Co robimy? Możemy popływać?

- Dopiero jadłeś.

- Mogę zagrać w krykieta?

Karolina spozjrzała na Henryka, potem na Olivera i Małgorzatę i nie bez pewnej przykrości uznała, że nie ma sensu nakłaniać ich do zabawy z dziećmi. Nie podzieliła jej koncepcji pikniku.

- Anna z tobą zagra - powiedziała.

Anna, która na nieszczęście była zbyt dobra, aby Jeremi grę z nią uznać za poniżej swojej godności, nie miała innego wyjścia.

- Jestem zmęczona - burknęła, po czym powlokła się na brzeg, by pomóc bratu umocować kołki na twardszym, wilgotnym piasku.

Zdjąwszy buty, cisnęła piłką w chłopca. Jeremi nie trafił. Bramka przewróciła się.

- To nie fair! - zawołał Jeremi. - Nie byłem gotowy. Musisz mi dać drugą szansę.

Anna chwyciła piłkę i z ostentacyjnym lekceważeniem przeszła na swoją stronę.

- Tylko nie wybijaj jej do wody - ostrzegła - bo stuknę cię swoją własną rakieta i przestanę grać.

- Właśnie, że nie przestaniesz, bo mama będzie zła. - Był to niezbity argument.

Anna znów rzuciła piłką, tym razem ostrożniej. Jeremi machnął rakieta i gładko wybił piłkę w morze.

- Niezły strzał - ocenił.

Anna poszła po piłkę, obserwując, jak w pozostawianych przez nią śladach wzbiera woda. Morze było zimne i rozsiewało wokół przyjemną, rześką woń. Anna stanęła po łydki w wodzie, czekając aż fale przyniosą piłkę, i rozmyślała o propozycji Małgorzaty, bezkresie morza oraz nierzeczywistej, odległej naturze wszystkiego, zwłaszcza samej siebie, dziecka bawiącego się na brzegu. Zmiana była zawsze możliwa i zawsze bliska, człowiek zaś nigdy nie był tym, co robił, ani osobą obserwującą owe poczynania. Morze działało kojąco z uwagi na swój bezmiar; człowiek mógł wyrzucić poza własne ciało. Dziwne, jak rzadko nad brzegiem podnosił głowę, wybiegając spojrzeniem w dal. Zawsze musiał ryc w ziemi, urządzać pikniki albo rzucać piłką.

- Nie wierzę w siebie - powiedziała głośno. - Kiedyś to uczynię, ale teraz nie. Na pewno nie jestem dzieckiem na plaży.

- Dosięgniesz jej, Anno?

- Tak - odrzekła, pochylając się ku piłce, która niesiona falą trąciła ją w nogę.

- Ależ ty jesteś niemrawa. Muszę dużo ćwiczyć - do-

rzucił ważnym tonem. - Stary Bodger mówi, że będę dobry - *naprawdę* dobry - jeśli się postaram. Może zagram w szkolnej drużynie.

Jakie to dla niego istotne, pomyślała Anna. Wierzy w siebie. Rzuciła bratu mokrą piłkę.

- Za szeroko - oświadczył Jeremi. - Tracisz wprawę.

Karolina wygładziła koc i usiadła na słońcu, opierając się o głaz. Przed nią stał mały, otwarty koszyk, z którego wyjęła kawałek białego płótna oraz igłę.

- Posiedzę tutaj - powiedziała - i rozkoszując się morskim powietrzem, trochę powyszywam. Muszę wyhaftować obrus, który obiecałam Helenie Ashley w prezencie ślubnym. Ostatnio mam bardzo mało czasu na robotki. Szkoda. To takie kojące zajęcie.

Wybrała motek chabrowego jedwabiu i pogładziła go czule.

Henryk wstał i przeciągnawszy się z ziewnięciem, oznajmił:

- Oliver i Małgorzata powinni zobaczyć kościół. - Rzucił im nieobecne spojrzenie i zaczął niepostrzeżenie przesuwać się w przeciwnym kierunku.

- Masz ochotę, kochanie? - zapytała Małgorzata.

- Jestem zmęczony - odrzekł Oliver. - Potwornie zmęczony. Muszę się zdrzemnąć. Położę się u twoich stóp, Karolino, i zasnę ukołyszany rytmem szycia. - Wyciągnawszy się na kocu, podłożył ręce pod głowę i przymknął oczy.

Henryk przesunął się nieco dalej.

- Henryku - odezwała się bez większej nadziei Karolina, nie podnosząc głowy.

- Pójdę sam - odparł Henryk. - Na długi spacer. - Biegiem przesadził skalne schody i znalazł się na szczycie klifu,

Małgorzata stanęła niezdecydowanie nad Karoliną i Oliverem, zastanawiając się, co robić. Na wieku koszyka Karoliny widniały równo przypięte motki jedwabiu - same niebieskie, lecz w najróżniejszych odcieniach, od najbledszego barwinku do najgłębszego granatu. Karolina naciągnęła płótno na tamborek i na materiale wykwi-

tły wielkie błękitne płatki starannie cieniowanych róż w pełnym rozkwicie. Twarz Olivera była nieruchoma, powieki mocno zaciśnięte. Spoglądając na jego wygięte w łuk ciało i napiętą tkaninę koszuli, Małgorzata poczuła, jak ogarnia ją pożądanie. Najchętniej usiadłaby na kocu i pieściła go dopóty, dopóki nie zwróciłby się ku niej, Karolina jednak siedziała obok niczym wiktoriański biało-niebieski anioł, w którego cieniu pogrążony we śnie mężczyzna zdawał się odległy i pełen niewinności. Niczym przyłapaną na gorącym uczynku, poczuła, jak na jej ocienione rondem kapelusza policzki wypełza zdradziecki rumieniec. Zadrżała. Pełna obaw, że Karolina może coś zauważyć, odwróciła się i szybkim krokiem podążyła za Henrykiem. U stóp skalistej ścieżki spojrzała przez ramię i ujrzała, jak Oliver sennie zmienia pozycję, przysuwając się bliżej kostek Karoliny. Zapragnęła za wszelką cenę znaleźć się obok Henryka; w przekrzywionym kapeluszu ruszyła pod górę, czepiając się palcami skał.

Przez pewien czas rozgniewany Henryk żwawo maszerował przed siebie. Zawstydzony, że pozwolił wyprowadzić się z równowagi, był w pełni świadom zawodu, który sprawił Karolinie, oraz podniesiony na duchu perspektywą rychłego wyjazdu Canningów. Zdawał sobie sprawę, że publiczna i natarczywa troska Olivera o jego powieści wpłynęła na jego własny do nich stosunek. Mentorski ton tamtego, gdy mówił o sprawach istotnych dla Henryka, przedstawił mu je w nowym i jasnym świetle. Z drugiej strony, sposób bycia gościa, jego wyskoki i słabostki oraz niedociągnięcia reprezentowanej przez niego szkoły myślenia - jednym słowem, pewna natrętna moralność czy też nieświadome własnych ograniczeń moralizatorstwo - irytowały go niepomiernie. Żałował, że w ogóle poznał Olivera. Ten człowiek marnuje mój czas i wprowadza zamęt do mojej pracy, pomyślał. Upłynie dobrych kilka dni, nim dojdę do siebie po jego wizycie.

Zwykle opanowany, miał swoje sposoby, umożliwiające mimo przeszkód powrót do zasadniczego toku myślenia. Teraz, jako że czekała go analiza fragmentu rozdziału, którym miał się zająć następnego dnia, aluzje zaś Oli-

vera skutecznie wybiły go z rytmu, uniemożliwiając koncentrację, zaczął śpiewać. Obdarzony był mocnym, niepozbawionym miłego brzmienia głosem, lecz zarazem nie najlepszym słuchem, przez co jego repertuar ograniczał się do monottonnych pod względem melodycznym hymnów, których miarowa powtarzalność tekstu sprawiała mu niejaką przyjemność. Podniósł głowę i ze wzrokiem utkwionym w horyzont zaintonował:

*Święty, święty, święty
Pan Bóg zastępów.
Pełne są niebios
I ziemia chwały Twojej.*

Zastanowiwszy się chwilę nad słowami, podjął pieśń. Jego czysty głos unosił się nad wodą.

*Święty, święty, święty,
Święci cześć Ci oddają,
I na sam środek morza
Korony swe rzucają.*

Cudowne słowa, pomyślał; jako dziecko rozkoszował się każdym wersetem, zawsze gdy wokół rozbrzmiewały dźwięki fortepianu i fletów, snuł wizję świętych, wyprostowanych, białych postaci, ukoronowanych złotem, stojących rzędami niczym w amfiteatrze dokoła lśniącej, idealnie krągłej czary, pełnej lodu, i kolejno rzucających w jej środek korony, aż powstał z nich potężny stos. Lodowa tafla morza rozciągała się pod kopułą ze szkła; pogoda, o ile w ogóle można było mówić o pogodzie, była pochmurna, panował ziąb - mimo urzekającego piękna scena zdawała się w gruncie rzeczy raczej przygnębiająca. Henryk powtórzył zwrotkę od początku i spoglądając na rozciągającą się poniżej spłaszczoną powierzchnię wody oraz płynne światło, przelewające się wśród jej ledwo zaznaczonych krawędzi, zastanowił się, dlaczego jego morze uzyskało postać tkwiącego w zamkniętej przestrzeni lodowiska. Teraz powinien ujrzeć raczej, jak roztańczeni w ekstazie święci zrywają korony z głów, płą-

sając po szmaragdowej trawie na skraju szumiącej, otwartej, spowitej słonecznym blaskiem wody. Raz jeszcze odśpiewał pieśń, rejestrując w myślach, że dawni, dostojni święci posiadają jednak większą siłę wyrazu.

Zmieniwszy tonację, zaczął:

*Boże mój, chwała Twoja
Niezmiennie trwa na wieki,
Od blasku Twego tronu
Dziś mrużę swe powieki.*

Melodia popłynęła w górę, a potem w dół. Henryk przesadnie podkreślał jej przeskoki, śląc rozradowane spojrzenia w kierunku słońca i morza, jak gdyby stanowił ich integralną część. Gdzieś w głębi doznawanej rozkoszy zamajaczył poszukiwany wzorzec fragmentu rozdziału. Henryk wciąż nie miał pojęcia, o czym napisze, lecz napłynął ku niemu kształt, zarys związków - jego wyobraźnia poniosła schemat, rozległy trójkąt o długiej podstawie; kiedy siądzie do pisania, będzie mógł czerpać z gotowego wzorca i snuć zawarte w nim wątki.

- Dziś mrużę swe powieki - powtórzył, pokonując szczelinę w ścieżce; nagle z tyłu dobiegł go odgłos kroków.

Małgorzata biegła za nim, potykając się co chwila i ściskając w rękę kapelusz. Henryk najpierw mimowolnie przyspieszył kroku, po czym odwrócił się niechętnie, zagradzając sobą drogę. W różowo-białej, rozwianej sukni, wśród roztańczonych wstążek, wyglądała jak wielki, pijany motyl, który dopiero co wykluł się z kokonu. Kiedy mężczyzna odwrócił się, pomachała ręką i zawołała słabym głosem: „Henryku, Henryku!”, przekrzykując mewy i łoskot fal, po czym podeszła bliżej, wyciągając ku niemu trzepoczące dłonie i z trudem chwytając powietrze.

- Henryku, błagam, weź mnie ze sobą, och, zgódź się!

Osuszyła twarz wilgotną, zmiętą w kulkę chusteczką. Widoczna w zagłębieniu dekoltu zaróżowiona pierś falowała, lśniąc od słońca i doznanego wysiłku. Henryk poczuł, że obecność Małgorzaty wbiła się w jego nastrój niczym nóż.

- Ależ proszę - mruknął łagodnie, po czym znów ruszył naprzód, bezwiednie przyspieszając kroku.

- Miałaś zamiar... pójść... daleko? - wydusiła Małgorzata.

- Nie wiem. - Uświadomił sobie, że jest niegrzeczny.
- Chciałbym wstąpić do sąsiedniej wioski.

- Tutaj przynajmniej jest czym oddychać - powiedziała. - To o wiele lepsze niż siedzenie całe popołudnie w jednym miejscu.

- Owszem - potwierdził Henryk, sadząc przed siebie wielkimi susami.

Idąca tuż za nim Małgorzata milczała przez chwilę, podbiegając co kilka kroków, kiedy odległość między nimi rosła. Wreszcie powiedziała:

- Przepraszam, ale strasznie kłuje mnie w boku. Czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybyśmy na chwilę usiedli?

Odwrociwszy się, Henryk rzucił jej puste spojrzenie.

- Ach - powiedział. - Och, ależ proszę, oczywiście, siadaj. - Wskazał trawę porastającą skraj ścieżki.

Małgorzata z ulgą osunęła się na ziemię i oparła plecami o niewielkie wzniesienie. Henryk usiadł obok niej i splótłszy ręce, zapatrzył się na horyzont. Wodząc palcami po sztywnych kępach trawy, Małgorzata milczała w oczekiwaniu, że jej towarzysz zagai rozmowę. Nie zrobił tego, zatem po chwili sama zaczęła:

- Henryku...

- Słucham?

- Czy mogłabym z tobą porozmawiać?

- Proszę... - rzucił nieobowiązująco Henryk.

- Już dłużej nie wytrzymam. Próbowałam o tym nie myśleć, ale jutro wyjeżdżamy i nie mam innego wyjścia. Boję się powrotu do Londynu i ponownego... sam na sam... z Oliverem.

- Wiem.

Małgorzata podniosła na niego dziecinne spojrzenie i odparła z rozbrajającą żarliwością:

- Tak, wiesz, prawda? Byłam pewna, że wiesz. Powiedz mi, co mam robić.

- Nie wiem, czy jestem w stanie ci powiedzieć *cokolwiek* - odparł wymijająco Henryk.

Małgorzata milczała przez chwilę, wpatrując się w jego na wpół odwróconą twarz. Niewiele widziała; jej spojrzenie błędziło w bujnej grzywie Henryka, gubiąc się w kędziorach, falach i splotach brody. Oczy, w które próbowała zajrzeć, ginęły jak zatopione kamyki wśród rzęs i brwi, przysłaniających je niczym roślinność tafle jeziora. Doszła do wniosku, że Henryk przypomina raczej morze, z rozhukanymi bałwanami włosów, pełen ciepła, miękkości oraz życia, bezkresny jak ono. Delikatność włosów mężczyzny stała się w oczach Małgorzaty symbolem jego łagodności, co napełniło ją otuchą, czyniąc łatwiejszym nawiązanie dialogu z istotą tak nieuchwytną, tajemniczą i niewzruszoną jak on. Zebrała się w sobie i odwróciwszy od niego wzrok, chwyciła w palce kępę trawy, wykręcając ją bezlitośnie i szarpiąc.

- Mogę ci coś wyznać? - zaczęła. - Na pewno widziałeś reklamy centralnego ogrzewania... tak, głównie ogrzewania, choć także i dywanów... zaglądasz do pokoju, na dworze huczy zawierucha, a w środku jest przytulnie i ciepło? Mężczyzna siedzi w fotelu z gazetą, kobieta robi na drutach, dzieci układają klocki, i wszystko jest takie miłe i wypieszczone... na podłodze leży *gruby* dywan, a całe pomieszczenie osnuwa przyjemne światło. Nie mam na myśli tych jaskrawych reklam, no wiesz, gdzie wszystko jest pomarańczowe i żółte, mama wchodzi do pokoju w falbaniastym fartuszkuz lodami na tacy, i wszyscy wiwatują. Chodzi mi o te spokojne, nowoczesne wnętrza z wygodnym umeblowaniem - które Oliver określa mianem burżuazyjnych - zabawne, całkiem nieźle znam się na dobrej porcelanie i antykach, ale na widok tych superzwykłych krzeseł robi mi się ciepło na sercu... - Zamilkła na chwilę, a następnie podjęła w zadumie: - Część oświetlenia to lampy gazowe, a może elektryczne. Dają przytulne światło...

Henryk otrząsnął się z letargu, zastanawiając się mgliście, czy jego rozmówczyni dojrnie w końcu do sedna swoich wywodów. Podchwycił absurdalną wymowę owych wydumanych płomieni gazowych, foteli oraz dywanów na tle słonecznego dnia, z szumiącym morzem i cykającym nieopodal świerszczem w tle. Wydał z siebie

nieokreślony pomruk, na co Małgorzata podskoczyła w miejscu, kurczowo czepiając się jego ramienia.

- Rozumiesz, prawda?

- Tak - odparł Henryk.

- Chciałam wyjść za mąż, chciałam mieć dzieci, chciałam z kimś być, siedzieć przy kominku i rozmawiać.

- Tak - powtórzył Henryk. - A Oliver?

- Oliver... - zaczęła Małgorzata i urwała. - Ludzie albo go rozumieją, albo uważają, że nie mogłam trafić gorzej. Rozumiesz? On traktuje życie bardzo poważnie. Próbuje wyciągnąć z niego, ile się da. A jednak... sam wiesz... wywodzi się z klasy robotniczej, spoza świata, gdzie mój superzwykły pokój jest obiektem marzeń, choć w głębi serca i on szczerze go pragnął. Ma matkę, robotnicza krew, w jednej z tych obrzydliwych, pozbawionych charakteru miasteczek południowego Yorkshire. Ona mnie nie lubi, i kiedy tam jeździmy, Oliver zawsze bierze jej stronę - zmywa naczynia, nosi węgiel i powtarza, że nie ma to jak mamina pieczeń barania, groszek z puszki, kluski i kapusta parzona, o mój Boże. W tej paskudnej kamienicy czuje się jak w niebie. Ja *widzę*, że pragnie takiego losu, jaki ona dla niego zaplanowała. Sam widzisz... kocham go, tak bardzo... naprawdę go kocham. W gruncie rzeczy dla niego żyję.

- A Oliver? - powtórzył Henryk.

Małgorzata odwróciła wzrok, szarpiąc jeszcze mocniej trawę, której sok zwilżył jej palce. Zająknęła się:

- Straciliśmy kontakt.

Henryk zastanowił się, czy ta osobliwa para kiedykolwiek miała ze sobą kontakt, który mogła stracić. Nie wiedział, co powiedzieć. Z beznamiętną pewnością uznał los Małgorzaty, jej małżeństwa, rzeczywistości, w której tkwiła, oraz hołubionych przez nią wizji domu z kolorowego magazynu, parodii, kłamstewek i zamków na lodzie, za przesadzony.

- Oliver mnie potrzebuje! - wykrzyknęła Małgorzata. - Naprawdę, ja to czuję, potrzebuje oparcia w takim samym stopniu jak ja. Nie wiem, *gdzie* popełniłam błąd.

- Nieoczekiwanie przytuliła się do Henryka i chowając twarz na jego ramieniu, załkała rozpaczliwie.

Po chwili Henryk niezdarnie poklepał ją po plecach; nie lubił łez ani bliskości fizycznej, czując jednak, że tym samym spełnia oczekiwania Małgorzaty, z nadzieją nastawił się na rychłe zakończenie całej sceny. Zmienił nieco pozycję i oparłszy się wygodniej, utkwiał wzrok w widocznym ponad drgającym ramieniem kobiety skrawku morza.

W końcu Małgorzata ucichła i pociągając nosem, oznajmiła niemal pogodnie:

- Życie jest o tyle bardziej skomplikowane, niż można by sądzić, prawda?

Henryk kiwnął głową.

- Oliver tyle traci. Nie może przecież żyć wyłącznie pracą, prawda?

- Nie - potwierdził Henryk.

- Nietrudno zgłaszać zastrzeżenia - dodała Małgorzata - kiedy wiadomo, że ma się rację. Czasami muszę jednak o tym z kimś porozmawiać... - Wydawała się prawie radosna, jak gdyby własne słowa przyniosły jej ukojenie. Niespodziewanie objęła dłonią kark Henryka i spróbowała pocałować go w usta. - Kochany, kochany Henryku - powiedziała. - Jesteś dla mnie taki dobry.

Henryk instynktownie uchylił się od pocałunku i wyzwoliwszy się z uścisku, wstał.

- Wcale nie jestem dobry - rzucił szorstko. - Niewiele ci pomogłem, jeśli w ogóle. - Ogarnęło go niejasne poczucie zagrożenia, jak gdyby grunt pod jego nogami zachwiały się jedynie poprzez obecność Małgorzaty.

- *Jesteś* dobry - zaoponowała, znów podchodząc bliżej. Henryk podał jej chustkę.

- Oczy ci się rozmazały - powiedział.

Zbita z tropu, zaczęła trzeć powieki, zwilżając językiem chusteczkę, aż wokół oczu powstały różowe obwódki. Henryk cofnął się o krok nad samą krawędź klifu i mimo zawrotów głowy popatrzył w dół na łąki morskocyznu, oliwkowozielone, khaki, z plamami migotliwego brązu. Miejsce, gdzie się znajdowali, sterczało ku morzu, woda poniżej przelewała się przez kanał, pieniać się i burząc, po czym powracała, za każdym razem wzbierając nieco wyżej w zatoczce pośród wodorostów. W przewężeniu gardzieli dryfowało przejrzyste jak guma i jak ona złocisto-

brunatne pasmo roślinności podwodnej. Spoglądając na nie, Henryk stłumił gniew z powodu utraconego rozdziału. Wróciła do niego dawna świadomość przypadkowości własnej sytuacji oraz absolutnej, pomimo wysiłków Karoliny, samotności.

Pewnego dnia, przeszło mu przez myśl, stwierdząc, że postradałem zdolność widzenia lub pisania, i to sprowadzi na mnie ostateczną zgubę. Zadrżał, nieznacznie przechylając głowę. Niemniej jednak tutaj, w blasku słońca i wobec perspektywy opracowanego planu przyszłej powieści, upadek zdawał się nie wchodzić w rachubę. Wyprostował się, obserwując jak mewa zatacza w locie łuk. Ogarnęło go niejasne poczucie winy wobec Małgorzaty; skłoniwszy się, obojętnie wsunął dłoń pod jej ramię i poprowadził ją w kierunku miejsca pikniku.

Karolina w dalszym ciągu szyła, lecz Oliver zniknął. Jeremi stał pośród sieci kanałów, królewskim gestem przechylając głowę.

- Będzie z niego inżynier - powiedział Henryk, wskazując syna ruchem podbródka. Kiedy rozmyślał o Jeremim, co nie zdarzało się zbyt często, nachodziła go obawa, iż ten zostanie sportowcem - zawodowym graczem w tenisa, maratończykiem lub kimś podobnym. Henryk uważał czynienie z rozrywki sposobu na życie za niewłaściwe, przy czym uśmiechał się w duchu na myśl, że wielu postrzega jego zajęcie w identyczny sposób.

- Gdzie jest Oliver? - zapytała Małgorzata.

- Kiedy zniknęłaś, poszedł z dziećmi popływać. Po tem zapragnął obejrzeć kościół.

- Nie zaczekał na mnie.

- Nie wiedział, dokąd poszłaś - wyjaśniła rzeczowo Karolina.

- Gdzie Anna? - zapytał Henryk.

Karolina rozejrzała się.

- Przed chwilą tu była. Suszyła włosy.

- Wszyscy się rozproszyli - rzucił obojętnie Henryk. Podchwycił spojrzenie Karoliny i usiadł na kocu. Nie miał ochoty odpowiadać na nieme pytanie żony. Oparł się wygodnie i przymknął oczy. - Słońce - powiedział - przyprawia mnie o senność.

Małgorzata wciąż stała.

- Pójdę poszukać Olivera.

- Lepiej nie - odrzekła Karolina. - Pewnie już wraca, po co masz się męczyć. Usiądź i zaczekaj z nami.

- Ale ja nie widziałam kościoła.

Spojrzenie Karoliny mówiło jasno, że nie wierzy w zainteresowanie Małgorzaty kościołem.

- Lepiej zostać - powtórzyła.

- Chcę pójść poszukać Olivera - oświadczyła jednak Małgorzata i ruszyła w drogę, chwiejąc się niepewnie w niewygodnych sandałkach na obcasie.

Wędrówka okazała dłuższa i bardziej mozolna, niż oczekiwała. Poranny wietrzyk ustał; powietrze zdawało się martwe i ciężkie jak ołów, morze zaś, nieznacznie tylko kołysane prądem, było płasko niczym płótno rozciągnięte na sztalugach. Małgorzata nieoczekiwanie zamarzyła o zatłoczonej plaży, lodach, pasiastych parasolach oraz płynącej z gramofonu melodii. Severellowie budzili w niej poczucie osamotnienia. Ich umiłowanie prywatności potęgowało rezerwę Olivera, dając mu prawo do zamknięcia oczu i zignorowania jej. Karolina swym zachowaniem zdawała się aprobować jego postawę. Henryk zaś, mimo swojej dobroci, był taki daleki; bez względu na to, co wiedział, nie chciał dzielić jej cierpienia.

Przy bramie, u stóp schodów wiodących do kościoła, siedziała jakaś postać z nisko pochyloną głową. Małgorzata podeszła bliżej i zobaczyła, że to Anna, w czarnym wełnianym kostiumie kąpielowym, o granatowoczarnych, połyskujących od soli włosach i ciele gładkim niczym brązowe jajko.

- Cześć - powiedziała Anna. - Suszę się. Gorąco ci?

- Strasznie. Dłużej nie wytrzymam.

- Ja też nie. Nie wyobrażam sobie tej wspinaczki. Posiedzę tu aż do wyjazdu. Szukasz wuja Olivera?

- Tak - odrzekła Małgorzata. - Jest na górze?

- Chyba tak. Przynajmniej mówił, że będzie.

- Miło spędziłaś czas?

Anna rozłożyła ręce.

- Sama wiesz. Mogło być gorzej. Pływanie było w porządku.

- Poszukam Olivera. Jesteś pewna, że tam jest?

- Cóż - odparła Anna. - Nie schodził na dół. - Siedziała bez ruchu, obserwując, jak Małgorzata wspina się w kierunku kościoła. Szkoda, pomyślała, że ludzie obdarzeni tak nienagannie dekoracyjną powierzchownością muszą się denerwować i pocić. Nadejście Małgorzaty rozwiązało dylemat, czy sama powinna wejść na wzgórze. Poczowała ulgę. Tego popołudnia była rozdarta pomiędzy potrzebą rozmowy z Oliverem w celu udowodnienia mu, że nie należy stawiać jej w jednym rzędzie z Jeremim, a dawnym przekonaniem o zagrożeniu, jakie stwarza podobna rozmowa. We trójkę poszli się kąpać - Oliver biały i żyłasty, z mizerną kępką czarnych włosów na piersi - po czym zostawiła jego i brata, rozgrywających bitwę morską, a sama odpłynęła nieco dalej, poddając się kołysaniu wody. Wyciągnięta na plecach, przez ściągnięte solą powieki widziała jedynie niebo oraz z rzadka krawędź wzbierającej fali. Jeśli chce przyjść, przyjdzie, pomyślała, on zaś, jakby na wezwanie, podpłynął niezauważony i chwycił ją za włosy, zanurzył pod wodę. Przez chwilę walczyli, całkiem na serio, wzbijając bryzgi wokół, dopóki nie unieruchomił jej nadgarstków. Wówczas rozwścieczona pochyliła się i ugryzła go w rękę aż do krwi.

- To nie fair - oświadczył, oblizując dłoń.

- Sam zacząłeś.

- To była zabawa.

- Wszystko jedno, bolało mnie.

Popatrzyli na siebie, dwa korpusy odcięte na wysokości talii. Oliver wzruszył ramionami.

- Wychodzę z wody. Pójdę obejrzeć kościół. Chcesz iść?

- Nie wiem.

- Jeśli masz ochotę, przyjdź. Będę czekał. - Odwrócił się i wyszedł na brzeg.

Ociekał wodą, a jego mokre włosy nieoczekiwanie ujawniły niewielką łysinę na czubku głowy. Ciało miał blade i szczupłe; jego sylwetka była zwarta, ruchy opalone, nawet gdy nadepnął na ostry kamyk, i swobodne. Anna z powrotem położyła się na wodzie, dłońmi za-

taczając kręgi. Jaki on poważny, pomyślała. Zawsze usiłuje być taki tajemniczy. Nie wiem, czy tego chcę. Niemniej jednak poszła za nim aż do bramy kościelnej, wykonując tym samym najłatwiejszą część zadania. Mimo to była zadowolona, że Małgorzata pomogła jej w podjęciu decyzji. Nazajutrz przypadał dzień wyjazdu gości, co wykluczało możliwość prowadzenia poważnych rozmów. Anna kopnęła kamień, ogarnięta niejasnym triumfem, jakby z własnej woli i z godnością uniknęła czegoś nieprzewidzianego, czemu w żaden sposób nie potrafiłaby sprostać.

Małgorzata przystanęła w przedsionku kościoła, by złapać oddech. Na zielonej tablicy widniały tradycyjne ogłoszenia: lista osób odpowiedzialnych za ustawianie kwiatów na ołtarzu, formularze zgłoszeń na konkurs dżemów oraz zdjęcie murzyńskiego dziecka, usianego czerwoną wysypką obok obrazka z Chrystusem otoczonym małymi zwierzętami i dziećmi, takiego jak ten, który wisiał w sypialni Małgorzaty, dopóki Oliver pierwszego małżeńskiego wieczoru nie zniósł go z czterech pięter na dół, do śmietnika. Inny jej ulubiony obraz - „Chrystus Świętego Jana od Krzyża” Dalego - nazywał „obszernym”; nie wiedziała, czy zauważył, że sama się go pozbyła, w owym czasie bez żalu. Pragnęła stać się żoną Olivera, żarliwą *tabula rasa*, którą poprzez rozmowy miał wypełnić swymi mądrościami i ukształtować jej gust.

Ciężkie wrota ustąpiły z nieoczekiwaną łatwością. Niemal spadła z trzech stopni, wiodących w głąb kościoła. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, nasłuchując ciszy wypełniającej sklepienia. Wewnątrz panował chłód; ruchy Małgorzaty zdawały się mącić masyw powietrza, które napłynęło ku niej, otaczając ją ze wszystkich stron. Mrok utrudniał widzenie; kościół był w środku równie niski i masywny, jak z zewnątrz, o przysadzistych kolumnach i maleńkich oknach. Małgorzata bez trudu poddawała się atmosferze, kościoły zaś zwykle wyciszały ją, budząc nastrój towarzyszący zwykle apelom poległych. Ta świątynia była jednak tak niska i mroczna, że poważna Małgorzaty granoczyła niemal z lękiem.

Z boku dobiegły przytłumione odgłosy czyjejs obecności. To pewnie Oliver. Małgorzata postąpiła dwa kroki w ciemność i obcas luźnego sandała zastukał o kamienną posadzkę. Hałas wystraszył ją, pobliski szelest ucichł raptownie. Kobieta przystanęła, chcąc się opanować. W oknie ponad ołtarzem, w feerii płomienistych czerwieni oraz żółci, na szkarłatnym podnóżku siedział łagodny, lecz pewny siebie Chrystus z barankiem, otoczony wianuszkami postaci - zakonnic, rycerzy i młodych krzyżowców - czepiających się jego szaty. Jaskrawy odcień bijącego zeń światła potęgował klaustrofobiczny charakter wnętrza. Małgorzata przeszła kawałek wzdłuż nawy, ścigana echem własnych kroków, wypełniającym budowlę. Z prawej strony znów dobiegł ją szelest. Ogarnęło kobietę niedorzeczne uczucie, że coś rzuci się na nią znienacka, nie Oliver, lecz złośliwy chochlik, bawiący się z nią w kotka i myszkę wśród grubych kolumn. Ruszyła w kierunku ołtarza, dla uspokojenia i równowagi przytrzymując się po drodze krawędzi ławek.

Pod balustradą oddzielającą ołtarz od reszty kościoła leżał dywan, który zagłuszył nieco odgłosy jej obecności. Szybkim krokiem wyminęła ambonę, kierując się w stronę niewielkiej kaplicy, której okno połyskiwało nieśmiało po prawej stronie. Zastanawiała się, jakim cudem osoba znajdująca się w środku mogła tak długo pozostawać nieruchoma. Podeszła do kraty odgradzającej pomieszczenie i opierając się o nią ręką, zajrzała do środka.

Oliver stał bez ruchu przed ołtarzem, spoglądając na okno. Jego widok nieoczekiwanie zbił Małgorzatę z tropu.

- Oliver - powiedziała szeptem.

- Cześć - odparł, nie odwracając się. Zawsze mówił przytłumionym głosem; nie musiał go ściszać. - Myślałem, że nie przyjdiesz.

- Chciałam. Chciałam z tobą pomówić.

- Spójrz na to okno - rzekł Oliver. - Lubię rozety, ta jest ładna. Nie pojmuję, jak mieli czelność umieszczać na ołtarzach dwudziestowieczne wizerunki świętych, skoro posiadali coś takiego. To takie trwałe. Takie *uporządkowane*, ot co - te wszystkie znaczenia, symbolizm

liczb, dwunastu apostołów, dwanaście plemion, dwanaście miesięcy, patrz, wszystko jest takie precyzyjne, tak zgrabnie ze sobą powiązane. *Rosa mundi*. Znasz się na rozetach?

- Nie - odparła Małgorzata. Podeszła bliżej i stanąwszy obok męża, trąciła go w ramię. - Oliverze, chcę z tobą porozmawiać. Ostatnio tak trudno mi do ciebie dotrzeć...

- Małgorzato - powiedział, odwracając się i mrugając powiekami. - Małgorzato. Miałś miłe popołudnie?

- Przestań - rzuciła zawzięcie. - Przestań mówić do mnie takim tonem. Nigdy więcej tego nie rób.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Trzymasz mnie na dystans, jak gdybym była człowiekiem w mniejszym stopniu niż inni. Nie mogę tego znieść. Słyszysz, *nie mogę tego znieść*.

- Naprawdę tak robię? - zapytał bezmyślnie Oliver.

- Nie udawaj, że nie wiesz. Nie wykręcaj się. Spróbuj przez chwilę ze mną побыć...

- Nie jestem w tym zbyt dobry...

- Ale musisz, musisz. Jestem *małżeństwem*, Oliverze, niech to wreszcie do ciebie dotrze. Kto wie, może nie jestem taka głupia, jak myślisz. Sprawdź to. Spójrz na mnie, porozmawiaj...

Drobne usta Olivera drgnęły.

- Wolałbym, żebyś nie poświęcała mi tyle uwagi. Nie wiem, jak mam się zachować.

- Wobec tego nie powinienes być się ze mną żenić.

- Znałś mnie, wiedziałś, do czego nie jestem zdolny. Może nie?

- Małżeństwo zmienia człowieka.

- O tak - odparł Oliver.

- Przestałeś mnie kochać?

Przyparty do muru Oliver cofnął się o kilka kroków.

- Nie, tak łatwo nie przestaję kochać - odrzekł. - Myślę, że komplikujesz sprawy. Odgrywanie scen nie jest moją najmocniejszą stroną. Ty natomiast zdajesz się ich potrzebować. Ja wolę pozostawiać rzeczy niedopowiedziane, ty wracałabyś do nich na okrągło. Nic na to nie poradzimy.

- Ale ja jestem taka *samotna!* - zawołała Małgorzata i mimowolnie wybuchnęła płaczem. Osunęła się na dywan u stóp Olivera i objęła go za kolana.

- No już, już - rzucił Oliver, kolistymi ruchami głaszcząc ją po głowie. - Za długo siedziałaś na słońcu, i tyle. Twierdzę, że nie wiedziałem, na co się porywam, nie zrozum mnie źle. Wydawałaś się taka opanowana i pewna siebie.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Myślę, że częściowo chodziło o różnicę pochodzenia społecznego. Nie denerwuj się tak i przestań płakać. Coś wymyślimy. Nie mamy innego wyjścia. Daj nam szansę. Chcę jak najlepiej.

Małgorzata szlochała u jego stóp.

- Posłuchaj, to przez te twoje trudne dni. Małgorzato, musisz *pomyśleć*, zanim doprowadzisz się do takiego stanu. Nie mam racji? Za tydzień będziesz zupełnie inna. Będziesz działać z wyobraźnią.

Małgorzata w duchu przyznała mu rację.

- Porozmawiaj ze mną, Oliverze - poprosiła. - Porozmawiaj ze mną.

- Oczywiście. O czym?

- O czymkolwiek. O twojej pracy. O tobie. O czymkolwiek, bylebyś tylko ze mną rozmawiał.

Oliver podniósł ją i posadził na krześle. Pochylił się nad nią; na jego czujnej twarzy malowały się jednocześnie powaga i łagodność.

- Nie ożeniłem się z tobą tylko po to, by rozmawiać - oświadczył.

Z perspektywy czasu Małgorzata miała uznać tę odpowiedź za złowrobną. Powiedziała:

- O, nie, Oliverze, nie w kościele - po czym powietrze znów zafalowało i drzwi za ich plecami otworzyły się na oścież.

- Oliverze, jesteś tu? - zabrzmiał wyraźny głos Anny.
- Mama prosi, żebyś przyszedł; pakują się.

Raz, dwa, trzy, i omiń następny. Anna, w białej bawełnianej koszuli nocnej, zeszła po schodach, licząc stopnie i nasłuchując skrzypienia podłogi. Ciemność była ruchliwa i namacalna, i dziewczyna wyczuwała jej zmienną fakturę: gęstość jedwabnej kurtyny, zalegającej nad schodami, oraz puszystą miękkość, osnuwającą dywan na podeście. Ostrożnie namacała bosą stopą piąty stopień, słysząc swój własny cichy, przyśpieszony oddech. Pozostali, na w pół pozbawieni człowieczeństwa, trwali za zamkniętymi drzwiami, pogrążeni w głębokim śnie. Anna poczuła zadowolenie: oddali dom oraz ją samą w jej niepodzielne władanie.

Kiedy tego wieczoru wrócili do domu, wszyscy byli jacyś przygaszeni i nikt nie kwapił się do podjęcia rozmowy. Małgorzata skarżyła się na poparzenia słoneczne, a Karolina burczała nawet na Jeremiego. Henryk odpowiadał: „Cicho, ja myślę” - za każdym razem, gdy ktoś się do niego zwracał. Zupełnie jakby między wszystkimi wyrosła niewidzialna bariera, jak zawsze, gdy nadzieje na dobrą zabawę spełzają na niczym. Wcześniej rozeszli się do łóżek. Zwiłżywszy językiem wargi, Anna przeniosła ciężar ciała na ostatni stopień. Teraz, gdy spali, nie byli warci uwagi. Z przyjemnością wyobraziła sobie, jak spoczywają nieruchomo wśród zmiętych prześcieradeł, z włosami na rozpalonych twarzach, wciśniętych w po-

duszki. Sen dawał jej nad nimi przewagę, tylko dlatego, że jako jedyna nie spała, krążąc po domu.

Nadchodziła wyczekiwana przez Annę zmiana pogody. Siedziała na łóżku, zapatrzona w okno, nasłuchując najlżejszego szmeru, najdrobniejszego dreszczu, zwiastującego początek burzy. Dotychczas nic nie wskazywało na jej nadejście; noc była jednolicie czarna i niewzruszona; mimo to Anna wierzyła w swą intuicję. Wszystko było jedynie kwestią czasu. Lubiła burze. Zawsze ją podniecały, tym razem jednak odczuwała to wyraźniej niż zwykle. Ale nadejście burzy trwało zbyt długo. W końcu, nie mogąc usiedzieć w jednym miejscu, dziewczyna, kierowana potrzebą ruchu i zmiany otoczenia, zeszła na dół po szklankę wody. Przemierzała korytarze, wyczuwając kłujące wyładowania elektryczności nawet w dywanie pod stopami, aż wreszcie dotarła do białych drzwi łazienki.

Zastany tam widok do tego stopnia ją zafascynował, że wydała z siebie cichy okrzyk, natychmiast rozglądając się w popłochu, czy nie obudziła przypadkiem i nie ściągnęła nikogo ze śpiących. Łazienka stanowiła przejaw nieoczekiwanej ekstrawagancji poprzedniego właściciela domu, który przerobił ją podług mody lansowanej przez ekskluzywne czasopisma dekoratorskie późnych lat dwudziestych. Stara żeliwna wanna na lwich łapach, którą Karolina wołałaby zachować na dawnym miejscu, stała obecnie w ogrodzie, i Henryk hodował w niej hortensje. Karolina była pewna, że nie ma szans na ponowne umieszczenie jej w łazience. Wstydziła się charakteryzującej dom ostentacyjnej zamożności, jednocześnie czując z irytacją, że wygląd łazienki przeczy jej żarliwemu pragnieniu, by dom uchodził za schedę rodzinną, którą w istocie nie był.

Tej nocy jednak ukośny promień księżycowej poświaty, łączący okno z podłogą na podobieństwo dodatkowej szyby, pozbawiał pomieszczenie towarzyszącej mu za dnia jaskrawości. Oczom Anny ukazał się zatopiony, tajemny świat, pełen połyskujących w zakamarkach kolumn i łuków świetlnych, wabiący osobliwym blaskiem kranu oraz łuną światła wzdłuż krawędzi umywalki, zamieszkaany przez wysnute z mroku żywe, migotliwe isto-

ty. Półki tworzyły cud zieleni i srebra, cień transparentnego cienia, utrwalony w idealnej geometrii pod kruchymi, okrągłymi cieniami szklanek i przenikający je na wskroś. Cienie światła, pomyślała Anna, zmienne faktury blasku, pochwycone i zatrzymane w szkłe, spirale, stożki i szpalery, w miejscach, gdzie cień jednej półki nachodził na drugi. Bezszelestnie podeszła do umywalki; kran wystrzelił srebrzystymi grotami wody, które zatańczyły w szklance niczym rtęć, przechodząc w niedostrzegalnie rozkołysaną przejrzystość. Anna napiła się pośpiesznie - przestała odczuwać jakiegokolwiek pragnienie - po czym ponownie napełniła szklanekę dla samej przyjemności obserwowania wody. Podeszła do okna i uniosła ją do światła, którego rozszczepiona wiązka spłynęła na dno wanny. Krąg jasności rozchylił się niby kwiat o jędrnych, wirujących płatkach. Usiadła na parapecie, obracając szklanekę w wyciągniętych rękach. W życiu nie widziała nic piękniejszego i bardziej nierzeczywistego. Obręcz światła oraz świadomość nadciągającej burzy napełniły ją poczuciem równowagi i spełnienia. Mogę coś z tym zrobić. Mogę zrobić coś naprawdę ważnego, powtórzyła, obracając w dłoniach szklanekę, niepewna znaczenia własnych słów, a jednocześnie przeświadczona o powadze sytuacji.

Drzewa na zewnątrz wydały głębokie westchnienie i prąd powietrza przetoczył się przez ogród. Nadchodzi, pomyślała.

Oliver wszedł do łazienki i nie zauważając Anny, dotarł do umywalki. W czarnym szlafroku i skórzanych pantoflach z wąskimi nosami wyglądał schludnie i oficjalnie. Naraz jego ręka zawisła w połowie drogi do kranu i Anna ujrzała w lustrze pobladałą, stężoną twarz mężczyzny.

- Co ty tu robisz? - Nie wzdrygnął się; znieruchomiała jedynie dłoń trzymająca szklanekę.

- Zeszłam napić się wody. Czekam na burzę.

Zapadła cisza. Anna wyczekująco obracała w dłoni szklanekę.

- Nie zimno ci w tej koszulinie?

- Nie.

Oliver nalał sobie wody i podszedł do okna. Anna usunęła się w róg, robiąc mu miejsce. Usiadł obok, bacznie obserwując ją znad krawędzi szklanki.

- Masz zamiar siedzieć tu całą noc? - zapytał wreszcie.

- Może. Nie mogę zasnąć. Tu jest ciekawiej. - Nie przyszło jej na myśl, żeby powiedzieć mu o świetle.

- Cała w bieli, pośród tego szkła, wyglądasz niezmiernie.

Anna, drżąc, zaplotła ręce na piersi.

- Pomyślałem, że przed wyjazdem powinniśmy się spotkać. Wydawało mi się to konieczne. Warto by się pokusić o podsumowanie spędzonego wspólnie czasu.

Skulona w sobie, nie odpowiedziała.

- Boisz się mnie, Anno?

- Raczej nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Jesteś taka spięta. Wolałbym wyjechać ze świadomością, że jesteśmy przyjaciółmi. Nie chcę myśleć, że popełniłem błąd.

- Błąd?

- Chciałbym mieć przekonanie, że choć trochę sprowadziłem cię na ziemię.

- Na ziemię?

- Na ziemię. Splot własnych ograniczeń oraz, w pewnym sensie, odwieczna proza życia. - Parsknął urywanym śmiechem.

- Brzmi złowrogo - odrzekła Anna. Pokręciła szklanką, kołysząc zamknięte w niej światło. - Czasami myślę - dodała, starannie dobierając słowa - że nie doświadczam żadnych ograniczeń.

- I właśnie w takich chwilach najbardziej dajesz im wyraz - uzupełnił Oliver.

- Tylko nie zaczynaj od nowa.

- Nie, szkoda, że nie wzbudziłem w tobie większego zaufania. Dziwne, ale pomimo wszystkiego mam wrażenie, że jesteśmy do siebie podobni. Przypominasz mi mnie samego.

- To przerażające - odpowiedziała szczerze Anna. - To naprawdę przerażające.

Znowu zapadła cisza. Oliver odchrząknął, wygładzając fałdy szlafroka, podczas gdy Anna z przymkniętymi

oczami zakołysała się w przód i w tył. Grzmot rozerwał ciszę niczym huk burzonych wież, któremu towarzyszy łoskot toczących się kamieni oraz głuchy odgłos opadającej chmury pyłu. Szyba w oknie zadrzała i dłoń Anny zacisnęła się na szklance.

- Już jest - powiedziała. Niebo zadrzało i Oliver w milczeniu kiwnął głową. - Teraz powinna się pokazać błyskawica.

- Zaraz będzie.

Oboje zwrócili się do okna, wypatrując. Po chwili niebo zajaśniało metalicznym blaskiem, który rozlał się po trawniku i sadzie, wydobywając z mroku ostry zarys drzew. Następnie znów zapadła ciemność, bardziej gęsta i aksamitna, pozbawiona poprzedniego napięcia.

- Jedna błyskawica wystarczy - powiedziała Anna - by świat zmienił się nie do poznania.

- To ciągle ten sam świat - odrzekł z niewzruszonym spokojem Oliver.

Błyskawica ponownie rozdarła niebo, i Anna, odwracając wzrok przed oślepiającym światłem, które wtargnęło do jej zatopionego świata, znalazła się oko w oko z Oliverem, którego oblicze w upiornym blasku zyskało postać białej maski ze szparkami oczu i siną szczeliną ust.

- Och - westchnęła. - Nie wytrzymam.

Wówczas, kiedy ponownie dał się słyszeć huk grzmotu, Oliver wyciągnął ku niej ręce i przytrzymał ją za włosy, tak jak w wodzie, na co mimowolnie zesztyniała i wpijając palce w jego ramiona, zwróciła ku niemu twarz. Nikt nigdy nie całował jej z taką złością. W gruncie rzeczy znała jedynie pocałunki Michała, ciepłe i kojące, choć jednocześnie budzące rozkoszny dreszcz. Czułości Olivera sprawiły jej ból. Anna z wysiłkiem chwyciła oddech i wyrwała się z jego objęć.

- Proszę - powiedziała, unosząc głos.

- Cicho - rzucił Oliver. - Przepraszam, oczywiście nie chciałem tego zrobić - dodał sztywno. Popatrzył na nią z ukosa, bawiąc się paskiem od szlafroka.

Anna poczuła się raptem bardzo dorosła i wybuchnęła śmiechem.

- Cóż w tym śmiesznego?

- Ty... i ja... tacy poważni. Ma się rozumieć, że chciałeś to zrobić. Inaczej nie mógłbyś wyjechać. To było nieuniknione.

- Anno - rzekł z powagą Oliver. - Ja nie dlatego przecież...

- Ach, wiem, że nie. Nie rób takiej zmartwionej miny. Nie traktujmy tego poważnie. To bez znaczenia. Ale musisz być ostrożniejszy z całowaniem obcych dziewcząt, Oliverze. Każda, która ma mniej rozumu niż ja, mogłaby się zdenerwować albo Bóg wie co sobie pomyśleć. Była by to naturalna kolej rzeczy. Ale nie ja.

Oliver wyglądał, jakby uważał jej rozbawienie za reakcję w nie najlepszym guście. Robił też wrażenie trochę urażonego.

- Nieważne - dodała Anna. Wstała, podając mu rękę.

- Chodź ze mną. Wyjdźmy do ogrodu, zanim zaczną padać.

- Przeziębisz się.

- Na pewno nie. Muszę wyjść, inaczej się uduszę. Czujesz to?

- To niezbyt bezpieczne - powiedział Oliver. Mimo to ruszył za nią i przeszedłszy przez kuchnię, wyszli na zewnątrz.

- Wróc do środka, jeśli chcesz - rzuciła obojętnie Anna, zanurzając bosc stopy w chłodnej trawie. - Ja po prostu musiałam wyjść, nie rozumiesz? Stać mnie na szaleństwa, mogę zwyczajnie wyjść, ale...

- Skąd?

- Bo ja wiem? - Urwała, zanosząc się śmiechem. - Ależ ty poważnie wyglądasz, stojąc tak na baczność. Piżamy są takie *rozmamłane*.

- Do jakiego stopnia stać cię na szaleństwo? - zapytał z przesadnym zniecierpliwieniem Oliver.

- Nie wiem. Zupełnie nie wiem. Kto pierwszy do sady? - Ze śmiechem puściła się biegiem w poprzek wyschniętego trawnika.

- Ty wariatko! - zawołał Oliver. - Wracaj.

Anna nie posłuchała. Po chwili Oliver zebrał fałdy szlafroka i dosyć niezgrabnie pobiegł za nią. Gdy dotarli

do sadu, w powietrzu zaszeleściły pierwsze krople deszczu.

- Posłuchaj - powiedziała. - Teraz wszystko się oczyści...

Oliver dogonił ją; zobaczyła, że drży ze złości i cała pewność siebie opuściła ją bez śladu. Ulewa załomotała o liście, jak gdyby jakaś niewidzialna postać strzelała palcami.

- Chodź tutaj - rzucił. - Chodź tutaj i posłuchaj. - Bezskutecznie spróbował ją złapać; spoglądała na niego, oddychając ciężko, po czym ruszyła w jego kierunku. - Chodź tutaj - powtórzył, kładąc ciężką rękę na barkach Anny.

Zaczął ją całować. Nie spodobało jej się to, lecz ogarnięta zaciekawieniem, uległa. Nie próbowała zachęcać go ani odpychać. Była na tyle bystra, by zorientować się, że Oliver usiłuje za wszelką cenę czegoś dowieść, nie wiedziała jednak czego. Deszcz wreszcie przesiąkł przez liście, zbierając się paciorkami na rękawach szlafroka Olivera i sklejjąc włosy Anny, aż woda pociekła jej po karku. Za chwilę to się skończy, pomyślała dziewczyna, i będę w stanie sprecyzować, co o tym wszystkim sądzę. Naraz ogarnął ją chłód i zaczęła niepoohamowanie drżeć.

- Oliverze - powiedziała. - Zimno mi. Wracajmy do domu.

Oliver strząsnął wilgoć z włosów, najwyraźniej usiłując się opanować.

- Zapomniałem się - rzekł. - Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Mówiłam ci, że to bez znaczenia. Nie przejmuję się tym. Zimno mi, chciałabym wrócić do domu.

- Według mnie, powinnaś się przejmować.

- Nie - odparła Anna. - Żadne z nas tak naprawdę się nie przejmuję. Przez całe lato nie mieliśmy nic do roboty. Przestańmy udawać. Zresztą wcale nie jestem dobra w przejmowaniu się czymkolwiek. Możesz mnie całować, wszystko mi jedno, to nawet... miłe, nie zmuszaj mnie jednak, abym się nad tym zastanawiała.

Zmieszany Oliver zmarszczył brwi.

- Nie podoba mi się to nieprzejmowanie... - zaczął.

- Chciałbyś zjeść swoje ciastko i jednocześnie je zachować - rzuciła niecierpliwie Anna. - Lepiej pomyśl, jakbyś wyglądał, gdybym się *przejmowała*.

- Jakoś bym to zniósł. Coś by się wymyśliło.

- Ach, jasne, stworzyłoby to okazję do dalszych kazań. Ale ja się nie przejmuję. Jednym słowem, wszystko gra.

- Ja nie...

- Proszę, Oliverze, pozwól mi iść do domu. Pozwól mi iść do domu. Marznę. Jutro będę za tobą tęsknić.

Oliver zawahał się, następnie ujął ją za rękę i ruszyli z powrotem. U podnóża schodów pochyliła się ku niemu i pocałowała go w policzek.

- Do widzenia, Oliverze.

- Do widzenia.

- Wszystko w porządku, prawda?

- Tak - odparł głucho Oliver. - Wszystko w porządku.

- Wyglądał, jakby nieoczekiwanie ogarnęło go wielkie zmęczenie.

Małgorzata usiadła na łóżku.

- Oliverze, kochanie, gdzieś ty był? Już chyba czwarta, jest strasznie zimno, a ty stoisz tu, przemoczony do nitki. Co robiłeś?

- Byłem na dworze - odrzekł Oliver, zrzucając mokre ubranie na podłogę. - Deszcz mnie złapał. - Zimny i nagi wszedł do łóżka. - Przykryjmy się dodatkowym kocem, na miłość boską.

- Ale, kochanie, *po co?*

- Błagam, nic już nie mów - poprosił. Zwróciwszy się ku żonie, spojrzał na nią uważnie. - Nigdy nie chciałaś nikogo zniszczyć, prawda? Przynajmniej świadomie...

- Zniszczyć?

- Nieważne. W głębi serca jestem purytaninem, nie wiedziałas?

Małgorzata nie kryła zdumienia.

- Nieważne - powtórzył. - Przytul się i ogrzej mnie.

Kobieta objęła go i zgasiła światło. Prawie natychmiast dobiegło ją chrapanie.

Anna pogratulowała sobie spokoju, z jakim przyjęła namiętne uściski żonatego mężczyzny, i wyjęła za oknem przemoczoną koszulę. Mężczyźni mają dziwny stosunek do seksu, stwierdziła, kładąc się do łóżka. Nie ma on dla nich takiego znaczenia, jak dla kobiet (potwierdzały to wszystkie publikacje); oznaczył dla nich po prostu imperatyw, pozbawiony jakiegokolwiek *wagi*. Mimo to poświęcali mu wiele czasu, przekonani o konieczności udowodnienia, iż są w stanie nakłonić kobiety do przejścia się, bez względu na płynące stąd zagrożenia, będące dla nich źródłem panicznego lęku, i obrażali się śmiertelnie, gdy ich partnerki wykazywały taką samą obojętność, jak oni. Doprawdy, co za śmieszna, niewytłumaczalna duma. Trzeba samemu jej posmakować. Przechodzę przyspieszony kurs, pomyślała, w gruncie rzeczy powinnam być wdzięczna Oliverowi. Uśmiechnęła się pod nosem. Biedny, stary Oliver. Stukot deszczu o dach ukołysał ją do snu.

Kiedy rankiem Canningowie odjeżdżali, w miejscu podjazdu płynął potok żółtego błota i żwiru. Henryk odwoził ich na stację, z wodą przelewającą się między osiami. Karolina stanęła z dziećmi na schodach, by pomachać im na pożegnanie.

- Przyjeďte znowu! - zawołała serdecznie. - Przyjeďte. Było nam bardzo miło.

Tamci pomachali do nich przez zamgloną tylną szybę. Anna miała ciemne obwódki wokół oczu i początki kataaru. Karolina odesłała ją do łóżka, nakazując, by dbała o siebie przed zbliżającymi się egzaminami.

- Pozbyliśmy się ich w ostatniej chwili - oznajmił Henryk, powróciwszy ze stacji.

- Henryku! - zganiła go Karolina. I uśmiechnęła się.

- Teraz mogę wrócić do pracy - odparł, kierując się w stronę gabinetu. - Ludzie potrafią być okropnie uciążliwi, nie sądzisz?

Dom otoczył ich swoimi ścianami, a deszcz padał nieprzerwanie przez pięć dni. Gdy ustał, niespodziewanie nadeszła jesień.

Część druga

Wnastępnym roku Anna z rezygnacją rozpoczęła studia w Cambridge. Dostanie się na uniwersytet nie było łatwym zadaniem, co - pomimo okazji, by wykazać przed innymi słuszność swoich racji („A nie mówiłam?”) - zirykowało ją niepomierne. Rozmowy kwalifikacyjne nie wypadły źle. Najgorsza chwila nastąpiła, gdy ktoś zapytał ją zdawkowo: „Pewnie zdobyłaś wyróżnienie?”, na co odpowiedziała nieco zbyt podniesionym głosem: „Nie, wcześniej wyleciałam ze szkoły”. „Naszym zdaniem odrobina doświadczenia zdobytego poza szkołą może być bardzo pomocna” - skwitował informację jej rozmówca, przechodząc do innych spraw. Otrzymawszy zawiadomienie o odrzuceniu jej kandydatury z powodu braku miejsc i umieszczeniu nazwiska na liście oczekujących, uznała to za niewątpliwy rezultat swego braku opanowania. Później, kiedy zaproponowano Annie jedno z miejsc zwolnionych przez całe mnóstwo młodych kobiet, które wybrały Oksford, wyemigrowały do Australii bądź nieoczekiwanie przedłożyły małżeńską sielankę ponad akademicki żywot, nasunęły się dziewczynie pewne refleksje. Absolwenci, którzy wraz z nią uczestniczyli w rozmowach wstępnych, na jej tle mniej rzucali się w oczy - doszła zatem do wniosku, że egzaminatorzy nie poświęcili im wiele uwagi, wierząc w cechę określaną mianem oryginalności, którą w praktyce nader często

mylono z brakiem równowagi emocjonalnej lub ekshibicjonizmem intelektualnym. Pomimo swej oczywistej nieśmiałości zdawali się zafascynowani skrajnymi przejawami młodzieńczej nonszalancji, z którą w mniemaniu Anny wiąжали fakt, że złamała zasady regulaminu szkoły, i ostatecznie poczytali je na korzyść dziewczyny. Rzecz jasna, to nie wszystko. „Fragmenty pani esejów były do niczego - powiedział jej potem jeden z członków komisji - a pani znajomość francuskiego i łaciny zatrważająca, lecz dostrzegamy w pani pewną iskrę, iskrę oraz zdolność samodzielnego myślenia. No i oczywiście, z takim zapleczem... choć w istocie nie bierzemy tego pod uwagę. Czy pani ojciec w tej chwili nad czymś pracuje?”.

Małgorzata Canning przysłała Annie list gratulacyjny, w imieniu swoim i Olivera, załączając listę nazwisk oraz adresów przyjaciół, których warto poznać. Anna odpowiedziała spóźnionymi, zwięzłymi podziękowaniami, dodając, że dostała się na studia przez przypadek i że gdyby nie była córką swego ojca - to na użytek Olivera - nigdy by jej nie przyjęto. Nie skorzystała z otrzymanych adresów, częściowo z lenistwa, po części dlatego, że nie była pewna, czy wymienione osoby należą do kręgu znajomych Olivera, czy Małgorzaty. O ile towarzystwo tych drugich, zakładając, że w ogóle zwróciliby na nią uwagę, mogło okazać się zabawne, pierwsi tworzyliby grupę zawziętych fanatyków, których wpływom nie miała zamiaru ulegać. Przed wyjazdem nie zobaczyła się z żadnym z Canningów. Letniej wizyty nie powtórzono i choć Małgorzata od czasu do czasu wybierała się z Karoliną na lunch i na zakupy, a Oliver czasem pisywał do Henryka, ich życie toczyło się z dala od życia Anny.

Dziewczyna nie dzieliła się z nikim wrażeniami na temat Cambridge; ani z rodzicami, ani z wykładowcami, ani nawet z samą sobą. Pisała prace, gdy tego od niej wymagano, pełna zdziwienia, podobnie zresztą jak nauczyciele, że coś równie namacalnego i określonego, opinia wyrażona czarno na białym, mogło powstać za jej udziałem i zostać poddane ocenie. Eseje były precyzyjne, wyważone, poprawne oraz, generalnie rzecz biorąc, absolutnie niekontrowersyjne. Chuda i blada, siedziała Anna

z lekko przechyloną głową i charakterystycznym - jak u Karoliny - wyrazem uprzejmego zainteresowania na twarzy, wysłuchując komentarzy wykładowcy, które nigdy nie prowokowały jej do powiedzenia czegoś więcej, niż zostało zawarte w pracy. Jeden z członków kadry, który nie darzył jej szczególną sympatią, doszedł do wniosku, że nigdy nie powinna była zostać przyjęta. Inna nauczycielka, o bardziej optymistycznym podejściu, trwała w nadziei na objawienie klucza, który pozwoliłby zgłębić psychikę dziewczyny. Kiedyś już myślała, że go znalazła, wymuszając na Annie gwałtowną reakcję pogardliwym stwierdzeniem na temat „Pani Bovary”. „To nie jest nudne, to straszne!” - wykrzyknęła Anna; czytała jednak powieść nie po francusku, lecz po angielsku, incydent zaś miał charakter jednostkowy.

Nie była tak osamotniona, jak w szkole; chodziła z innymi studentami na kawę i uczestniczyła w prywatkach; była na rozpoczęciu sezonu teatralnego, widywano ją na wykładach i w bibliotekach. Mimo to nie wyróżniała się niczym szczególnym, co miało przecież istotne znaczenie, towarzystwo zaś błyskotliwych, ekstrawaganckich i ambitnych osób boleśnie uwypuklało mglistą naturę jej wyczekiwanego przełomu. Przyjemnie byłoby być niegłupią, myślała, przyjemnie też byłoby oddać się bez reszty pasji jeździeckiej, lecz podobnie jak w wypadku łubek i łogawizny, cięta replika bądź trafna aluzja rzadko stawały się jej udziałem. Poza tym ludzie utwierdzali ją w przekonaniu, że jest „niewarta zachodu”, co zniechęcało ją do jakichkolwiek wysiłków.

Karolina nie zawracała sobie głowy inteligencją. Ostrożnie obserwowała uniwersytety podobnie jak Zulejka Dobson: jako miasta pełne przystojnych, gładkich młodzieńców o obiecujących perspektywach na przyszłość. W Cambridge na jedną kobietę przypadało ich dziesięciu, w związku z czym Karolina uznała, że jeśli Anna wykaże choć odrobinę rozsądku - bo nie ulegało wątpliwości, że ostatnio wyładniała - przed upływem trzeciego roku znajdzie odpowiednią partię. Jeżeli nawet Anna, jak każda świeżo upieczona studentka, podzielała ten pogląd, rysował się on dość mgliście i pozbawiony był praktyczne-

go aspektu - nie tak jak u matki. Dziewczyna założyła, że powinna się zakochać, a więc zdobyć się na poszukiwanie obiektu uczuć. Być może nawet to właśnie miłość miała okazać się dla niej przełomem. Jednak nie małżeństwo; jej wizja miłości była oglądanym przez teleskop punkcikiem, a beznadziejność stanowiła miarę uroku tego uczucia. Gdy nasuwało się podejrzenie, jak pokazał dziewczynie przykład Michała, że rzecz może wyglądać inaczej, Anna dokładała starań, by na powrót ją skomplikować, odsuwając wszystko na bezpieczną odległość.

Sprawy wymagały czasu. Wreszcie, po serii eksperymentów i gorzkich porażek, los postawił na drodze Anny Piotra Hughes-Wintertona.

Piotr Hughes-Winterton stał w progu i rozpędzając przed sobą dym, słuchał, jak z adaptera zgrzytliwie wybiegają ostatnie płaczliwe tony klarnetu. Pragnął, aby jego prywatka była inna, pracował nad tym tygodniami, teraz zaś, pod koniec imprezy, czuł, że jest tak samo duszna, pełna dymu i nudna jak inne; jej uczestnicy wypełniali jego salon jazgotliwymi głosami, pokładali się w mrocznej sypialni, a jedna lub dwie pary kołysały się sennie w takt muzyki płynącej z ustawionego na oknie adaptera. Przygotowując pokój, uważał swoje pomysły za nowatorskie, efektowne, wręcz nie z tej ziemi, co w pełni odpowiadało wzorcom udanego przyjęcia. Zapalił całe mnóstwo świec w srebrnych lichtarzach pożyczonych i wyżebranych od sąsiadów z domu i z college'u, ustawił je we wszelkich możliwych miejscach, dzięki czemu wszystkie ściany poetycznie jaśniały punkcikami drobnych ogników. Kupił szkarłatną tkaninę i udrapował ją pod sufitem, udekorował pokój wiktoriańskimi stertami owoców - woskowych i prawdziwych, przypominających te sztuczne, i zamówił kilka ogromnych, zmysłowych rycin autorstwa Polaka, będącego doskonałym naśladowcą Beardsleya. W srebrnych czarach ze zdobionymi uchwyta-
mi miał podać specjalny poncz, sporządzony według przepisu przekazywanego w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie od 1745 roku. Polerując szklanki, mieszając trunki i po raz ostatni przed nadejściem gości poprawia-

jąc złożone sznury draperii, pozwolił ogarnąć się podnieceniu. Nie zabrakło mu rozsądku, żeby dopilnować, by tkanina nie zajęła się ogniem. Był z siebie nawet dumny.

Wreszcie przyszli goście, niektórzy w kawalerskim diagonalu, inni w dżinsach, prowadząc jednakowe dziewczęta w szerokich, koktajlowych spódnicach i wydekoltowanych bluzkach; przynieśli własne płyty i po kilku zaledwie minutach wyłączyli jego menuet, chcąc posłuchać jakiegoś najnowszego szlagieru. Zwinęli też piękne chodniki - ostatecznie doszedł do wniosku, że to niezły pomysł - by zrobić miejsce na tańce, a następnie znikali za drzwiami sypialni, którą przeznaczył na szatnię, by zrzucić z siebie nieco więcej niż płaszcz. Zdmuchnęli część świec, by zapewnić w zakamarkach pożądany półmrok, i umieścili niektóre świece w butelkach, przypalając płomykiem papierosy. Wysokimi, natarczywymi głosami autorytatywnie oceniali ryciny i porównywali je z innymi pracami tego samego artysty, oglądany na wcześniejszych potańcówkach, odzierając je tym samym z aury tajemniczości i spychając do rangi drugorzędnych tematów dyskusji. Opróżnili czasę z ponczem jak butelkę taniego wina, rzucając w kierunku przechodzącego akurat Piotra: „Mocna rzecz, stary. Prawdziwy odlot”. Ilość trunków była przynajmniej wystarczająca, wobec czego, według powszechnie obowiązujących norm, przyjęcie uznano za udane. Pomimo rozczarowania Piotr odczuwał za to niejaką wdzięczność wobec gości.

Według pierwotnych założeń, prywatka miała być hołdem złożonym Annie, w której się podkochiwał. Miał nadzieję, że w wytwornej atmosferze i blasku świec dziewczyna rozkwitnie. Poszukał jej spojrzeniem i zobaczył, że stoi tam, gdzie ją zostawił, przy drzwiach sypialni, osamotniona i teraz już w sposób oczywisty zniechęcona. Miała na sobie kremową płócienną sukienkę ze stójką - prezent od Małgorzaty Canning - włosy zaś odrosły Annie na tyle, by mogła upiąć je płasko na czubku głowy. Podobałoby się jej moje przyjęcie, pomyślał ze smutkiem Piotr, którego dobry charakter nie pozwalał okazywanego przez dziewczynę zniechęcenia wziąć za popospolity brak manier; uznał je za objaw szczerości,

przyćmiewający wachlarz aktów towarzyskiego okrucieństwa. Poszedł przynieść Annie brandy, ale oznajmiła, że nie wypije już ani kropli ponczu. Wracając, zmiażdżył butem odłamek potłuczonego kieliszka.

Obserwując, jak podchodzi, Anna bezskutecznie próbowała przywołać uśmiech na twarz. Jego widok w gruncie rzeczy ucieszył ją. Piotr był jedną z niewielu znanych jej osób, którym życzliwość wobec ludzi oraz przyjemność z wykonywania obowiązków przychodziła bez najmniejszego wysiłku. Status studenta dostarczał Piotrowi niekłamanej przyjemności. Kłócił się, dyskutował, wygłaszał retoryczne przemowy - cóż, że bez większego polotu - na zebraniach studenckich i uczestniczył w polowaniach z uniwersytecką sforą chartów. Oddawał się tym zajęciom bez reszty. To właśnie dla nich przyszedł na świat. Jego ojciec na wieść o narodzinach syna wyobraził sobie wysokiego, jasnowłosego, sztywnego studenta i żył oczekiwaniem realizacji owej wizji, nie wybiegając myślą poza jej spełnienie, dlatego też Piotr w obecnej postaci był dla niego Piotrem idealnym. Powstało niepodważalne założenie, że śladem ojca syn rozpocznie karierę w ministerstwie spraw zagranicznych. Dotyczyło ono jednakże młodzieńca, którego wiecznym przeznaczeniem był uniwersytet, i ani Piotr, ani sir Walter Hughes-Winterton nie wzięli pod uwagę, że do realizacji owego przeznaczenia pozostał ledwie rok, po czym syn przystąpi do egzaminu, który wbrew ojcowskim oczekiwaniom przyjdzie mu oblać.

Anna poznała Piotra pod koniec pewnej prywatki, gdy nieco zamroczona alkoholem o mały nie spadła ze schodów, w ostatniej chwili została podtrzymana silnym i bezceremonialnym uściskiem chłopaka. Był to niedorzeczny incydent, odczuła jednak taką wdzięczność, że mimo typowo kobiecej pogardy dla zakochanych, nowo poznany urósł w jej świadomości do rangi jasnowłosej opoki, symbolu ocalenia z otchłani oraz wybawiciela czuwającego nad jej niepewnymi krokami.

Piotr pozostał obrońcą, tym, który otwiera drzwi, przynosi kwiaty, chroni przed deszczem i kładzie poduszki na twardej ławce łodzi, i choć Anna wyśmiewała jego dbałość o konwenanse, jednocześnie podziwiała ją

i nauczyła się na niej polegać. Nie znosiła jego prób dopasowania się do wizerunku nowoczesnego studenta, i kiedy na jazzową potańcówkę wystroił się w obcisłe dżinsy i szkarłatną koszulę, jasno mu dała do zrozumienia, że to do niego nie pasuje. Lubiła, jak opowiadał o polowaniach, wioślarstwie, a nawet polityce, skrzętnie unikając tematu sztuki. Piotr przypuszczał, że dzieje się tak z powodu jej ojca, do którego prędzej czy później nawiązywały wszelkie dyskusje literackie, i uważał, by nigdy nie wspominać przy niej o Henryku. Piotr w żadnym razie nie był głupcem. Kochał Annę za jej bezbronność, urodę, brak wulgarności oraz „to coś”, a także, ponieważ - w jego mniemaniu - potrzebowała mnóstwo uwagi i czułości, nim otworzy się na uczucia drugiej osoby. Czekał chwili, aż stanie się dla niej niezbędny. Anna, która również nie była głupia, przejrzała jego myśli na wskroś, i niekiedy sondowała własne uczucia, chcąc ustalić, czy niepostrzeżenie takim się nie stał. Dotychczas nic podobnego nie stwierdziła, lecz myśl o jego braku nie była dla niej miła.

- Twoja brandy. Chciałbym trochę odetchnąć.

Anna wzięła kieliszek i zajrzała do środka.

- Rzeczywiście nie ma tu czym oddychać - przyznała.

- Nie chciałem, żeby to tak wypadło.

- Świetnie się bawią - powiedziała uprzejmie.

- Chciałbym, żebyś poznała moją matkę. Jesteście podobne. Obie macie silny charakter i własne pomysły.

- Pewnie mnie nie polubi.

- Dlaczego?

- Zawsze tak się dzieje. Jestem osobą, której matki innych po prostu nie lubią. Pójdziemy już? Za dużo wypiłam i jeśli postoję tu chwilę dłużej, zaraz zasnę.

- Chyba nie powinienem. To moje przyjęcie, wołałbym zostać... jeszcze coś stłuką, albo gorzej. Przepraszam...

Anna bezwładnie oparła się o ścianę.

- Wyjdźmy na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza - zdecydował Piotr. - Masz ochotę?

Anna kiwnęła głową, więc sprowadził ją po schodach na podwórze. Noc była zimna i dziewczyna gwałtownie

chwyciła oddech, jak gdyby wrzucono ją do lodowatej wody. Oddech Piotra stał się ciężki.

- Teraz lepiej?

- O wiele - odpowiedziała, drżąc na całym ciele. Przypadkowo czy też umyślnie, żadne z nich nie wiedziało tego na pewno, oparła się o niego, a Piotr otoczył ją ramieniem i pocałował.

- Ciepło - uznała Anna.

- Anno...

- Słucham?

- Kocham cię.

- Sza - rzekła pośpiesznie Anna, czując ogarniający ją chłód, jak zawsze w chwilach, gdy w jego głos wkradała się powaga.

- Nie, nie przerywaj. Nie musisz nic mówić, jeszcze nie teraz. Kiedy będę mógł, poproszę cię o rękę. Nie odpowiadaj. Bez obaw, uczynię to dopiero wówczas, gdy zyskam pewność, że mi nie odmówisz.

Anna walczyła z ogarniającym ją chłodem, kuląc się jak ślimak.

- Skąd będziesz wiedział? - zapytała prowokacyjnie.

Piotr nie odpowiedział, tylko pochylił się nad nią, ocierając rozgrzany policzek o jej twarz, i mruknął:

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię - aż wreszcie wyszeptła na próbę:

- Ja też cię kocham. - Gdyby to była prawda, oboje byłibyśmy tacy szczęśliwi, pomyślała.

Jego ramię, ciepło kurtki i silne dłonie nosły otuchę. Jednocześnie w pochylonej nad Anną, rozmarzonej twarzy było coś śmiesznego, odpychającego, wręcz wstrętne. Podniecenie seksualne, uznała, zniekształca twarze mężczyzn, czyni ich skórę obwisłą, usta zaś płaczkowymi, nadaje błędny wyraz spojrzeniu; te twarze stawały się rozpalone, wilgotne, pomarszczone i pełne napięcia. Prawdziwe zaangażowanie przypuszczalnie pozwoliłoby jej nie zwrócić na to uwagi. Teraz jednak nie była zaangażowana i z odrazą odnotowała to, co nazywała utratą człowieczeństwa - sama z niechęcią pozostając aż nazbyt ludzka. Poruszyła się niecierpliwie, powtarzając:

- Możemy już iść? Możemy? Naprawdę chciałabym już pójść...

Piotr zawahał się.

- Zgoda, idziemy - powiedział w końcu. - Do diabła z nimi. Zaczekaj tu chwilę, a ja pobiegnę po twój płaszcz i torbę, żebyś nie musiała już tam wracać. Zaczekasz? To dobrze. Boże, jak ja cię kocham, Anno.

Anna wiedziała z doświadczenia, że co innego stan lekkiego upojenia alkoholowego w czterech ścianach, a co innego na zewnątrz, na dworze. Oplótszy ciało ramionami, patrzyła, jak Piotr zawraca i znika na schodach. Wiatr wzmógł się, zatrzepotał jej sukienką, zmroził kolana i dostał się we włosy. Pod osłoną czterech ścian beztroski brak równowagi zawsze znajdował miękko wyściełane podłoże. W razie czego można było poszukać schronienia w czyichś ramionach lub oprzeć się o mebel. Lecz tutaj, gdy zimne powietrze smagało bezlitośnie, brakowało oparcia. Dziedziniec był szary, nagi i okrągły, szeroka żwirowa ścieżka okalała plac nietkniętej i nietykalnej trawy. Anna zadrżała, odnotowując mimo przyływu mdłości, że rozkołysana ziemia usuwa się jej spod stóp.

Z okna Piotra niczym proporzec zwieszała się smuga światła, rozszczepiona wokół zarysu przytulonej pary; zadowolące dźwięki muzyki spływały w dół, by tam wraz ze światłem pozwolić się wessać ciemności. Widok tchnął tak kojącym ciepłem, że chcąc pokonać irracjonalny strach, Annaomal nie pobiegła za Piotrem. Zamiast tego jednak podeszła do trawnika i przysiadła na jego skraju. Z tej perspektywy prywatka nabrała barw i nastroju dzięki włączonym kominkom widocznym przez na wpół zasunięte zasłony, wydawała się baśniowym balem, gdy ubogie dziecko stoi na śniegu, obserwując upragniony świat, do którego wzbraniają mu dostępu; szum jedwabiu i aksamitu, błysk kandelabrow i migotanie świec, drzenie wina w kieliszkach, olbrzymie cukrowe róże na tortach, pomarańcze, cytryny, winogrona, flety, skrzypce, fagoty i inne wspaniałości. Przez całe dzieciństwo aż do chwili obecnej Anna utożsamiała się z tym dzieckiem, przekonała się jednak, że to na nic - że wyimaginowana

rozkosz w żaden sposób nie przystaje do rzeczywistych odczuć i że, przynajmniej dla niej, spoglądanie przez szybę stanowi integralny element zjawiska, choć inni, jak na przykład Piotr, mogli objąć ów obserwowany z zewnątrz świat w posiadanie i doceniać go tak, jak na to zasługiwał.

Opierając się rękoma o stwardniałą ziemię, odchyliła głowę daleko w tył. Ciemny kamień budynków otoczył ją zamglonym kręgiem, lecz ponad murami rozświetlone i przejrzyste niebo mrugało gwiazdami, które rozbłyskiwały i gasły pozornie bez ustalonego porządku. Rozgniewana pokręciła głową, one zaś płąsały niczym świetliste ryby w wezbranych falach morza.

Odchylając głowę jeszcze bardziej, zdołała podchwycić punkcik światła pomiędzy zwężeniem stróżówki a krawędzią pierwszego dachu. Mam cię, powiedziała, znam cię, zapamiętam, wygrałam. Sylwetka stróżówki zakołysała się lekko i wessana w mroczny tunel gwiazda znikła. Bliska łez ze złości, Anna wyprostowała kark tak gwałtownie, że ją niemal zemdlilo, więc pośpiesznie zwiesiła głowę między kolana.

- Już nie mogę - poskarżyła się parze czarnych butów stojących przed nią na ścieżce. Ujrzała, jak buty postępują krok do przodu, po czym zatrzymują się, zsunięte jak w pozycji na baczność. Były dość sfatygowane, ozdobione misternym wzorem niezbyt eleganckich otworków.

- To nieładnie - zauważyła - gapić się na pijacką udrękę innych.

- Chyba powinienem ci przypomnieć, że trawa stanowi własność uniwersytetu i nie wolno po niej deptać, chyba że w towarzystwie wykładowcy, choć raczej nie w takich butach.

- Chwileczkę - powiedziała Anna, podnosząc wzrok. - No jasne! - zawołała z pijackim triumfem. - Oliver. Któż by inny? Co ty tu robisz?

- Odwiedzam przyjaciół - odrzekł Oliver, spoglądając na nią z góry z rękami splecionymi na plecach i przekrzywioną głową. - Mam ich kilku w Cambridge.

- A pewnie, pewnie - potaknęła przymilnie Anna. - Kiedyś cię widziałam - dodała. Było to na Magdalene

Bridge; Anna, idąc, ujrzała ciemną sylwetkę, wychylającą się przez balustradę i spoglądającą w wodę. Chyłkiem wówczas zawróciła, unikając spotkania. - Uciekłam - przyznała. - Postąpiłam idiotycznie.

Dwójkami i trójkami goście chwiejnie opuszczali prywatkę Piotra, szczerze zaciskając kołnierze wokół szyi, śmiejąc się i przekrzykując. Pomiędzy nimi i Oliverem powstał mur gęstej mgły, wytyczony światłem sączącym się z okien.

- Wychodzą. Jestem, a raczej powinnam być na imprezie Piotra. Właśnie na niego czekam. Miał zaraz wrócić. Nie wiem, co go zatrzymało; może ma mdłości. Nie szczególnie wyglądał - dorzuciła zdradziecko.

Oliver spojrział na nią z niesmakiem.

- Wiem, co sobie myślisz! - krzyknęła. - Cały ty. Dla ciebie każda prywatka to orgia. Nie wydaje mi się, żebyś kiedykolwiek czuł się po prostu szczęśliwy.

- A ty czujesz się szczęśliwa? - zapytał mężczyzna. Zdecydowanie wyciągnął rękę i postawił Annę na nogi. - Chyba zabiorę cię ze sobą. Mocna kawa dobrze ci zrobi.

- Nie, dziękuję. Mówiłam ci, że czekam na Piotra.

- Cóż to za jeden?

- Nazywa się Piotr Hughes-Winterton. Miły jest. Nie spodobałby ci się. Chyba za niego wyjdę...

- Ach tak.

- Nawet jeśli to zadowoli moją matkę, a zadowoli na pewno.

- Rozumiem.

Anna rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Chciałabym wiedzieć, co miałeś na myśli, mówiąc to takim tonem. Nie żeby mnie to obchodziło. Kiedy Piotr przyjdzie, wsiądziemy do jego samochodu i pojedziemy do Londynu. Jutro są jego urodziny, poznam jego rodziców i zostanę poddana gruntownym oględzinom. Jak widzisz, wszystko gra i nie potrzebuję żadnej pomocy.

Oliver stał przez chwilę w milczeniu, po czym zauważył:

- Nie wygląda na to, by mu się śpieszyło.

- Mówiłam ci, że pewnie zrobiło mu się niedobrze. Przyjęcie było całkiem-całkiem.

- Jeśli jest tak pijany, jak sugerujesz, to pewnie go zamoczyło, podczas gdy tobie grozi zamknięcie w męskim college'u. Dziewczęta wyrzucano z uczelni za mniejsze przewinienia. Poza tym, jeżeli rzeczywiście jest w takim stanie, przez wzgląd na twego ojca nie pozwolę, by nietrzeźwy wiózł cię samochodem do Londynu. Lepiej będzie, jak pójdziesz ze mną.

- Nie chcę.

Oliver zaczął oschłym głosem wyliczać statystyki wypadków spowodowanych przez pijanych kierowców, zawzięcie przy tym gestykulując.

- Jako przyjaciel twego ojca... - powtórzył i Anna zebrała fałdy targanej wiatrem sukienki, zniechęcona własną uległością i jednocześnie poruszona jego argumentami.

- Bez względu na to, czego ten Piotr chce, będzie musiał odłożyć to do jutra - zakończył zdecydowanie Oliver.

Anna raptem poczuła się zbyt zmęczona, by myśleć, czekać czy nie zasnąć w drodze z Cambridge do Londynu.

- To obrzydliwe z mojej strony - oświadczyła. - Ale zawsze idę po linii najmniejszego oporu. Jesteś wstrętny, Oliverze, nie mam jednak siły się kłócić.

- Świetnie. Zaprześcimy dociekań, kto ponosi za co winę. Musimy się pośpieszyć. Nie masz płaszcza?

- Został u Piotra.

- Włóż mój.

Miał na sobie płowy prochowiec, jak filmowy gangster. Gdy otulał nim Annę, ogarnęło ją przelotne uczucie, że sama jest przestępcą zbiegłym z miejsca zbrodni. Pełne aprobaty spojrzenie Olivera nie trafiło jej do przekonania.

Okazało się, że w bocznej ulicy stoi jego samochód.

- Przecież nigdy nie lubiłeś jeździć - zauważyła Anna. Był to stary model fordą, wysoki i kanciasty, na małych kołach i z dusznym przesiąkniętym wonią benzyny wnętrzem.

- Teraz prowadzę - odparł. - Powoli rośnie mój standard życiowy. Artykuł tu, wykład tam, i oto dołączyłem do klasy posiadaczy samochodów. Wraz z przytłaczającą większością reszty populacji.

- Małgorzata musi się cieszyć - powiedziała Anna, szcękając zębami. W nocnej ciszy rozbrzmiał głośno kaszel zapuszczanego silnika. Kołysanie pojazdu wywołało u Anny gwałtowny przypływ mdłości. U wlotu Trumpington Street, naprzeciwko Corpus, oznajmiła:

- Przykro mi, ale będziesz musiał się zatrzymać. Nie-dobrze mi.

Oliver popatrzył na nią ze złością.

- Nie możesz poczekać?

- Nie - odpowiedziała. Kiedy nie zareagował, dorzuciła piskliwym głosem: - Nie, przecież mówię ci, że nie. - Szarpnęła drzwi i gdy Oliver przyhamował, wypadła na chodnik. W samą porę.

Oliver oparł się na fotelu kierowcy, nie spuszczając z niej wzroku.

- Ohyda - zawyrokował. - Bądź łaskawa uważać na mój płaszcz. Nie stać mnie na kolejny rachunek za pralnię; poza tym mów, co chcesz, ale niszczą tam apreturę. Nie możesz się pośpieszyć? Ktoś może tędy przechodzić.

- Zamknij się - odparła Anna, unosząc znad rynsztoka znękaną twarz. - Sam chciałeś, żebym wsiadła z tobą do tego śmierdzącego samochodu. Uważasz, że robię to celowo?

- Bez trudu mogłaś tego uniknąć. Nie znoszę pijanych kobiet. Jest w nich coś odrażającego. Moja matka zwykła mawiać, że pijana kobieta to dopust boży. Nie widzę powodu, aby nie przyznać jej racji.

- Chryste - powiedziała Anna, siadając na chodniku. - Zawsze głędzisz, i to kiedy nie jestem w nastroju. Chciałabym pójść spać. Mam dosyć.

- To twoja wina...

- Oliverze! - krzyknęła desperacko Anna. - Proszę cię, daj mi spokój.

Oliver wysiadł z samochodu i rozejrzawszy się ukradkiem na boki King's Parade, czy nie dojrzy gdzieś przedstawiciela prawa i porządku, gwałtownie potrząsnął Anną i przemocą postawił ją na nogi.

- Wsiadaj. Nie będziesz publicznie zachowywała się w ten sposób. Do samochodu - powtórzył, zatraskując drzwi, by uchronić ją przed kolejnym upadkiem. Następ-

nie poprowadził podskakujący na wybojach samochod z prędkością trzydziestu mil na godzinę w kierunku Barton Road, z pasażerką obijającą się bezwładnie o drzwi.

- Dokąd jedziemy? - mruknęła po pewnym czasie.

- Do domu profesora Aingera. Użyty mi go.

- Czy jest tam Małgorzata?

- Nie - odrzekł Oliver, po czym otworzywszy usta, zamknął je bez słowa.

- Często tu bywasz?

- Mam wolny semestr. Próbuję coś napisać. Chodzę do biblioteki i rozmawiam z ludźmi.

Skręcił w żwirową drogę i wyłączywszy światła, zgasił silnik. Ciemność niespodziewanie pchnęła ich bliżej siebie.

- Aingerowie wyjechali na ekspedycję archeologiczną - wyjaśnił sztywno Oliver. - Profesor był moim wykładowcą. Niekompetentny, ale miły. Nadal jest miły.

- Tak - odrzekła Anna, pragnąc za wszelką cenę opuścić samochód, jakby ze strony Olivera groził jej atak. - Rozumiem.

Oliver wysiadł i nie kryjąc irytacji, skierował się ku drzwiom.

- Co się z tobą dzieje? Przecież nie gryzę. Opamiętaj się.

- Przepraszam - powiedziała Anna i drżąc, stanęła za nim w progu, podczas gdy on po omacku szukał dziurki od klucza. - Robię ci kłopot, przecież widzę. Powinieneś był mnie tam zostawić.

- Tylko kawa może postawić cię na nogi - oznajmił pogodniejszym tonem Oliver, otwierając drzwi i odnajdując kontakt, który ukazał jej oczom ciężkie, wiktoriańskie wnętrze zalane łososiowym światłem i umeblowane kilkoma mahoniowymi stolikami, wśród których stały dwa ogromne chińskie dzbany oraz rzeźbiony stół na ubrania o powykręcanych konwulsyjnie niczym gałęzie mitycznego drzewa ramionach. Na jednym z nich Oliver powiesił swój prochowiec.

- O rany - powiedziała Anna. - Czy ja śnię?

- Nie. Te domy zostały zbudowane przez bogatych wykładowców i przez nich umeblowane. Obecnie piętra

są wynajmowane jako oddzielne mieszkania. Ten dom nosi w sobie pewne znamię szaleństwa. Moje łóżko, a raczej łóżko Aingera, ma zawieszony na mosiężnych kółkach baldachim. Z aksamitu w kolorze cynamonu. Według mnie, jest on nadzwyczaj kojący. To rodzaj demonstrowanej przez klasę średnią ostentacyjnej przytulności, do której dążą przedstawiciele mojej warstwy społecznej. Wejdz, wejdz i sama zobacz.

Anna weszła do środka. W obitym czerwonym aksamitem pokoju dominował mahoń, skóra, koronki, a wielkie olejne płótno w złoczonej ramie okrywało jedną ze ścian. Były tam też dwa polarne niedźwiedzie, ciągnące dwuwymiarowe skóry za trójwymiarowymi łbami o szklanych oczach. Oliver zapalił różowe kinkiety. Gestem wskazał zdobiony ekran kominka, stojący pomiędzy dwoma bambusowymi cylindrami z trawą pampasową.

- Znajdziesz tam ogień. Ogrzej się; ja tymczasem zaparzę obiecaną kawę.

Anna uklękła i w głębi kominka odsłoniła pojedynczą rurkę elektrycznego paleniska.

- Co za skąpstwo - rzekł Oliver, ponownie stając w progu. - Mimo to uważam, że spełni swoje zadanie, jeśli siądziesz dostatecznie blisko. Chciałem powiedzieć, że łazienka jest na pierwszym piętrze, pierwsze drzwi po lewej, gdybyś znowu musiała z niej skorzystać. Według mnie, pan Piotr Jak-mu-tam obywa się bez ciebie równie dobrze, jak ty bez niego.

- Możliwe - odrzekła Anna, walcząc ze starannie zwinętym kablem. - Ty go związałeś? Wygląda na to, że tak.

- To całkiem proste - powiedział Oliver, nie ruszając się z miejsca. - Wystarczy rozwiązać pierwszy supeł. - I wyszedł.

Anna rozwiązała supeł palcami, które zdawały się należeć do kogoś innego, za tłoczonym mosiężnym wiadrem na węgiel znalazła gniazdko i wetknąwszy weń sznur od kominka, zwinęła się w kłębek na skórzanym fotelu, wśród sterty ozdobionych frędzlami, czerwonych aksamitnych poduszek. Oliver wrócił, niosąc na mosiężnej tacy dwa kubki koronacyjne (Edward VII), parujący imbryk, cynową cukiernicę, dwie łyżeczki, jakie daje się w prezen-

cie z okazji chrztu - z figurkami apostołów na końcach trzonków, oraz dużą puszkę neski. Postawił tacę na pufie przed kominkiem, ukląkł przed nią na skórze, mieszając zawartość kubków nieproporcjonalnie krótką łyżką.

- Proszę. Czarna i gorąca. Mleka brak. Mam nadzieję, że lubisz neskę. Niektórzy, jak na przykład moja żona, robią o nią wiele hałasu. Ja sam nigdy nie jestem w stanie dostrzec różnicy.

- Och, Oliverze - zaprotestowała Anna, sięgając po kubek i wachając jego aromatyczną zawartość z nadzieją, że jej żołądek bezkolizyjnie zniesie mieszankę ponczu, brandy i kawy.

- Uważam, że kilka kubków dobrze ci zrobi - rzekł wspaniałomyślnie Oliver, spoglądając na nią znad swojego kubka z nieoczekiwanie ciepłym uśmiechem.

Zapadła dłuższa chwila ciszy. Anna bohatercko popijała swoją kawę, chcąc okazać dobrą wolę oraz zrobić przyjemność Oliverowi, wyraźnie zadowolonemu, że mógł coś uczynić. Ku swemu zdumieniu, czy to dzięki działaniu kawy, czy czegoś innego, poczuła się lepiej - pokój znieruchomiał i powoli spłynął na nią błogi spokój. Wyglądziwszy poduszki, zrzuciła buty i odchyliła do tyłu głowę. Pomyślała, że pomimo przytłaczającego urządzenia wnętrza i ponurego umeblowania, pomimo wątpliej, czerwonej łuny kominka i ostrego smaku neski, którą jedynie temperatura kwalifikowała jako napój odpowiedni przed snem, pomimo palców poparzonych próbą ratowania przykrótkiej łyżki przed utonięciem, pomimo nadciągającego kaca oraz dokuczliwego poczucia winy wobec Piotra, wreszcie pomimo obecności Olivera w jakiś niepojęty sposób czuła się tutaj w pełni obecna, niczym mieszkaniec jednego z domów, do których zagłędała w swojej wyobraźni. Zaśmiała się krótko.

- Co się stało? O czym myślisz?

- O tym, że zapomniałam, jak kojąca może być twoja obecność. Nawet mimo gładzenia.

- Dziękuję - rzekł Oliver. - Nasze ostatnie spotkanie świadczyłoby o czymś zupełnie przeciwnym.

- Byłam wtedy młodsza. Na twoim miejscu nie pamiętałabym o tym.

Znowu zapadło milczenie.

- Co w ogóle słyhać? - zagadnął lekkim tonem Oliver. - Jak tam Cambridge?

- Nie podoba mi się - rzuciła po namyśle Anna.

- Dlaczego?

- To miejsce pracy przymusowej. Aby coś osiągnąć, najpierw musisz być do tego zdolny. To nie dla mnie.

- Mogłabyś się przynajmniej postarać.

- Powiedzieć ci, że nie lubię literatury? Mam wrażenie, że jest dla nich jak religia. Odwołują się do D. H. Lawrence'a niczym do dziesięciu przykazań, szukają w nim wskazówki, jak żyć. Skoro już muszę tu być, chciałabym robić coś czystego i absolutnie intelektualnego, jak matematyka albo krystalografia. Byłam szczęśliwsza w domu, kiedy nie musiałam postrzegać wszystkiego w kategoriach innych. Wiesz, o co ktoś mnie zapytał na tym przyjęciu? Zapytał: „Jesteś kobietą Lawrence'a?”. Ja. Kimże ja jestem? Nie mam zamiaru zgłębiać tego w podobnych kategoriach. Powiem ci coś jeszcze - on też wcale nie chciał się dowiedzieć. W przeciwnym razie inaczej sformułowałyby to pytanie.

- Ależ ty jesteś gwałtowna - zauważył Oliver, wychylając się do przodu. - Bardziej, niż zapamiętałem.

- Bardziej niż zwykle. To przez alkohol.

- Czyli wszystko w porządku. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że w tym wypadku opowiadam się po przeciwnej stronie. Wierzę w czytanie. To konieczne, jeśli samemu nie jest się Lawrence'em, albo... albo Lawrence'em; ktoś musi patrzeć odrobinę dalej, nam zaś pozostaje przynajmniej zgłębiać wiedzę. Przyznasz mi rację? Nie, no jasne, że nie. Nie możesz. Od razu powinienem to zrozumieć. Nie potrafisz nawet zacząć słuhać. Co zamierzasz robić?

- Nie wiem. - Zawahawszy się, podjęła gorączkowo: - Nie chcę jednak siedzieć beczynnienie. Pragnę czegoś, nawet nie wiesz, jak bardzo. Lecz nie wiem, co to takiego.

- Gdybyś musiała, wiedziałabyś od razu, co? - wybuchnął Oliver. - Gdybyś nie miała wszystkiego tego, na co ja musiałem pracować, podanego na tacy, wygodnych pokoi, błyskotliwych rozmów, czasu na myślenie; rzeczy

takich jak toaleta, gorąca woda i książki na półkach, których brak nie mieści ci się w głowie, wtedy byś wiedziała? Szybko by do ciebie dotarło, do czego zostałaś przeznaczona i jaką pracę jesteś w stanie wykonywać. Marnujesz czas na krytykę i spekulacje. Szkoda, że nie *potrzebujesz* stypendium, ani wyróżnienia; wówczas oparowałabyś Lawrence'a.

- Oliverze - powiedziała Anna. - Ja wiem, wiem.

Zwrócił się do niej łagodniej, odgarniając włosy.

- Pewnie wiesz. Posłuchaj, okłamujesz samą siebie, masz tę świadomość? Co ty takiego powiedziałaś? „Byłam szczęśliwsza w domu, kiedy nie musiałam postrzeżać wszystkiego w kategoriach innych”. Tylko o to tu chodzi, prawda? Wiesz jednak, że to nieprawda. Wiesz, że nie mówimy o Lawrence'u. Kto w domu uzurpował sobie prawo do wizji? Kto był literaturą, prawem i dziesięcioma przykazaniami, czyją zwierzchność i wizję musiałaś uznać?

Anna milczała.

- Henryka Severella - zakończył z przesadnym dramatyzmem Oliver.

- Początki były okropne - zaczęła powoli Anna, jak gdyby ulegając tajonej pokusie. - Każdy przychodził, żeby mnie obejrzeć, dostawałam zaproszenia od ludzi, których nawet nie znałam. Kiedy szłam na ich przyjęcia, nie mówili „To jest Anna”, tylko „Poznajcie córkę Henryka Severella”. I dawali do zrozumienia, zwłaszcza ci lepsi, że powinnam mu ich przedstawić. Jak miałam im wytłumaczyć, że jest zbyt zajęty, że nie spodobałoby mu się to - albo że po pierwszym spotkaniu uciąłby znajomość? Nie chodzi o to, że nie obchodzą ich moje pragnienia. Oni mnie po prostu nie dostrzegają. Jestem jego żalosną namiastką. Szczerze mówiąc, bycie kobietą Lawrence'a stanowi pewną odmianę. - Zarumieniła się, kończąc: - Tutaj jest gorzej, ponieważ to, *co* on robi, jest ważniejsze niż w domu, gdzie najważniejsze było znalezienie na to czasu.

Popatrzyła na Olivera, czując że ich pozornie zakończony czy statyczny związek w okresach rzekomej stagnacji jednak się rozwija. Miała przed sobą człowieka,

którego troskę odrzucała, a prawdziwość poglądów podważała; ona, która podczas jego nieobecności pogodziła się z tym, co ją dręczyło, teraz z ulgą wyznała mu skrzętnie skrywaną dotąd prawdę. Od tamtego niechlubnego lata wytworzyła się między nimi zażyłość, do której nie dążyło żadne z nich.

- Musisz zrozumieć, że większość z nas to żalosne namiastki - mówił. - Nie tylko ty. Wszyscy pragniemy samodzielnie doświadczać życia, a musimy zadowolić się tym, co otrzymujemy. Kiedyś sądziłem, że potrafię pisać - ciągnął Oliver. - Uważałem, że gdybym tego nie potrafił, życie straciłoby sens. Ale nie potrafię, więc nauczyłem się żyć ze swoją zwyczajnością i obrócić ją w coś pożytecznego. Czyli nauczać. I tak dalej.

Anna pomyślała, że była to pierwsza rzecz, którą powiedział jej naprawdę od siebie; słusznie czy nie, nie zaliczała jego napuszonych socjologicznych wywodów do tej kategorii enuncjacji. Nie bardzo wiedziała, jak zareagować, i wróciła do własnego problemu.

- Nie chodzi o to, że mam poczucie, iż nigdy niczego nie osiągnę... sęk w tym, że nie mam pojęcia, czym powinnam się zająć. Być może dzieje się tak dlatego, że jestem kobietą.

- Co to za różnica?

- Och, zawsze pozostaje mi jeszcze wyjść za mąż. Na przykład za Piotra. Można przecież wykorzystać swoje możliwości, poświęcając się komuś innemu.

- Nie ty - odrzekł Oliver.

- Co przez to rozumiesz?

- To, że nie masz ku temu predyspozycji. Jesteś zbyt samolubna.

- Skąd wiesz? - wykrzyknęła Anna.

- Widzę - odpowiedział Oliver z niezachwianą pewnością, która niezmiennie przyprawiała Annę o dreszcz. - Jestem taki sam. Zresztą przekonasz się. Przekonasz się, że nigdy nie znajdziesz gwiazdy przewodniej innej niż ta, która przyświeca na co dzień potrzebom - i zdolnościom - Anny Severell. Zobaczysz.

- To nieprawda - odparła Anna bez przekonania.

- A jednak - rzekł zdecydowanie Oliver.

- Ależ ja nie tego pragnę... - jęknęła Anna, po czym widok tarczy zegara niespodziewanie odwrócił jej uwagę. - Oliverze... o Boże... już prawie pierwsza.

- Tak jak myślałem.

- Przecież college będzie zamknięty!

- Chyba nie zadzwonią na policję, prawda?

- Nie. Dostałam pozwolenie na wyjazd do Londynu, z Piotrem. Ale...

- W tym wypadku najlepiej będzie, jeśli zostaniesz tutaj. Możesz zająć sypialnię profesora; ja prześlę się tu, na sofie. Jest szersza niż wiele łóżek. Pewnie jesteś zmęczona.

- Jeszcze jak - rzekła, czując, że senność opuszcza ją jak ręką odjął. Powstała między nimi zażyłość, jaka zawiązuje się pomiędzy ludźmi, którym niespodziewanie przychodzi spędzić noc pod jednym dachem, kiedy gość spóźnia się na swój pociąg, pożycza od gospodarza piżamę, uczestniczy w domowych obrządkach i kolejce do łazienki, dostępując magicznego kręgu swojskości za zaciągniętymi zasłonami i zamkniętymi drzwiami. Anna z przyjemnością pomogła Oliverowi zaścielić sofę i przeniosła z sypialni do łazienki jego piżamę i pędzel do golenia.

- To dość podniecające - oświadczyła. - I nierealnie rzeczywiste. Zupełnie jak zabawa w dom, kiedy byłam mała. Nie był to dom prawdziwy; stąd jego atrakcyjność.

Odsunawszy ją od okna, Oliver szczelnie zaciągnął zasłony w sypialni. Anna, która nigdy nie robiła tego na noc, zmarszczyła brwi, a potem zrozumiała.

- Grunt to ostrożność.

~ Taki się urodziłem.

- Urodziłeś się zdumiewająco dbały o drobiazgi.

- One stanowią treść życia. Podasz mi mój grzebień? Zostawię ci szlafrok, możesz go potrzebować. Przykro mi, że nie mogę zaproponować ci czystej piżamy ani niczego do spania.

- Wystarczy mi bielizna. Nie jestem wymagająca.

- Chcesz termofor? - zapytał Oliver. - Mam tu jeden. Anna zachichotała.

- Nie uważasz, że to zabawne? To naprawdę ostatnia rzecz, której bym się spodziewała.

Oliver popatrzył na nią podejrzliwie.

- Pewnie masz rację - odparł. - Chyba tak. Dobranoc - dorzucił po chwili. - Śniadanie o ósmej.

- Będiesz musiał mnie obudzić - powiedziała. Na jej twarz mimowolnie wypłynął nerwowy uśmiech. Stali przez chwilę, spoglądając na siebie, po czym, kiedy oboje poczuli, że sytuacja przedłuża się w nieskończoność, Oliver skłonił się, Anna zaś powiedziała: - Dobranoc, śpij dobrze.

Gdy wyszedł, zdjęła sukienkę i rajstopy; powiesiwszy je na krześle, umyła w misce twarz i wytarła ją chusteczką. Następnie odsunęła kołdrę i usiadła na brzeжку łóżka, czując się w niejasny sposób oszukana. Z rozmyślną powolnością rozpuściła włosy i rozczesała je kieszonkowym grzebieniem, po czym podeszła do lustra i w przyćmionym świetle nocnej lampki przyjrzała się odbiciu swej bladej twarzy. Większość kobiet, kiedy nikt na nie nie patrzy, zyskuje w lustrach wygląd syren. Anna z zadowoleniem rozburzyła włosy na czole i ramionach, i obracając się na wszystkie strony, rzuciła swemu odbiciu tajemnicze spojrzenie spod rzęs. Potem obeszła pokój, zaglądając do szuflad i odczytując tytuły z grzbietów książek - „Modlitwy postne” świętego Ignacego, „Listy starego diabła do młodego”. Powiodła palcem po podpisanych walizkach Olivera, leżących na krześle u wezglowia. Ich zawartość sprawdziła się do dwóch kołnierzyków, trzech krawatów, egzemplarza „New Statesmana”, połowy tabliczki czekolady, pary majtek oraz togi. Pewnie chwilowo nie potrzebował żadnej z tych rzeczy. Lepiej pójdę do łóżka, postanowiła Anna, przeciągając się i okręcając na palcach jednej nogi, pora spać. I tak poranek będzie koszmarny. Powróciwszy do miednicy, ponownie utkwiała wzrok w lustrze.

Jaskraworóżowa szczoteczka do zębów leżała tam przez cały czas. Anna podniosła ją ostrożnie. Wciąż wilgotna, musiała należeć do Olivera, nie do profesora, który najpewniej zabrał swoją do Azji Mniejszej. Przecież nie obejdzie się bez szczoteczki do zębów, uznała. Obróciwszy się tanecznym ruchem, narzuciła szkarłatny, jedwabisty szlafrok Olivera i wyszła z pokoju, niosąc przed sobą szczoteczkę.

Przystanąła czujnie na progu salonu. Oliver siedział w okularach przy kominku, obłożony książkami.

- Co robisz?

- Pracuję.

- Myślałam, że jesteś zmęczony. Myślałam, że chcesz iść spać.

- Tak było - odparł posępnie Oliver, nie podnosząc głowy.

Anna wyciągnęła ku niemu szczoteczkę.

- Znalazłam ją. Sądziłam, że będzie ci potrzebna.

Wówczas podniósł wzrok i Anna podeszła bliżej, stając boso w kręgu światła. Szczelnie owinęła się szlafrokiem, którego jedwabista materia ciasno opinała jej sylwetkę.

- Nie będzie, to zapasowa - odparł Oliver, mierząc ją spojrzeniem. - Dentysta nigdy nie mówił ci, że należy odczekać jeden dzień przed ponownym użyciem? - Anna czekała spokojnie. - Czego chcesz, Anno?

- Nie wiem. Nie jestem śpiąca. Chcę porozmawiać.

- Ach tak. - Zamknął książkę. - Po co?

Nie znajdując odpowiedzi, Anna milczała. Ukłękła przed nim na niedźwiedziej skórze i dotknęła jego kolana. Drżał.

- Denerwujesz się.

- Jak każdy w mojej sytuacji. Czego chcesz?

Anna położyła mu głowę na kolanach.

- Chciałam wiedzieć. Chciałam tylko wiedzieć.

Oliver delikatnie ujął pasmo jej włosów i Anna zrozumiała, że miała rację.

- Ja też chciałem wiedzieć - powiedział niemal rozbawionym głosem, przesiewając jej włosy przez palce. - Los uparcie pcha nas ku sobie...

- Tak.

- Mimo to wszystko wydaje się stosunkowo nieskomplikowane.

Anna przysunęła się bliżej, obejmując ramionami jego nogi.

- Nie znaczy to nic ponadto - odparła niejasno, lecz z rosnącą pewnością siebie. - Po co naprawdę mnie tu przywiozłeś?

- Po co przyjechałaś?

- Bo tak było najłatwiej. Zawsze wybieram najłatwiejsze rozwiązanie. Przyjechałam, bo tego po mnie oczekiwałeś. Jestem niewinna.

- O nie, ty nigdy nie byłaś naprawdę niewinna. Raczej nieświadoma. - Podobnie jak wszystkie opinie wygłaszane pod jej adresem, i ta wydawała się niezbita.

- Ty też nie - powiedziała.

- Mam nadzieję - odrzekł.

Anna pomyślała przelotnie, że idiotycznie podnoszą się na duchu, na wypadek gdyby w istocie oboje byli niewinni. Myśl jednak zgasła równie szybko jak się pojawiła.

Milczeli przez chwilę, po czym Anna parsknęła śmiechem.

- O co chodzi?

- Pamiętasz tę książkę Elinor Glyn, miłość na niedźwiedziej skórce...

- Okropna - ocenił Oliver.

- Przemawia przez ciebie poczucie przyzwoitości?

- Nie, raczej względy praktyczne. Łóżko byłoby wygodniejsze. - Rzucił jej niepewne spojrzenie. - Idziesz?

- Tak.

Oliver przytrzymał przed nią drzwi i rzucił ze śmiechem:

- Ciekawe, co pomyślałby twój ojciec!

Anna jednak tego nie dosłyszała, ulegając nieoczekiwanej i wszechogarniającej senności.

Rankiem Anna, która śpiąc jak suseł, śniła, że ukrywa się w sadzie w Darton przed coraz głośniejszym i bardziej natarczywym wołaniem, obudziła się, by stwierdzić nieobecność Olivera. Leżała wśród zmiętej pościeli, w zagłębieniu pośrodku puchowego materaca profesora Aingera. Spod poduszki wystawała jej bielizna. Może zostawił mnie i wyszedł, pomyślała ogarnięta niemiłym uczuciem paniki, dopadającej zwykle ludzi budzących się w obcym domu bez zegara, niewiedzących, czy nastąpiła już pora śniadania i czy poirytowani gospodarze czekają, czy też zawołają ich w odpowiednim czasie. Pełna wątpliwości usiadła na łóżku i włożyła bieliznę, dzięki

czemu poczuła się bardziej godna pożałowania, ale nieco mniej porzucona.

Kto by się tego po nim spodziewał? - pomyślała. Następnie, na wspomnienie swej dawnej obawy przed drzeмиącą w nim energią i agresją osobnika niskiego wzrostu, poprawiła się: nie, to nieprawda, przecież wiedziałam. Znowu położyła się na łóżku, tuląc twarz do wypchanej poduszki. Już nie muszę się zastanawiać, jak to jest. Nastał kres ciekawości, wszechobecnej od chwili, gdy dowiedziała się o istnieniu czegoś, czego należało być ciekawym. Nie wydawało jej się, by tęskniła za tym uczuciem, było to jedynie trzecie istotne zakończenie pewnego życiowego etapu; pozostałe dwa to wyjazd do szkoły i jej opuszczenie, żadne jednak nie stanowiło preludium do czegoś, co można by określić mianem początku. Nie miała podstaw przypuszczać, że i ten incydent wniesie w jej życie jakkolwiek zmianę. Anna przysłuchiwała się na uniwersytecie rozmowom znajomych, które wymieniały wrażenia związane z utratą dziewczęctwa; dość wcześnie też doszła do wniosku, że dla niej owo wydarzenie nie będzie miało istotnego znaczenia. Nic nie robi na mnie wrażenia, myślała. A już na pewno nie Oliver; co potwierdziło się u schyłku minionego lata. Pewnie dlatego tu się znalazła, że Oliver nie zrobił na niej wrażenia. Bez szwanku przesadziła tę przeszkodę. Nie chodziło o kompletny brak reakcji - głupotą było nawet coś takiego przypuszczać - lecz o żal za tamtą ciekawością. Pewnie potem zaczę się przejmować, uznała obojętnie; słowo „potem” nie zajmowało istotnego miejsca w jej słowniku, chyba że w kontekście wyczekiwanego przełomu. Ci, którzy nie spodziewają się objawienia, transformacji, rzadko kiedy jej doznają; oczekiwania Anny były niewielkie, uznała więc, że transformacja nie dokonała się wcale, bez względu na czas spędzony na analizie sytuacji. W owej chwili najbardziej doskwierała jej niepewność związana z porą śniadania.

Zorientowała się, że ma kaca; w głowie jej huczało, czuła ohydny smak w ustach i nieznośną suchość w gardle. Chwiejnie wygrzebała się z pościeli i gdy przeklinając w duchu, piła ze zwiniętych dłoni zimną wodę, do po-

koju wszedł ubrany i ogolony Oliver w wypastowanych butach. Zamknawszy za sobą drzwi, spojrział na nią.

- Zrobiłem śniadanie - oznajmił.

- Chyba nie jestem w stanie nic przełknąć.

- Na twoim miejscu bym spróbował. W ciągu pół godziny i tak musisz opuścić ten dom. Idę do biblioteki i nie będę już tu wracał. Pośpiesz się.

- Powinieneś był mnie obudzić.

- Odniosłem wrażenie, że potrzebujesz odpoczynku - rzucił ostro i podał jej sukienkę, prawie, jak doszła do wniosku Anna, odwracając oczy.

Ubrała się szybko i upięła włosy; Oliver czekał, bębniąc palcami o poręcz łóżka. W milczeniu podał jej buty, których bezskutecznie szukała pod łóżkiem. Jestem pewna, że powinnam coś powiedzieć, pomyślała Anna, teraz powinny nastąpić przeprosiny, wzajemne obwinianie się, zapewnienia, czy coś w tym rodzaju. Powinniśmy chcieć poznać uczucia drugiej strony. Mimo to wcale mnie one nie interesują - przynajmniej jeszcze nie teraz - poza tym zawsze łatwiej jest uciec w milczenie.

- Przepraszam, że nie ma nic ciepłego - powiedział Oliver, kiedy wchodzili do kuchni, przestronnego, mrocznego pomieszczenia, do którego światło docierało przez plastikową, kwiecistą zasłonę. - Mnie tam wszystko jedno. Są grzanki.

- Prawie nigdy nie jadam śniadań - zapewniła go Anna. - I tak nie mam na nic apetytu. - Usiadła przy nieproporcjonalnie małym stole z jaskrawoczerwonym blatem. - Mogę rozsunąć zasłony?

- Nie - odrzekł Oliver. - Tam są sąsiedzi.

- Moja reputacja jakoś to wytrzyma.

- Może tak, a może nie. Moja w każdym razie nie. Jak zjemy, wyjdę z domu, sam. Odczekasz pół godziny. To będzie nieco mniej ostentacyjne.

- Tak? - odparła z powątpiewaniem Anna. - Raczej wyrachowane.

- Niekoniecznie, dlaczego? Powiedziałbym, że rozsądne.

Biegał po kuchni, przygotowując grzanki i mieszając neskę z wprawą zaprzysięgłego starego kawalera. Rzuci-

ło to na niego nowe światło i Anna pomyślała przelotnie o jego śniadaniach z Małgorzatą, po czym odsunęła od siebie tę myśl. Małgorzata nie powinna jej obchodzić, była prawdziwym życiem Olivera; to, co robił w tym dziwnym domu, nie miało nic wspólnego z Małgorzatą i jako takie nie liczyło się. Z tym, że gdyby ona, Anna, nie wiedziała o jego przywiązaniu do Małgorzaty, żadne z tych wydarzeń mogłoby nie mieć miejsca. Mimo to zapytała:

- Lubisz być sam, Oliverze?

- Nie tyle lubię, ile rozumiem tę potrzebę. W samotności mogę popchnąć swoje sprawy do przodu. To ludzka rzecz, od czasu do czasu. - Spojrzawszy na zegarek, położył grzankę na talerzu i usiadł przy stole naprzeciw Anny. - Cóż - powiedział. - Czy teraz wiesz to, co chciałaś wiedzieć?

- Powiedzmy.

- To dobrze - rzucił obojętnym tonem. - Co dalej robimy? - Anna popatrzyła na niego z nieskrywanym zdumieniem.

- Co dalej robimy?

- Przepraszam - rzekł z zakłopotaniem Oliver.

- Nie - odrzekła Anna. - Nie miałam na myśli... po prostu... nie zrozumiałam, o co ci chodzi.

- W przyszły weekend również tu będę. Mogłabyś przyjść... powiedzmy, w piątkowy wieczór, trochę później. Oczywiście, nikomu ani słowa.

Sens jego słów po chwili dopiero dotarł do Anny, która nie zdążyła przetrwać raptownej zmiany w charakterze sytuacji.

- Tak - powiedziała machinalnie.

- Naturalnie zrobisz to, co uznasz za stosowne.

- Nie - rzuciła pośpiesznie. - Przyjdę. Chcę przyjść. Tak, naprawdę chcę. Jeśli obiecasz, że nie będziesz głądził...

- Ja nie głądzą - uciął Oliver i Anna poczuła, że targuje się o coś, co sprzedała mu już dawno temu.

- Zatem postanowione - oznajmił Oliver. - To dobrze.

Jesienią, uwolniony od obecności gości, słońca oraz dzieci, Henryk Severell pracował najciężej. Jako młody człowiek niestrudzenie przemierzał dom w męce niezdecydowania, nim choćby przyłożył pióro do papieru, przez co niekiedy przed kolacją zdążył napisać zaledwie dwa lub trzy zdania, z których później nie był zadowolony. Efekt był tak niewspółmierny do włożonego weń wysiłku, że zapisana stronica często lądowała w koszu. W młodości potrzebował snu, wcześniej chodził do łóżka, by kochać się z Karoliną, i budził się ospały, potrzebując nieraz dwu godzin i kilku filiżanek kawy, aby dojść do siebie. Teraz jednak przesypiał jedynie pięć godzin, wstawał przed świtem lub wraz z jego nadejściem, wychodził do ogrodu i zdążył przepracować dwie, trzy godziny, zanim pełna podziwu i uwielbienia Karolina postawiła przed nim śniadanie. Pisał przez cały ranek, po południu spacerował lub pracował w ogrodzie, by po kolacji ponownie zasiąść do pisania.

Henryk ogrodnik w wielkim stopniu różnił się od ogrodnika niedzielnego; Henryk z rębarką lub Henryk rozrzucający nawóz, Henryk odmierzający i sortujący nasiona wielkimi rękami, wkładający wysiłek całego ciała w najmniejszy, pojedynczy manewr, był tym wobec ogrodnika niedzielnego, czym jest ksiądz wobec pracującego na pół etatu kelnera, roznoszącego wino i biskwity. Sam nie postrzegał tego w ten sposób; nieobce mu było

poczucie wspólnoty z ogrodnikami niedzielnymi, lubił czuć się na wskroś człowiekiem, wioząc na taczce sterty doniczek z jednego krańca ogrodu na drugi. Wiedział, że Oliver uznałby tę jego ziemską - albo nawet mniej niż to, gdyż z uprawą nie miał nic wspólnego - normalność za pozbawioną sensu lub niedorzeczną. W gruncie rzeczy poglądy Olivera niewiele go obchodziły. Tak wyglądał porządek jesieni i zimy - wyjąwszy dwa lub trzy dni na początku lutego, gdy niechybnie legnie zmożony grypą, obłożony termoforami, z pustką w głowie i w podłym nastroju, podda się troskliwym zabiegom Karoliny i niecierpliwie przewracając się z boku na bok, będzie wyrzekał na gorąco lub chłód, nie myśląc o niczym.

Rankiem, gdy nadszedł drugi list, Henryk obudził się o wpół do piątej, zupełnie zapomniawszy o pierwszym, i jeszcze przed wstaniem entuzjastycznie skierował myśli na sprawy roztrząsane poprzedniego dnia. Popatrzył na Karolinę, śpiącą twardo na falbaniastej poduszce, z jedną dłonią pod szczupłym policzkiem i włosami spletanymi na ozdobionym angielskim haftem kołnierzu wiktorianańskiej koszuli nocnej. We śnie wyglądała na znużoną; okolice oczu i ust żłobiły zmarszczki, które uchodziły uwagi Henryka za dnia. Ciało tak prędko się starzeje, pomyślał; jest wciąż stosunkowo młoda, tymczasem jej powłoka bezpowrotnie utraciła dawną harmonię. Schyliwszy się, pocałował żonę z delikatnością, w której zawsze był biegły; drgnęła, z uśmiechem opędzając się ręką.

Zszedł na dół, gdzie rozsunął zasłony, wpuszczając do środka szare światło, zbyt słabe, by wejrzeć w spowite zwycięskim cieniem zakamarki pokoju. Następnie bezszelestnie przeszedł do dalszych pomieszczeń; tam w bladej, porannej poświacie wszystko zdawało się ulotne i pozbawione materii. Meble i srebra zmatowiały, pozbawione światła, które wydobyłoby ich połysk, i stały się upiornymi istnieniami, rzeźbionymi śladami cywilizacji, niebędącej w stanie obudzić się do życia. W otoczeniu odrealnionych dekoracji jedynie Henryk posiadał cielesną namacalność, niczym widz, który przez pomyłkę wtargnął na opustoszałą scenę komedii obyczajowej z wyższych sfer z poczuciem, że w razie nieostrożnego ruchu cała

konstrukcja - listwy, mównice, malowane drzwi otwierające się donikąd, drewniane żyrandole wiszące na sznurach u sufitu - runą, obnażając wykafelkowane ściany.

W gabinecie znajdował się termos z kawą, niezmiennie pozostawiany tam przez Karolinę, oraz wazon z chryzantemami, na których spiczastych płatkach majaczyły barwy i światło; biel, cytrynowa, śmietankowa i maślana żółć oraz beż, stłumione, acz całkiem już wyraźne. Henryk, choć lubił kragłe, kędzierzawe główki i sprężyste sylwetki chryzantem, nie przepadał za ciętymi kwiatami; stanowiły one domenę Karoliny. Otworzył drzwi i wyszedł do ogrodu.

Zruszył kijem ziemię pomiędzy warzywami, wrzucił trochę koks do szklarniowego bojlera i obrócił kilka rozpołowionych łupin grejpfruta, żółtych, gładkich, kwaszkowatych narośli, rozmieszczonych regularnie wśród guzłowatych, rozgałęzionych pędów na podobieństwo egzotycznych grzybów. Na jednym z nich znalazł trzy ślimaki, jednego czarnego, ogromnych rozmiarów, na którego żłobionej powierzchni widniała smuga srebrzystego śluzu, oraz dwa mniejsze, perłowe i miękkie. Przyglądał im się przez chwilę, zapamiętując wzór ich powłoki oraz precyzję, z jaką pod wpływem dotyku kurczyły się i plisowały spodnie części ciał mniejszych ślimaków. Następnie z roztargnieniem odłożył stworzenia na miejsce. Nie był dobry w zabijaniu. Stanowiło to dodatkowy aspekt jego „udawanej” ziemskości, który stałby się przedmiotem bezlitosnego szyderstwa ze strony Olivera. Oliver powiedziałby też zapewne, że skoro Henryk nie miał zamiaru uśmiercić ślimaków, powinien zostawić je tam, gdzie nie położyłby ich nikt inny, i pewnie miał rację.

Henryk wszedł do szklarni, postukał w termometr i obszedł rzędy roślin, wciągając w płuca ciężką, stęchłą woń pomidorów. Przez jakiś czas spoglądał w ciemnopurpurowy kielich gloksynii, dając pochłonać się bez reszty obrazowi lekko włochatych płatków i rozmyślaniom na temat utraconej tyryjskiej⁹ purpury, muszli, szat żałob-

⁹ Tyr - miasto na skalistych wysepkach u wybrzeża Syrii, powstałe w III tysiącleciu p.n.e.; jeden z głównych ośrodków handlowych starożytnej Fenicji. Purpura tyryjska - wysoko ceniony w starożytności barwnik uzyskiwany z niektórych gatunków skorupiaków (przyp. tłum.).

nych, ostu niejednokrotnie zwieńczonego purpurą królewskiego dworu oraz spostrzeżeń Aldousa Huxleya¹⁰ dotyczących zastępczego doznania wizjonerskiego, znajdujących wyraz w filmowaniu na szerokim ekranie jaskrawych, rozkwitających kwiatów. Dla Henryka ta ogromna siła powiększania stanowiła potwierdzenie jego własnego braku zmysłu proporcji, nasturcja była długim na jardy, żółtym i jedwabistym językiem ognia, którego barwa uosabiała namiętność zwielokrotniającą doznania i wyostrażającą zmysły. Karolina natomiast uważała to za ordynarne. Nie umiała wytłumaczyć dlaczego; a jednak utrzymywała, że jest ordynarne. Za pomocą swych kwiatowych kompozycji przemawiała wyważonym językiem ograniczonych przestrzeni, co Henryk interpretował na swój sposób. Kładąc na jego biurku szkarłatny kwiat, dostrzegłaby z pewnego dystansu jego wyraźny zarys, lecz nigdy nie pozwoliłaby dać się pochłonać. Henryk postawił doniczkę obok pozostałych; kwiat jaśniał przez chwilę, po czym moc jego oddziaływania przygasła. Zanurkowawszy pod zwisającym pnączem, mężczyzna chwycił zielony pomidor i z powrotem wyszedł do sadu. Rosa słała się wilgotnym kobiercem; idąc, pozostawiał na nim szlak podłużnych, odcisniętych śladów.

W sadzie otarł się o wysokie, mokre źdźbła konających traw. Przy żywopłocie przystanął i wyjrzał na zewnątrz, na szczytnę zżętego pola; na jego oczach słońce wyszło zza horyzontu, szarawe światło zadrgało i rozproszyło się, rozświetlone słonecznym blaskiem, ozłacając i tak złociste rurki słomy i śląc tu i tam migotliwe refleksy. Henryk ujrzał, że całe pole wraz z żywopłotem ożyło, dyskretnie podążając za promieniami rozsnuwanymi z nieba na kształt pajęczych włókien. Rozpostarte na ściernisku i rozpięte na gałązkach żywopłotu, nadawały mu rozkołysaną jaskrawość balonu szykującego się do

¹⁰ Aldous Huxley (1894- 1963) - pisarz, poeta i eseista angielski, przedstawiciel fin-de-siecle'u; tworzył powieści utopijne i ukazujące rozkład społeczeństwa burżuazyjnego m.in. „Nowy wspaniały świat”, „Kontrapunkt” (przyp. tłum.).

startu. Wraz z nową falą blasku perły rosy rozbłysły na całej długości gałęzi, nadając otoczeniu srebrzystożłoty odcień; Henryk miał przed sobą pole światła. Spoglądał na nie biernie, następnie pomyślał, ile jeszcze razy przyjdzie mu oglądać wschód słońca, i opanowała go radość, od której zadrżał. Odwróciwszy się, przeszedł przez sad lekkim krokiem, pełen rozpierającego poczucia wolności oraz przeświadczony, że oto ogród otwiera się ze wszystkich stron na światło. Ów spokój towarzyszył mu od tak dawna, że zaczął postrzegać go jako swój nieodłączny stan ducha i z lubością na nim polegał.

W ogarniętym ciszą domu usiadł przy biurku z kawą w zasięgu ręki. Przejrzał notatki: nie mógł oduczyć się zapełniania fiszek, choć nie zawsze do nich wracał. Czasami ogarniało go pragnienie uporządkowania zapisków, kupował segregatory i skorowidze, lecz wszystko na próżno. Wysilek organizacyjny spełzał na niczym, co zmuszało twórcę do szeregowania informacji we własnej głowie.

Lubił wprowadzać poprawki; należał do ludzi, którzy musieli siedem lub osiem razy przepisać każdą stronicę, by zaakceptować wciąż z przyjemnością udoskonalany kształt dzieła. Wczesne wersje nosiły znamię prymitywnych tworzyw z gliny i metalu, przez co pisał je ze swowistą nienawiścią. Na początkowym etapie niezmiennie borykał się z nadmiarem siermiężnego, krzykliwego surowca, z którego nie mógł nic utoczyć dość zgrabnie, i miesiącami walczył z oporną materią, odkrywając, że napisany tekst daleko odbiega od tego, co miało powstać później. Towarzyszyła mu przy tym nieodparta chęć, by wstać, rzucić wszystko i odejść, i tak słowa zapełniały papier jedynie dzięki obietnicy, że każde kolejne będzie już ostatnim... lecz gdy docierał do końca, odkrywał swą niemoc, stając się we własnych oczach jak Samson, który burząc gigantyczną konstrukcję, sam naraża się na niebezpieczeństwo zagłady pod ciężarem kolumn, chwiejnie spoczywających na jego ramionach. Przyszedł czas, kiedy niemal dał za wygraną, jednak nie teraz - chwila przeciągała się w nieskończoność, on zaś odzyskiwał równowagę, odsuwając od siebie lęk przed utratą mocy.

I pisał przez kilka godzin, ze zniechęconym przez Annę tajemniczym uśmiechem, zadowolony z efektów swej pracy. Kiedy Karolina weszła ze śniadaniem i drugim listem leżącym niewinnie obok talerza, był zbyt przejęty, by zwrócić nań uwagę. Posłał żonie spojrzenie z oddali i mamrocząc pod nosem, gestem nakazał jej postawić tacę na biurku. Rozpoznawszy charakter pisma, zaciekawiona Karolina stała nad nim z tacą przez chwilę, nie doczekała się jednak otwarcia listu.

Dopiero jakiś czas później, sięgając po kawę, Henryk zwrócił uwagę na kopertę. Rozpieczętował ją z roztargnieniem, po czym gruby, czerpany papier i zaferowany, rozwlekły charakter pisma przypomniły mu o pierwszym liście, który przyszedł dwa dni wcześniej i o którym, jak uświadomił sobie z poczuciem winy, całkiem zapomniał. Rzuciwszy okiem na nagłówek - „Najdroższy Henryku, *proszę*, napisz do mnie, *proszę*, przyjeźdź, *proszę*, zrozum...” - odłożył go z powrotem. List zesłał na poranek powiew chorobliwego zaduchu; Henryk nie kwapił się ponownie dotknąć papieru. Po krótkim namyśle przerzucił notatki oraz zawartość szuflad w poszukiwaniu pierwszego listu, zaczynając od najmniej prawdopodobnych miejsc, by wreszcie znaleźć go w pojemniku na korespondencję. Kawa wystygła. Nie mogąc zmusić się do przeczytania pierwszego listu, położył go na drugim, obciążając grube kartki zielonym przyciskiem do papieru. Chwilę wyglądał przez okno, miętosząc w rękę brodę. Następnie poszedł do kuchni, gdzie na chłodnym, poprzecinanym różowymi żyłkami marmurowym blacie Karolina wyrabiała ciasto.

Nuciła pod nosem. Pozostawiona samej sobie, wiodła prywatne życie, w którym śpiewała Mozarta w Glyndebourne; każdego ranka, podczas gotowania czy zmywania, ponownie święciła swój triumf, począwszy od przybycia eleganckiej widowni, w strojach ozdobionych kwiatami bądź szalami, aż do finałowej arii oraz następującej po niej ciszy. Nie przejmowała się wołaniem zza kulis, nie mając zamiaru przerywać występu w trakcie. Gestem nakazała Henrykowi milczenie i melodyjnie dośpiewała utwór do końca, podczas gdy małżonek prze-

mierzał kuchnię. Następnie lekko skłoniła ku niemu głowę, jakby w oczekiwaniu aplauzu.

- O co chodzi? - zapytała.

- Nie wiem. To znaczy, nie wiem, czy powinienem ci powiedzieć.

- Ale o co chodzi?

- Powiedziałaabyś, że byłem miły?

- Miły? - powtórzyła Karolina. - Nie powiedziała-bym, że byłeś okrutny.

Henryk spojrział na nią ostro.

- Nie byłem okrutny? Chcesz powiedzieć, zbyt leniwy, by narobić większych szkód, chyba że niechący? Nie nazwałabyś mnie więc wspomóżeniem słabych i pocieszycielem strapionych, któremu nieznanymi zwierzają się w pociągu: „Najmocniej przepraszam, pan zrozumie, pan ma taką dobroduszną twarz”? Tak mówią, lecz czy powinni?

- Nie nazwałabym - odrzekła kategorycznie.

- Może chodzi tu o rozpiętość moich ramion. Albo kosmatą brodę...

- Jak u Boga Ojca - podpowiedziała Karolina, wgniatając perłowe płatki tłuszczu w śmietankową okrągłość ciasta i obracając je na blacie.

- Nie jestem Nim.

- O nie.

- Dlaczegoż więc?

- Wychodzą z założenia - powiedziała ostrożnie Karolina - że skoro z takim znawstwem piszesz o ludziach, rzeczywiście obchodzą cię ich problemy...

- A nie obchodzą?

- Nie w tym rzecz - odparła, podnosząc na niego wzrok. - To przecież nie to samo, prawda? Niemądrze z ich strony tak myśleć. Wystarczy przecież zajrzeć do twoich książek, by stwierdzić, że nie należysz do tego rodzaju pisarzy: pociągają cię kryzysy, rozpady i chwile prawdy; nie *ludzie*. Nie darzysz swych bohaterów sympatią czy współczuciem, nie usprawiedliwiasz ich, nadając im cechy ludzkie. - Skupiona na pracy, podzieliła ciasto na części. Sądziła, że posiada pewne pojęcie na temat treści listu, nie chciała jednak poruszać tematu pierw-

sza. - Jeżeli ktoś prosi cię o coś, czego nie masz zamiaru zrobić, nie rób tego - podjęła. - To nie w porządku prosić cię o coś, na co nie masz czasu. Niektórzy - ciągnęła, badając grunt - nie chcą dorosnąć i zaakceptować życia takim, jakie jest. Nie potrafią przyjąć do zrozumienia faktu, że małżeństwo może być nudne, że nie chodzi w nim wyłącznie o miłość i braterstwo; nie, jeśli mężczyzna przedstawia sobą jakąkolwiek wartość. Nudzą się, skarżą na niespełnienie i wołają o pomoc. Powinni nauczyć się poświęcenia. Co ty byś na przykład osiągnął, gdybym zdręczała cię rozmowami na temat „spełnienia”, zamiast troszczyć się o bank, zakupy i rachunki telefoniczne? Nie wydaje mi się, bym uważała te czynności za bardziej wartościowe niż inni. Ktoś jednak musi się nimi zająć.

- Tak - rzucił z roztargnieniem Henryk, poirytowany przywołaną wcześniej koncepcją poświęcenia. Wierzył, że nie wystarczy żyć dla kogoś; podobnie nie zależało mu na pozbawianiu Karoliny prawa do samodzielnej egzystencji. Mimo to czuł, że dotychczas przyjmował składaną mu ofiarę. Nie miał zamiaru ponosić odpowiedzialności za zmarnowanie talentu żony i odbiegając myślami od sedna dręczącej go kwestii, chciał jej o tym powiedzieć, gdy naraz zrozumiał, że ona czeka, i to wcale nie na tego rodzaju deklaracje. Nie znajdując oczekiwanego wsparcia, odwrócił się i udał do gabinetu, by przeczytać drugi list.

Był krótszy niż pierwszy, choć oba były bardzo długie. Przez jakiś czas Henryk nie bardzo mógł ustalić, czego tak naprawdę dotyczą bądź też czego się od niego oczekuje. Należało przypuszczać, że Oliver opuścił Małgorzatę albo nosi się z takim zamiarem, w związku z czym ona błagała Henryka o przyjazd, do niej lub do Olivera, i powstrzymanie go. Rozchwiany charakter pisma i niedbała interpunkcja świadczyły o zdenerwowaniu autorki. Jak Henryk zdążył się zorientować, list nawiązywał do rzekomo poufnej obietnicy, którą złożyli sobie na szczycie klifu w letni dzień dwa lata wcześniej. Na podstawie rozmaitych odwołań do jego „silnych dłoni” oraz „delikatności”, Henryk wywnioskował, że incydent urósł w mnie-

maniu Małgorzaty do rangi swego rodzaju sceny miłośnej. Nie chodziło wszak jedynie o to; apel dotyczył bowiem również jego wielkości. „Jesteś jedynym człowiekiem, dla którego żywi jakikolwiek szacunek”, padło kilkakrotnie i: „jesteś o tyle mądrzejszy niż my wszyscy; wiesz, co należy uczynić”. Wśród tego rodzaju inwokacji przewijały się pozornie pozbawione sensu opisy podejmowanych w samotności domowych zajęć. „Dzisiaj napełniłam wiadro i umyłam szczotką toaletę, wlałam trochę płynu, po czym opróżniwszy wiadro, wyszorowałam stół; w czasie ostatniego pobytu w domu (nie żeby często tu bywał) Oliver rozlał tłuszcz z roztopionego boczku, zapomniałam kupić masło i musimy jeść margarynę; nie zwrócił zresztą na to uwagi, wcale nie dba o to, co je, lecz czuję, że tracę grunt pod nogami, choć próbuję za wszelką cenę go zachować, Henryku, chcę mojego życia, mojego życia, mam do niego prawo, jeśli nie przyjedziesz i nie powiesz mi, co mam robić, skończę ze sobą, *mówię poważnie*, możesz myśleć, że tego nie zrobię, ponieważ boję się bólu, cóż, to prawda, mam jednak tabletki nasenne, które zabijają we śnie, amytał, tak się nazywają, opisywali podobny wypadek w gazetach, nie chodzi o to, że *pragnę* umrzeć, Henryku, chcę żyć, zawsze myślałam, że nic nie stoi na przeszkodzie, ale byłam w błędzie i jeżeli Ty mi nie pomożesz, nie pomoże mi nikt. Równie dobrze mogę skonać ze zwykłego zmęczenia, *mówię poważnie*, tak bardzo go kocham, lecz co nam po miłości, która odwraca się plecami, starzeję się, Henryku, istnieje całe mnóstwo rzeczy, które już nigdy nie staną się moim udziałem, zanim umrę, chcę odzyskać swoje życie, pragnę, aby coś zaczęło się liczyć, dzisiaj mleczarz zostawił tylko kwartę mleka zamiast półtorej, myślałam, że zrobię deser karmelowy dla Olivera, gdyby jakimś cudem zjawił się dziś wieczorem, ale się nie zjawił, jeśli nie przyjedziesz, zabiję się, zresztą jeżeli nawet przyjdzie, to i tak...”. Dalej następował szczegółowy opis sadystycznych praktyk seksualnych Olivera.

List zaalarmował Henryka, który nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Małgorzata najwyraźniej nie miała pewności co do jego zachowania oraz intencji.

Z drugiej strony, opisy były krępująco obrazowe i wyczerpujące. Nie wyobrażał sobie, w jakiej mierze jest zdolna wymyślić coś, czego nie przyszło jej doświadczyć na własnej skórze. Nie wiedział też, jak poważnie należy traktować wzmiankę o samobójstwie: ta kwestia również musiała zostać poddana gruntownym przemyśleniom i stanowiła więcej niż tylko czczą pogroźkę. Henryk raz jeszcze przerzucił stronicę obu listów, po czym ich treść połączyła się w jego umyśle z wyznaniem Karoliny w straszliwą całość. W najmniejszym stopniu nie identyfikował się z Oliverem, niemniej jednak analogia nasuwała się sama. Raptem stanęła mu przed oczami wizja innych ludzi pochłoniętych sprawami margaryny i mleczarza, ciasta oraz rachunków telefonicznych, ludzi podnoszących owe sprawy do rangi Chrystusowej ofiary, uznających za wystarczającą przyczynę samobójstwa oraz symbol upadku miłości, i ogarnęło go podszyte lękiem poczucie wstydu. Próby Karoliny, mające na celu nakłonienie go do zbagatelizowania tego, co uznawała za słabość Małgorzaty, wywołały reakcję zgoła odwrotną. Bez względu na swoje predyspozycje musi spróbować pomóc w usunięciu problemów tych, którzy nie dostrzegali tego, co on. Z pewnością ułatwi mu to pracę. Miał nadzieję, że nie chodzi wyłącznie o to.

Przysunawszy do siebie maszynę do pisania, włożył w nią kartkę papieru, wystukał adres, datę oraz „Droga Małgorzato”, po czym wyszarpnął kartkę z maszyny i podarł ją. Atrament był, bądź co bądź, bardziej przyjazny. Swym pięknym, pochyłym charakterem pisma wymęczył kilka zdań; napisał, że nie wie, czy jest w stanie cokolwiek dla niej zrobić, ale przyjedzie, skoro ona tego chce. Bez powtórnego czytania złożył list, zaadresował kopertę i poszedł do Karoliny.

- Idę na pocztę. Masz coś do wysłania?

- Listy do dzieci, leżą na moim biurku. Mógłbyś napisać do Jeremiego, Henryku, bardzo cię o to prosił.

- Sprzedaje fragmenty moich rękopisów kolegom, to wszystko. Nie mam pojęcia, skąd u niego ten cynizm. Dwa czy trzy tygodnie temu napisałem do Anny, ale ona nigdy nie odpowiada.

- Mam nadzieję, że byłeś rozsądny.

- Raczej tak - odrzekł wymijająco Henryk. - Grunt to dobroczynność. - Podszedł do żony i wyrzekł z trudem: - Karolino, mam nadzieję, że nie miałaś ze mną takiego straszego życia.

- Nie chciałam, by było inne.

- A może powinnaś? Nie uważam, że dobrze jest żyć życiem drugiej osoby...

Karolina spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Cóż innego mogłabym robić? - zapytała. Śmiejąc się ze szczerym zadowoleniem, pozwoliła mu się objąć. - Tylko się nie zamartwiaj - upomniała. - Nie jesteś w tym zbyt dobry, poza tym to bez sensu. - Pocałowała Henryka w ucho, delikatnie wypychając go z domu. - Jestem tak szczęśliwa jak większość ludzi, ty zaś szczęśliwszy, i lepiej na tym poprzestańmy. A teraz pośpiesz się, bo niewiele zdążysz zrobić przed lunchem.

Nie wiadomo czemu jej słowa napełniły Henryka otuchą.

Dni Małgorzaty dłużyły się niezmiernie. Przez większą część tygodnia Oliver przesiadywał w Cambridge, w domu spędzał może jedną lub dwie noce i wyjeżdżał wcześniej, jak biznesmen, z parasolem i walizką, w obłoku woni pasty do zębów oraz mydła do golenia. Małgorzata biegała za nim dookoła kuchennego stołu, wypytując męża o przyczyny wyjazdu oraz złego humoru i błagając, by na nią popatrzył. Ostatnio krzyknął: „To nie do wytrzymania, gdy wiesz nade mną, czekając, aż na ciebie spojrzę. Skoro musisz wiedzieć, nie mogę tego zrobić. I wcale nie chcę”. I zatrzaskując za sobą drzwi, wyszedł na poranny pociąg.

Dni wydawały się dłuższe, ponieważ poświęcała mniej czasu gotowaniu i sprzątaniam - czynnościom bezcelowym, skoro Oliver traktował jej uświęcony miłością trud jako wymierzone przeciwko sobie oskarżenie. Przed wyjściem za mąż traktowała owe zajęcia jak trening przedmałżeński, swoisty zadatek uczucia. Zawsze też ubierała się dla kogoś, dla mężczyzny i przyszłego męża, nigdy nie kupując nowej sukni ani nie zmieniając uczesania bez zastanowienia się nad tym, jaką ocenę uzyskają one w oczach ukochanego, czy to tego rzeczywistego, czy też wymagowanego. Teraz zaś, wobec nieobecności Olivera, na którym ostatecznie skupiły się te dążenia, nie potrafiła znaleźć ucieczki w domowych

czynnościach wzorem innej, bardziej skrupulatnej gospodyni i kobiety, jak na przykład Karolina. Domowe pantofle przed kominkiem, własne oczy, nos, usta oraz skóra niemuskana męskim spojrzeniem rozwiały się jak dym, i Małgorzata straciła grunt pod nogami.

Nie mogła wrócić do pracy, gdyż nie licząc zajęć dorywczych, nigdy jej nie miała, nie była też w stanie wykrzesać z siebie energii potrzebnej do ponownego uruchomienia dawnych kontaktów. Zresztą nie czuła się na siłach, by publicznie przyznać, że w domu brakuje jej zajęcia. Nie zapraszała również do siebie przyjaciół. Większość z nich, odstraszone zachowaniem Olivera, odsunęła się od Małgorzaty na początku małżeństwa i bez nacisków nie była skora jej odwiedzać. Małgorzacie słusznie się wydawało, że Oliver nie ma ochoty ich oglądać, i początkowo wcale jej to nie przeszkadzało. Teraz krępowała się do nich dzwonić, tak więc coraz więcej czasu spędzała w samotności.

Każdego ranka wstawała późno, o jedenastej, w pół do dwunastej lub w południe, a bojąc się samotnych wieczorów, wcześniej szła spać. Nauczyła się traktować sen jako lekarstwo, wywołujące rodzaj uspokajającego odrętwienia, które spowalniało jej reakcje. Gdy budziła się wraz ze wschodem słońca, wmawiała sobie, że jest nadal bardzo zmęczona i że po wstaniu i tak nie miałaby nic do roboty. Następnie ponownie naciągała na siebie kołdrę i zapadała w ołowiany sen, z którego budziła się kilka godzin później tak rozpalona i otumaniona, że jej ciało promieniowało bólem, oczy piekły, w ustach zaś czuła przykry posmak pleśni. Sen kosztował ją tak wiele wysiłku, że później z trudem krążyła po domu i popołudnie poświęcała na odpoczynek, leżąc na łóżku w halce, przy zasłoniętych zasłonach, by choć trochę dojść do siebie.

Jadała mało i nieregularnie. Coraz zaczęła częściej sięgać po krwawą mary. Początkowo był to sok pomidorowy z odrobiną wódki, świetny na figurę i przyjemnie pobudzający wczesnym rankiem. Teraz zwiększyła liczbę drinków oraz proporcję alkoholu; w zlewie i na stole kuchennym piętrzyły się stopy brudnych szklanek i pustych puszek po soku pomidorowym. Jak dotychczas, z rozma-

tych pobudek zawsze udawało jej się sprzątnąć cały ten bałagan przed przyjazdem Olivera. Niemniej jednak teraz stopniowo opuszczało ją również poczucie wstydu.

Tego ranka ubrana w szlafrok weszła bosą do kuchni, nalała sobie krwawej mary i upewniwszy się, że za oknem pada, wychyliła szklanę, po czym z kolejnym drinkiem w dłoni powlokła się do salonu, by zapalić papierosa. Dochodziło południe; miała wrażenie, że jest niedziela. Obecnie każdy dzień przypominał niedzielę. Małgorzata pośpiesznie zaciągała się dymem, stojąc pośrodku pokoju i zastanawiając się, co robić. Długie zasłony o barwie słonecznej żółci, usiane białymi stokrotkami, wciąż były zasunięte. Osnuwały pokój niczym żółty namiot, nadając światłu pozory ciepła. Małgorzata nie rozsunęła ich.

Rozpaliwszy gazowy płomień na cały regulator, włączyła radio, które nadawało po francusku audycję dla szkół. Nastawiła więc „Bolero” Ravela i maksymalnie podkręciwszy głośność, postanowiła wziąć kąpiel. Robiła to niemal każdego ranka. Kąpiel przyjemnie wypełniała czas pomiędzy wstaniem a popołudniowym odpoczynkiem. Decyzja jednak nie przychodziła łatwo i Małgorzata zawsze długo zastanawiała się, czy nie znaleźć czegoś lepszego do roboty. Odkręciwszy kran, nalała sobie kolejną krwawą mary, położyła na stołku obok wanny paczkę papierosów oraz postawiła popielniczkę. Następnie puściła płytę od początku. Kąpiel była gotowa.

Kiedy Małgorzata zdjęła szlafrok oraz nocną koszulę i weszła do ciepłej wody, ogarnęło ją uczucie natychmiastowej błogości. Przez chwilę siedziała nieruchomo, trzymając papierosa w wilgotnych palcach i żując strzępki wilgotnego tytoniu, w oczekiwaniu, aż gorąca woda sięgnie jej piersi, a potem pach, niemal ją unosząc. Następnie pociągnęła łyk ze szklanki i umyła się, powoli i dokładnie. Pomimo utraty zainteresowania swym wizerunkiem publicznym okazywała wzmożoną dbałość o higienę osobistą. Obficie mydliła całe ciało, szorowała piekącą twarz nylonową szczoteczką, a plecy szczotką na długiej ręczce, tarła pumeksem i tak miękką podeszwę stóp i dłubała pomarańczowym pilnikiem w zakamarku każ-

dego paznokcia. Potem skrzętnie goliła puch porastający dołki pachowe oraz nogi. Po wyjściu z wanny zawsze długo myła zęby i przez pół godziny szczotkowała włosy, dopóki nie zaczęły błyszczeć i elektryzować. Ciało stało się dla niej przedmiotem dbałości i podziwu. Symbolizowało resztki tego, co jej jeszcze zostało. Dopełniwszy rytuału mycia, położyła się; woda sięgała jej podbródka, wzrok utkwiała Małgorzata w mokrych stopach, widocznych między błyszczącymi kurkami. Obserwowała zamknięte wokół kostek kręgi wody; te wszystkie elementy, myślała, te palce, części widoczne i niewidoczne, to ja. Zupełnie jakbym bez kąpieli mogła rozpaść się na kawałki, jakby te fragmenty oraz kręgi mogły odpłynąć od siebie i przestać do mnie należeć.

Leżała nieruchomo, spoglądając na własne ciało, aż wreszcie ogarnął ją chłód. Minęła chyba dwunasta. Sądząc po świetle sączącym się przez matową szybę, przysłoniętą różową, plisowaną zasłonką z nylonu, mogła być każda pora. Małgorzata nie miała pojęcia, która godzina. Drżąc lekko, niechętnie wyszła z wody i sięgnawszy po ręcznik, osuszyła się, trąc ciało do czerwoności. Czekają ją jeszcze mycie zębów i czesanie, mimo to poczuła lęk, co dalej.

- Naprawdę powinnaś wyjść - powiedziała do siebie głośno, spoglądając przez ramię na swoje plecy i wycierając do sucha miejsca pod pośladkami. Obficie obsypała pudrem faliste połączenie różowości. - Naprawdę powinnaś gdzieś wyjść i coś zrobić. Skąd mam jednak wiedzieć, dokąd i co?

Zresztą jestem na to zbyt zmęczona, uznała, znów wkładając różowy pikowany szlafrok, poplamiony sokiem pomidorowym. Dziś odpocznę, postanowiła, tak jak postanawiała każdego dnia.

Po umyciu zębów i wyszczotkowaniu włosów, z kolejną szklanką krwawej mary i paluszkami wróciła do ocienionego zasłonami salonu i raz jeszcze nastawiła Ravela. Szczotkowanie być może wpływało korzystnie na cebulki włosów, lecz nie poprawiało ich wyglądu. Włosy Małgorzaty ostatnio zbyt często były myte i rzadko upinane, przez co naelektryzowane sterczały wokół jej ramion niby rozwichrzone końcówki miotły.

- Co mam robić? - spytała, zapalając kolejnego papierosa. - Posiedzę sobie, przejrzę „Vogue” - odpowiedziała na własne pytanie, jak czyniła to każdego dnia - i trochę pomyślę. - Zaczęła kupować „Vogue”, gdy poczucie bezpieczeństwa płynące z widoku reklam centralnego ogrzewania oraz miłosnych opowiadań z gorszych czasopism zdało jej się swego rodzaju szyderstwem. Charakter „Vogue” poniekąd odpowiadał jej obecnemu nastrojowi. Magazyn ukazywał najróżniejsze przedmioty; koncentrował uwagę na wytwornym guziku lub śmiałej szarfie; wszystko w niewymuszony, acz śmiały sposób podkreślało swoją odrębność i niepowtarzalność. Męskie spojrzenie na zdjęciach w tym piśmie nie miało w sobie swojskości ubranego w wygodny sweter męża czy chłopaka z fajką na fotografiach w „Woman's Own”, wachających Oxo lub inny nowy paryski zapach z przyjemnością i aprobatą.

Mężczyźni w „Vogue” mieli wielkie, roztargnione oczy i kpiący zarys ust jak kobiety; trzymali w palcach jedwabie i kapelusze, pochłonięci nimi bez reszty. W tym magicznym, kolorowym świecie Małgorzata upatrywała rodzaj egzotycznej odskoczni od samotności doskwierającej jej w domu pełnym przedmiotów.

Teraz otworzyła czasopismo na dziale urody. Widniały tam trzy fotografie: pierwsza przedstawiała oko, długie na siedem cali, druga otwarte szeroko usta, dwadzieścia siedem cali średnicy, trzecia paznokieć, długi na pięć. Każde z nich zajmowało całą stronę, krzykliwy zarys na tle bladełososiowej skóry. Zwykle Małgorzata skwitowałaby te strony za ledwie aprobującym skinieniem głowy, owego dnia jednak z jakiejś przyczyny zdjęcia przykuły jej uwagę. Oglądane w przelocie, posiadały promienną żywotność jej własnych oczu czy ust, ożywających w lustrze pod dotknięciem szminki. Otaczała je obecna w kwiatowych wizjach Henryka aura tajemniczości barw o intensywniejszym niż zwykle nasyceniu, ołzocony blask średniowiecznego nieba. Małgorzata jednak spoglądała na nie zbyt długo, jak ktoś, kto patrząc na przypadkowe słowo, odkrywa obłąkańcze właściwości jego pisowni, i zobaczyła za dużo oraz zbyt szczegółowo.

Oko, początkowo najbardziej urzekające, było najgorsze. Usta i paznokieć zdawały się mniej natrętne, choć zarazem bardziej odrażające. Usta, nabrzmiała różowa krągłość o wyostrzonych pęknięciach, przywodziły na myśl drapieżne rośliny, mięsiste, o czekoladowej szczelinie pośrodku oraz trzech kwadratowych, wilgotnych zębach, widniejących pod górną wargą. Owalny paznokieć spoczywał na poduszce palca, wystając poza jego krawędź. Fotograf utrwalił moment nakładania lakieru; grube, czarne włosie pędzelka przywarło do pękatego, różowego ślimaka i zawieszista kropla powoli spływała na paznokieć, nadając mu wygląd oślinionej landrynki.

Początkowo oko wydawało się bardziej złożone, bardziej żywe. Szaroniebieskie, ze złocistymi plamkami na tęczówce, tkwiło pomiędzy trzema wygiętymi w łuki rzędami włosów. Brew tworzyła półksiężyc rozrzuconych, jak za pociągnięciem dziecięcego ołówka, smolistych kresek. Rzęsy, których górny rząd dodatkowo uzupełniony był o pasmo sztucznych włosków, miały postać dwóch najeżonych kolcami ogrodzeń. I tutaj uchwycono moment nakładania opalizującego cienia; zaostriżony jak nóż pędzelek przecinał powiekę pod kątem, zamknięty w upstrzonym plamkami bieli beżowym półokręgu. Pory błyszczały od potu. Najpierw Małgorzata pomyślała, że to oko - łagodne oko, oko bezmyślne - zaniepokoiło ją ze względu na swe puste spojrzenie, potem jednak zrozumiała, iż jej strach bierze się z tego, że jest ono martwe. Białko, minimalnie naznaczone żyłkami, przypominało skorupkę jajka, urzekająco zaś wycieniowana tęczówka z dwiema plamkami uchwyconego światła w rzeczywistości lśniła płaskim, pozbawionym życia papierowym blaskiem. Krawędź oka, krawędź paznokcia i różowy skrawek ciała w kącie oka trąciły przesadną wyrazistością. Czerń raziła na rozległym, niespójnym tle ciała. Usta były zwiędłym warzywem, oczy truchłym kosmatego zwierzęcia, paznokieć robakiem. Małgorzata ponownie doświadczyła uczucia towarzyszącego jej podczas kąpieli: poczuła, że rozpada się na części, a poszczególne fragmenty jej ciała bezpowrotnie odłączają się od siebie. Nic nie trzymało się kupy, wszystko stanowiło złe-

pek martwych, jaskrawych elementów. Wstrząśnięta, zaczęła niepohamowanie szlochać, nie - jak to często zdarzało się jej popołudniami - by znaleźć we łzach ulgę, lecz z prawdziwą zgrozą, niemal zupełnie tracąc nad sobą kontrolę.

Nacisnąwszy dzwonek i nie doczekawszy się odpowiedzi, Henryk wszedł do domu chyłkiem jak złodziej. Idąc za odgłosem łkania, przystawał przed kolejnymi drzwiami, aż wreszcie odnalazł właściwy pokój i stanął w progu.

- Małgorzato? - powiedział.

Małgorzata gwałtownie poderwała głowę - jego głos zabrzmiał donośnie w czterech ścianach niedużego pokoju - i ujrawszy go, rozpierającego framugę, zaczęła krzyczeć.

- Małgorzato? - powtórzył nieśmiało.

Krzyk doszedł do crescendo i kobieta zachłysnęła się z braku powietrza. Henryk zrozumiał, że musi coś zrobić, i z ociąganiem przekroczywszy próg, potrząsnął ją za ramiona.

- Przestań - powiedział. - Przestań, słyszysz?

Małgorzata znowu wrzasnęła i zakrztusiła się. Henryk unieruchomił głowę kobiety i wymierzył jej siarczysty policzek. Małgorzata ucichła, bezwładnie opierając się o niego całym ciałem. Obarczony niewygodnym ciężarem, usiłował posadzić ją z powrotem na krzesło. Gołe łydki zwały się z jego nogami, poły szlafroka zaś rozchyliły się gdzieś, ukazując obnażone fragmenty ciała. Na policzku wykwitł ciemniejszy odcisk jego palców.

- No już - powiedział. - Co się stało?

- Wiedziałam, że przyjedziesz. Wiedziałam.

- Przepraszam, że cię przestraszyłem. Powiedz mi, co się stało.

Na te słowa ciało Małgorzaty znów konwulsyjnie zadrgało, a jej twarz pofałdowała się. Popchnęła ku niemu czasopismo.

- Przestraszyłam się. Tego obrazka.

Henryk przyjrzał się zdjęciu.

- Za dużo czasu spędzam sama - przyznała normalnym głosem Małgorzata.

Henryk zamknął magazyn i odłożył go na stół.

- To głupie bać się zdjęcia - dodała.
- Niekoniecznie. W tych dużych powiększeniach jest coś niepokojącego. Niedawno się nad tym zastanawiałem. Na ogół widzimy wszystko w miniaturze. Dlaczego człowiek nie ma oka mikroskopowego? Otóż z tej prostej przyczyny, że nie jest muchą. Niemniej jednak istnieją sposoby podpatrzenia wonnego obumierania róży, i niekiedy je odkrywamy. Pewnie przedstawione w ten sposób ciało ludzkie jest dla ciebie odrażające? To zrozumiałe.

Nieskładnie mówił dalej, a przepełniona podziwem Małgorzata, wysłuchawszy fragmentu jego wypowiedzi, dała za wygraną, myśląc jedynie o tym, jak piękny jest jego głos, jak ciepły i dodający otuchy, niczym komunikaty ku pokrzepieniu serc, nadawane w czasie wojny.

- A teraz wpuścimy tu nieco światła... - oznajmił niespodziewanie Henryk. Odsunął zasłony i otworzył okno, wpuszczając do środka chłód, szmer mżawki oraz trochę szarego londyńskiego światła, umożliwiającego zgaszenie stojącej lampy. Wyłączywszy gramofon, zdjął płaszcz i rzucił go na sofę. - Tak lepiej - powiedział. Zapach nieświeżej żywności w połączeniu z zaduchem przegrzanego powietrza stawał się dla niego nieznośny. - Dlaczego chciałaś, żebym przyjechał?

Skulona na krześle Małgorzata podniosła na niego desperackie spojrzenie czerwonych i zapuchniętych oczu i znów uderzyła w płacz.

Henryk zaczął podejrzewać, że został wezwany tylko po to, by wziąć ją w ramiona i utulić. Poczul do niej, jak do większości kobiet, przypływ fizycznej odrazy i stwierdził, że woli panować nad sytuacją z bezpiecznej odległości środka pokoju. Nie ruszając się z miejsca, odkaszlnął i powtórzył bezradnie:

- Dlaczego chciałaś, żebym przyjechał?

Dla Małgorzaty niemożliwością było przekazanie cokolwiek mężczyźnie bez udziału kontaktu fizycznego - wyznania i prośby powinny zostać wyszeptane w troskliwe ramię, a nie rzucone w przestrzeń i poddane beznamietnemu osądowi. Zaniósł się jeszcze bardziej rozpaczliwym szlochem, w wyniku czego Henryk, zmuszony

do opuszczenia bezpiecznego stanowiska, podszedł bliżej, ukląkł niezgrabnie i ujął w dłonie jej zalaną łzami twarz.

- Przestań, proszę, przestań, nie płacz tak. To nic dobrego. - Usiłował zachować dystans, choć zdawało się, że Małgorzata lada chwila bezwładnie runie w jego objęcia. Jej łzy ściekały mu między palcami. - Weź się w garść, to wyjdziemy gdzieś na drinka... i na kolację... i porozmawiamy.

Małgorzata głośno przełknęła ślinę.

- Zupełnie wyleciało mi z głowy. W kuchni jest alkohol. Napijesz się?

- Nie, dziękuję. Wyjście z domu dobrze ci zrobi.

- Tak - odrzekła posłusznie. Zmieniła ton, nadając głosowi żenująco konspiracyjne brzmienie. - Kiedy tu jesteś, czuję się całkiem dobrze. Sama twoja obecność rzuca na sprawy bardziej optymistyczne światło. To znaczy, widok ciebie patrzącego na to zdjęcie uświadomił mi, że może ono być interesujące, nie straszne. I pokój wydaje się jakiś większy.

- Odsunąłem zasłony...

- Nie pragnę Bóg wie czego, chcę tylko obserwować cię, kiedy myślisz; zastanawiając się nad jakąś sprawą, nadajesz jej tym samym znaczenie. Strasznie boję się bycia nieważną. Cieszę się, że przyjechałeś. - Znów uczyniła ruch, jakby chciała podejść bliżej.

Henryk machinalnie cofnął się o krok i powiedział, jakby zwracał się do dziecka:

- Idź się przebrać, to gdzieś pójdziemy.

Małgorzata podskoczyła, wycisnęła pocałunek w okolicach jego brody i poszła się ubrać. Trwało to jakiś czas. Henryk krążył po pokoju, chłonąc znajdujące się wokół przedmioty. Wnętrze sprawiało wrażenie bardzo nowoczesnego i chaotycznego.

Ściany pomalowano różnymi kolorami, meble zaś, nieco zbyt liczne, wyposażono w ostro zakończone metalowe nóżki. Część urządzenia przybyła tu wraz z Oliverem po ślubie. W pokoju znajdowało się mnóstwo książek, zamkniętych w oszklonych biblioteczkach. Małgorzata kolekcjonowała szklane zwierzęta; niebieskie koniki, czerwone

ne smoki i białe łabędzie zajmowały wolną przestrzeń pośród brudnych talerzy, szklanek z zaciekami soku pomidorowego i przepełnionych popielniczek. Dominowała woń przejrzałego sera i zgniłych gruszek. Henryk podniósł poduszkę i odkrył dodatkową stertę brudnych talerzy oraz pudełko z resztką roztopionego camemberta. Skrzywiwszy się z obrzydzeniem, odłożył poduszkę na miejsce. Nad kominkiem wisiała reprodukcja martwej natury Matisse'a, rząd zaś rozrzuconych na kremowej sofie szkarłatnych, cytrynowych i pawiozielonych poduszek stanowił dalekie echo kolorystyki obrazu, rażąc pozbawioną subtelnosci jednostajnością barw.

Henryk darzył to wszystko instynktowną niechęcią, lecz jednocześnie starał się utrwalić w pamięci. Interesowała go rozpacz Małgorzaty; kobieca intensywność tego uczucia była dla niego nowością. Czuł, że w przyszłości mógłby wykorzystać ją w powieści. Jako pisarza interesowały go fakty, nie rozmowa; nie potrafił wprowadzić zgłębić znaczenia monologu wewnętrznego Małgorzaty, był jednakże dotkliwie świadomy jej stanu oraz krańcowego wyczerpania. Kiedy powróci myślą do barw tego pokoju, staną się dla niego niczym dryfujące rybackie boje, podwodne sygnały, które można wykorzystać w odpowiednim czasie, zwierzę w klatce, mroczne, stłamszone i rozjuszone, o dziwnym kształcie, zdeterminowane do walki.

Gdy wygląd pokoju ułożył się w jego umyśle w logiczną całość, otoczenie przestało go razić. Nawet panujący tu smród urósł do rangi interesującego efektu scenicznego. Henryk czuł, że miejsce wraz ze swą atmosferą znalazło się pod jego panowaniem. Mógł porównać je z czymś innym - nie był jeszcze do końca pewien, z czym - i rozsądzić kolorowe więzienie, tak jak widział to kiedyś w spektaklach „Amedee” Ionesco¹¹, gdzie kartonowe ściany powędrowały w górę, a meble odjechały, pozosta-

¹¹ Eugene Ionesco (1909- 1994) - francuski dramaturg rumuńskiego pochodzenia. Członek awangardy teatralnej, współtwórca teatru absurdu. Posługiwał się czarnym humorem, groteską i parodią. Twórca dramatów eksperymentalnych, m.in. „Krzesa”, „Nosorożec”, „Łysa śpiewaczka” (przyp. tłum.).

wiając pustą scenę, oblaną ciepłym, akwamarynowym światłem. Ogarnęło go podniecenie; przeciwstawi to jakiejś przesyconej znaczeniem egzystencji, a następnie obróci w pył, ot co. To musi być jakaś inna kobieta, w pomieszczeniu pełnym powietrza...

W tym właśnie momencie więzień powrócił do swej celi. Henryk uświadomił sobie ze wstydem, że jego plan spełzył na niczym, że pozbył się krat dla siebie, pozostawiając Małgorzatę dokładnie tam, gdzie była. Owey świadomości towarzyszyła pewność, że z tym, czemu nie mogła sprostać jego sztuka, doskonale radziła sobie jego obecność, zsyłając upragniony spokój i zapomnienie. Małgorzata uczepiła się go, rozpaczliwie broniąc się przed utonięciem. Gdy podniosła na Henryka spojrzenie pełne bezgranicznego zaufania, szukając w jego oczach aprobaty, poczuł, że przyjęcie tej ufności równało się podzieleniu jej losu. Otrząsnął się z niechęcią. Nie miał pojęcia, jak się zachować.

Najwyraźniej oczekiwała, że zabierze ją na uroczyste go drinka i kolację. Włożyła brązową jedwabną suknię i obcisłe, beżowe kozaczki; na jej szyi wisiał sięgający brzucha sznur bursztynów. Uległa, pozbawioną wyrazu twarz pokrywała gruba warstwa makijażu, nałożona na zaczerwienione oczy i rozpalone policzki.

- Bardzo ładnie wyglądasz - powiedział.

- Dziękuję. Ostatnio niewiele wychodzę, choć mam na to ochotę.

- Sam nie jestem chyba odpowiednio ubrany - zauważył Henryk, niezdarnie maskując rozdrażnienie. Nie znosił obfitych posiłków. Spowalniały go.

Usta Małgorzaty zadrżały; powiedziała:

- Ojej, mam nadzieję, że nie zrobiłam nic niestosownego... - I popatrzyła na niego z nadzieją. Było oczywiście, że chciała, by widziano ich razem.

Stojąc wobec perspektywy wyboru pomiędzy przejeżdżeniem a łzami Małgorzaty, Henryk skapitulował. Zadzwonił po taksówkę i przez pewien czas jeździli bez celu po Londynie, dopóki nie nastąpiła pora wczesnej kolacji. W taksówce Małgorzata ciężko wsparła głowę na jego ramieniu, nie przejawiając ochoty do pogawędki.

Zabrał ją do restauracji, na tyle wytwornej, by ani jego tweedy, ani suknia Małgorzaty nie wydawały się nie na miejscu, i na tyle uczęszczanej przez przedstawicieli literackiego oraz teatralnego światka, by zaspokoić poczucie ważności kobiety. Przejrzał kartę dań w poszukiwaniu czegoś, co nazajutrz nie przekreśli jego szans na owocną pracę, a zarazem nie wyda się Małgorzacie nie dość uroczyście. Zamówił butelkę wina i przypomniał sobie studenckie marzenia o literackiej sławie, ukoronowanej kolacją w podobnej restauracji, w towarzystwie równie pięknej kobiety. Uśmiechnął się pod nosem na myśl o sobie, jakim był obecnie, ani znudzony, ani zblazowany, ani - miał nadzieję - pozbawiony złudzeń, lecz zatroskany jedynie o związek pomiędzy żołądkiem a wydajnością swojej pracy.

Małgorzata wyglądała na szczęśliwą, a nawet pełną uniesienia. Gdy wchodzili do restauracji, ostentacyjnie ujęła go pod ramię i z szerokim uśmiechem potoczyła dookoła spojrzeniem, odnotowując żywe reakcje gości. Usta jej się nie zamykały; co chwila pochylała się nad stołem, poklepując dłoń Henryka, i z wyrazem uwielbienia w oczach chłoneła każde jego słowo, nie sprawiając przy tym wrażenia, by cokolwiek do niej docierało. Jej wypowiedzi dotyczyły niemal wyłącznie Olivera oraz jego nawyków, które zapewne i sam Oliver uznałby za niezbyt frapujące. Kolor abażuru na sąsiednim stole przypominał jej jedwabny krawat, którego o mały włos nie zakupili jakiś czas temu w Bath, ale Oliver rozmyślił się w ostatniej chwili. Oliver nie lubił skorupiaków; dostawał od nich wysypki w najdziwniejszych miejscach i kiedyś musiał przez tydzień wykładać na stojąco. Gdy Henryk zmieniał temat, Małgorzata niezwłocznie odpowiadała na jego uwagę rzeczywistą bądź domniemaną opinią Olivera. Oliver uważa, że połączenia kolejowe są do niczego. Oliver twierdzi, że honoraria wykładowców uniwersyteckich są skandaliczne. Czy ten mężczyzna nieopodal to aby nie autor sztuki o uzdrowisku leczącym choroby płuc? Oliver nie sądzi, by to było dobre przedstawienie; według niego, śmierć nie jest ani nudna, ani zabawna, co ty na to, Henryku? Co chwila nerwowo bła-

gała go o potwierdzenie poglądów oraz informacji, o których nie miał pojęcia.

- Matka Olivera chciała zniechęcić go do zdobywania wykształcenia, prawda, Henryku? Przecież przez cały czas spędzany w Cambridge nie może siedzieć w bibliotece, nie sądzisz, Henryku?

Dopiero przy kawie ogłędnie nawiązała do przyczyny ściągnięcia go do Londynu. Czy on, Henryk, nie pojechałby do Cambridge, żeby wy badać, czy Oliver zamierza wrócić? Czy nie mógłby dowiedzieć się, co myśli Oliver i dlaczego wyjechał, nie chcąc zamienić z nią ani słowa? Oliver wysłucha Henryka; Henryk to jedyna osoba, której Oliver może wysłuchać. Twierdziła, że Oliver jest w stanie ciągnąć tę sytuację w nieskończoność, lecz ona nie. W liście nie żartowała; naprawdę bierze pod uwagę samobójstwo.

- Czasami myślę, że Oliver wychodzi z założenia, iż małżeństwo nie może wyglądać inaczej. Uważa, że przywyknę. Myli się, nie mogę jednak mu tego uświadomić dostatecznie jasno. Musisz, Henryku, dla mnie, musisz...

- I dodała głośno, zwracając uwagę osób przy sąsiednich stolikach: - Życie powinno być lepsze niż to. - Henryk wierzył w słowa Małgorzaty i na chwilę ogarnęło go żarliwe pragnienie przyścia jej z pomocą. - Ty jesteś w porządku - powiedziała. - Proszę, pojedź i porozmawiaj z Oliverem.

Henryk obiecał i natychmiast tego pożałował. Dowiedział się, że Oliver opuścił dom z górą tydzień temu, nie pozostawiając informacji co do terminu swego powrotu. Obiecał pojechać do Cambridge następnego dnia - owładnięty niepokojem większym niż sama Małgorzata; z chwilą gdy w sposób niezwykły dla siebie zobowiązał się do podjęcia określonych działań, czuł, że ktoś powinien przemówić Oliverowi do rozsądku i unaocznic mu rozpaczliwy stan żony. Poza tym, rzadko proszono go o jakąś przysługę, i nie bardzo wiedział, jak odmówić. Zwykle w takim wypadku Karolina przejmowała pałeczkę; teraz, wyprowadzony z równowagi mieszaniną frustracji żony oraz Małgorzaty, czuł, że nie ma prawa pozwolić jej dłużej się dręczyć. Nastawił się na spotkanie z Oliverem,

choć czuł wobec tego pomysłu gwałtowny sprzeciw, i zapytał Małgorzatę, co chce dalej robić.

Wybrała kino („Jest o tyle bardziej kojące niż teatr, prawda, Henryku?"). Poszli na ostatni seans amerykańskiego musicalu, gatunku, którego Henryk zdecydowanie nie cierpiał. Siedział wyprostowany jak struna, świadom - jak zawsze w tego rodzaju miejscach - spojrzeń ludzi, którzy wychylali się spoza jego ramion i grzywy włosów, głośno komentując niecodzienne gabaryty widza. Gdy przy wtórze chórów anielskich para głównych bohaterów zniknęła pod łukiem złocistych obłoków w technikolorze, przyszło Henrykowi do głowy, że jest to podlejsza wersja jego własnej metody; uproszczona, jaśkrawa i natrętna. Pewnie dlatego tak jej nie lubił. Małgorzata siedziała, pochlipując, jako że w kinie wypadało pochlipywać; oparła dłoń na jego kolanie, na co on, niczym uczeń ośmielony poczynaniami zaradniejszej koleżanki, z wahaniem przykrył ją swoją. Dopełniło to jego zażenowania; siedział nieszczęśliwy, wyczekując końca filmu, aż wreszcie przyszło mu do głowy, że ostatecznie nikt mu nie zabrania myśleć o pracy, i potajemnie zaczął układać w myśli zdania.

Po filmie Małgorzata odprowadziła go na nocny pociąg. Siąpił niewielki deszcz, a wtłoczona pod dach brudna para kłębiła się na skraju peronu, osnuwając wózki bagażowych i nogi podróżnych. Kierując się w stronę czoła pociągu, Małgorzata i Henryk wstąpili w tę mgłę; broda i futrzany kołnierz mężczyzny zlały się z nią, tracąc wyrazistość. Henryk zaniósł się kaszlem. Przybyli za wcześnie; najchętniej od razu wsiadłby do wagonu i miał całą sprawę z głowy, lecz Małgorzacie bardzo zależało na pożegnaniu.

Miała na sobie noszony od lat płaszcz z połyskliwej złotawej dzianiny. Przed wejściem na stację rozłożyła bladozłotą parasolkę i wciąż trzymała ją rozpostartą nad głową. Stała pod tym złocistym baldachimem, którego materia, w połączeniu z anemicznym światłem dworcowych latarni, nadawała jej postaci migotliwą poświatę, czyniąc ją wyspą jasności wśród panującego wokół brudu i pośpiechu. Na twarzy kobiety wciąż malowała się

nadzieja, jak gdyby jednym słowem lub gestem Henryk mógł odwrócić jej los.

- Podoba mi się twoja parasolka - rzucił, byle coś powiedzieć.

- To prezent urodzinowy od Olivera - odparła Małgorzata.

Henryk zrozumiał, że kłamie. Nie wiedział dlaczego i pomyślał, że Oliver najpewniej zapomniał o jej urodzinach i biedaczka musiała sama kupić sobie prezent. W gruncie rzeczy pomysł nie wydawał się zły: Oliver po prostu dał jej pieniądze z przykazaniem, aby kupiła sobie coś ładnego. Myśl, że życie Małgorzaty stanowiło nieprzerwane pasmo takich kłamstw, wzmogła rozdrażnienie Henryka. Co za marnotrawstwo świadomości, marnotrawstwo szans rozwoju, co za trwonienie ludzkiej energii na podobne wymysły. Szkoda w tym wszystkim było również i Olivera. Drzemiący w nim potencjał pozwalał chyba na więcej niż tylko zadawanie udręk miłosnych tego rodzaju.

- Słuchaj, a może byś po prostu dała sobie spokój? - W głosie Henryka pojawiły się nagłące nuty. - Niech sobie idzie. Ty zajmij się swoimi sprawami. Czymś naprawdę istotnym. Zacznij od nowa.

Małgorzata wzdygnęła się gwałtownie i idiotycznie zaszczykała zębami. Parasolka zakołysała się nad jej głową niby drzewo palmowe.

- Czy ty... Henryku... czy rzeczywiście myślisz, że jest tak źle? - wydusiła wreszcie. - Przecież nie jest tak źle, prawda, Henryku?

Bez względu na to, co przez cały wieczór mówiła o Oliverze, nie przypuszczał, że tak uparcie będzie obstawać przy swoim. Nie podejrzewał, żeby po jego powrocie z Cambridge spodziewała się usłyszeć pocieszającą historyjkę o błahym nieporozumieniu, przynoszącą nadzieję na rychłe rozwiązanie. Inne możliwości przerastały jej wyobraźnię.

- Przecież nie jest aż tak źle, prawda, Henryku? - powtórzyła błagalnie.

Nie dawał za wygraną.

- Czy kiedykolwiek myślałaś, by zająć się czymś innym?

- Co miałabym robić? Nic nie przychodzi mi do głowy. A tobie, Henryku? Nie chcę robić nic innego.

- Mogłabyś wyjść drugi raz za męża.

- Nie... - odparła, podchodząc bliżej. - Nie, nie, ty byś tego nie zrobił, prawda? Nie chcę robić nic innego. Chcę Olivera. Chcę...

Henryk zaczął się wycofywać, czując, że przed odjazdem musi naprawić wyrządzoną szkodę.

- Przepraszam - rzucił niezręcznie. - Chodziło mi jedynie, byś wzięła to pod uwagę. Trudno cokolwiek przesądzać przed rozmową z Oliverem.

- Tak... - odrzekła z westchnieniem ulgi Małgorzata.

- Porządny z ciebie człowiek. On cię wysłucha. Wszystko będzie dobrze.

Na stacji rozbrzmiał cierpliwy, metaliczny głos spikera.

- Pociąg odjedzie z peronu...

- Muszę iść.

- Tak - odpowiedziała Małgorzata. Przyłgnęła do niego i pocałowała go. Parasolka opadła na ramię Henryka jak rozkwitły pąk. - Jesteś dobry, taki dobry, w tobie cała moja nadzieja. Zabiłabym się, gdybyś nie przyjechał. - Chwyciła go wolną ręką za kołnierz, powtarzając z niespodziewaną zawziętością: - Naprawdę, zabiłabym się.

Henryk wymamrotał coś uspokajająco, poklepał ją po ramieniu i cofnąwszy się o kilka kroków, wskoczył do pociągu. Spojrzał na nią przez okno, żalostną w jaskrawym stroju i kałużą blasku. Języki pary pełzały po dworcu, a martwe, szarawe światło sączyło się poprzez sklepienie jak pomyje. Gdy pociąg ruszył i Małgorzata pomachała złocistym ramieniem, rozgarniając kłęby pary, Henryk pomyślał, że przecież nikt nie kazał jej wychodzić za Olivera. Równie dobrze mogła związać się z odpowiedniejszym człowiekiem, który doceniłby jej umiejętności kulinarne i podziwiał stroje, i wcześniej urodzić dzieci: wówczas jej poglądy na życie prawdopodobnie pozostałyby niezmienione. Nie chciałyby znaleźć się na miejscu Olivera. Mimo to nadal kipiał w nim gniew na tamtego. Oliver sam był sobie winien. Należało uświadomić mu, co narobił. Albo wymusić na nim poniesienie od-

powiedzialności i naprawienie szkód. Przez kilka mil myśli Henryka podążały tym niezwykłym dla niego torem.

Małgorzata stała na dworcu, machając ręką na pożegnanie, dopóki pociąg nie zniknął jej z oczu. Ogarnęło ją poczucie dobrze wypełnionej misji: ściągnęła na pomoc Henryka, którego siła sprawcza wróci jej Olivera, na powrót wtłaczając go w ramy, z których tak nieroztropnie się wyrwał. Nie mogła jednak pozbyć się lęku wzniesionego ostatnimi słowami Henryka. Dlaczego ona nie da sobie spokoju, powiedział. Nie mówił tego poważnie, przecież sprawy nie zaszły aż tak daleko; wiedział, że gdyby to zrobiła, sprowadziłaby całe swoje życie i samą siebie do rangi kłamstwa. Przecież nie chciał, by stała się niczym.

Ale powiedział to. Wkrótce Małgorzata przestanie dociekać przyczyny i oswoi się z tą myślą, tocząc ją w umyśle jak perłę. Niezdecydowanie ruszyła wzdłuż peronu, zła, że ostatnie wspomnienie Henryka zostało w ten sposób skażone, i przypomniała sobie brud panujący w mieszkaniu, nieumyte szklanki, zepsute ser, niedopałki. Widziane z tej perspektywy, prezentowały się znacznie gorzej, niż gdyby przebywała wśród nich. Ciepło pozostawione przez Henryka ulotniło się bez śladu. Szukając pocieszenia, wyobraziła sobie Olivera z pierwszych tygodni ich związku. Przystanęła, wpatrzona w jego drobną, ciemną postać, kroczącą zdecydowanie przez dworzec w jej kierunku; wyłonił się z cienia zamkniętego kiosku z gazetami, padającego na obwoźną herbaciarnię. Zmaterializował się pod zegarem i ucałował ją.

- Spóźniłeś się - upomniała czule.

- Nieprawda, nie mógłbym - odparł, dając temu wyraz. - Zawsze tak pięknie wyglądasz. Cieszę się, że dałem ci tę parasolkę; widzisz, podobała się nawet Henrykowi Severellowi.

- Masz świetny gust - rzuciła w odpowiedzi, żywo zwracając ku niemu twarz. Kilka osób obejrzało się za nią; zignorowała je. Od dawna już nie wdawała się w wyimaginowane rozmowy z Oliverem; nie były dość prawdziwe. Teraz jednak wmawiała sobie, że przechodnie są zbyt zajęci sobą, by zwracać na nią uwagę. Ci, którzy kie-

rowali spojrzenie w jej stronę, w gruncie rzeczy wcale na nią nie patrzyli. - Kocham cię, Oliverze. - Po powrocie do domu idziemy prosto do łóżka, miałam ciężki dzień. Jestem zmęczona. Miło było zobaczyć Henryka, lecz twój widok sprawia mi większą radość.

- Nie chcę z nikim cię dzielić - powiedział Oliver. - Nawet z nim.

Małgorzata skinęła głową.

- Jest człowiekiem, którego mogłabym pokochać, gdybym nie miała ciebie. - Kładąc mu palec na ustach, przywołała taksówkę i kiedy jechali mokrymi ulicami, podjęła rozmowę na temat tego, jak spędzą nadchodzącą noc. Niekiedy sytuacja wymykała się spod kontroli i nocą, w łóżku, Oliver znęcał się nad nią. Gdy zbliżali się do domu, ogarnął ją lęk. Po zapłaceniu za taksówkę wspięła się po ciemnych schodach i wkładając klucz do zamka, zwróciła się do męża błagalnie: - Bądź dla mnie dzisiaj dobry, Oliverze, proszę! Bądź dobry...

- Będę dobry - obiecał, wchodząc za nią do zimnego korytarza i zaglądając przez jej ramię do sypialni. Mdląca woń nieświeżej żywności uderzyła ich w nozdrza. - Nie sprzątaj - powiedział. - Nic nie szkodzi, zrobimy to jutro. Chodźmy do łóżka.

- Obiecaj, że będziesz dobry. - Drżąc, zsunęła brązową suknię na podłogę, na stertę innych ubrań.

- Oczywiście, że będę dobry - zapewnił.

Ale było jeszcze za wcześnie.

Pogoda nadal była deszczowa, gdy Henryk wyjechał do Cambridge. Wyszedł z dworca wprost na siąpiącą z nieba mżawkę. Na postoju taksówek stała długa kolejka, złożona z rozgadanych studentów w towarzystwie przybyłych na weekend sympatii z parasolkami i pudłami na kapelusze. Ogarnięty niesmakiem dla ich młodości i zapału, nie miał ochoty do nich dołączyć. Bał się też, że ktoś może go rozpoznać i spróbuje nawiązać rozmowę. Jazda autobusem nie wchodziła w rachubę. W środku nie było dla niego miejsca; obijał się o współpasażerów, depcząc im po nogach, dusił się, uderzał głową o górne uchwyty i ku niechęci innych zajmował więcej niż przysługujące mu jedno siedzenie. Bez kapelusza i parasola ruszył więc ponurą ulicą, prowadzącą ze stacji, myśląc, że neutralnie mroczna aura oraz panujący wokół brud stanowią stosowną oprawę dla czekającego go niemiłego zadania. Nie dopuszczał do siebie myśli o Oliverze Canningu. Im dłużej o nim myślał, tym większym niesmakiem napełniała go cała ta wyprawa, urastająca przy tym w dodatku do rangi znacznie większego przedsięwzięcia.

Niezdolny zwolnić kroku, zbyt szybko dotarł do Christ's i przeciął ulicę w kierunku Petty Cury. Tutaj niepokój owładnął nim bez reszty. Podejrzewał, że atakuje on wszystkich, którzy decydują się na powrót, czy to trzy

tygodnie, czy, jak w jego wypadku, trzydzieści pięć lat po ukończeniu studiów.

Cambridge zdawało się wywoływać nostalgię nawet u tych, którzy tu mieszkali, być może dlatego, że ich pobyt był tak krótki, iż już w chwili rozpoczęcia zmierzał ku końcowi. Skoro jednak jego własny niepokój można było określić mianem nostalgii, było to z gruntu skażone, chorobliwe uczucie. Nie wracał tu wprawdzie po raz pierwszy, po raz pierwszy jednak wracał sam. Zwykle towarzyszyła mu Karolina, w której obecności zachowywał się zgodnie z jej oczekiwaniami. Raz czy dwa razy przybył tu na wykłady, gdzie czekało na niego podniecone i gadatliwe audytorium. Było to miejsce, które nasywało mu obawę, czy samotność nie jest aby niewskazana.

Szedł przed siebie bez żadnego określonego celu, minął King's, potem Trinity, aż wreszcie wyszedł na Backs, gdzie usiadł na mokrej ławce naprzeciw biblioteki i weselnego tortu, wieńczącego John's, obserwując, jak deszcz marszczy powierzchnię rzeki i spływa po wierzbach. Opady wzmożyły się, odpowiednio do nastroju. Siedział skulony, ze wzrokiem utkwionym w wodę, unikając spojrzeń przechodniów na wypadek, gdyby któryś z nich okazał się Oliverem Canningiem.

Był niegdyś niczym niewyróżniającym się studentem, zwalnym i nieśmiałym, pozornie niezbyt błyskotliwym, a jednak przeświadczonym o swych ogromnych możliwościach; ustawicznie dręczył się przy tym, czy owo przeświadczenie wynika z pobożnych życzeń, czy też jest głębiej uzasadnione. O ile wiedział, ludzie lubili go, choć on darzył siebie przemożną niechęcią. Jego uczelnia nie była szczególnie popularna; nigdy nie znał też ludzi, których wypadało znać, choć bardzo mu na tym zależało. Pragnął wsławić się błyskotliwością i stylem, wydawać przyjęcia z jajkami siewek i afiszować się intymną zażyłością z pięknymi kobietami.

Zmienił pozycję, rozmazując pokrywające ławkę krople deszczu i pod grubą warstwą tweedów spociał się na myśl o kobietach, których nigdy nie obejmował, o wielkopańskich młodzieńcach, którzy nigdy nie poklepalili go

po ramieniu ani nie zagadali doń przyjaźnie, o dochodzących z sąsiedztwa śpiewach i tańcach, na które nigdy go nie zaproszono. Cóż zyskałem w zamian? - zapytał sam siebie w przyływie dziecinnego rozżalenia. Szacunek, piedestał, jak D. H. Lawrence. Cóż, Lawrence nie żył, i Henrykowi nigdy nie było dane go poznać. Równie dobrze on sam mógłby nie żyć. Młodzi ludzie z nabożeństwem wypowiadaliby jego nazwisko, lecz bez wątpienia nie klepaliby go po ramieniu i nie zapraszali na drinka. Bezsprzecznie nie miał nigdy tego zaznać.

Mijali go dwójkami i trójkami, w żółtych, płowych, szarych i niebieskich kapturach, nasuniętych na twarze. Zakapturzone postaci o głowach pochylonych pod deszczem nasuwały myśl o powrocie do monastycyzmu. Czuł się bezsilny; zapragnął zrobić coś, co uchroni go przed wspomnieniami oraz, co gorsza, koniecznością konfrontacji z Oliverem Canningiem, i zawstydzony, przypomniał sobie o Annie. Przypuszczał, że mogła znać tych młodych ludzi, a nawet uczestniczyć w imprezach odpowiadających obecnie dawnym lunchom z jajkami sievek i szampanem. Nie miał pojęcia, jak się tu urządziła; myśl o podjęciu przez nią jakichkolwiek konstruktywnych działań wydawała się absurdalna. Wstał i ruszył w stronę jej akademika.

Tutaj, jak zwykle, czekały różne trudności: portierzy, strzałki oraz długie, wykafelkowane na czerwono korytaryze, które zdawały się nie prowadzić w żadne zamieszkałe miejsce. Za jego czasów wstęp tutaj był wzbroniony, z wyjątkiem oficjalnych podwieczorków, o ile było się spokrewnionym z jedną z młodych panien; w jego wypadku akurat nie zachodziła taka okoliczność. Uważał wówczas dopuszczenie tu kobiet za wspaniałe, ale nie poświęcał im większej uwagi. Nie były tymi, z którymi chciał lub mógł sypiać, a ich towarzystwo nie przysporzyłoby mu pożądanej popularności. Wszedł do środka wraz z grupą zakapturzonych chłopców, którzy, pewni celu, wyminęli go pośpiesznie i znikli wśród krętych korytaryzy. Henryk zajrzał do okienka portiera.

- Przepraszam pana. Panna Severell, panna Anna Severell. Jak mógłbym ją znaleźć?

Portier udzielił mu dokładnych wskazówek, które Henryk puścił mimo uszu, jak każdy, kto znajduje się w sytuacji informowanego.

- Czy pan jest ojcem panny Severell?

- Owszem - odparł Henryk, sztywniejąc.

- To jedna z naszych najmilszych młodych dam - powiedział portier.

Henryk był święcie przekonany, że facet łągał jak z nut.

Korytarze wydawały się nie mieć końca. Henryk poszedł za daleko, wrócił, wspiał się po schodach, po czym ponownie zszedł na dół, nasłuchując dobiegających zza drzwi piskliwych głosów, które milkły na dźwięk donośnego echa jego kroków. Na końcu korytarza, ogarnięty desperacją, otworzył przypadkowe drzwi i stanął oko w oko ze zdumioną dziewczyną o ciężkich piersiach pod pikowanym szlafrokiem, z ręcznikiem i kosmetyczką pod pachą i mokrymi włosami opadającymi na ramiona i plecy. Pachniała parą i szamponem. Niestropiona, zareagowała uśmiechem, lecz Henryk, na wspomnienie dziewcząt ze swojej młodości, wycofał się gwałtownie, uderzył plecami o klamkę i odwróciwszy się, by odczytać nazwisko na wizytówce, stwierdził, że stoi przed pokojem córki. Głośno załomotał do drzwi. Nie padła żadna odpowiedź, ale mimo ciszy wyczuwał po drugiej stronie czyjaś obecność. Zastukał ponownie. Anna uchyliła drzwi o kilka cali, jednocześnie przytrzymując je ręką, jakby chciała zaraz je zatrzasać. Nie wyglądała tak, jak tego oczekiwał. Nie potrafił sprecyzować tych oczekiwań, towarzyszyło mu jednak poczucie przestrzeni, którą miała zapełnić Anna, jego córka, a nie tamta podejrzliwa istota.

- Ach! To ty. Po co przyjechałeś? - zapytała nerwowym, piskliwym głosem.

- Żeby się z tobą zobaczyć. Mogę wejść?

Nie spuszczać z niego wzroku, Anna nie ruszyła się z miejsca; odniósł wrażenie, że zbiera się na odwagę, by zatrzasać mu drzwi przed nosem. Zaraz jednak otworzyła je szerzej, jednocześnie usuwając się na bok, by umożliwić mu wejście do ciasnego pokoju o wysokim su-

ficie. Szttywny ze skrępowania, wszedł do środka, kapiąc na dywan deszczem z mokrego płaszcza.

- Daj mi swój płaszc. Powieszę go w łazience. - Wzięła od niego okrycie i powiesiwszy je na wieszaku, wyszła do łazienki, dając ojcu jednocześnie znak, by usiadł.

Zajął jedyne krzesło, chwiejny wiktoriański mebel, obsyty falbaną z kaliko; sprzęt w porównaniu z nim wydawał się karykaturalnie mały. Czekał. Anna wróciła, niosąc ręcznik.

- Masz przemoczone włosy. Mam je wytrzeć?

- Proszę.

- Najpierw nastawię wodę. Obawiam się, że został tylko jeden lub dwa czerstwe herbatniki. Rzadko miemam gości.

- Napiłbym się herbaty.

- Zaraz będzie. Podoba mi się pomysł podjęcia cię herbatą.

Przyklękła, by włączyć palnik. Miała na sobie czarną wełnianą koszulę i obcisłe spodnie; widział jej wydatne kręgi i ostry zarys kości biodrowych.

- Bardzo schudłaś, Anno.

- Wiem. Tylko nie mów mamie, proszę. - Postawiła czajnik. - Teraz włosy - powiedziała. - Mama na twój widok padłaby trupem, nie uważasz?

Stała za ojcem z ręcznikiem w rękach i jęła energicznie suszyć jego bujną czuprynę, aż ta zaczęła sterczeć na wszystkie strony. Następnie tarła kark i miejsca nad uszami, dopóki Henryk nie poczuł, że piecze go skóra. Pracowała w milczeniu; on również nie odzywał się ani słowem, patrzył tylko na swoje kolana i czekał. Kiedy skończyła, pogładziwszy go po głowie, oparła na niej na chwilę rękę, po czym zdjęła czajnik z kuchenki.

Zalała herbatę wrzątkiem, powąchała mleko, czy aby nie skwaśniało, i przetarłszy ścierką filizanki, otworzyła puszkę z herbatnikami.

Jedynym źródłem światła była wygięta lampa z żelaza zgrzewnego, typowa dla żeńskich college'ów w Cambridge, stojąca na stercie książek, z grubym przewodem, sięgającym od podłogi do sufitu. Emanowała słabym światłem; czerwony odblask ognia na policzkach i wło-

sach Anny był mocniejszy. Na dworze deszcz łomotał o szybę, a zszarzała płachta nieba nisko zwieszała się nad miastem. Było to jedno z typowych jesiennych popołudni, podczas których za czasów studenckich Henryk z upodobaniem piekł na ogniu niezliczone ilości racuchów.

Pokój Anny trudno było nazwać przytulnym. Wyglądało na to, że nie wprowadziła tu żadnych zmian; podłogę pokrywał sznurkowy dywanik, na łóżku widniała pasująca do zasłon zielona, uniwersytecka narzuta, usiana płowożółtymi kwiatami, stał sekretarzyk, kufer oraz biblioteczka z kilkoma wypożyczonymi książkami. Nie znajdowało się tu nic będącego własnością Anny. Nie chce pozostawiać po sobie śladu, przemknęło Henrykowi przez myśl. Anna podała mu filiżankę; przyklękając, postawiła przed nim mleko, cukier, talerz oraz ciastka i położyła łyżeczkę. Ten uległy, kobiecy gest wzbudził w nim nieoczekiwane rozdrażnienie. Przez ostatnich kilka dni zewsząd bombardowany był drobnymi przejawami kobiecego poddania. To źle, że Anna zdążyła już przejąć niektóre z tych gestów. Z pochyloną głową cofnęła się na czworakach w róg pokoju, gdzie usiadła skulona, obejmując kolana ramionami. Nie miał pojęcia, jak zacząć rozmowę.

- Powiedzmy to sobie wreszcie - wybuchnęła niespodziewanie, po dłuższej chwili wpatrywania się w ogień. - Po co naprawdę przyjechałeś? Kto cię przysłał?

- Nikt. Z jakiej niby racji?

- Ach, sama nie wiem. Trudno w to uwierzyć.

- Przepraszam - odparł z wysiłkiem. - Po prostu chciałem cię zobaczyć, chyba zjawiłem się nie w porę.

- Co to znaczy?

- Co się z tobą dzieje, Anno? Jesteś taka niespokojna.

- Niespokojna? - powtórzyła, odwracając głowę. - Raczej zaskoczona. Nie spodziewałam się ciebie.

Zapadła cisza. Henryk zwrócił spojrzenie ku oknu, za którym widniało jedynie gęstniejące niebo. Wówczas Anna popatrzyła na niego ostrożnie, usiłując oszacować skalę jego nieoczekiwanej troski. Gdy opuścił głowę, napotykał jej wzrok, dorzuciła, przyparta do muru:

- Na pewno nikt cię nie przysłał?

- Nie, przecież ci mówię. Wolałbym, żebyś... - Urwał, spoglądając na nią badawczo, jak gdyby, pomyślała, widział ją po raz pierwszy w życiu. Następnie odwrócił wzrok i znowu zapadło milczenie. Nie znał myśli Anny. Jego własne były poplątane i dość nieprzyjemne. Popatrzył na zadumaną twarz córki, opadające powieki, zaciśnięte usta oraz dłonie kurczowo zaciśnięte wokół kolan. Narosła w nim niezbita pewność, że oto znajduje się na wprost czegoś, do czego nieuchronnie prowadziły go chaotyczne wydarzenia minionych dni. On, zwykle obojętny na uczucia innych, poczuł się dotknięty, że Anna siedzi w kącie, wyraźnie unikając jakiegokolwiek z nim kontaktu. Poruszył się niecierpliwie na rozchwianym krześle i dziewczyna drgnęła.

- Przepraszam, zamyśliłam się. Dolać ci herbaty?

- Nie. Nie chcę więcej herbaty. Nie zajmujmy się nią. Co masz zamiar ze sobą zrobić, Anno?

- Co przez to rozumiesz?

- Dobrze wiesz. Jakie życie zamierzasz prowadzić? Kim chcesz zostać?

- Nie mam zielonego pojęcia - odrzekła z pozorną beztroską Anna. - Chyba jeszcze nie muszę się deklarować, co?

- Proszę, nie próbuj mnie zbyć.

Anna wstała i podeszła do kąta, w którym stało łóżko. Henryk wykręcił kark, odprowadzając ją wzrokiem.

- Przestańcie wszyscy się o mnie martwić - powiedziała. - To nie do wytrzymania. Uważam, że każdy jest kowalem własnego losu, chyba przyznasz mi rację. Każdy powinien myśleć o sobie, inaczej niewiele się w życiu osiągnie. Myśl o tym, że się mną przejmujesz, dodatkowo pogarsza sprawę, gdyż wówczas i ja czuję się za ciebie odpowiedzialna. Zawsze pod tym względem byłeś bez zarzutu: obyło się bez wykładów, kazań i gładzenia, za co jestem ci wdzięczna. Teraz też zostaw mnie w spokoju. Proszę.

Henryk, który w rozmowie z Karoliną użył identycznego argumentu, że każdy ponosi odpowiedzialność za samego siebie, stwierdził naraz, że jest on z gruntu nieprawdziwy i przewrotny.

- Jesteś moją córką - odparł z szorstką czułością. - Obchodzi mnie to, co ciebie dotyczy, a zatem mam zamiar pewne sprawy wyjaśnić. Dlaczego jesteś nieszczęśliwa? Czy wolałabyś robić coś innego?

- Nie... - odpowiedziała Anna, akceptując, jak mu się zdawało, jego troskę. - Nic bym nie wolała. Zupełnie nic. To połowa problemu. Oczywiście, że jestem nieszczęśliwa. Odkąd sięgam pamięcią, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek czuła się inaczej. Zdażyłam się przyzwyczaić. Przepuszczam, że większość ludzi jest nieszczęśliwa.

- Ależ skąd...

- Ach, nie mówię o ludziach twego pokroju, którzy mają coś ważnego do zrobienia i świetnie radzą sobie z tym zadaniem. Lecz większość z nas...

- Przestań - przerwał Henryk, czując, że córka ponownie odsuwa go, odmawiając mu prawa do troski zgodnie z założeniem, że i tak nie obchodzi go jej stan ducha. - Usiądź. Chcę z tobą porozmawiać. - Opowiedział jej, jak opowiedziałby przyjacielowi, którego nigdy nie miał, o okresie swych studiów w Cambridge. Opowiedział o kobietach i marnym dyplomie; opowiedział, jak z nerwów pluł i wykrzykiwał w czasie hospitacji. Zastanawiał się, czy nie uzna tego za wykład stawiający jej za wzór kogoś, kto, koniec końców, wyszedł na ludzi i zasługiwał na naśladowanie. Nie był pewien, czy nie miałaby racji - robił to głównie ze względu na siebie; z przyjemnością patrzył, jak słucha i rozumie jego słowa. - Chodzi o to - podsumował - że byłem do niczego; ot, niezdara. Mimo to miałem pewność, że jestem w stanie coś osiągnąć. Coś wielkiego. To przekonanie rozpiętało mnie od środka. Lecz nie umiałem zacząć; nie miałem pojęcia, co powiedzieć ani jakim sposobem ująć to w słowa. Nic poza energią, która grzała, jak ogień grzeje przemarznięte zimą dłonie.

Anna milczała.

- Czy mówię jak napuszony kaznodzieja? - zapytał. - Nie to było moim zamiarem.

- Nic nie szkodzi - odrzekła, rozważając coś w myślach.

Przyszło mu do głowy, że mówienie o sobie stanowiło gwarancję dobrej wiary oraz woli zaangażowania, której być może oboje potrzebowali w równym stopniu. Lecz w momencie, kiedy to nastąpiło, przypomniał sobie sytuację, gdy zwierzenia innych skutecznie zniechęciły go do zażyłości. Komunikacja często przebiegała tylko w jedną stronę. Na wspomnienie własnego ojca, jego chęci ochronienia go przed samym sobą oraz jego uczuć wobec niego, syna, uznał, że w przypadku Anny popełnił błąd. Bardziej zaufałyby mu, gdyby zachował milczenie, nie próbując nadawać sobie nagle ludzkiego oblicza. Mimo to pragnął dać jej do zrozumienia, że przecież jest człowiekiem. Czuł, że oboje powinni to wiedzieć.

Annę do tego stopnia zdumiała wyczuwana w ojcu chęć poznania jej lub bycia poznanym samemu, i nawiązania nici porozumienia, że na chwilę zapomniała o przyczynach, dla których obawiała się jego przyjazdu. Być może gdyby w przeszłości byli sobie bliżsi, czułaby się teraz w bardziej zwyczajny sposób zakłopotana. A tak była po prostu gotowa go pokochać i powiedzieć mu to, co jedynie on potrafiłby zrozumieć; tak długo czekała na tę możliwość.

- O, tak! - zawołała żarliwie, na co zwrócił się ku niej pełen radosnego zdziwienia. - Dokładnie tak, właśnie tak się czuję! Nie tylko nieszczęśliwa, lecz nieszczęśliwa, mimo że nie musi tak być, i to właśnie jest najgorsze. Często czuję, że mogłabym wieść wspaniałe życie, odnaleźć jedną jedyną *rzecz*, dzięki której te wszystkie małe, denerwujące aspekty życia złożyłyby się w jedną całość, zyskując tym samym znaczenie. Byłabym pewna, że potrafię ożywić je samym spojrzeniem. Wiem, że rozumiesz. Obserwowałam cię przy pracy, powtarzam, *wiem*, że rozumiesz. Mimo to tkwię w miejscu i niekiedy myślę, że powinnam zwrócić się ku czemuś w bardziej oczywisty sposób możliwemu - własnym ograniczeniom lub garom - bo inaczej moim udziałem stanie się mniej niż nic.

- Pozostaje jedynie kwestia najlepszego sposobu na znalezienie owej rzeczy! - zawołał Henryk z triumfem. Słyszając to, Anna raptownie poderwała do góry głowę. Przez chwilę spoglądali na siebie z uśmiechem.

- Ty jesteś w porządku, wszystko jest w porządku dopóty, dopóki tak właśnie czujesz - podjął. - Możesz być tak nieszczęśliwa, jak ci się podoba, o ile tylko nie zaprzestaniesz poszukiwań i nie poddasz się. Zostaw gary w spokoju. Niby czemu miałybyś się nimi zajmować? Nigdy nie wolno ci uwierzyć, że nie może być lepiej. Musisz nastawić się na poszukiwanie celu. I tyle. Więc co?

- Bo ja wiem.

- Dowiesz się. - Zawahał się. - Jesteś taka jak ja, czy ci się to podoba, czy nie. Jesteś moją córką.

Anna popatrzyła na niego ze sceptyczną, kobiecą łagodnością, właściwą nie jemu, lecz Karolinie. Zrozumiała, że podniecił go ten wyidealizowany obraz jej samej, i wzruszyło ją, że pokłada w niej wiarę, na którą nigdy nie miała nadziei. Niemniej jednak poświęciła temu więcej refleksji niż on i była bardziej świadoma różnicy pomiędzy jego siłą a tym, co po nim odziedziczyła. Obawiała się, że brakuje jej tężyzny fizycznej ojca i nie może za jego przykładem szafować energią, lecz szanować ją i oszczędzać, inaczej rychło jej tej energii zabraknie, o ile w ogóle zdoła ją z siebie wykrzesać. Działo się tak częściowo dlatego, że była kobietą; z tego samego powodu nieustannie towarzyszyła jej pokusa, by dać za wygraną, oprzeć się na czyichś dążeniach oraz „spożytkować” swą energię przy zlewie. Zwalczanie owej społecznie akceptowanej pokusy wydatnie utrudniało poszukiwanie celu. On nie ma o tym pojęcia, pomyślała z lekkim politowaniem. Lecz ciepło związanych z nią ojcowskich nadziei przeważało.

- Wszystko, na czym kiedykolwiek mi zależało, stało się twoim udziałem - powiedziała. - Być może nie miałam szansy, by chcieć czegoś innego. Żałuję, że nie mam zdolności do matematyki. A jednak może jestem do ciebie podobna, może w końcu coś odziedziczyłam? Tchórzliwie unikam odpowiedzi na to pytanie. Chcę pisać, ale nie mogę zacząć, z powodzeniem wcielając ów zamiar w życie, skoro jesteś obok. Jak mam stwierdzić, czego naprawdę chcę?

Henryk milczał.

- Może jestem jeszcze za młoda, by to wiedzieć. - Al-

bo tylko tak mówię, chcąc uniknąć konieczności podjęcia decyzji, uzupełniła w duchu.

- Myślę, że powinnaś się do czegoś zabrać - oznajmił.
- Nie możesz dłużej zwlekać. Skoro chcesz pisać, musisz pisać. Co ci daje Cambridge?

- Nic - odrzekła zbyt szybko Anna.

- Tak myślałem. Zawsze uważałem, że nie jesteś typem naukowca.

Mogłaś to powiedzieć wcześniej, pomyślała Anna, zamiast pozwolić im przepychać mnie na siłę przez te egzaminy. Mimo to milczała.

- Starożytne zaklęcia podobno traciły swą moc, gdy człowiek oddzielił się wodą od miejsca, w którym zostały rzucone, lub od czarownicy, która je rzuciła - rzekł Henryk. - Jeżeli masz zamiar zrezygnować, jestem gotów cię poprzeć. Dlaczego nie odjedziesz: ode mnie, od ludzi, którzy mnie znają, od tych wszystkich książek? Dam ci trochę pieniędzy, bez żadnych pytań. Mogłabyś wyjechać do Meksyku albo gdzie indziej, coś pisać albo robić, co ci się żywnie podoba. I nie mów, że zmiana otoczenia nie wpływa na zmianę nastawienia lub nie pomaga w rozwiązaniu problemu, bo to wygodny defetyzm: jeżeli coś takiego nawet nie zmienia sytuacji, to pomaga ci uczynić to samej. Wiem coś o tym. Na twoim miejscu wziąłbym ze sobą tylko to, co niezbędne, i wyjechał. Lecz sama musisz dokonać wyboru.

Henryk rozpaczliwie pragnął określić rodzaj pomocy, której mógłby udzielić Annie; rozmowa to nie wszystko, musi ofiarować jej konkretny punkt oparcia. Spoglądając w ogień, oboje ujrzeni oczami wyobraźni, jak pośrodku pokoju, na wyciągnięcie ręki, rozbłyska świetlista, gładka kula słońca. Na ich oczach rosła i potężniała, otwierając przed nimi słoneczną krainę pod bezkresną płachtą nieba. Ich niemal identyczne wizje przedstawiały połączenie wędrującego piasku, stylizowane góry, szarzące w oddali, oraz białe domki o chłodnych, gościnnych wnętrzach za grubymi murami. Żadne z nich nie wykazało większej dbałości o szczegóły: dla angielskiego mieszczucha słońce i niezmierna przestrzeń symbolizują wystarczającą tajemnicę oraz poczucie wolności.

Na dworze prawie zapadł zmierzch, za oknem widniała przymglona, granatowa czerń tarniny. Henryk popatrzył w zamyśleniu na twarz córki, widoczną w przytłumionym świetle płomienia gazowego, szukając na niej oznak poruszenia. Anna rozmyślała o szkarłatnych i białych kwiatach kaktusa, których pąki eksplodują w upale na kolczastych totemach wrosniętych w piach. Chciałabym to zobaczyć, pomyślała. I zaznać samotności. Dlaczego by nie uciec? Człowiek, bądź co bądź, przestał wierzyć, że Bóg umieścił go w jednym miejscu jako dopełnienie całości najlepszego ze światów. Dlaczegoż by nie uciec od tej biurokratycznej boskości, nie wziąć tego, co znajduje się na wyciągnięcie ręki, nie zebrać swych korzeni - o ile się takowe posiada - i nie przenieść ich gdzie indziej? Po co miałabym tu zostawać, myślała, i w rezultacie wiedzieć tak mało o tak niewielu sprawach?

- Nie brałam tego pod uwagę - wyjaśniła. - Zawsze sądziłam, że człowiek może wyjechać dopiero wtedy, gdy już określi swoje stanowisko, ale...

- Należy spróbować je określić...

- Ach, jakbym nie wiedziała. To... to niesamowicie podniecająca perspektywa. Tak zwyczajnie wyjechać. Naprawdę byś mi pomógł?

- Mogę ci to obiecać - zapewnił Henryk.

- Chyba cieszę się z twojego przyjazdu.

Uradowany Henryk poruszył się na krześle, które zaszkrypiało, protestując. Poczucie dobrze wypełnionego zadania napełniło mężczyznę wewnętrznym ciepłem. Znalazł odpowiedź dla Anny, pomógł jej, nawiązał z nią kontakt. I zanim w pełni zdołał uświadomić sobie cały wachlarz osiągnięć, popełnił błąd.

Wydawało mu się, że teraz już może powiedzieć córce wszystko; skoro zaczął mówić, pragnął kontynuować, rozprawiać dalej na temat swego widzenia świata i utwierdzić Annę w wewnętrznej sile, która, jak mniemał, jej umożliwiała to samo.

- Ostatnio dużo myślałem o marnotrawstwie - zaczął - o tym, jak większość ludzi spędza swe życie, albo przynajmniej znaczną część wyznaczonego im czasu: mianowicie trwoniąc go na błahych czynnościach, które w naj-

lepszym razie nie czynią ich bardziej ludźmi, a w najgorszym upodabniają do maszyn. Mówię o mężczyznach obsługujących maszyny nakładające kapsle na butelki - moja wiedza na ten temat jest żenująco uboga - oraz kobietach, które całymi dniami wystukują na maszynach do pisania niezrozumiałe dla nich teksty. I nie o samą czynność tu chodzi, lecz o przypisywanie jej znaczenia, ową dumę czerpaną z małości, przyziemności, która nie wnosi nic do bycia człowiekiem. Rozumiesz, co mam na myśli, Anno?

Weźmy na przykład Małgorzatę Canning. Przyjechałem do Cambridge po części na jej prośbę. Wygląda na to, że małżeństwo Canningów się sypie, już leży w gruzach, lecz ona za nic nie chce przyjąć tego faktu do wiadomości. Dlatego zjawiłem się tu na rozmowę z Oliverem. Nie powiem, żeby coś takiego należało do moich ulubionych zadań; wzbraniam się przed tym, jak mogę. Dawniej Małgorzata była osobą pełną życia oraz naturalnego instynktu, umożliwiającego jej egzystencję zgodną z wyrobionymi poglądami. Odwiedziłem ją w ich mieszkaniu, gdzie przekonałem się na własne oczy, jak bez konieczności gotowania i sprzątania cały ten ideał legł w gruzach. Na swój sposób podziwiam jawną kapitulację tej kobiety; zarówno ona, jak i to miejsce znajdują się w opłakanym stanie, zaduch jest niewyobrażalny. Mimo to ona nie chce ustąpić dla zasady, przez wzgląd na tego paskudnego osobnika, który na nieszczęście został jej mężem. Zaczynam postrzegać go jako symbol - rodzaj czarnej, destrukcyjnej dziury, wchłaniającej wszystko dookoła, a następnie wypluwającej to w przeżutej, zmasakrowanej formie, przeznaczonej do ponownego użycia: moje książki, seksualną energię Małgorzaty... i miłość.

Uświadomił sobie, że jego głos przybrał nieco piskliwe tony - dopóki nie zaczął mówić o Oliverze, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo go nienawidzi. Nienawiść na ogół nie była uczuciem potrzebnym mu do życia. Wydawało mu się, że poradziłby sobie z Oliverem, gdyby ten napisał coś przeciwko niemu. Najbardziej doskwierało mu wpisanie jego własnych dokonań w oliverowski schemat widzenia świata. Nie potrafił rozdzielić uczuć wobec

samego Olivera od uczuć wobec Małgorzaty; pomyślał więc, że zasięgnie rady Anny.

- Opowiadała mi o ich życiu erotycznym - zaczął - wraz z jego wszystkimi sadystycznymi aspektami...

- Przestań - powiedziała Anna. - Bardzo cię proszę, przestań.

Wstała i gwałtownie podbiegła do drzwi. Nie wyszła jednak z pokoju; przyłożywszy jedynie dłonie i twarz do drzwi, zaczęła poruszać głową, rytmicznie uderzając nią o środkową listwę. Henryk nasłuchiwał tego bum, bum, bum dziewczęcej głowy, obserwując gwałtowne ruchy chudych ramion córki. Pomyślał, że wie, co zaraz usłyszy, mimo to czekał, na wskroś przepełniony lękiem.

- Nie - odezwała się pomiędzy jednym z uderzeń głową a zdławionym oddechem. - Nie, nie, nie. Idź stąd. Wyjdź. Powinam była się domyślić. Przyjdzie tu było błędem. Proszę, idź już stąd.

Mogła jedynie myśleć o tym, by dotrzeć do chwili, kiedy Henryk opuści jej pokój. Przecież to kiedyś nastąpi, nie może w końcu zostać tu na zawsze. Widząc w drzwiach ojca, pomyślała, że ktoś powiedział mu o Oliverze, i nie potrafiła przewidzieć jego reakcji - gniew i oskarżenia jak dotychczas wykraczały poza jego możliwości. Henryk, do którego w tym momencie dotarły jej wcześniejsze obawy, zrozumiał, że uznała jego ofertę za próbę przekupstwa, mającą na celu rozdzielenie jej z Oliverem, oraz manipulacji, za której pomocą roztropni rodzice umieją wyperswadować dziecku kaprys, tak by później nie musiało ponosić zań odpowiedzialności.

- Anno...

- Nie, to na nic, idź sobie.

Żadne z nich nie miało ochoty na scenę, która tylko niepotrzebnie przedłużyłaby wizytę Henryka. Wcześniej tego popołudnia, w podobnym momencie, zapewne by wyszedł, by potem zastanawiać się, dlaczego to zrobił. Lecz teraz mógł myśleć jedynie o tym, że Anna jest dla niego kimś, kogo nie wolno mu utracić; podobnie jak inni rodzice w takiej sytuacji, uważał, że powinien był uchronić ją przed cierpieniem; myślał o tym, że ją kocha

i że jej przeznaczeniem jest pójść w jego, ojca, ślady. Wstał i niezdecydowanie postąpił w jej kierunku.

- Jakże mogę iść? Anno...

- Nie dotykaj mnie. - Odwróciwszy się, stanęła twarzą do niego, spoglądając ponad jego głową w okno.

Wydawało mu się, że poczuje ulgę, kiedy rytmiczny stukot umilknie. Był w błędzie.

- Nie rozumiesz, że ta rozmowa nie ma sensu? I że nic nie możesz zrobić?

- Jesteś moją córką.

- O, tak, ale on, Oliver, uważa, że przypominam jego. W tym względzie ma więcej racji niż ty, nie powinnam o tym zapominać. Ty możesz sobie mówić o monotonii i braku znaczenia, zupełnie jakbyś nagle odkrył ich istnienie. Mogą cię rzeczywiście przerażać, lecz ciebie... ciebie w gruncie rzeczy nie dotyczą, interesują cię o tyle, że stanowią pewną nowość. Założę się, że chciałeś nawet opisać Małgorzatę. Kto wie, a może i mnie? Cóż, może i mógłbyś to zrobić; może właśnie stąd wynika atrakcyjność całej sytuacji. Wiesz, kim jesteś: jesteś człowiekiem, który ma dziesięć talentów; trzask-prask i pomnażasz je o kolejne dziesięć. Chrystus sprytnie to sobie wymyślił; wiadomo, że zakopie swój talent ten, który będzie miał tylko jeden. Biedak nie miał nawet z czym zacząć. Ja jednak widzę to inaczej, muszę coś postanowić.

- Nie wierzę.

- Pewnie w twoich ojcowskich oczach jestem córką, która może czegoś dokonać. Trudno jednak znaleźć ku temu konkretne przesłanki. Ja chyba wiem lepiej. Nie ma co z tobą gadać; przypominasz Najświętszą Panienkę, która z wysokości swojej chmurki roni łzy za nas, śmiertelników. Lepiej pozostań w niebie.

- Anno, przestań.

- Uważam też - ciągnęła Anna - że mógłbyś jednak aż tak bardzo go... nie nienawidzić. Jak możesz go osądzać? Jak możesz komentować jego ocenę twoich książek? Przecież ostatecznie je wydajesz. To nie jego - ani moja - wina, że musimy otrzymywać coś z drugiej ręki i że chwała, która na nas spływa, jest tylko i wyłącznie chwałą odbitą. Niektórym, niestety, przypada rola czy-

telników i naśladowców. Och, on wie, co ja czuję, naprawdę wie, choć przez długi czas udawałam, że tak nie jest. Wie, jaka jestem i jak to jest być mną. Powinam mu ufać. Dlatego właśnie go... Kocham.

- Nie wiedziałem.

- Nie chciałeś wiedzieć.

- Jeszcze przed chwilą tak nie myślałaś.

Lecz Anna popadła już w jeden ze swoich nastrojów i wyimaginowane słońce skurczyło się, tracąc moc.

- A powinnam - rzuciła szorstko. - Taka jest prawda. Kiedy zaczęłaś mówić o nim te wszystkie rzeczy, zrozumiałam. Zrozumiałam, że stoję po jednej stronie z nim, nie z tobą. Nigdy nie zobaczą świata na twój sposób.

Henryk zawahał się. Oboje wiedzieli, że konwencjonalny gniew czy protest jest ponad jego siły; Anna poczuła nawet cień zadowolenia, widząc, jak ojciec walczy ze sobą.

- Jest jeszcze Małgorzata - powiedział wreszcie. - Obiecałem jej, że porozmawiam z Oliverem. Chyba muszę dotrzymać przyrzeczenia.

- O nie, nie, nie, nie rób tego. To byłoby straszne. Nie wiem, co ona sobie wyobraża. Jesteś ostatnią osobą, która może to zrobić. Nie rozumiem, co się z nią dzieje. Myślałam, że myśli rozsądnie. Twoja rozmowa z nim okazałaby się czymś potwornym. Byłby nieprzyjemny... znacznie gorszy niż ja. Z satysfakcją by ci zakomunikował, że nie masz tu nic do roboty, że nie masz prawa mówić mi, co mam robić... sam dobrze wiesz; jesteś w stanie przewidzieć jego reakcję. Proszę... naprawdę proszę... wracaj do domu i zapomnij o wszystkim. Bardzo cię proszę.

- Jak mógłbym to zrobić? Jesteś moją córką...

- A cóż to w tej chwili za różnica? Ja nic już nie wiem. Proszę, zostaw mnie w spokoju. I pozwól mi pomyśleć.

- Chcę pomóc - odparł Henryk w poczuciu klęski. Ruszył w kierunku drzwi. - Zaryzykuję i spotkam się z Oliverem - oświadczył. - Czuję, że nic innego mi nie zostaje. Tyle tylko mogę powiedzieć. Ale, Anno...

- Słucham.

- Gdy wszystko się wyjaśni... jeśli będziesz mnie po-

trzebować... lub jeżeli zapragniesz wyjechać... pomogę ci. Chcę ci pomóc. Musisz obiecać, że się do mnie zwrócisz.

- Jeżeli zechcę pomocy, zrobię to. - Anna zaczęła płakać. - Ale nie zechcę, wiem, że nie. Teraz już idź.

Henryk wyszedł się na korytarz i po chwili wrócił, prosząc Annę o przyniesienie z łazienki płaszcza. Upłynął jakiś czas, nim odnalazł wyjście z budynku.

Tymczasem Anna stała przy drzwiach, zastanawiając się, czy łyzy cokolwiek tu pomogą. Uznała, że raczej nie; spojrzała z boku na siebie, bezdennie niedorzeczną, zapatrzoną w noc i zeszywniałą ze zdenerwowania i urazy. W samotności jakiegokolwiek heroiczne poczynania wydawały jej się żenujące; zawsze stanowiła dla siebie marne audytorium. Osuszywszy więc resztki łez, odetchnęła głęboko i umyła filiżanki po herbacie, czego nie robiła nigdy, dopóki nie były ponownie potrzebne. Tego wieczoru miała pójść do Olivera. Nie zrobię tego, postanowiła w duchu. Niech ojciec idzie, skoro chce się wtrącać. Potem zobaczymy, co będzie. Zgodnie ze swymi przewidywaniami, po wyjściu Henryka poczuła się lepiej; wydarzenia zawsze były łatwiejsze do przyjęcia, kiedy toczyły się z dala od niej, za bezpieczną barierą drzwi. Fakty dokonane przyjmowała z pewną dozą stoicyzmu; zagadnienia otwarte przepełniały ją paniką. Obecna sytuacja chwilowo znalazła się poza jej wpływem. Anna potrzebowała wytchnienia.

Uznała, że Henryk, pełen niesmaku w związku z ostatnią sceną, nie odważy się wrócić. To dla niego dość. Jego długotrwały entuzjazm wobec niej zdumiał ją: nie podejrzewała, by miał szansę przetrwać. Henryk był tymczasowo nieszkodliwy. Pozostawał jednak Oliver.

No i Małgorzata.

Anna przyjęła odmalowany przez ojca wizerunek Małgorzaty, w ogóle go nie kwestionując. Niemniej jednak myśl o jej godnym pożałowania stanie nigdy przedtem nie powstała jej w głowie. Myśli Anny o Małgorzacie ograniczały się do rozważania postawy, jaką ona zaprezentowałaby na miejscu tamtej. Przyjęła założenie, że Małgorzata; tworząca zgodne, małżeńskie stadło z Olive-

rem zgoła niepodobnym do Olivera, z którym sypia Anna, nie przejęłaby się całym incydentem, tak jak ona nie przejmowała się tym, co Oliver robił z dala od niej. Na ironię, jedyną osobą, niezbitcie przekonaną o harmonii małżeńskiego pożycia Canningów, była Anna; w Darton obserwowała, jak Małgorzata obsypuje Olivera pocałunkami przy stole, zarzuca mu znieścacka ręce na szyję, wdzięcznie przykłada u jego stóp, pytając go o zakupy lub rozkład pociągów, i przynosi mu drobne upominki z każdego spaceru do miasteczka. Tym wszystkim czynnościom towarzyszyła aura prawdziwej zażyłości, jakaś harmonijna promiennność ciała oraz ducha, którą bezkrytycznie i podświadomie kojarzyła ze stanem głębokiego zadowolenia, właściwego Henrykowi, i który przechowywała w myślach jako symbol kamienia probierczego egzystencji, jaka niekoniecznie musi się stać jej udziałem. Nie całkiem potrafiła kojarzyć z owym stanem Olivera, lecz wzmagało to jedynie pożądaną atmosferę tajemniczości: taka miłość zmieniała człowieka, a więc także i jego, w istotę zdolną do jej dzielenia. Anna wierzyła też, że być tak ufnie i bezgranicznie zakochaną jak Małgorzata, sprowadza się do zasady: „Nieważne, co robisz, bylebyś tylko nie chciał tego przede mną ukrywać. Jestem pewna, że nic nie liczy się dla ciebie bardziej niż ja i to wystarczy”.

Poza tym wszelkie działania podejmowane przez nią samą, jako że nie stanowiły tego, czego w istocie szukała, zdawały jej się tak nierzeczywiste, iż nie wyobrażała sobie, by mogły wywierać wpływ na kogokolwiek innego. Każda poszczególna chwila niosła w sobie pewne znaczenie, lecz to, co działo się wokół, ginęło w tle. Przesunięte w czasie konsekwencje poczynań Anny nie wchodziły w rachubę - jej pora jeszcze nie nadeszła, przez co nie mogła pełnić żadnej doniosłej roli. Wierzyła, że Oliver niekiedy szukał schronienia w jej braku zainteresowania czymkolwiek oraz braku poczucia rzeczywistości, gdyż poniekąd je dzielił i - sam tak dobrze obeznany z cieniem - nie mógł znieść ustawicznego życia w słońcu. W swoim mniemaniu była wszak dla niego, podobnie jak on dla niej, chwilową ucieczką od poszukiwania słońca

baż własnych ograniczeń, Małgorzata zaś powinna nawet czuć się wdzięczna, że nie musi towarzyszyć mężowi w podróży do owej otchłani, krainy bezżycia.

W jakim wobec tego świetle stawiała ją „jawna kapitulacja” Małgorzaty? I w jakim świetle stawiała Olivera?

Skoro Małgorzata przyznała się do porażki, jaki udział miała w tym ona, Anna? I skoro Oliver nie był szczęśliwy w małżeństwie z Małgorzatą, to czy rzeczywiście romans z Anną znaczył dla niego tak niewiele, jak sądziła - i miała nadzieję? Nie zniosę, jeśli zaczniesz traktować to poważnie, pomyślała; nie chcę czuć się odpowiedzialna za Małgorzatę. Ani za Olivera. Ani za Olivera.

Powiedziała Henrykowi, że kocha Olivera. Wybrała nieodpowiednie słowo; jeżeli w ogóle była pewna czegośkolwiek, to tego, że nie „kocha” Olivera. Użyła tego słowa, kierowana swoistą pruderią oraz niechęcią, by zarówno ojciec, jak i nieobecna Karolina nie wypracowali sobie bardziej trywialnej opinii na temat jej życia erotycznego. Jako dziecko wzbraniała się przed wizją miłostnego aktu rodziców. Nie dopuszczała jej do swego dziecięcego świata jeszcze długo po tym, jak dowiedziała się, że ów akt jest absolutnie nieodzowny. Podobnie jak ona czyniła to niegdyś, tak i oni musieli teraz odsuwać od siebie wizję jej, nagiej, w podobnej sytuacji. Było to nieprzyzwoite i nieestetyczne. Nie potrafiła użyć w obecności Henryka słów „romans”, „sypiać”, „iść do łóżka”; zamiast tego uczepliła się słowa „miłość”, naiwnego określenia różnego rodzaju emocji, poczynwszy od Anny Kareniny poprzez Kopciuszka aż po „Woman's Own”.

A Oliver? Po przyjściu Henryka jak żywy stanął jej przed oczami. Tak bardzo cenił sobie konstruktywne dyskusje, wyrafinowane klasyfikacje, sytuacje, epizody. Anna znalazła się w martwym punkcie.

Możę jedynie zostać tam, gdzie jestem.

A Oliver? Nieoczekiwanie zapragnęła pójść do niego i powtórzyć mu słowa Henryka oraz dać wyraz własnym wątpliwościom. Być może użyte przez nią słowo emanowało swoistą magią; retrospekcja wydarzeń uświadomiła Annie towarzyszące im od pierwszej nocy poczucie szczęścia i beztrioski. Oliver był rozbrajający, objaśniał

jej wszystko cichym, rzeczowym głosem, który czynił sytuację jeszcze bardziej podniecającą. Było mi z nim dobrze, pomyślała, zupełnie jak podczas jazdy konnej. Okazała się pojętną uczennicą. Prowadzili niekończące się rozmowy; wyczerpawszy temat przyszłości Anny, w wyniku cichego porozumienia omijali temat Henryka, koncentrując się w kuchni profesora Aingera nad talerzem pieczonej fasolki, na innych rzeczach. Nie były one może przedmiotem zainteresowania Anny, lubiła jednak mieć na ich temat określone zdanie; nie dotyczyły literatury angielskiej, lecz spraw, o których można było rozprawiać bez osobistego zaangażowania: aborcji, kary śmierci, reformy szkół publicznych, chrześcijaństwa. Anna nigdy nie żywiła względem niczego żadnych uczuć; owo redukowanie wybujałego świata miłości oraz słońca do normalnych proporcji stanowiło dla niej pouczające doświadczenie. Ludzie tacy jak my potrzebują rzeczy, pomyślała, a rzeczy potrzebują nas. Będę za tobą tęsknić, Oliverze, i to bardzo.

Pewnie siedzi teraz w kuchni i czeka. Ma na sobie ładny sweter w kolorze marengo, wycięty w serek, sweter, do którego lubiła tulić twarz; postawił pewnie na stole puszki z fasolą oraz neskę, i usiadł, z twarzą wyostroszoną oczekiwaniem. Jego wąskie, ruchliwe wargi potrafiły błyskawicznie zmieniać kształt; na nieoczekiwany odgłos raptownie podrywał do góry głowę, i okolica jego ust nieruchomiała, jak gdyby nie chciał zwracać niczyjej uwagi. Gdy przychodziła, uśmiechał się promiennym, szerokim uśmiechem, którego, jak przypuszczała, Henryk nigdy nie miał okazji widzieć.

Henryk... Henryk był niemożliwy, i tyle.

Postanowiła jednak pozwolić, by sprawy potoczyły się bez jej udziału. Oplótłszy się ramionami, wyobraziła sobie obojczyki Olivera, sterczące pod miękką dzianiną swetra, niedorzecznie wąski obwód jego talii pod jej dłońmi oraz jego ręce, drobne i pewne siebie. Czy to możliwe, by bezczynność równała się zdradzie?

Mimo to postanowiła nie ruszać się z miejsca. Wyglądając przez okno, doszła do wniosku, że jednak łązy przyniosą jej pewną ulgę.

Po wizycie u Anny Henryk spacerował w deszczu, czyniąc sobie melodramatyczne, jak niewesoło stwierdził w duchu, wyrzuty z powodu sprzeniewierzenia się życiu w imię wymaginowanej chwały, martwych słów, domorosłych ideałów oraz drugorzędnego doświadczenia. Dał tym samym wyraz mentalności sfrustrowanego żaka, który nigdy się nie upijał i z nikim nie sypiał, podczas gdy Anna, jego córka, niewątpliwie nie tylko z kimś sypiała, lecz miała przy tym tak niewiele doświadczenia i poczucia życiowego celu, że wzięła sobie za kochanka przywiędłego krytyka, który - zdaniem własnej żony - na domiar wszystkiego przejawiał skłonności sadystyczne, zresztą nie tylko w sferze psychicznej. Część niezadowolenia Henryka wynikała z faktu, że zupełnie zapomniał, o czym pisał, i nie potrafił skupić się na tyle, by zaplanować kolejny akapit. Dotychczasowa praca - podobnie jak każda powieść w chwili ukończenia - stała się w jego oczach groteskową parodią egzystencji, ciągiem słów wybiórczo traktującym fakty. Zdawała się przy tym kompletnie pozbawiona życia. Ujrzał siebie w swoim gabinecie, oddanego i zwiedzionego na manowce Casaubona, dostrzegając przy tym procesję zmarnowanych przez siebie żywotów - Karoliny, której pozwolił myśleć, że filiżanki herbaty stanowią dla niego ukoronowanie wszystkiego; Małgorzaty, której podretuszowane

losy miał zamiar bezczelnie utrwalić na papierze; Anny, która zbladła w jego cieniu i marniała niczym pozbawiona światła piwniczna roślina.

Następnego deszczowego ranka udał się do biblioteki uniwersyteckiej. Powstała w czasie, gdy był już po studiach, i nigdy przedtem jej nie widział. Uznał budynek za wyjątkowo brzydki, z jego nieproporcjonalną, asyryjską wieżą, rzędami laboratoryjnych okien, schodami krętymi jak w nieco ostentacyjnie ozdobnym ratuszu oraz ciężkimi szklanymi drzwiami, które uświetniono złożonymi i mosiężnymi zawijaszami, zgoła niepasującymi do nieco klinicznej atmosfery wnętrza, stanowiącej w gruncie rzeczy jego jedyną zaletę. Henryk pokonał schody, marszcząc brwi jak roztargniony naukowiec, i potknął się o najwyższy stopień; był pochłonięty wysiłkiem niezwracania niczyjej uwagi, obawiał się, by nikt nie zagadnął go o bilet, opłatę, togę lub wyjaśnienie - nie miał pojęcia o zasadach, na jakich funkcjonował ów przybytek, i wcale nie kwapił się, by je poznać. Nie rozglądając się na boki, otworzył jedne po drugich trzy pary szklanych drzwi, prowadzących do kolejnych pomieszczeń, i wreszcie znalazł się w wielkiej, metalicznoszarej sali, najwyraźniej będącej główną czytelnią. Uznał, że jeżeli chce znaleźć Olivera, dalsze unikanie wzroku innych nie ma sensu. Zaczął chwiejnie, na palcach przemierzać salę, zaglądając pomiędzy rzędy biurek i obserwując szeregi podobnych do siebie, pochylonych nad książkami ludzi w togach, setki zatroskanych lub sennych twarzy, w większości młodych, z których zaledwie jedna lub dwie wyrażały zachwyt. Nie wydawało się, by któraś z nich należała do Olivera, lecz Henryk nie miał odwagi podejść i sprawdzić z bliska. Opuściwszy czytelnię, poczuł złość na siebie: nie powinien był bać się, że ktoś go zagadnie, tylko dlatego, że w sali panowała cisza, a on nie chciał znaleźć celu swych poszukiwań. Jak za każdą niedogodność, i za tę obarczył winą Olivera.

W sali katalogowej z roztargnieniem przejrzał plan budynku. Następnie spacerował pogrążonymi w ciszy korytarzami pomiędzy metalowymi półkami na książki, korzystając co jakiś czas z niedużych wind. Doszedł do

wniosku, że w innych okolicznościach spodobałaby mu się ta część biblioteki; światło wpadało przez szyby, rzucając oświetlając półki, a ludzie, siedzący dwójkami lub pojedynczo przy stolikach pod oknami, mogli w chwilach wytchnienia kierować spojrzenia na otwartą przestrzeń. W podziemiach budynku stracił cierpliwość i wrócił windą na główne piętro. Na końcu korytarza widniała tabliczka: Sala Andersona. Cóż, zajrzy tam i jeśli nie znajdzie Olivera, pozostanie mu dać za wygraną i wrócić do domu.

Wszedł do środka i odwracając głowę od siedzących, szybko znalazł się na końcu sali. W ogromnym pomieszczeniu, jakim była czytelnia, panował nieunikniony szmer; w sali Andersona, mniejszej, jaśniejszej i bardziej przewiewnej, o szerszych stołach i większej odległości między fotelami, zalegała niezmacona cisza. Jej użytkownicy byli w przeważającej części podstarzali i pobłażliwie obojętni. Wewnątrz niósł się osobliwy, dźwięczny pogłos. Henryk zdołał ustalić jego pochodzenie: powstawał za sprawą seledynowych plastikowych dzwoneczków, którymi zakończone były sznurki od żaluzji; one to, nawet w tak bezwietrzny dzień, kołysały się rytmicznie, na przemian obijając się o szybę. Inne odgłosy to był szelest przewracanych kartek oraz chrapliwy oddech jednego czy dwóch starców. Oto centrum piramidy, pomyślał Henryk. Wewnętrzna komora, gdzie owa obumarła rzecz, którą to wszystko ma za zadanie hołubić, została umieszczona na użytek przyszłych naukowców bądź też pastwę niszczycielskich działań wandalii.

Nie było łatwo rozpoznać kogoś pośród głów nisko pochylonych nad książkami. Przyjrawszy im się bacznie, Henryk nie dostrzegł nigdzie Olivera. Zajrzał do znajdującej się przy końcu alkowy i dla spokoju sumienia postanowił raz jeszcze obejść wszystkie rzędy. Kiedy idąc coraz pewniejszym krokiem i wreszcie oddychając swobodniej, zbliżał się do drzwi, od pobliskiego stolika doleciał go głos Olivera.

- Szukasz kogoś, Henryku?

Pochylny nad upiornie neonową okładką amerykańskiej powieści, ukryty za ciężkimi okularami w ciem-

nych oprawkach, bez trudu dawał się przeoczyć. Uśmiechnął się oschle, nie wstając od stolika.

- Ciebie - szepnął Henryk. Cisza wymusiła na nim stłumiony, przyjazny ton. Owładnęło nim irracjonalne wrażenie, że Oliver zastawił na niego pułapkę i usadowiony przy swoim stoliku z rozbawieniem myślał o Henryku, który ze wzrastającym niepokojem ścigał go po wszystkich piętrach biblioteki. Obok Olivera zgrzybiały staruszek z zażółconą brodą w kształcie łopaty, z aparatem słuchowym, mocnymi, wypukłymi szkłami oraz lupą na ręczce z kości słoniowej delikatnie wyjmował zgrubiałymi palcami kawałki papieru z ustawionego przed nim pudełka i studiował je uważnie. Bezgłośnie poruszając wargami, notował swoje spostrzeżenia złotym ołówkiem, zwisającym spośród fałd jego odzieży na łańcuszku. Nie zwracał na obydwoch mężczyzn najmniejszej uwagi. Roztaczał wokół siebie aurę wytężonego skupienia, bezprecedensowego odkrycia oraz podróży po złotych łąkach, co rozproszyło Henryka, który postrzegał go, z jednej strony, jako echo własnej żywotnej koncentracji, z drugiej zaś, jako typowy symbol zmarnowanego wysiłku, człowieka trwoniącego umierający umysł na badanie martwego języka. Był świętym, który oglądał życie spoza szyby; groteskowym gnomem, parodią istoty ludzkiej, która, koniec końców, sprowadzi egzystencję do pierwiastków chemicznych, niczego więcej.

Oliver nadal spoglądał na Henryka znad książki; nie wykonał najmniejszego gestu, by wstać czy ułatwić mu nawiązanie rozmowy. Henryk zakołysał się nad nim, wionąc w ciszę niemal uwodzicielskim szeptem:

- Chciałbym zamienić z tobą kilka słów, jeśli masz wolną chwilę.

- Może wobec tego pozwolisz się zaprosić na kawę - odparł Oliver, nieznacznie przechylając głowę i uśmiechając się nieco szerzej. - O tej porze raczej nie będzie tłoku.

Henryk poczuł niepohamowaną chęć, by chwycić Olivera pod pachę i wywlec go z sali. Miał ochotę rzucić nim o półki, wybić mu kilka zębów, posiniaczyć to gładkie, lisie oblicze i zachlapać krwią sterty książek oraz papie-

row. Oczami wyobraźni ujrzał, jak stawia niedużego przeciwnika na nogi i używając jego głowy jako tarana, demoluje okoliczne stoły. Ten Samson mnie prześladuje, pomyślał. Samson wśród Filistynów, z włosami obciętymi przez cywilizację - albo kobiety, a może jedno i drugie.

- No więc? - zapytał nieco ostrzejszym tonem Oliver, lekko wzruszając ramionami.

- Zgoda - odpowiedział Henryk.

Oliver znów się uśmiechnął.

- Jedną chwileczkę - rzucił. Zakręciwszy pióro, starannie osuszył bibułą swoje notatki, a potem kolejno wpiął je do skoroszytu. Następnie złożył kartkę papieru w ósemkę, starannie oddarł kawałek i założywszy nim książkę, umieścił ją na skoroszybie. Zdjął okulary i włożył je w etui, które schował z powrotem do kieszeni.

Wszystkie te czynności trwały dłuższą chwilę. Henryk wisił mu nad głową, zwalisty i przyciągający uwagę. Gdy wychodzili, Henryk zobaczył, jak staruszek przesuwają się na powierzchnię stołu, zajmowaną dotychczas przez Olivera. Emanował przy tym wzmożonym zadowoleniem i poczuciem niezależności.

Oliver zaprowadził Henryka do bufetu, przystawił mu krzesło do stolika w pobliżu szklanych drzwi, wychodzących na dziedziniec, i przyniósł dwie filiżanki z kawą, ograniczając się do jednego słowa:

- Cukru?

Wygląda jak urzędnik bankowy, pomyślał niezyczliwie Henryk, taksując wzrokiem schludny, nieco zbyt obszerny ciemny garnitur oraz włosy krótko przystryżone nad uszami. Nie ma w nim nic z naukowca; jest zbyt skrupulatny i zorganizowany, bez cienia tradycyjnej ekstrawagancji. Nic dziwnego, uznał niesprawiedliwie Henryk, że ten gatunek sprowadza czytanie do liczenia, ile razy autor użył słów „czerwony”, „różowy” bądź „grzech”. Etykiety i statystyka, nic więcej, podsumował Henryk, i wtedy uderzyła go własna złośliwość. Co się ze mną stało? - pomyślał.

- Nie ma sensu wychodzić na dwór - rzucił Oliver. - Taki deszcz. W lecie bywa całkiem przyjemnie. Oczywiście, nie wolno tu palić.

Na zewnątrz znajdował się nieduży kwadratowy dziedziniec z łatą trawnika pośrodku, którego centralna część wyrzuszała się w odkryty placek ziemi, gdzie rosła naga magnolia. Dookoła wznosiła się strzelista konstrukcja z cegieł i szkła. Brzydki, księżycowy krajobraz nie pasował do Cambridge. Oliver najwyraźniej czuł się tu jak w domu.

- Przepraszam za tę kawę - powiedział, po czym zapadł w milczenie, ustępując pola Henrykowi.

Henryk nabrał podejrzeń, że cała sytuacja niezmiernie bawi Olivera, ten jednak wpatrywał się w zawartość swej filiżanki, unikając wzroku rozmówcy.

Henryk nie był w stanie zaplanować, co powie Oliverowi, lecz miał nadzieję, że w stosownej chwili rozwiązanie nasunie się samo. Obecnie stwierdził, że nie tylko nie ma nic do powiedzenia, ale i zupełnie nie wie, jak zacząć.

- Pewnie to dla ciebie jasne, dlaczego chciałbym z tobą pomówić - zagaił z nadzieją.

- Bynajmniej - odparł w głąb filiżanki Oliver.

Henryk spauzował, po czym rzucił znienacka:

- Obiecałem to Małgorzacie. Widziałem się z nią. Napisała do mnie.

- Czyżby? - odpowiedział Oliver, lecz uniósł głowę i Henryk dojrzał w jego wzroku zdziwienie.

Powiedziałyby coś jeszcze, ale w kwestii Małgorzaty nie przychodziło mu do głowy nic, co nie brzmiałoby głupio i protekcyjnie. W rzeczy samej, był tak pochłonięty Anną, że obraz Małgorzaty zatarł mu się nieco w pamięci. Oświadczył więc:

- Zupełnie nie wiem, co miałbym jej teraz powiedzieć.

- Czyżby?

- Widziałem się z Anną.

- Czyżby? - powtórzył po raz trzeci Oliver.

Henryk jednym haustem opróżnił filiżankę i huknął:

- Dobrze wiesz, co mi powiedziała.

- Ciszej - rzucił odruchowo Oliver. - Owszem, wiem - dodał.

- Rozumiesz więc, dlaczego musiałem się z tobą zobaczyć.

- Nie, nie rozumiem. Nie wiem, co, twoim zdaniem, mógłbyś zrobić. Lepiej uczynisz, jeśli nie będziesz się wtrącał.

To samo powiedziała Anna. Henryk zajął do pustej filizjanki i zaczął niezręcznie:

- Anna to moja córka. Jest niepełnoletnia. Chcę dla niej czegoś dobrego. Godnego życia. Jest w stanie coś osiągnąć. Nawet ty nie możesz udawać, że jej pomagasz.

- Chyba to właśnie robię.

- Chryste - rzucił Henryk, znowu za głośno. - A Małgorzata? - dodał.

- To nie twoja sprawa.

- Tu byłbym odmiennego zdania; to do mnie zwróciła się, bym ratował ją przed obłędem. Na Boga, do czego to doszło! Zresztą, bez względu na nią, Anna to moja sprawa. Jest moją córką.

- Dopiero to odkryłeś, co? Chyba nie ma sensu udawać, że możesz mnie wychłostać, a ją zawlec do domu i umieścić pod kluczem, co? To nie ty, nie wiedziałbyś, jak to zrobić i czy masz do tego prawo. A gdybyś nawet zawiózł ją do domu i zamknął w sypialni, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zaraz byś o tym zapomniał, prawda? Naprawdę mi na niej zależy. Nie chodzi o jej urodę. Chcę jej pomóc.

• Henryk milczał, pokonany.

- To wszystko? - zapytał Oliver.

- Nie - odparł Henryk. - Chcę ci powiedzieć jedno... musisz pojąć... nie wydaje mi się, abyś powinien włączać Annę... nie ją... w nasze rozgrywki.

- Nie bardzo rozumiem - burknął Oliver. Odstawił filizjankę na spodek i wyprostował się, bębniąc palcem o krawędź stołu. - W ogóle nie rozumiem. Oświeć mnie.

- Ach - rzekł ze znużeniem Henryk. - Co mam ci powiedzieć? Nie wiem, co naopowiadałeś Annie... coś na temat egoistycznego geniusza o wygórowanych oczekiwaniach wobec swego potomstwa, o przecięciu pewnością... coś w tym rodzaju sam jej to mówiłem. Mam zamiar dać Annie trochę grosza i wysłać ją tam, dokąd miałyby ochotę pojechać, bez żadnych nacisków czy ingerencji.

- Co ona na to?

- Nie mam pojęcia.

- Ucieczka to żadne rozwiązanie. Musi stawić czoło faktom.

- Ale nie faktom w twoim wydaniu. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę ze swego nieodpowiedzialnego zachowania? Jak mam ci to wytłumaczyć? Zawsze... od samego początku... wyczuwałem w twoim stosunku do mnie... albo moich powieści, może jednego i drugiego... coś w rodzaju niszczącej nienawiści.

- Standardowy układ oparty na miłości i nienawiści? - zapytał szyderczo Oliver.

- Owszem - odparł bez ironii Henryk. Próbował zignorować Olivera oraz własne pragnienie bezlitosnego obicia go na dziedzińcu i beznamiętnie przedstawić swoją ocenę sytuacji. Zauważył, że przyjmuje charakterystyczny, olimpijski ton, co wreszcie wyprowadziło Olive-
ra z równowagi.

- Nigdy nie znosiłem twoich recenzji. Budziły we mnie poczucie, że to, co napisałem, kłóci się z moimi oczekiwaniami. Zapominałem, co czułem podczas pisan-
nia i czy utwór odpowiada temu, co o nim naplotłeś, czy też czemuś innemu. Uważałem, że próbujesz w ten sposób przejąć mnie - a raczej to, co napisałem - w posiadanie, wiesz, jak przetworzony ser gruyere, zetrzeć to na miazgę, wydłubać dziury, pociąć wszystko na równiutkie plasterki i oblepić plastikową otoczką. Sprawdziłem, to moje dzieło, autentyczny gruyere. Gruyere? Co ty o nim wiesz? To samo dotyczy mojego życia... nie apróbujesz go, tej całej maskarady z ziemiaństwem, jakież to wszystko żałosne... przynajmniej takim się staje pod twoim dociekliwym okiem. Na Boga, przyjedziesz, a jak-
że, co? Domagasz się pełnego uczestnictwa. Nie pozostaniesz przecież z dala od tego, czym gardzisz. Cóż, skoro pozwoliłem ci dobrać mi się do skóry, to tylko moja wina. Powinienem sam zatroszczyć się o własne sprawy. Nie wiem, czemu uwziąłeś się właśnie na mnie.

Oliver drgnął. Wzburzony dobrze mu znanym tonem łagodnej arogancji Henryka, wybuchnął:

- Postaw więc sobie pytanie, dlaczego, no dalej, wy-
każ odrobinę zainteresowania kimś innym.

- Jeżeli chodzi o Annę - podjął Henryk - sprawy przybierają inny obrót. Nie wiem nawet, czy postępujesz świadomie. Jeżeli tak, to musisz wiedzieć, że dopiąłeś swego. Dobrałeś mi się do skóry. Nie mogę znieść myśli o tym, że przejmujesz w posiadanie i także Annę, wmawiając jej, że ma być taka, jak ty. Dokładnie tak mi powiedziała. To nieprawda, sama to zrozumie, jeśli będzie miała okazję. Chciałbym jedynie zapytać, czy wzięłeś pod uwagę, co będzie czuła, gdy odkryje motywy twego postępowania? I stwierdzi, że podobnie jak w innych sytuacjach, również z mojego powodu... tak jak jej mówiłeś, pamiętasz?... otrzymała produkt z drugiej ręki? Czy nie rozumiesz, że nawet... nawet gdyby ci rzeczywiście na niej zależało, jesteś zbyt uwikłany w to, od czego ona musi się uwolnić? To bystra dziewczyna, prędzej czy później na to wpadnie. I cóż jej wtedy pozostanie?

- To bystra dziewczyna - powtórzył Oliver. - Nie przyszło ci do głowy, że ona już to wszystko wie? I wcale jej to nie obchodzi?

- Nie sędzę. Zresztą marnuje czas, którego nikt jej nie zwróci. Jeżeli zaś istotnie zna twoje uczucia wobec mnie, nie zmniejsza to ich szkodliwego na nią wpływu. Przyznasz mi rację?

Oliver wstał i oparłszy na stole drobne dłonie, zwrócił się do Henryka niskim, chrapliwym głosem, który zdumiał tamtego, choć miał go rozgniewać. Henryk zapamiętał rozsunięte na boki dłonie oraz pobielełe końcówki paznokci, u nasady nabiegłych krwią. I kruche kości, które, jak się wydawało, pod naciskiem lada chwila rozprysną się na części.

- Może ostatecznie obaj uznamy, że twoja ziemiańska chłosta najlepiej spełniłaby swoje zadanie? Za kogo ty się uważasz? Myślisz, że wszyscy jesteśmy martwymi albatrosami, które zawieszisz na szyi jako świadectwo swego rozwoju duchowego?¹² Moja żona... Małgorzata... co ona ma z tobą wspólnego? Na jakiej podstawie sądzisz, że pozwolę ingerować w sprawy mojej rodziny? Pewnie

¹² Nawiązanie do znanego motywu literackiego z „Opowieści o starym żeglarzu” Coleridge’a (przyp. tłum.).

wychodzisz z założenia, że twój brak zainteresowania oraz motywu daje ci takie prawo? Otóż jesteś w błędzie. Nie wydaje mi się, aby twoja obojętność czyniła cię bardziej nieodpowiedzialnym niż mój brak obojętności czyni nieodpowiedzialnym mnie. Pewnie Małgorzata myśli, że jesteś taki mądry? Niech lepiej dobrze się zastanowi. A ty uważasz, że jestem zdolny do miłości w sprawach dotyczących ciebie, by - używając twego eleganckiego sformułowania - móc lepiej dobrać ci się do skóry...

- Anna jest moją córką.

- Anna - rzucił Oliver - jest Anną. Jest sobą. Anną. Niech sama decyduje o sobie, pozwól jej na to.

- Ty jej pozwól, o nic innego nie proszę.

- Dasz mi skończyć? Nie wiem, co cię raptem napa-
dło, by jej składać hojne obietnice. Moim zdaniem, tro-
chę za późno. I jeżeli uważasz, że nie jestem odpowied-
nią osobą, by jej pomagać, kim ty jesteś? *Fons et origo*, ni
mniej, ni więcej. Lecz nie jesteś Bogiem i lepiej miej to
na uwadze.

- Ja przynajmniej w nią wierzę.

- Od kiedy? A ja nie? Moja wiara opiera się na bar-
dziej realnym podłożu.

- Twoje realistyczne podejście jest imponujące.

- Tobie też by się przydało. Masz coś jeszcze do po-
wiedzenia?

- W dalszym ciągu poczuwam się do odpowiedzialno-
ści za Annę.

- I za mnie. I za moją żonę, skoro tego. sobie życzy.
Dlaczego nie? Ale co zamierzasz zrobić? Co możesz zro-
bić?

- Nie wiem - odparł szczerze Henryk. - Muszę pomy-
śleć.

- Zostawię cię z tym - powiedział Oliver. - I nie ra-
dę, byś zmuszał Annę do powrotu. Nie posłucha, a jeśli
nawet dopniesz swego, więcej się do ciebie nie odezwie.
Ostrzegam cię, ja ze swojej strony nie mam najmniejsze-
go zamiaru ułatwiać ci zadania. Musisz ocalić samego
siebie... lub nas wszystkich... na swój sposób. Jeśli oczy-
wiście znajdziesz czas, aby przypomnieć sobie, że wła-
śnie to zamierzałeś uczynić.

To podsumowanie, pomyślał Henryk; teraz odejdzie.

- Do widzenia - rzekł Oliver.

- Do widzenia - odparł powoli Henryk.

Obróciwszy się na pięcie, Oliver wyszedł z bufetu, który coraz liczniej wypełniał się togami i szmerem głosów.

Nie mogąc dłużej usiedzieć, Henryk zerwał się od stołika i pobiegł do portierni, gdzie zażądał, by wezwano dla niego taksówkę. Uczynił to tak stanowczo, że nikt nie odważył się napomknąć, iż to niezgodne z tutejszymi zwyczajami, i bez szemrania wypełniono jego polecenie. Henryk poczekał na schodach na taksówkę, która nadjechała, ogromna i czarna jak karawan, rozchlapując kałużę. „Na stację proszę” - powiedział, nie wiedząc, na jaki pociąg pragnie zdążyć. Kierunek nie sprawiał różnicy; byle jak najdalej stąd. Siedział, wielki i posępny, samotniony żałobnik z jedwabnym pomponem i sznurem, wstrząsany rytmem jazdy. Kierowca, któremu udzielił się jego nastrój, pędził Trumpington Street, strasząc rowerzystów. Na drogę wyszedł drobny, czarniawy mężczyzna, i Henryk z dreszczem podniecenia wyobraził sobie, jak by to było rozjechać go i pozostawić za sobą spłaszczzonego jak naleśnik. Jakże łatwo jest niszczyć; zaledwie włos dzieli cywilizowany spokój od trupa w rynsztoku.

Przed stacją zapłacił taksówkarzowi za kurs. Deszcz wzmógł się, niezdolny jednak wyczerpać nagromadzonych zapasów wilgoci. Henryk czuł, że mogłoby tak padać zawsze, a przynajmniej całymi tygodniami; wszędybylskie krople studziły jego emocje.

Pociąg odchodził za dziesięć minut; znów dał o sobie znać zwykły fart Henryka. Nie wiedzieć czemu ogarnęło go poczucie winy; nie miał pojęcia, czy to dobry omen, czy zły.

Odkąd w dniu wizyty Henryka nie przysłała na Barton Road, nie otrzymała od Olivera żadnej wiadomości. Początkowo tego właśnie oczekiwała. Owładnęło ją poczucie, że sprawy toczą się gdzieś bez jej udziału i że jeśli pozostanie na uboczu, osiągnie pożądaną spokój. Jednak po upływie dwóch tygodni ogarnęło ją niepoahamowane zaciekawienie. Uważała, że to podłe ze strony Olivera trzymać ją w niepewności co do przebiegu wydarzeń oraz terminu ewentualnej konfrontacji. Niemniej jednak owa ciekawość nie popchnęła jej do podjęcia jakichkolwiek kroków.

Oczekiwała nadejścia tego, co - podobnie jak większość kobiet - określała mianem przekleństwa, gdyż mimo wszelkich porad nowoczesnych publikacji medycznych należała do tych nieszczęśnic, które znoszą owo przekleństwo nadzwyczaj boleśnie. W szkole kilkakrotnie dramatycznie mdlała podczas modlitw, co nie przysparzało jej życzliwości nauczycieli, ponieważ z bliżej nieokreślonych powodów jedno omdlenie w grupie dziewcząt pociąga za sobą następne. I tak rzędy uczennic rozchwiewały się niby wąż roślinki na wietrze, i tu i ówdzie któraś osuwała się na wyfroterowane deski podłogi. Anna niezmiennie spędzała pierwsze dni swojego przekleństwa skulona na podłodze, wijąc się z bólu i pragnąc umrzeć. Owo doświadczenie nie było jednak

pozbawione swoistej atrakcyjności, i koniec końców, zawsze przechodziło w etap umożliwiający umiarkowaną aktywność.

Na podstawie pobieżnych obliczeń uznała, że okres największych męczarni przypadnie na nadchodzący tydzień. Był to tydzień wyjęty z życiorysu; trudny i bolesny, tydzień rozpacz, napięcia i poczucia beznadziejności, których przyczynę wprawdzie znała, lecz choć wiedziała, że musi on dobiec końca, zawsze pochłaniała ją bez reszty. Gdzieś wyczytała, że ma to coś wspólnego z ciśnieniem czy nagromadzeniem płynów w organizmie. Przeczytała również, że większość przestępstw popełnianych przez kobiety - nie tylko przestępstw, ale także wykroczeń drogowych oraz wypadków - zdarza się właśnie w tym nieszczęsnym tygodniu. Kiedyś też wysłuchiwała żarliwego wykładu jednej z nauczycielek na temat niesprawiedliwości męskiego świata, w którym kobieta jest zmuszona przystąpić do decydującego egzaminu bez względu na dni, które wyłączają ją z życia. Zainteresowałoby to Olivera, uznała w duchu Anna; przy czym zaznaczyłoby nie bez racji, że skoro kobiety co cztery tygodnie podlegają podobnym zwątpieniom i wahaniom nastroju, być może pracodawcy czynią słusznie, preferując mężczyzn. Mnie i tak nikt nie zatrudni, pomyślała; co więc za różnica, kiedy przystąpię do egzaminu.

Ogarnięta znużeniem, poddała się niewesołym rozmyślaniom o Oliverze, Małgorzacie, Henryku oraz Meksyku, czując przy tym pewien niesmak wobec całej czwórki. W jakimś sensie wszyscy obrócili się przeciwko niej; najlepszym wyjściem z sytuacji było trzymanie się z dala od nich oraz założenie, że nie są całkiem realni. Na skutek zmęczenia Anna wmówiła sobie, że jest chora, wobec czego nie powinna ruszać się z miejsca; przesiadywała w pokoju, z rzadka wychodząc na posiłki lub zaglądając do skrytki, gdzie miała nadzieję znaleźć wiadomość od Olivera. Zastanawiała się leniwie, ile jeszcze osób w tym mrówczym społeczeństwie beczynnie spędza czas w jednym pomieszczeniu. Bardzo im współczuła. Przez większość dnia po prostu siedziała. Nie czytając, z pustką w głowie, skulona w nogach łóżka spogląda-

la przez okno na ogród, drzewa i trawniki, teraz całkiem wyludnione; niegdyś z werwą spacerowały po nich wcześniejsze pokolenia kobiet w słomkowych kapeluszach i długich serżowych spódnicach. Patrzyła i patrzyła, czekając, aż coś się wydarzy - przekleństwo, list od Olivera, przełom albo przynajmniej kolejny posiłek.

Był to osobliwy okres w jej życiu, na który częstokroć spoglądała później z niezrozumieniem. Ocieężała, szarzejąca płachta nieba bez końca wisiała nad miastem, Anna zaś, równie ocieężała, osiągnęła stan, który wszyscy niewątpliwie określiliby mianem kryzysu: potrafiła jedynie patrzeć, do czasu, gdy nawet owo ciężkie, listopadowe niebo zaczynało emanować samoistną, pełną ukrytych znaczeń jasnością. Każdy ptak stanowił symbol; stado szpaków, niczym deszcz opadających gałganków, raptownie podrywało się ku górze, opalizując akwamarynową zielenią; stalowy gołąb z pręgą blasku opasującą szyję wtapiał się w stalowe niebo. Wszystko to pełniło rolę złowróźbnego zwiastuna, budząc w patrzącym dotkliwy niepokój.

Podwinęła nogi pod siebie i położyła dłonie na ich kostkach, zyskując dzięki temu kanciastą postać trójkąta o szerokiej podstawie, i wypatrywała popołudnia lub poranka, by na dźwięk gongu rozprostować zdrętwiałe kończyny i zejść na posiłek. Jeśli tak dalej pójdzie, pomyślała kiedyś, nakryją mnie i odeślą, co załatwi sprawę; owa myśl napłynęła jednak z bardzo daleka, bez związku z nią i tym, co robiła. Czuła się do tego stopnia nieobecna, iż nieprawdopodobne było, by ktokolwiek zwrócił na nią uwagę; mogła siedzieć tak bez końca, próżno wyczekując, aż ktoś przyjdzie bądź okaże zainteresowanie. Przyszło jej do głowy, że przypomina to czekanie na przyjście na świat; niemoc i napięcie, beczynność wraz z towarzyszącym im poczuciem całkowitej niewiedzy oraz bolesnego przekonania, że wprawdzie szykuje się coś ważnego, lecz ów wyczekiwany moment nigdy nie nastąpi. Jak śmierć, która napawała Annę lękiem, gdyż bez trudu mogła wyobrazić sobie poprzedzającą ją chwilę. To, co było dalej, radykalna zmiana sytuacji, pozostawało wielką niewiadomą.

Wreszcie, kiedy już od półtora tygodnia codziennie sprawdzała zawartość skrytki, znajdując w niej tylko dwa listy od Piotra Hughes-Wintertona, które odłożyła na bok, nie czytając ich, w któryś weekend nadszedł list od Olivera. Był krótki i niepodpisany. „Dlaczego nie mam od ciebie żadnych wieści? Jeśli chcesz przyjść, dziś wieczorem będę tam, gdzie zawsze”.

Annę natychmiast ogarnęła niezachwiana pewność, że nie chce. Oliver zacznie nękać ją pytaniami, zmusi ją, by z nim dyskutowała. Będzie oczekiwał od niej określonego stanowiska, którego nie miała.

Myśl o Oliverze niejednokrotnie siała w jej umyśle niepokój; tęskniła za nim, czasami o nim marzyła, zachowując w pamięci wspomnienie niesionych wiatrem szpaków, by mu o nich zakomunikować, jak gdyby przypisywane im znaczenie wykraczało poza pokój i nią samą. Niekiedy, przepełniona miłością, myślała: To drzewo i tę chmurę widzę dla Olivera, do tego sprowadza się ich znaczenie. Czasem równało się to zdradzie oglądanego przedmiotu, sprowadzeniu go do kategorii czysto ludzkich. Miłość nie stanowiła nieodłącznego elementu wizji. Podobnie Oliver nie był integralnie spleciony z miłością; wspomnienie mężczyzny oraz sama potrzeba jego bliskości zdawały się bardziej upragnione niż uwiecznione spotkaniem wyjście z akademika. Widok Olivera nasyłały jej myśl o innych sprawach, o Henryku i Małgorzacie; o rzeczach nieistotnych.

Mimo to około siódmej włożyła kurtkę i opuściła budynki college'u, nie zapisując się w księdze wyjść. Dzięki temu nikt nie będzie się o nią niepokoił, jeśli nie wróci na noc; przynajmniej do tej pory ta metoda okazywała się skuteczna. Cambridge było zimne i pełne błota, a przy tym marnie oświetlone na obrzeżach. Anna szybkim krokiem omijała kałuże, zaciskając wokół szyi futrzany kołnierz kurtki. Mogła przebyć tę drogę z zamkniętymi oczami; znała na pamięć każdy krzew oraz słup, i chcąc wieczorami ukołysać się do snu, kroczyła nią w myślach zamiast liczyć barany. Oliver zakazał jej przyjeżdżania na rowerze, tłumacząc rozsądnie, że gdyby zostawiała go na podjeździe, ktoś mógłby ją rozpoznać.

Kiedy dotarła na miejsce, w domu zalegała ciemność, co nasunęło jej myśl, że Oliver wyszedł. Nacisnęła klamkę; drzwi ustąpiły. Weszła do środka, tak jak czyniła to zawsze. Wewnątrz panował mrok, ale z kuchni dobiegł jakiś odgłos. Anna po omacku, lecz pewnym krokiem ominęła stoły i wazy, kierując się w stronę tylnej części domu. W mdłym, szarawym świetle Oliver siedział przy kuchennym stole z głową wspartą na rękach. Na wprost niego stała niebieska reklamówka.

- Cześć - powiedziała Anna.

- Cześć - odparł Oliver, nie podnosząc głowy. - Spóźniłaś się. Myślałem, że nie przyjdiesz.

- Jak widzisz, jestem.

- Tak - odpowiedział i na chwilę zapadła cisza.

- Mam zdjąć kurtkę?

- Jeśli zostajesz.

Anna powiesiła kurtkę na krześle, po czym przecięła pomieszczenie i włączyła grzejnik elektryczny, stojący na żeliwnym piecyku Aingerów, którego, zdaniem Olivera, nie warto było rozpalać na weekend. Urządzenie niebawem buchnęło gorącem. Anna ogrzała zziębnięte dłonie, stając tyłem do Olivera.

- Potwornie zimno. Dlaczego nie włączyłeś grzejnika? Oliver zbył pytanie milczeniem.

- Co robiłaś? - rzucił po chwili.

- Nic. Naprawdę nic. Siedziałam w pokoju.

- Pracowałaś trochę dla odmiany?

- Nie. Tylko siedziałam.

- Marnując tym samym czyjaś szansę na studia. Dlaczego nie napisałaś?

- Nie przyszło mi to do głowy.

- No jasne. Dlaczego nie przyszło ci do głowy wytłumaczyć swą ostatnią nieobecność? Co miałem myśleć?

- Oliverze, przestań. Wiedziałam, że zrobisz o to awanturę. Nie mam ochoty znowu wysłuchiwać głędzenia. Naprawdę, żałuję, że w ogóle przyszłam.

- Po prostu chciałybym wiedzieć, dlaczego ostatnio się nie pojawiłaś. Musisz to zrozumieć.

- Wiesz dlaczego. Ojciec przyjechał. Powiedział, że... Nie wiedziałam, co się dzieje.

- I nie zrobiłaś nic, żeby się dowiedzieć?

- Nie.

- Cała ty. Czy istnieje cokolwiek, co skłoniłoby cię do wysiłku? A może chodzi o mnie... moje sprawy... nie są dla ciebie godne zainteresowania?

- Oliverze, wiesz, że tak nie jest. Naprawdę się przejmuję. Widzisz, że przyszłam. Po prostu nie miałam pojęcia, co się dzieje. Ale oto jestem - czy nie może być tak, jak zawsze? Bez zbędnego gadania?

- Za chwilę - odrzekł uparcie Oliver. - Widziałem się z nim.

Anna nie odpowiedziała.

- Moim zdaniem, był raczej niemiły. Powiedziałem, że nie ma prawa się wtrącać. Oświadczyłem, że bez względu na jego polecenia zrobisz to, co zechcesz. I że nie ma prawa ci rozkazywać.

- I co?

- Tak jak podejrzewałem, nie miał nic do powiedzenia.

- Czyli wszystko gra, prawda? - zapytała Anna. Czuliła, że jest w błędzie; Henryk nie da się tak łatwo zbyć i należało go wysłuchać, gdyż jego obraz sytuacji zawsze zgadzał się z rzeczywistością. I nie był osobą, którą Oliver mógłby beztrudnie lekceważyć. Mimo to znużenie nie pozwoliło jej dążyć sprawy.

- Skoro uważasz, że wszystko gra - skwitował Oliver.

- Nie przychodziłaś, więc nie wiedziałem, co myślisz.

Myśli Anny nie były na tyle składne, by ująć je w słowa.

- Jestem głodna - powiedziała. - Możemy coś zjeść? Proszę cię, tylko nie róbmy sceny.

Oliver pchnął w jej kierunku niebieską reklamówkę.

- Prędzej czy później będziesz musiała się z tym zmierzyć - powiedział.

Anna zignorowała jego uwagę. W reklamówce znalazła puszkę mielonki, puszkę gotowanej fasoli, bochenek krojonego chleba, kostkę margaryny, puszkę brzoskwiń oraz dwie butelki piwa. Oliver wyznawał zasadę, że aby jadać prosto, należy jadać byle co i byle jak, tak jak czyniła to jego matka oraz wszyscy w czasie wojny. Anna

niejednokrotnie usiłowała wbić mu do głowy, że niekrojone pieczywo jest dłużej świeże, że jajka, ser i ziemniaki można - w przeciwieństwie do konserwowej mielonki - przyrządzać na wiele sposobów, że kilka dodatkowych pensów, wydanych na masło, sprawia ogromną różnicę oraz że za cenę rozmiękłych brzoskwiń lepiej nabyć całego, dojrzałego melona i że jedzenie może stanowić źródło przyjemności. W podobnych chwilach wpływ Karoliny silnie dawał o sobie znać. Oliver kwitował to stwierdzeniem, że nie widzi powodu, aby roztrząsać sprawy jedzenia, dodając przy tym, że różnica pomiędzy masłem i margaryną pozostaje dla niego niejasna i że nie wierzy, by Anna potrafiła z zamkniętymi oczami odgadnąć, którą z tych dwu rzeczy je.

Dziewczyna dała za wygraną, kiedy uznała, że posiłki stanowią dla niego doskonałą okazję, by uświadomić jej, Annie, jej severellowską postawę oraz podkreślić własne, naturalne podejście do sprawy. Było to jedno z jego dziwactw, które należało ignorować. Tego dnia myśl o ziarnistej strukturze i metalicznym posmaku mielonki przyprowadziła Annę o mdłości, mimo to bez słowa przełożyła do rondla zawartość puszki z fasolą, którą lubiła. Oliver wyjął mięso z konserwy, rozstawił talerze, położył widelce i po chwili jak zwykle usiedli po obu stronach czerwonego blatu, mając przed sobą po kawałku chleba z margaryną i zimne mięso z kleksem podgrzanego sosu.

- Ciekawe, co go napadło - rzucił Oliver. - Nigdy wcześniej nie zdradzał żadnych oznak zainteresowania tobą, prawda?

- Cóż...

- A teraz chce, jak sam mówi, odesłać cię z forszą w kieszeni. Czy coś w tym rodzaju. Zupełnie jakby nie wiedział, że wszystko to, czemu musisz stawić czoło, jest tu. I teraz.

- Sama nie wiem.

- Trudno w ten sposób uniknąć odpowiedzialności.

- Oliver, znowu zaczynasz głądzić...

- Ty wiesz, co on mi powiedział? Wygląda na to, że myśli, że ja... że ty... że chodzi w tym wszystkim jedynie o to, by dobrać mu się do skóry. O... o zemstę. Chyba za

to, że jest wielkim pisarzem. Nie widzę innego wytłumaczenia.

- Chyba wszyscy mamy podobne odczucia, prawda? Uważamy, że to poniekąd niesprawiedliwe. I że nikt nie ma prawa być pewnym...

- Anno, zaraz, poczekaj, ty chyba nie myślisz, że coś w tym jest? I że istotnie chodzi o zemstę?

- Nie - odrzekła z rezygnacją Anna. Nie miała ochoty o niczym myśleć. - Nie zjem tego mięsa, Oliverze - oznajmiła, odsuwając talerz. - Nie mogę. Przepraszam, ale kiepsko się czuję.

- Musisz mi powiedzieć, co myślisz.

Anna podjęła z oddali próbę ogromnego wysiłku.

- Chyba nikt z nas nie robi niczego tylko z jednego powodu, prawda? Chodzi o to, że ty i ja lgniemy do siebie częściowo ze strachu przed nim, lub coś w tym rodzaju. Zawsze odnosiłam wrażenie, że oboje szukamy wsparcia. Głupotą jest myśleć, że to jedyny albo najważniejszy powód. Gdybym uważała, że robisz to tylko po to, aby dobrać mu się do skóry, ponieważ jestem jego córka, nie przychodziłabym tu. Na pewno nie. To chyba jasne?

- Wyprowadził mnie z równowagi. Co za małostkowość...

- Przestań. - Annie skutecznie udało się ukryć, jakie wrażenie zrobiła na niej nowina na temat poglądów Henryka. Była pewna, że Oliver drażni tę kwestię, zmuszając ją, by otwarcie i zdecydowanie opowiedziała się po jego stronie. Czuła, że Henryk częściowo ma rację, choć wiedziała też, że w znacznej mierze się myli. Dotknęło ją, że ojciec uznał ją za łatwą zdobycz. Konieczność roztrząsania uczuć innych wobec niej napełniła ją znużeniem. Najlepiej było przyjąć naiwne założenie, że nie stanowi przedmiotu niczyich rozważań. - Raczej trudno mu się dziwić - powiedziała. - Przecież atakujesz go, prawda? Jakim sposobem ma nas... ciebie i mnie... zrozumieć? Koniec końców, ty masz Małgorzatę, czyli... Trudno oczekiwać, by pojął, że ktoś potrzebuje wsparcia. Jego to nie dotyczy. Przyjmijmy zatem, że jest w błędzie - czy jednak musimy zwracać sobie nim głowę?

Wiedziała, że w jej wypadku to nieuniknione, pragnęła jednak odsunąć tę chwilę jak najdalej od siebie. Jeżeli Oliver uparcie pozostanie przy temacie, dojdzie do sceny, której za wszelką cenę pragnęła uniknąć. Oliver wsunął do ust ostatni kawałek mięsa i przeżuł go z wyraźnym zadowoleniem.

- Podziwiam jego dzieła - podjął, celując w Annę widelcem. - Nic na to nie poradzę. Podziwiam je bardziej niż wszystko, co kiedykolwiek zostało napisane. Nie mam innego wyjścia. To jednak nie powód, by dyktował mi, co mam robić...

- Przecież nie tobie dyktuje, tylko mnie. - Chciała go rozzłościć. I dopięła swego.

- Myślałem, że w tej sytuacji to jedno i to samo - odparł Oliver.

- Oliverze, ależ ty marudzisz. Musisz przestać, bo dłużej tego nie wytrzymam. Naprawdę nie wytrzymam. Przestań mówić w kółko tylko o nim; pojechał do domu, zajął się pisaniem i pewnie dawno już o nas zapomniał. W życiu bym tu nie przyszła, wiedząc, że będziemy bez końca dyskutować na jego temat. Powinieneś wiedzieć, że to nie najlepiej na mnie wpływa. Poza tym - dodała zmienionym głosem - chyba zwymiotuję. To przez tę mielonkę. Żałuję, że nie kupiłeś czegoś innego.

Oliver otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie zdążył, bo Annę opanowały gwałtowne torsje. Ledwo zdążyła dopaść zlewu. Oliver obserwował ją przez chwilę, zacisnął usta, po czym zapytał ostro:

- Co ci jest?

- Nie wiem. - Anna maksymalnie odwręciła oba kurki. - To przez nerwy. Wybacz, że jestem taka odrażająca, to chyba się zdarza, kiedy jestem z tobą, co? Będzie mi głupio, jeśli to cię pocieszy.

Mina Olivera świadczyła o czymś zupełnie przeciwnym.

- Aingerowie zostawili butelkę whisky - powiedział. - Sądzisz, że pomoże?

- Raczej tak. Albo do reszty zwali mnie z nóg. Czy możemy wziąć ich whisky? *

- Odkupię.

Anna miała co do tego wątpliwości, lecz było jej wszystko jedno. Zaaferowany Oliver zaprowadził ją do salonu i posadził na krześle.

- Nie ruszaj się - polecił stanowczo. - Wyglądasz okropnie. - Schyliwszy się, pocałował ją, po raz pierwszy tego wieczoru.

Czuły pocałunek sprawił, że Annie napłynęły do oczu łzy wdzięczności. Umie być taki dobry, pomyślała, gdy wyszedł. Taki troskliwy. Potoczyła wzrokiem po znajomych ścianach, wyobrażając sobie, że kiedyś, kiedy już zapomni o Oliverze, wspomnienie znajdujących się tu przedmiotów, czerwonego aksamitu i niedźwiedzich skór, trawy pampasowej i mosiądzu, cylindrycznych poduszek oraz chińskich dzbanów, obudzi w niej czujność, wyostrajając jej uwagę. Przynajmniej to ofiarował mi na stałe, przemknęło jej przez myśl. Nawet jeśli nie otrzymam nic więcej, i tak mogę uważać się za szczęściarę.

Oliver powrócił z whisky, gorącą wodą i kubkami. Hojnie napełnił kubek Anny, po czym po namyśle sobie nalał jeszcze więcej. Usiadł na krześle naprzeciw niej i powiedział:

- Nie chcę, żebyś tak wyglądała, Anno; mam wrażenie, że to moja wina.

Zręczliwy ton gdzieś zniknął; rozluźniony Oliver rozparł się na krześle i jego twarz wydała się mniej wyostrzona, starsza i łagodniejsza. Anna pociągnęła łyk z kubka. Przełknąwszy, nie była pewna, czy dobrze zrobiła. Z nadzieją wypięła kolejny.

- Powoli - doradził Oliver. - To nie lekarstwo, tylko alkohol. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa, Anno. I że ci pomogłem. Naprawdę taki był mój cel, bez względu na jego zdanie.

- Czuję się oddalona od wszystkiego - odrzekła Anna, opisując swoje poczucie szczęścia i dając do zrozumienia, że czuje się oddalona również od Olivera. Nie była pewna, czy ją słyszy; na w pół leżała na krześle, z twarzą skierowaną ku górze i przymkniętymi oczami. Pociągnąwszy kolejny łyk whisky, przyjrzała mu się, czując nieuchwytny przypływ pożądania. Odkąd go poznała, nauczyła się rozpoznawać kobiecą wersję męskiego takso-

wania wzrokiem, ukrytą na ogół pod roztargnionym spojrzeniem lub szczególnie przyjaznym uśmiechem. Doszła do wniosku, że przychodząc, zrobiła słusznie. Sen u boku Olivera stanowił realną obietnicę spokoju. Wydał jej się jedyną osobą, której może zaufać; ba, jedyną osobą, którą w ogóle zna. Ależ ja jestem wyjąłowiona, pomyślała bez goryczy. Gdyby tak mogli przesiedzieć naprzeciw siebie cały wieczór, byłaby najszczęśliwsza.

Oliver wyprostował się gwałtownie.

- Ale przecież musimy porozmawiać, prawda? - rzucił. - Musimy podjąć jakąś decyzję na temat przyszłości. Nie możemy udawać, że to wszystko ma charakter chwilowy, trzeba określić, na czym właściwie stoimy.

- Oliverze - powiedziała Anna, prostując się na krześle. - Tylko nie to...

- Jeżeli mamy nadal się widywać, musimy ustalić warunki. Uświadomiła mi to jego wizyta. To wszystko moja wina. Udawałem, że opiekuję się tobą i wskazuję ci drogę, nie mówiąc przy tym nic o sobie. Nie jestem w tym zbyt dobry. Obawiam się odtrącenia; zawsze stroniłem od otwartości. Ale to nie fair wobec ciebie... ach, bądźmy szczerzy, nie mogę dłużej udawać, że to wszystko nic dla mnie nie znaczy. Pora zaprzestać uników. Chcę, żebyśmy byli razem, Anno, bez ukrywania się.

I śmiali się Henrykowi w nos, uzupełniła w duchu Anna, wpijając desperacko palce w poręczce krzesła. Jej pazurek piskliwie zaskrzypiały o skórę.

- Proszę cię, przestań - powiedziała.

- Byłaś taka wyrozumiała, nigdy słowem nie wspomniałaś o moim małżeństwie. Nie mam jednak prawa, by oczekiwać tego od ciebie w nieskończoność... nie wówczas, gdy naprawdę jesteśmy zaangażowani. Tak jak teraz. Oboje.

- Nie musisz...

- Posłuchaj, Anno. Chcę opowiedzieć ci o Małgorzacie. Chcę zrobić to dla siebie. Musisz wiedzieć, jaki naprawdę jestem.

- Nie - poprosiła Anna. - Naprawdę, nie. Nie chcę wiedzieć.

- Opowiadał ci o niej.

- Tak. Ale to nie ma znaczenia, nie może mieć. Och, błagam...

- Mnie również musisz wysłuchać - rzucił Oliver, wychylając się z krzesła. - Potrzebuję tego, by ktoś mnie wysłuchał.

- Nie! - krzyknęła Anna, podrywając się z krzesła i stając przy oknie. - Powiedziałam ci, że nie chcę wiedzieć, nie chcę o niczym wiedzieć, nie obchodzi mnie to. To nie ma ze mną nic wspólnego.

- Rozumiem - odrzekł Oliver. W jego głos na powrót wkradła się oschłość. - Do pewnego stopnia spodziewałem się, że przyjmiesz taką linię postępowania. Ale miałem też nadzieję, że z tego wyrosłaś. Czy mógłbym wobec tego zapytać, co w ogóle myślałaś o Małgorzacie i o mnie? Przecież chyba coś musiałaś myśleć? A może najzwyczajniej w świecie założyłaś, że jesteśmy kochającą się parą, ty zaś pełnisz rolę weekendowej rozrywki?

- Tak - przyznała Anna zgodnie z prawdą.

- I uważałaś, że tak jest w porządku? Uważałaś, że ja uważam, że tak jest w porządku?

- Tak - odparła beznamyślnie Anna. - Ach, znałam twoje purytańskie usposobienie - dorzuciła na widok jego miny. - Mimo to jesteś pełen sprzeczności. Chyba mam rację?

- Czegóż zatem chcesz? - zapytał głośno Oliver.

- Już ci mówiłam - podjęła obojętnym tonem Anna. - Chcę spokoju. Wytchnienia. Kogoś... ciebie... z kim mogłabym porozmawiać. Nie chcę wiecznie przejmować się uczuciami innych. Już nie. Przykro mi.

Oliver milczał przez dłuższy czas, najwyraźniej osuwając się z tym, co usłyszał. Anna unikała jego wzroku.

- Co wobec tego zrobimy? - zapytał wreszcie znużonym głosem.

- Może dalej to samo? - podsunęła niepewnie Anna. Była świadoma, że go zraniła, lecz brakowało jej energii, by to naprawić. Nie do niej należało dodawanie mu otuchy i nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Poza tym nie była pewna, czy rzeczywiście tego chce.

- Cóż...

Anna podeszła bliżej i usiadła u jej stóp.

- Rozmyślanie nad czymś wszystko psuje - rzekła. - Przepraszam. Tak fatalnie się czuję, zupełnie nie mogę myśleć. Nie wiem, co się dzieje.

Było to właściwe posunięcie, gdyż pozwoliło Oliverowi przełamać impas łagodnością i troskliwością. Resztę wieczoru spędzili raczej spokojnie, rozmawiając o wiadomościach niedzielnych oraz innych neutralnych sprawach.

Anna czuła, że oboje skrycie mają nadzieję na pojednanie w łóżku. Wcześniej położyli się spać. Anna dyskretnie zwymiotowała w łazience przed pójściem do sypialni. Zwróciła wypitą whisky; pusty żołądek kurczył się boleśnie, aż łzy napłynęły jej do oczu. Wreszcie przełknęła gorycz w ustach jak krzywdę wyrządzoną przez Olivera. Przypisywała złe samopoczucie zatruciu lub wrzodom; troska o zdrowie również stanowiła cechę odziedziczoną po Karolinie. W łazience znalazła termometr; zmierzwszy temperaturę, stwierdziła, że jest tylko nieznacznie podwyższona. Muszę o to zadbać, obiecała sobie solennie, także w stylu Karoliny, i poszła do sypialni, gdzie rozebrany Oliver siedział wyprostowany na krawędzi olbrzymiego materaca i czekał.

- Nigdy nie wiedziałem, co kobiety przez tyle czasu robią w łazience - zauważył, gdy Anna zrzuciła z siebie ubranie.

Oboje byli dalecy od romantycznej skromności, nakazującej czekać z nagością do ostatniej chwili; nigdy też wśród śmiechów i wzajemnej adoracji nie omawiali szczegółów swoich ciał. Anna usiadła obok niego na łóżku, uświadamiając sobie, że bez względu na uzdrawiającą moc namiętności, dziś wieczór nie będzie w stanie jej sprostać. Kiedy Oliver przysunął się bliżej, rzuciła z mimowolną szorstkością: „Bądź ostrożny, źle się czuję” - na co najpierw zeszywniał, a potem, nie odzywając się ani słowem, wykazał daleko idącą ostrożność. Potem leżeli bez ruchu; Anna skulona, z głową na ramieniu Olivera. Początkowo była skłonna zasypiać w takiej właśnie pozycji, Oliver jednak zawsze odsuwał ją delikatnie i zasypiał odwrócony. Tego wieczoru uczynił to dość szybko, Anna zaś, w poczuciu, że osiągnęła kres pewnego etapu, prawie natychmiast zapadła w sen.

Obudziła się kilka godzin później, gdyż zabrakło jej tchu. Przez pięć minut bezskutecznie usiłowała znowu zasnąć, po czym wyplątała się spod kołdry. Odwrócona głowa Olivera wyglądała w ciemności jak czarna, włochata kula; ponad nią Anna widziała fosforyzujący krąg cyferblatu budzika. Była trzecia w nocy. Dziewczyna stwierdziła, że czuje się nie tyle chora, ile wyczerpana. W pokoju panował mrok i zaduch, towarzyszące jej zaś napięcie nasuwało myśl o rychłym nadejściu przekleństwa; przesywający ból zgniatał jej trzewia jak imadło. Uznała, że już nie zaśnie - nie ma nic gorszego, pomyślała, pełna nienawiści do Olivera za jego niezawinioną bierność, niż bezsenność w towarzystwie kogoś, kto śpi i może się obudzić z powodu najłżejszego szmeru i zapalenia światła. Ostrożnie usiadła na łóżku, spoglądając na niego z góry, i ogarnęła ją rozpacz. Była to czarna, gniewna rozpacz nadchodzącego przekleństwa; świadoma jej, zawsze w podobnych momentach skłaniała się ku twierdzeniu, że ów rozpaczliwy stan i towarzyszące mu refleksje odpowiadają rzeczywistości jak każde inne, choć przypadają zaledwie na jeden tydzień spośród czterech. W każdym razie, jej zdaniem, przewyższały intensywnością wydarzenia pozostałych trzech stosunkowo spokojnych tygodni. Czuła, że nie osiągnęła nic, zupełnie nic, i nie przeżyła jak należy ani jednej chwili własnego życia. Poczucie to było tak wszechogarniające, że urosło niemal do rangi objawienia.

Przypomniała sobie, co czuła po wyjściu Henryka, i uznała, że miała rację: nie dorosła do stawianych jej oczekiwań i jeśli nie podejmie zdecydowanych kroków, Oliver wyrzeze na niej niezatarte piętno, co dodatkowo oddali ją od tego, na co czekała. Oliver nie mógł jej pomóc; zaczynał za dużo mówić. Z mentalnością osoby uwikłanej w związek z Oliverem Canningiem nie dojrnę do swojego przełomu, stwierdziła w duchu. Nie dam rady. Muszę oszczędzać siły.

Ostrożnie wyslizgnęła się z łóżka i w ciemnościach zaczęła pośpiesznie wciągać na siebie ubranie. Szmer przesuwanych na toalecie przedmiotów obudził Olivera. Usłyszała, jak szuka jej po omacku.

- Anno - powiedział, zapalając lampę i siadając na łóżku.

Anna popatrzyła na niego, po czym odnalazła swój grzebień i spokojnie przystąpiła do upinania włosów.

- Co ty wyprawiasz?

- Wychodzę - odrzekła, wsuwając spinki.

- Dlaczego?

- Nie mogę spać. Dłużej tego nie wytrzymam. Wracam do siebie.

- Dlaczego?

- Ponieważ - ucięła - to jedyne, co mi pozostaje.

Niezachwiana pewność w jej głosie dotarła do Olivera, który zamilkł.

- To niemądre urządzać sceny o tej porze - oświadczył po chwili. - Odwożę cię i będziesz mogła to sobie przemyśleć.

- Nie mam zamiaru urządzać scen, ani teraz, ani w ogóle. Po prostu chcę wyjść. Wcale nie muszę niczego przemyśleć; ja wiem. Nie ma potrzeby, żebyś mnie odwoził; akademik i tak jest zamknięty aż do śniadania.

- Czy wobec tego nie lepiej zaczekać? Przecież nie najlepiej się czujesz.

- Nie - odrzekła uparcie Anna. - Pójdę teraz.

Spojrzała na Olivera, ciekawa jego reakcji. Była ubrana; jego nagi tors, wystający spod kołdry, budził niedorzeczne i lekko obsceniczne wrażenie. Pokój przepełniała woń snu. Anna żywiła połowiczną nadzieję, tak jak niegdyś wobec Henryka po swojej ucieczce ze szkoły, że Oliver zada odpowiednie pytanie, rzuci jakąś trafną uwagę i w obliczu jej niemocy przełamie krępującą ciszę. Była świadoma, że gdyby nie ten tydzień, nigdy nie zabrnęłaby tak daleko. Tak czy inaczej, podjęta decyzja wydawała jej się zarówno właściwa, jak i ostateczna. Nadal czekała na sygnał ze strony Olivera.

Zaczął coś mówić, po czym zmienił zdanie i zaciśnął usta.

- Skoro musisz iść - powiedział - idź. Nie chcę musieć teraz o tym myśleć. Jestem zbyt zmęczony.

On jest taki jak ja, pomyślała w ostatnim przypływie tkliwości Anna, uświadamiając sobie, że on nie ma jej

nic więcej do powiedzenia. Żadne możliwe słowa pożegnania nie przyszły jej do głowy; po cichu opuściła pokój, rzucając Oliverowi od progu ostatnie spojrzenie.

- Twoja kurtka wisi w kuchni, pamiętaj - mruknął.

Zabawne, pomyślała; nigdy nie dowie się, jak bardzo go kocham. Zamknęła za sobą drzwi. Oliver poprawił poduszki, szczelniej owinał się kocem, przewrócił się z boku na bok, po czym wróciwszy do poprzedniej pozycji, zapadł w sen.

Nocą, na skutek neonowego oświetlenia Queen's Road, niebo nad Cambridge jarzy się spopielałym oranżem, rdzą i miedzią, transparentnie otulającymi czerń, nasuwając myśl o przedsionku piekła. Wysoko na milę powietrze zdaje się tlić posępną łuną, lecz ponad ową ognistą kurtyną rozciąga się gładkie pasmo atramentowej nocy. Łuna tchnie chłodem, zasnuwając twarze trupią bladością i nadając oczom wygląd połyskliwych szklanych paciorków. Większość kolorów przybiera odcień zgniłej zieleni, nasyconej fioletem, choć widoczne są i inne, w zniekształconej postaci - cytrynowa biel jaskra oraz zieleń wypłukana z czystego błękitu. Czerń zyskuje chropawość rdzy, rysy i kontury nabierają ostrości, stężale cienie twardnieją. Okrutne to światło, niszczyciel, dość tani, by docenić jego użyteczność.

Anna wyszła na ulicę, mając w perspektywie kilka godzin do zapełnienia. Nawet gdyby wróciła do akademika, musiałaby wspinać się na ogrodzenie, a nigdy nie zadała sobie trudu, by znaleźć obluźowane sztachety czy zawrzeć znajomość z mieszkankami parteru. Deszcz ustał i noc odrobinę przejaśniała. Przez jakiś czas Anna maszerowała bez celu w kierunku Queen's Road, otrząsając się z siebie myśli o Oliverze. Cambridge zamiera o północy; miasto wydawało się nie tyle uśpione, ile całkowicie niezamieszkałe. Anna przeszła West Road, mijając ciemną

sylwetkę biblioteki uniwersyteckiej, obeszła Queen's, po czym znalazła się na Silver Street. Na moście przystanąła i wychyliła się przez kamienną balustradę, co spowodowało nieoczekiwany zawrót głowy. Noc była zimna, podobnie jak kamień; Anna zadrżała, czując jego lodowaty dotyk. Ulice świeciły pustkami i wydawało się, że miało już tak pozostać na zawsze. Dziewczyna przeszła na drugą stronę mostu i spojrzała na wodę, rozmyślając nad minionymi wydarzeniami i zastanawiając się, co robić. Samotny pobyt tu, w środku nocy, narzucał nastrój podświadomego oczekiwania; chwile takie jak ta z powodu swej niezwykłości głęboko zapadają w pamięć.

Od strony Queen's woda była bardzo ciemna, koryto rzeki zaś dość wąskie. Samotna barka dryfowała w półcieniu rzucanym przez most, a wierzby, nagie na tle rozświetlonego nieba, ocierały długie gałęzie o wodę, wydając przy tym ledwo słyszalny szelest.

Z drugiej strony rzeka rozszerzała się w młyński staw, ponad którym rozciągał się most, gdzie ludzie przesiadywali latem z kuflami jabłeczniaka i kanapkami z serem pleśniowym. Woda spływała tam stromą kaskadą o białych, kędzierzawych krawędziach i gładkiej, zielonkawej powierzchni pośrodku; w miejscu, gdzie łączyła się ze stawem, pęcherzyki powietrza rozbijały się, zataczając szerokie kręgi. Po lewej stronie, u stóp Anny, znajdował się niewielki dziedziniec pubu z jedną lub dwiema ławkami ogrodowymi tuż nad krawędzią wody. Był wciąż oświetlony, i blask spływał na rzekę, podkreślając łukowate cienie mostu Silver Street. Białe światło spowijało most miękką poświatą, wydobywając ziemistą brunatność i oliwkową zieleń rzecznych prądów. Po prawej stronie Anny staw rozszerzał się na płyciznie, ginąc pośród niskich, krzaczastych tuneli, po czym przechodził w głęboki, nieruchomy zbiornik. Dalej, jak okiem sięgnąć, krajobraz zasnuwały welony mgiełki pomarańczowego światła, pozornie namacalne jak pajęczyna, którą bez trudu można wymieść lub rozproszyć.

Po oranżowym tle sunęły przesiąknięte nim podłużne, blade obłoki, w których szczelinach raz po raz pobłyskiwała łuna skoncentrowanego blasku księżycy. Wiatr

wzburzył powierzchnię rzeki i nieznacznie spienił jej nurt. Od strony młyńskiego mostu napłynęła duża zielona butelka; podskakiwała na falach, śląc szmaragdowe refleksy w świetle nadbrzeżnych latarni. Anna wychyliła się poza balustradę, odprowadzając ją wzrokiem. Gdy dryfujący przedmiot znikł z jej pola widzenia, scena raptownie nabrała ostrości, podobnie jak w łazience w Darton czy na uniwersyteckim trawniku, w noc prywatki u Piotra.

To ważne, pomyślała; oto jedna z chwil, kiedy widzę. Przygotowała się na jej przyjęcie. Z biegiem lat rozpoznawanie podobnych momentów, momentów wzmoczonej świadomości drogi do celu, gdy można było działać z własnej woli oraz na podstawie wiedzy o sobie, momentów, gdy wizja stawała się najgłębszym i najbardziej intensywnym z doznań, stawało się coraz łatwiejsze. To mnie odmieni, pomyślała Anna w oczekiwaniu na poczucie cennej samotności, które poznała po przyjęciu Piotra, na ostrzeżenie oraz znak, że jest zdolna do wszystkiego; znak, który wyznaczał i określał upragniony punkt wyjścia.

Następowała niezauważalna zmiana pogody; zmiana środka ciężkości, którą Anna przypisała własnemu wewnętrznemu napięciu i usiłowała zignorować. Błyskawica błysnęła na chwilę wśród widocznych w oddali drzew, rozrywając welon rdzawego światła, po czym znów znikła. Wykwitła nisko; jej zygzakowate krawędzie znalazły się poniżej poziomu czerwonego światła, które z kolei rozciągało się pod chmurami oraz mrocznym pasmem nocy. Otoczenie nabrało w oczach Anny nieoczekiwanej ostrości: mosty, powierzchnia wody, wodospad, drzewa, latarnie; rozedrgane, o jasno określonych kształtach na tle potężnej kaskady blasku. Muszę widzieć całą sobą, postanowiła w duchu, uzbrajając się wewnętrznym; tym razem muszę to poznać.

Przypomniała sobie przeczytane niegdyś słowa: „Ziemia przyciąga nas, będąc nieustającym źródłem naszych chwil chwały oraz poczucia znakomitości; doznanie wizjonerskie zyskuje byt namacalny. Utraciliśmy wszak pewność pokładaną w Bogu i stąd, w obliczu mocy, która nie

wynika z nas samych, uważamy ją za barbarzyńską i nieposkromioną. Lękamy się. Cóż za paradoks, że w świecie, który w naszych oczach przestał być antropocentryczny bądź antropomorficzny, w świecie, którego elementy podlegają naukowej analizie oraz poznaniu, nasze zainteresowania religijne, kryzysy duszy, stały się w zawężonym sensie domeną istot ludzkich. Moralność humanistyczna, miłość, związki międzyludzkie, uczciwość, stanowią pełen asortyment środków koniecznych do przyjęcia życia. Kiedy jednak stajemy wobec tego, co nie pochodzi od nas, brak nam dostatecznego przygotowania".

Upłynęła chwila, nim uświadomiła sobie, że jest to tekst autorstwa jej ojca (pochodzący ze wstępu do specjalnej edycji którejś z jego wcześniejszych powieści). Zbyt przywykła do wypierania się znajomości utworów Henryka. Wszystko postrzegał w barbarzyńskim wydaniu, pomyślała Anna. Widział bezustannie, przez co jego powieści posiadały ową dzikość i moc niedostępną Forsterowi i Woolf. Stojąc w jednym szeregu z Wordsworthem i Coleridge'em widział to, co przytłaczające; odkrył sposób, aby żyć, samemu. W drgającym świetle szukała tego, co zobaczyłby ojciec.

Niebawem wyostrzone kontury rozmyły się, wodospad na powrót stał się wodospadem, błyskawica zaś pozbawionym celu migotaniem, horyzont miękko osiadł na swoim miejscu, i Anna zrozumiała, że cokolwiek się działo, dobiegło końca. Poczowała chłód i dotkliwą samotność. Doznane przeżycia nie wynikały z niej samej, lecz stanowiły pośrednie doświadczenie, będące niepodzielną domeną Henryka. Jej przypadła rola drobnego obserwatora, wszelka zaś możliwa chwała ulotniła się bez śladu.

Oparłszy ręce na kamiennej balustradzie, oparła na nich głowę i przymknęła oczy. Chyba nigdy się nie dowiem, pomyślała, i zostanę, jaka jestem. Nie uda się. Nigdy się nie uda.

Nie była w stanie wyciągnąć sensowniejszych wniosków. Poczucie osamotnienia przejęło ją chłodem. Drząc, pomyślała, że dotkliwa świadomość straty przemienie, ustępując miejsca umiarkowanemu optymizmowi, co pozwoli jej uwierzyć, że w gruncie rzeczy nic się nie zmie-

niło. Teraz jednak czuła niezbitą pewność, że nie nastąpi żaden przełom ani objawienie, i wiedziała, że położy się to cieniem na jej dalsze życie.

- Nie dam rady - powtórzyła na głos, spoglądając ponad ramieniem na martwą wodę. - Nie dowiem się. Zostanę, jaka jestem. I nic się nie zmieni.

Kilka tygodni później, w czasie gdy Anna powinna już zjawić się w domu na Gwiazdkę, Henryk otrzymał od niej list. Karolina przyniosła mu go ze śniadaniem, podobnie jak wcześniej listy Małgorzaty; nie rozpieczętowała go, gdyż został zaadresowany tylko do Henryka. Było to niezwykle: Anna pisała rzadko, ograniczając się zazwyczaj do podziękowań za ciasta i herbatniki oraz mętnych relacji z przeważnie zmyślonych towarzyskich okazji, produkowanych w odpowiedzi na prośby o bieżące wiadomości. Karolina przesyłała Annie paczki z żywnością wraz z cotygodniowym opisem drobnych wydarzeń rodzinnych, podobnie jak w szkolnych czasach córki. Różnica polegała na tym, że w szkole Anna musiała co niedziela pisać do rodziców list, co też czyniła. Karolina postanowiła dyskretnie nie wspominać nic o liście, dopóki Henryk sam tego nie zrobi. Wręczyła mu kopertę i wysłała, myśląc, że Anna prawdopodobnie zapowiada swój przyjazd, niefrasobliwie nie zostawiając jej czasu na zmianę zamówienia do rzeźnika bądź kupno zwiększonej ilości płatków śniadaniowych.

Henryk czuł, że list zawiera coś niemiłego, mimo to otworzył go z niejasną ulgą: od czasu powrotu z Cambridge towarzyszyło mu przekonanie, że powinien działać, znaleźć rozwiązanie i przedsięwziąć coś w związku z Anną. Zgodnie z przewidywaniami Olivera, jego posta-

nowienia utknęły w martwym punkcie. Niemniej jednak dręczył się ustawicznie, list zaś, bez względu na treść, przyniósł mu nadzieję na upragnioną wskazówkę.

Drogi ojcze - pisała Anna - za wszelką cenę pragnę uniknąć konieczności przekazywania Ci jakichkolwiek informacji, są jednak rzeczy, które mógłbyś dla mnie zrobić, jeśli zdołasz, dlatego też w kilku słowach przedstawię sytuację. Chcę jak najszybciej wyjść za mąż za Piotra Hughes-Wintertona. Zależy nam na szybkim ślubie, choć jego matka upiera się, by nie nastąpiło to przed końcem studiów Piotra (przyszłe lato). Jeszcze nie doszliśmy w tej kwestii do porozumienia. Byłabym wdzięczna, gdybyś mógł zamieścić stosowną notatkę w „Timesie” albo w „Telegraphie”. Najchętniej załatwiłabym wszystko w urzędzie stanu cywilnego, ale pewnie nie obejdzie się bez oprawy w postaci pomarańczowego kwiecica, szampiana i kuzyna biskupa, zgodnie z wolą lady Hughes-Winterton. Mam nadzieję, że uznasz to za zabawne. Pewnie będę musiała przyjechać na ślub do domu, święta spędzę jednak z rodziną Piotra. Najchętniej w ogóle bym nie wracała. Nie mogę spojrzeć Ci w twarz - to znaczy, jestem w stanie jakoś dalej żyć, byle móc tego uniknąć. Wiesz dlaczego, prawda? Piszę częściowo z powodu „Timesa” i chęci udobruchania lady Hughes-Winterton, po części też dlatego, że jeżeli istnieje osoba zdolna uciszyć mamę i zapobiec jej próbom ściągnięcia mnie do domu itp., jesteś nią Ty. Rozumiesz? Jeśli my - Piotr i ja - dopniemy swego, pobierzemy się na Nowy Rok i pomieszamy razem w Cambridge do czasu, aż Piotr zrobi dyplom (tylko lady Hughes-Winterton łudzi się, że będzie wspała, więc nie ma czym zawracać sobie głowy).

Na tym powinnam zakończyć i pozwolić Ci myśleć, co tylko chcesz. Lecz w pewnym sensie zasługujesz na wyjaśnienie (mam nadzieję, że nie uznasz tego za próbę przekupstwa) i jeśli Ci nie powiem, mógłbyś wyciągnąć niewłaściwe wnioski. Albo próbować przemówić mi do rozsądku, a tego raczej wołałabym uniknąć. Nie przypuszczam, by inni ojcowie zachowali w podobnej sytuacji milczenie, ale istnieje prawdopodobieństwo, że Ty do nich nie należysz.

Otóż dowiedziałam się, że jestem w ciąży. To głupie z mojej strony, że nie wpadłam na to wcześniej. Tym bardziej że

choć inni poczynają sobie znacznie swobodniej, trafiło akurat na mnie. Wpadłam w panikę i nie wiedziałam, co robić. Zrozumiałam też, że nie poradzę sobie bez kogoś, kto podejmie za mnie decyzję, jak kiedyś mama. Wszystko zdaje się dziać niezależnie od mojej woli, takie to życie. Poszłam więc do Piotra i poprosiłam o pomoc; on to uwielbia. Nie, nie jestem na tyle wyrachowana, by wmawiać mu, że to jego dziecko, nic z tych rzeczy. Po prostu opowiedziałam mu, jak sprawy stoją, a on opracował zgrabne uzasadnienie psychologiczne tego, że sprawa z Oliverem i wszystko inne - mój brak równowagi - sprowadza się do Twojej osoby, rodzicielskiego lekceważenia, kompleksu niższości (mojego) itede. Może nawet ma rację. Twierdzi, że potrzebuję miłości i opieki, i pewnie tak jest - a przynajmniej jego uczucie w pewnym sensie sprawia mi przyjemność. On chyba myśli, że gdyby nie te tarapaty, pewnie nigdy bym za niego nie wyszła. Nie mam pojęcia, dlaczego mu tak na mnie zależy, ale to jego sprawa. Miło, że w ogóle komuś zależy. Chciałabym go uszczęśliwić, naprawdę.

Zależy mi na usunięciu ciąży. Znam masę osób, które mają to za sobą - załatwienie tego nie powinno być trudne, bylebym tylko mogła wyrwać się do Londynu z dala od sokolich oczu lady Hughes-Winterton. Ale Piotr jest pełen szacunku dla życia i nie zgadza się. Niech dziecko przyjdzie na świat, mówi, niech ktoś je adoptuje, jeśli nie zdecydujemy się go zatrzymać. Niby jak ktoś miałby je adoptować, pytam, skoro tymczasem lady Hughes-Winterton o wszystkim się dowie. Uważam, że Piotr postępuje bardzo szlachetnie, wołałabym jednak przeforsować swoje argumenty, inaczej nigdy tak naprawdę nie będziemy małżeństwem, prawda? A ja chciałabym spróbować. Piotr długo tego nie wytrzyma, nawet ja to rozumiem.

Pomimo mojej chęci nieopowiadania ci o niczym, ten list robi się zdecydowanie za długi, co? Może nadal uważasz, że Meksyk byłby najlepszym rozwiązaniem. Na Twoim miejscu byłabym tego samego zdania. Ale nie jestem Tobą, nie mam twojej siły, nie mam - wiesz, czego nie mam - pozostaje mi więc trwać, postępować zgodnie z wolą mamy i poślubić Piotra. No i być człowiekiem. Żoną, i tak dalej. Możesz powiedzieć mamie, co chcesz. Perfidnie zrzucam to

na twoje barki. Wiesz, ile jest w stanie znieść, ja nigdy nie potrafiłam tego określić; zresztą nie wydaje mi się, aby mogła z mojej strony znieść wiele. Przekonaj ją, że Piotr to wymarzona partia.

Muszę kończyć. To na nic. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, zdecydowałabym się na rozmowę - o pułapkach zastawianych przez życie, o przypadkowości zdarzeń - lecz nie mogę rozmawiać z Tobą i trwać, za wiele wymagasz. Piotr daje mi ciepło, prawdziwe ciepło, a to już coś, prawda? Nie pisz więcej, niż musisz, zrób tylko to, o co proszę. Całuję, Anna.

Henryk siedział przez jakiś czas z listem przed oczami, przyswajając sobie jego treść. List istotnie okazał się niemiły, lecz nie w sposób, w jaki tego oczekiwał, o ile w ogóle potrafił sprecyzować swe oczekiwania. Zbyt pochłaniała go sprawa dlań najważniejsza, mianowicie stosunek Anny do niego. Dwojako odczytywał jej list: mógł to być ostatni apel do ojcowskiego zainteresowania oraz prośba, by zignorował jej nonszalancję i praktyczny ton, pokonał dzielący ich dystans i sprowadził córkę do domu. Chce, abym wiedział, pomyślał. Chce, abym wiedział, co jej się przytrafiło. Albo może chce, by ktoś o tym przeczytał, i uważa, że ja jestem najbardziej nieszkodliwym czytelnikiem, gdyż bez względu na moją opinię na temat małżeństwa z tym chłopakiem oraz aborcji, zostawię ją w spokoju. Pewnie już żałuje swoich zwierzeń. Jest pewna, że nie chce mnie widzieć, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. Jak zawsze. Chyba powinienem zachować dystans. A może oczekuje, że nie dam za wygraną i będę nalegał na rozmowę. Tylko o czym?

Posiadał tak niewiele doświadczenia w niesieniu pomocy innym! Dość już narobił zamieszania z Małgorzatą.

Pomyślał o Piotrze Hughes-Wintertonie, zastanawiając się, na jak długo starczy owej mieszkanki bohaterstwa i oportunisty. Anna również zdawała się świadoma płynących z sytuacji niebezpieczeństw. Może nawet bardziej niż on.

Pozostawała jednak kwestia najważniejsza. Ciąża. Myśl o aborcji obudziła w nim odrazę, w połączeniu zaś z Anną przyprawiła go o gwałtowny dreszcz. **Aspekt** mo-

ralny w jego mniemaniu nie był ważny. Zabieg mógł okazać się najlepszym rozwiązaniem. Ale... czy powinien sam to załatwić, zapłacić czy też pozostawić to Piotrowi, albo?... To nie powinno być się zdarzyć.

Ponadto pozostawała jeszcze Karolina, która, jak wiedział, czekała taktownie w kuchni, aż on przyjdzie i przedstawi jej treść listu. Co miał powiedzieć Karolinie, na jej własny użytek oraz na użytek Anny? Wepchnąwszy list do kieszeni, odsunął krzesło i wyszedł do ogrodu.

Karolina zobaczyła go przez okno i pomyślała, że tym razem Anna zrobiła coś naprawdę niegodziwego. Sadził przed siebie wielkimi krokami, gwałtownie napinając mięśnie, jak w chwilach zdenerwowania lub pod działaniem nieoczekiwanego przypływu weny twórczej. Lecz Karolina nie sądziła, by obecny stan męża miał cokolwiek wspólnego z weną. Niech ją wszyscy diabli, pomyślała; on nie wie, co ma mi powiedzieć, ale długo nie wytrzyma i wróci. Ostatnio wiele spacerował, nie tak jak teraz, lecz powoli, ociężałym krokiem, co chwila przystając i zawracając, jak gdyby niewidzialny mur zagrażał mu drogę. Karolina doszła do wniosku, że osiągnął jakiś nader trudny i wymagający etap swej twórczości. Gdy zniknął w sadzie, odprowadziła go wzrokiem i czekając na jego powrót, zabrała się do polerowania sreber.

Przymarznięte warstwami do gruntu liście były sztywne po bokach i rozmiękłe pośrodku, jak babka ziemniaczana. Chrzęściły mu pod stopami niby świeży śnieg. Obłoki pary dobywające się z ust Henryka łączyły się z zimnym powietrzem; drzewa pokrywała rozległa niczym grzyb, puszysta warstwa szronu. Henryk maszerował przed siebie bez celu i co parę kroków przystawał, omiatając otoczenie błędnym wzrokiem jak marny koń podczas gonitwy. Wmówił sobie, że wyszedł po to, aby pomyśleć, w gruncie rzeczy jednak energiczny spacer miał mu pozwolić odłożyć tę czynność na później.

Okrężną drogą dotarł do szopy i wszedł do środka. Wnętrze pachniało wilgotnym drzewem, po zewnętrznych stronach szyb widniał szron. Otwierając szufladę tego, co nazywał w myślach „warsztatem Jeremiego”, na-

tknął się na notes Anny, zlepek mokrych kartek, spośród których jedna była od góry do dołu zapisana jednym słowem: „Michał, Michał, Michał”, na drugiej znajdował się początek wiersza: „Drzewa zieleniły się kiedyś, rzecz jasna tylko przez ciebie”, u dołu zaś widniał ozdobiony efektownymi zawijasami napis: „Wszyscy jesteśmy tak bardzo samotni”.

Michał? - zdumiał się Henryk, nie znajdując na to żadnego wyjaśnienia. Nigdy nie zadał sobie trudu, by zapamiętać nazwisko Michała. Ponownie przerzucił zawilgłe stronicę, myśląc o tym, że nawet tu Anna nie pozostawiła wskazówki, którą mógłby odczytać jako przejaw błyskotliwego umysłu czy ukrytego talentu; czegoś, co dałoby mu pretekst, aby złapać pociąg do Yorku i nakłonić ją do powrotu oraz samodzielnych wysiłków. Nic, choćby czegoś kiepskiego i niedopracowanego, co świadczyłoby o woli działania. Tylko imię, smętna refleksja i fragment wiersza. Nawet poezja miłosna, pomyślał Henryk, coś, co powinno kipieć intensywnością bezpośrednich doznań, tutaj zdawała się odległa, wyrażona oględnym językiem i poddana chłodnej analizie z zewnątrz. Czy w chwili, gdy o nim pisała, Michał należał do przeszłości, czy terażniejszości? Henryk czuł, że nie miało to żadnego znaczenia. Cała Anna. Nigdy nie czerpie z życia pełnymi garściami i nie podejmuje ryzyka nowych doświadczeń.

Och, Anno, Anno, Anno, powiedział w duchu. Chciałbym ofiarować ci coś trwałego. Chciałbym, abys zaczęła od początku.

„Wszyscy jesteśmy tak bardzo samotni”.

Od powrotu z Cambridge miłość nie dawała mu spokoju; bez ustanku przemyślał, co mógł albo powinien był powiedzieć Annie, zarówno wtedy, jak i podczas tych oraz ubiegłorocznych wakacji. Powiedziałaby jej to, co wiedział, zabrałby ją do swoich miejsc i nauczył widzieć je na swój sposób; przywołałby uśmiech na twarz córki i sprawił, że wstrzymałaby oddech, jak wtedy, gdy wspominał o Meksyku. Lecz zdjęty lękiem przed Oliverem i nienawykły do działania nie umiał przekreślić dzielącego ich dystansu. Czuł, jak wraz z miłością ogarnia go

nieznane dotąd uczucie bezradności. Nie był w stanie zmusić się do pisania. Początkowo to nie miało znaczenia, stanowiąc jedynie przelotny powód do irytacji. Potem jednak, w obliczu listu od wydawcy oraz dni płynących beczynn timer w błędnym kole tkliwości rodzicielskiej, poczucia odpowiedzialności oraz niemocy, zaczął się zamartwiać również pisaniem. Czuł, że bez tego nie jest człowiekiem; po okresie spędzonym z dala od kartki papieru i pióra zatracił punkt odniesienia oraz kontakt z samym sobą.

Zawsze hołdował przekonaniu, że nie przerywając magicznego kręgu własnych myśli, twórczości oraz wizji, niepostrzeżenie przekroczy bramy starości. Przyjął też ciche i niepoparte przesłankami medycznymi założenie, że następnie przyjdzie mu spokojnie zejść ze świata w wyniku ataku serca. W najgorszym wypadku, jeżeli jego wena wygaśnie, a powieści staną się splotem wyświechtanych koncepcji, jak nieraz działo się to w przypadku innych, z godnością ustąpi i zajmie się książką o romantyzmie. Gdyby każdego dnia nie poczytał trochę i nie robił notatek, w swoim mniemaniu nie przedstawiałyby żadnej wartości i pozostawałyby mu jedynie czekać. Miał więcej szczęścia niż większość ludzi; nie było powodu, aby przerywał swoje zajęcie w „wieku sześćdziesięciu pięciu lat”, jak pisano w broszurach ubezpieczeniowych.

Tak, był doskonale przygotowany na nadejście przyszłości i uwzględniał ją w swoich planach. Doszedł do wniosku, że zadaniem człowieka jest jego religia; byłaby to pierwsza rzecz, jaka przyszłaby mu do głowy w odpowiedzi na pytanie: „Po co tak właściwie żyjesz”. Nie uważał tego za w pełni satysfakcjonujące rozwiązanie, lecz w jego przypadku była to prawda: stanowił zlepek obserwowanych zjawisk oraz towarzyszących im refleksji, własnej pracy, tego, o czym pisał - bez nich był sumą procesów fizjologicznych, które w obliczu śmierci stawały pod znakiem zapytania. Tak przynajmniej sądził. Ciekawe uproszczenie dla kogoś z pretensjami do talentu, pomyślał, spoglądając na zamknięty zeszytek Anny; ktoś, kto równie mało dbał o pełne idiosynkrazji relacje

międzyludzkie, jak on. Tyle że owo celowe uproszczenie spełniało swoje zadanie. Nie można przecież kroczyć każdą ścieżką i jednocześnie zająć daleko, uznał. Trzeba wybrać: ostatecznie nie mogłem pozostać na własnym podwórku i na wskroś poznać samego siebie. Musiałem pozamykać boczne szlaki i przeć naprzód.

Z wiadomościami od Anny w kieszeni podjęcie zdecydowanych kroków nie powinno przysporzyć większych trudności. Dotknął listu, po czym dołączył do niego notes, dowód miłości zdobyty bez wiedzy ukochanej osoby, zagubioną rękawiczkę, zabazgraną kartkę papieru, magiczny symbol, który przekazuje tajemną moc w ręce kochanka.

Anna musi być przerażona, dotarło do niego nagle. Ona również nie przywykła do podejmowania jakichkolwiek działań. A jej potrzeba działania jest bardziej dotkliwa niż moja. Zawrócił, nie mogąc znieść myśli o cierpieniu córki. Karolina zawsze mówiła mu, co ma robić, i tym razem też będzie zmuszony zasięgnąć jej rady.

Gdy wszedł, żona podniosła głowę, gotowa na przyjęcie irytujących wieści na temat Anny.

- Musimy porozmawiać - oświadczył ponuro, stając przy oknie tyłem do niej i pograżając się w milczeniu, które sugerowało, że powiedział już wszystko, co było do powiedzenia.

- Kiedy możemy się spodziewać przyjazdu Anny? - rzuciła Karolina zamiast: „Co Anna znowu przeskrobała?”, które miała na końcu języka.

- Nieprędko - odrzekł Henryk. - Przebywa z wizytą u ludzi nazwiskiem Hughes-Winterton. W okolicach Yorku. - Spojrzał ukradkiem na kopertę. - W okolicach Yorku.

- Szkoda, że wcześniej nas nie powiadomiła. Przyjedzie na Boże Narodzenie? Jeremi byłby niepokieszony, gdyby cała rodzina nie zebrała się na święta.

- Wątpię. Nie, na pewno nie przyjedzie. Chce tam zostać. - Karolina nie wiedziała, w jaki sposób nakłonić go, by powiedział to, czego wciąż nie mógł wydusić. - Kim są Hughes-Wintertonowie?

- To lady Hughes-Winterton wraz z mężem, który pracuje w ministerstwie spraw zagranicznych, sir Walterem

Hughes-Wintertonem, jak mi się wydaje. No i ich syn, Piotr. Studiuje w Cambridge. - Znowu zamilkł, po czym powiedział z wysiłkiem: - Anna zamierza wyjść za niego za mąż.

Teraz przyszła kolej na milczenie Karoliny. Chciała okazać radość: pragnęła małżeństwa Anny, choć nie miała odwagi marzyć o kimś na skalę potomka Hughes-Wintertonów. Oczami wyobraźni ujrzała anonse w „Timesie” i „Telegraphie”, przyjazne i dystygowane powitanie Piotra podczas jego pierwszej wizyty po świętach - żadnego ponaglania, grunt to wyważona uprzejmość - a może by tak letnie przyjęcie na trawie? Jeremi w odświętnym stroju, uroczy widok, duchowny z jej rodziny, wytworny kapelusz - tym razem coś absolutnie wyjątkowego, jedwabne nakrycie głowy wielkości młyńskiego koła - oraz Henryk, jak zwykle imponujący, w roli ojca oblubienicy. W tym momencie uderzył ją zgoła niepasujący do sytuacji wyraz twarzy Henryka. Wiedziała, że ojcowie tradycyjnie oczekują dla córek lepszego losu - owa zasada mogła się sprawdzić nawet w przypadku Anny - w związku z czym dręczyły ich wątpliwości lub niepewność. Henryk jednak zdawał się wyraźnie pochmurny. Istniało coś, o czym Karolina nie wiedziała.

- Czy są jej przychylni? Mam na myśli jego rodziców.

- Jak najbardziej. Anna prosi o zamieszczenie informacji w gazetach. Zdaje się, że ewentualne nieporozumienia wynikają z różnicy zdań co do daty ślubu. Oni, Piotr i Anna, chcą, aby odbył się za kilka tygodni. Lady Hughes-Winterton upiera się przy lecie.

- Rozumiem. Powinniśmy się pośpieszyć... Uszycie sukni zwykle trochę trwa... Ludzie mogą pomyśleć... Czy to znaczy, że Anna nie ukończy Cambridge?

- Nie. Według mnie, to bez znaczenia. I tak na niewiele by jej się to zdało.

Wyraził swój oczywisty pogląd; Karolina wiedziała, że problem tkwi w czym innym. Najchętniej wydusiłaby z niego odpowiedź.

- Może lepiej dasz mi do przeczytania jej list, żebym mogła wszystkiego dopilnować?

- Nie - odparł zbyt szybko Henryk. - Był adresowany... do mnie.

- Henryku, co się stało? Czy Anna nie jest szczęśliwa? Czy ona... czy... czy ona musi wyjść za mąż?

Henryk milczał zbyt długo, by spreparować jakieś wiarygodne kłamstwo.

- Rozumiem. Zakładam, że lady Hughes-Winterton nic o tym nie wie. - W głosie Karoliny pojawiły się piskliwe nuty. - Chyba mogłam się tego spodziewać. Anna jest taka... taka nierozsądna. - Zastanowiła się. - Ale jeśli ślub odbędzie się niebawem, wtedy może nikt... Henryku, zachowuj się normalnie. Od jak dawna to trwa? Czy ten Piotr żeni się z nią tylko dlatego? Jeśli tak... trzeba mu powiedzieć, że nie musi. Nikt nie musi żenić się z takiego powodu. To nie wróży nic dobrego. Anna powinna sama się o siebie zatroszczyć.

Karolina uważała, że w podobnych sytuacjach winę zawsze ponosi kobieta. Mężczyźni byli oczywiście lubieżni, nawet ci najporządniejsi, chętni do brania tego, co im dawano. W przewrotny, kobiecy sposób skrycie ich za to podziwiała. Zapobieganie kłopotom należało do zadań kobiety, podobnie jak wnikliwa analiza schematu męskich zachowań. Kobieta musiała pamiętać o „samokontroli” i wiedzieć, że mężczyźni takowej nie mają.

- Anna jest nieodpowiedzialna - zawyrokowała wreszcie. - Nie myśli o konsekwencjach. Nie chcę, aby ten młody człowiek czuł się do czegokolwiek zmuszany.

- Nie sądzę, aby tak właśnie było - odrzekł Henryk, na oślep brnąc w wyjaśnienie. - To raczej Anna ma pewne wątpliwości...

- W takim razie niech pobiorą się jak najszybciej. Anna nigdy się nie zdecyduje. Pewnie nie miała wątpliwości, kiedy...

- Ty nic nie rozumiesz - przerwał jej mimowolnie Henryk. - Piotr... Piotr nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności.

Karolina usiadła przy stole, wlepiając wzrok w srebrne łyżki i patery, ustawione przed nią w równym rzędku, niektóre lśniące, inne pokryte mazią pasty jubilerskiej. Spoglądała na nie przez chwilę, powoli odzyskując równowagę.

- Któż więc? - zapytała wreszcie ledwo słyszalnym głosem.

- Oliver Canning. - Henryk czuł, że podświadomie oczekiwała takiej odpowiedzi. Wiedział też, że przekroczył granicę, klamka zapadła: przekazanie tej informacji zadecydowało o dalszym biegu wydarzeń. Poczuł się źle, bardzo źle. Nigdy nie widział Karoliny tak wstrząśniętej.

- Wiedziałam, że jest niebezpieczny, już wtedy to wiedziałam - wychrypiała przez zaciśnięte gardło. - Sądziłam jednak, że wyjechał w samą porę. Można się było tego po nim spodziewać. I Anna... wciągnęła w to... tego chłopca? - zapytała, nie patrząc na Henryka.

- On wie...

- Co za ohyda! - zawołała Karolina. - Jakież to obrzydliwe! - Drżąc, oparła głowę na stole i wybuchnęła płaczem. - Nie wiem, jak ona mogła, przecież uczono ją, jak należy postępować - wyszłochała w pewnym momencie.

Henryk drgnął; jej słowa zabrzmiały jak wyświechtany banał, lecz w oczach Karoliny incydent odarł z godności całą rodzinę, stając się źródłem dotkliwego bólu.

Nie wykonał najmniejszego ruchu, by pomóc żonie, nie poklepał jej po ramieniu, nie otarł łez ani też nie powiedział tego, co chciała usłyszeć, a mianowicie, że nie ponosi za nic najmniejszej winy. Kiedy odwrócił się od okna, na jego twarzy widniało znajome rozkojarzenie, ukryte pod kamuflażem krzaczastych brwi. Obserwował drgające ramiona Karoliny z mieszaniną zainteresowania oraz czegoś w rodzaju ulgi. Zupełnie jakby, co stwierdził z niejakim zdziwieniem, oburzenie Karoliny, jej gniew oraz poczucie osobistej klęski zdjęły z jego barków ciężący mu ciężar. Jakby rozpacz żony stłumiła jego rozpacz, inną, bardziej indywidualną; jakby przekazał jej swój balast, tak jak kontakty z rzeźnikiem, piekarzem, sprawy podatku od dochodów, rozmowy z dziennikarzami oraz mnóstwo innych obowiązków, o których nawet nie wiedział. Jakby podzielenie się wiadomością o Annie zmieniło oblicze córki, przenosząc ją w głąb świata Karoliny. W pewnym sensie łyż Karoliny poruszyły go bardziej niż łyż Małgorzaty, a nawet Anny, których przyczynę pojmował wyraźniej - Karolina znajdowała się bliżej niego, erupcja na-

stąpiła w obręb jego terytorium, tym większe budząc przez to zdumienie.

Nie był jednak cierpiętnikiem, a przynajmniej nie bardziej niż aktorem. Nie był chrześcijaninem, a co dopiero Chrystusem. Przypomniawszy sobie słowa Olivera o albatrosach, które „wiesza na szyi jako świadectwo swego rozwoju duchowego”. Cóż, jeśli istotnie tak było, nie uważał, by umierał wraz z nimi, nie dzielił ich rozpaczliwej walki; ptak u jego szyi odrobinę uwsteczniał jego rozwój, on zaś studiował układ gładkich piór i skurczonych pazurów.

Przypomniawszy sobie też, że w chwilach udreki zawsze stawał na uboczu i patrzył, mówiąc: „Mam tego dość”, by niebawem uciec w samotność. I pisać? Tak działo się po studenckich porażkach w Cambridge, po tym, jak jego przyjaciele byli torturowani w Birmie - i teraz, po incydencie z Anną. Stopniowo rozpoznawał samego siebie i ostrożnie badał grunt, odkrywając ukryte podniecenie, płynące z wiedzy o Annie, Karolinie, Oliverze i Piotrze oraz ze znajomości biegu wypadków.

- Przepraszam, Henryku, naprawdę nie chciałam - powiedziała Karolina. Wyprostowała się, ocierając oczy.

- I tak to dla ciebie trudne, bez moich łez. - Uderzyła ją jakaś myśl. - Od jak dawna wiesz?

- O Oliverze od ostatniej wizyty w Cambridge. Widziałem się wtedy z nimi, ale nic nie mogłem zrobić. O tym dowiedziałem się dziś rano.

- Rozumiem - odparła Karolina. Nie zapytała, dlaczego jej nie powiedział; unikała podobnych pytań. - Dlaczego nie zmusiłeś Anny do powrotu?

- Moim zdaniem, nie miałem do tego prawa.

- Ja na pewno bym to zrobiła. - W miarę narastającego gniewu zeszywniał jej kark i ręce przestały drżeć. - Jakie jest zdanie Olivera Canninga na temat ostatnich rewelacji?

Henryk nie zaprzętał sobie głowy Oliverem: w jego umyśle figurował on jedynie jako uosobienie podłości - bezpośredni sprawca ciąży. Nie traktował go jako osoby, która mogła darzyć Annę uczuciem bądź okazać zainteresowanie jej dzieckiem.

- Nie wiem - odparł z lekkim zdziwieniem. - Nie mam nawet pojęcia, czy on w ogóle wie. Nie brałem go pod uwagę.

- Cóż - odparła żywo Karolina - musi ponieść konsekwencje. Bez względu na to, czy nam się to podoba, czy nie, powinniśmy się z nim zobaczyć i dać mu to do zrozumienia. Pora zacząć działać. Przyjazd Anny jest konieczny - trzeba przemówić jej do rozumu - a Oliver Canning zapłaci za wszystko. Jeśli ten nieszczęsny chłopiec rzeczywiście chce ożenić się z Anną, droga wolna, o ile się wcześniej nie rozmyśli, co jest wielce prawdopodobne. Anna niech lepiej niezwłocznie opuści kraj, w tej sytuacji nie ma tu dla niej przyszłości. Niech wyjedzie do kolonii i zostanie nauczycielką, przynajmniej będzie z niej jakiś pożytek.

- Ona chyba nie chce urodzić tego dziecka - podsunął Henryk, z góry przewidując odpowiedź.

- Nie ma innego wyjścia. Jeśli ktoś zachowuje się nieodpowiednio, musi ponieść wszelkie płynące z tego konsekwencje. Anna nic innego nie robi, po pierwsze, dlatego że to nikczemne, po drugie - niebezpieczne. Przyszły rok dla nikogo z nas nie będzie miły, ale nic na to nie poradzimy. Musisz nakłonić ją do powrotu.

- Nie sądzę, abym potrafił.

- Ktoś musi. On musi - Oliver Canning, jeśli nikt inny tego nie robi. Jak trzeba, to go zmuszę.

- Nie uważasz, że powinniśmy wykluczyć go ze sprawy?

- Nie - oznajmiła Karolina, wracając do przytomności dzięki podejmowanym planom. - Musi dostać to, na co zasługuje, musi zapłacić. Już ja tego dopilnuję. Zaraz do niego napiszę. - Spojrzała na Henryka ze łzami wciąż wiszącymi na rzęsach, niezdolna przyznać, że część jej złości jest skierowana przeciwko niemu. - Trzeba niezwłocznie zacząć działać - powtórzyła, po czym pochyliła się nad stołem, mrużąc pod nosem: - Paskudny człeczyzna, zupełnie nie wiem, jak ona mogła go dotknąć. Znam ten typ, nie da człowiekowi spokoju. Patrzył wtedy na nią, na mnie zresztą czasem też; nie znosi kobiet, które wymykają się spod jego wpływu, już ja takich znam. Sądziłam jednak, że Anna jest zbyt głupia, by zwrócić na to

uwagę, była wtedy taką kluchą, wcale nie przypominała kobiety. Nie myślałam, że on się odważy, zwłaszcza przez wzgląd na wasze stosunki.

- Właśnie dlatego - wtrącił Henryk.

- No tak, zaczynam rozumieć. To tylko pogarsza sprawę. Częściowo winię samą siebie. Nie chciałam go pod swoim dachem, ale żal mi było biednej Małgorzaty.

Myśl o Małgorzacie była szokiem dla nich obojga.

- Czy ona wie? - zapytała Karolina. - Czy to dlatego...

- Nie. Moim zdaniem, przeżywa jakąś własną, osobistą tragedię. Chyba nie ma tam miejsca na kogoś takiego jak... Anna.

- Szkoda - zauważyła obojętnie Karolina - że musiało paść właśnie na Annę. Gdyby to był ktoś bardziej... mniej... Małgorzata miałaby dobry pretekst, żeby zostawić Olivera. Zawsze strasznie się nad nim trzęsała. Akurat dużo go to obchodziło. Nie powinna wtedy tak się zachowywać - byłaby wymarzoną żoną dla każdego, prawie każdego, z wyjątkiem tego samolubnego potworka.

- Biedna Małgorzata - powiedział Henryk. - Będzie cierpieć za wszystkie decyzje, które podejmujemy lub których nie chcemy podejmować, i nigdy nie dowie się, co poszło nie tak. Zupełnie jak ta dziewczyna na karuzeli, której spódnica dostała się w tryby mechanizmu. Zmiażdżyło biedaczkę doszczętnie, i to przez przypadek. Nie wiem, co z nią zrobimy.

- To sprawa Olivera.

- Obawiam się, że Małgorzata będzie innego zdania. - Nagłe wyrzuty sumienia z powodu Małgorzaty spotęgowały troskę o Annę, nie całkiem za sprawą sumienia, lecz w ścisłym z nim związku. Henryk znowu poczuł się osamotniony i obciążony brzemieniem moralnej odpowiedzialności. Ogarnęło go poczucie winy, choć nieco lżejsze i jakby bardziej rozrzedzone, odległe. Wstał i pozostawiając Karolinę samą, niczym odkrywca udał się do gabinetu.

I tak obowiązek zajęcia się Anną i Oliverem spoczął na barkach Karoliny. Przyszło jej do głowy, aby zatelefonować do Anny i kategorycznie zażądać jej powrotu. Wiedziała jednak, że nie przyniesie to pożądaných efektów, lecz tylko niepotrzebnie zrazi Hughes-Wintonów. Choć perspektywa małżeństwa i tak wydawała się nikła, Karolina stanowczo wolałaby tego uniknąć. Chcąc dowiedzieć się, co „naprawdę miało miejsce”, zyskać na czasie bez poczucia biernego oczekiwania, a przede wszystkim odegrać się za doznane upokorzenie, napisała do Olivera, żądając jego natychmiastowego przyjazdu w celu przedstawienia koniecznych wyjaśnień. Henryk prawdopodobnie nie podjąłby tego rodzaju działania - pełniąc rolę swoistego rzecznika w sprawie zarówno Olivera, jak i Małgorzaty oraz Anny, stanowczo umywał ręce. Wciąż jeszcze nie zabrał się do pisania, lecz przekonany o przejściowej naturze owego stanu, był na swój sposób zadowolony. Spacerował po domu i ogrodzie, jak gdyby na coś czekał, i odpowiadał na wszystkie pytania i sugestie Karoliny z niezmaconym przekonaniem o słuszności podejmowanych przez nią decyzji. Karolina nigdy nie była do końca pewna, czy mąż w ogóle jej słucha, lecz w pełni jej to odpowiadało. Kipiła chęcią czynu i wolała, aby jej w tym nie przeszkadzał.

List do Olivera wpadł w ręce Małgorzaty w porze lunchu, kiedy po raz drugi przywieziono pocztę. Usłyszała pisk resorów, szelest papieru i ciche pacnięcie koperty rzuconej na wycieraczkę, wybiegła zatem z sypialni z nadzieją, że to wyczekiwany od dawna list z radą - albo informacjami - od Henryka. Od czasu jego ostatniej wizyty Małgorzata zmieniła się; stała się bierna i zrezygnowana, pozbawiona energii i woli dalszych zmian, ograniczonych choćby do prowadzenia korespondencji. W listy do Henryka włożyła siebie całą, i teraz niezmiennie towarzyszyło jej poczucie, że przekazała mu tym samym swoje życie. Pozostawała w letargu, który przestał być nieznośny, ponieważ nie zdawał się już ani ostateczny, ani moralnie naganny. Czekwała na Henryka; to nie słabość stanowiła przyczynę otępienia, lecz wola Henryka. Małgorzata przypominała świeżo upieczoną wyznawczynię religii, neofitkę, która świadomie wyrzekła się woli, zwolnioną od zadawania pytań w rodzaju: „Po co tutaj jestem?” i „Co mam z tym począć?”. Wszystkie odpowiedzi nadejdą we właściwym czasie. Tymczasem jednak, kiedy Oliver dwukrotnie na krótko zawitał do domu, zachowywała się spokojnie, nie patrząc na niego i przeważnie milcząc. Czuła, że potrzebuje na to zgody Henryka. Opinii Olivera nie dociekała.

Odkąd alkohol zaczął wywoływać u Małgorzaty wymioty, co okazało się dla niej doznaniem zbyt gwałtownym, niemal zrezygnowała z krwawej mary. Traktowała ją jak lek, nie była w gruncie rzeczy uzależniona; umiała wyprodukować własny anestetyk, przyjemniejszy i skuteczniejszy niż jakikolwiek drink. Jadła coraz mniej, przez co tak schudła, że ścięgną niemal przebijają jej skórę na rękach, nos zaś stał się prawie przezroczysty, zyskując sinawą biel zamiast dawnej ciepłej złocistości. Kostki nóg natomiast, pomimo gorliwego nacierania gąbką w kąpieli, napuchły z braku ruchu. Wystające żebra opinała cienka warstwa skóry, która jednak na wysokości brzucha przechodziła w pokaźną, zwisającą fałdę. Ze zsiniałą twarzą rzecz się miała identycznie - zapadnięte policzki, tak samo oczy, ostry zarys szczęki, niżej zaś obwisły podbródek, błydy cień dawnej rozkosznej

krągłości oblicza. Małgorzata rzadko kiedy spoglądała teraz w lustro.

Bez trudu zapadała w sen, przesypiając do osiemnastu godzin na dobę, i uczyła się sypiać jeszcze dłużej. Po obudzeniu przesiadywała w salonie przy włączonym piecyku i zasuniętych zasłonach, pogrążona w wyimaginowanych rozmowach z Henrykiem i Oliverem, prowadzonych na tle muzyki płynącej z radia. Czuła się zamknięta wewnątrz wielkiej, żółtej kuli, ciepłej niczym otaczające ją zasłony i jak one upstrzonej stokrotkami, prężącymi główki do słońca znajdującego się w pokoju. Oliver i Henryk przemawiali do niej łagodnie, przekonując, że wszystko zmierza ku lepszemu, że cierpiała w ich sprawie i że bardzo potrzebują jej i ją kochają.

Wystarczało to Małgorzacie w zupełności, gdyż czekała na ciąg dalszy, na list od Henryka, który wreszcie nadejdzie i wskaże jej, co dalej robić.

Początkowo nie rozumiała, dlaczego list jest adresowany do Olivera. Przecież widniała na nim pieczętka Darton. Kiedy w końcu nadszedł, poczuła mimowolny lęk, jak gdyby wbrew jej oczekiwaniom rozwiązanie proponowane przez Henryka mogło okazać się niełatwe. Nie do końca wierzyła, że list nie został skierowany do niej; przecież tak bardzo nań czekała. Poza tym nie podobała jej się myśl, że Henryk miał Oliverowi do powiedzenia coś, o czym ona nie wiedziała. Nieotworzenie listu okazało się niemożliwe, i dopiero widok charakteru pisma uświadomił jej, że nie należy on do Henryka.

Karolina długo biedziła się nad nagłówkiem. Nie wiedziała, czy napisać „Drogi Oliverze”, czy też „Szanowny panie Canning”; w końcu jej wybór padł na „Drogiego Olivera”, co miało uświadomić adresatowi, że ów zwrot był zawsze jedynie formalnością. Skoro też postanowiła zaoszczędzić nieco jadu na później, na wypadek konfrontacji z Oliverem, ton listu nie był tak lodowaty, jak to sobie wyobrażała, wrzucając go do skrzynki, choć mógł się taki wydać Oliverowi, który podświadomie tego oczekiwał. Małgorzatę treść listu zbiła z tropu, dodatkowo potęgując jej oszołomienie - co Karolina i Anna miały wspólnego ze sprawami łączącymi Henryka, Olivera i ją?

Karolina ograniczyła się do aluzji, nie wiedziała bowiem, czy Oliver wie o ciąży Anny lub jej wizycie u Hughes-Wintertonów. Zakładała, że Anna i Oliver zostali się, lecz nie miała pojęcia, kiedy to nastąpiło. Podejrzewała, że niespotykana u Anny chęć zamieszczenia anonsów w „Timesie” i „Telegraphie” miała na celu pośrednie poinformowanie kochanka o *fait accompli* - w przeciwieństwie do Henryka i Anny, Karolina nie mogła wiedzieć, że Oliver nie czyta tych gazet, nie wspominając już o kronikach towarzyskich. Tak więc jej list był zwięzły, niejasny i apodyktyczny: dawała Oliverowi do zrozumienia, że z dobrze znanych mu powodów oczekuje jego natychmiastowego przyjazdu. Małgorzata ponownie odczytała treść listu, urażona, że zaproszenie padło za jej plecami. Następnie pomyślała o Darton i przebywającym tam Henryku. Przekonana, że oczekiwanie dobiegło końca, podjęła natychmiastową decyzję o wyjeździe, pragnąc znaleźć się tam, gdzie on.

Wsiadła do pociągu i pojechała do Darton, gdzie skonstatowała ze zdziwieniem, że nikt nie wyszedł po nią na stację. Nim dotarła na miejsce, zapadł wieczór i na telefon było już za późno. Kiedy znalazła się na podjeździe, światło płynące z okien i lampy na ganku wyległo na jej spotkanie, roztaczając wokół ciepłą, rozległą kałużę blasku. Miejsce wydawało się nieruchome i rzeczywiste, i po Londynie niezwykle ciche. Na widok domu puściła się biegiem, jak złodziej szukający schronienia w świątyni. Tam nie będzie musiała już nic robić i odnajdzie upragniony spokój. Wracała do domu.

Drzwi otworzyła Karolina w brązowej sukni, stojąc na tle rześciece oświetlonego korytarza. Wyraz uprzejmości na jej twarzy ustąpił miejsca zatroskaniu.

- Małgorzata... - powiedziała. - Nie poznałam cię. Co za niespodzianka... Wejźdź.

Małgorzata zaczęła dygotać.

- Jesteś chora? Jak się tu znalazłaś? Daj mi swoją parasolkę. I płaszcz.

- Przyjechałam wozem drabiniastym - próbowała zartować Małgorzata. Zaszczękała jednak przy tym zębami tak głośno, że na twarzy gospodyni nie pojawił się wy-

czekiwany uśmiech. Zdejmując kapelusz, zapomniała, że został przypięty, i niecierpliwie zdarła go z głowy, burząc przy tym włosy i rozsypując szpilki. Śmiertelnie zakłopotana, wykrztusiła jakieś przeprosiny; jej cienka szyja ginęła w niewielkim dekolcie czarnej sukni, rozsypane na ramionach włosy elektryzowały.

Zbywając gestem jej usprawiedliwienia, Karolina zwróciła się do niej jak do dziecka:

- Nie szkodzi, pomogę ci. - I wyjęła grzebień z torebki, którą Małgorzata wciąż ścisnęła w ręku. - Czy kiedykolwiek myślałaś o tym, by je skrócić? - zapytała, cierpliwie rozczesując splątane pasma.

Pod jej dotykiem Małgorzata uspokoiła się; z pochyloną głową pokornie przyjmowała zabiegi gospodyni. Na to liczyła; na chłodny dotyk palców Karoliny, na jej opiekę oraz inicjatywę. Starania przyniosły mizerny efekt: zabrakło szpilek, żadna kobieta zaś nie jest w stanie traktować włosów innej kobiety ze stanowczością konieczną do ich całkowitego ujarzżenia. Opuszczone luźno na kark naelektryzowane pasma kołysały się jak pod wpływem wiatru.

- Marna ze mnie fryzjerka - oceniła Karolina. - Prócz swoich czesałam tylko włosy córki, a i na tym polu nikt nie posądziłby mnie o sukces.

Wzmianka o Annie przemknęła niezauważona; Karolina zreflektowała się i na jej policzki wypełzł buraczkowy rumieniec.

- Jesteś taka miła - odrzekła Małgorzata, po czym dodała, znów zaczynając drzeć: - Ach, Karolino...

- Nie - przerwała jej Karolina. - Nic nie mów. Nie musisz. Widzę, że miałaś ciężki dzień, jesteś pewnie wyczerpana. Gdybyś nas powiadomiła, wyszlibyśmy po ciebie na stację. Przejdźmy do salonu, zrobisz ci drinka i trochę odpoczniesz. Tak będzie najlepiej.

Nalewając sherry, Karolina nie przestawała mówić, podczas gdy Małgorzata opadła ciężko na fotel i machinalnie odpowiadała na pytania w rodzaju: „Miałaś dobrą podróż?” oraz konwencjonalne uwagi na temat pogody. Czerpała z nich otuchę; dopóty, dopóki była w stanie udzielić na nie odpowiedzi, pełniły w jej mniemaniu ro-

lę drogowskazów do zwykłych kontaktów międzyludzkich. Mówiąc: „W Londynie miałam długi postój” czy: „Ostatnich kilka dni było raczej do niczego”, czuła się, jakby zdawała egzamin, który przywracał jej miejsce wśród ludzi. Zaczęła rozwodzić się na temat londyńskiej mżawki i z przekonaniem, że oto nadszedł kres jej męczarni, sięgnęła po szklankę z uprzejmą konstatacją, że w dzisiejszych czasach trudno o dobre wytrawne sherry.

Karolina, która po pierwszym odruchu obrzydzenia na widok rozpaczliwego stanu Małgorzaty zapragnęła wyrzucić na nią właśnie taki neutralizujący efekt, była lekko poirytowana całkowitym sukcesem swojej operacji. Miło sobie siedzieć o ósmej wieczorem i paplać, lecz wobec takiego obrotu sprawy nie miała pojęcia, w jaki sposób nawiązać do dręczących ją pytań, a mianowicie: gdzie jest Oliver, co wie Małgorzata oraz jaki jest cel jej wizyty.

W przemowie przygotowanej na użytek Olivera zamierzała wykorzystać sytuację Małgorzaty jako argument, lecz obecność jej samej była Karolinie nie na rękę, gdyż absolutnie uniemożliwiała otwarte przedstawienie sprawy. Nie wiedziała nawet, czy Oliver przyjedzie - czy Małgorzata przechwyciła list i przybyła zamiast niego albo przed nim, czy też działała niezależnie, a jeśli tak, to dlaczego wybrała właśnie ten moment? Karolina nie potrafiła zdobyć się wobec niej na przyjazne uczucia.

- Jadłaś coś? - zapytała, siląc się na beztroski ton.

Jej pytanie doszczętnie zbiło Małgorzatę z tropu. Na powrót zakłopotana, wyjąkała:

- Nie, nie jadłam. Chciałam, naprawdę chciałam. Przepraszam, ale dawno nie miałam nic w ustach. Tak się śpieszyłam.

Nie ma za co przepraszać, pomyślała ze złością Karolina.

- Chyba zostało trochę zimnego kurczaka - powiedziała. - Zaraz przyniosę. Po co przyjechałaś?

Małgorzata nie odpowiedziała.

- Po co przyjechałaś? - powtórzyła cierpliwie Karolina.

Na twarzy Małgorzaty odmalował się wyraz przerażenia.

- Musiałam. Musiałam tutaj być. Sądziłam, że zrozumiesz.

- Oczywiście, że rozumiem - uspokoiła ją Karolina i zamilkła, dając do zrozumienia, że czeka na rozwinięcie tematu. - Dostałam twój list - powiedziała płacząco Małgorzata, wierząc się niespokojnie. - Nie do końca go rozumiałam, ale wiedziałam, że muszę przyjechać. - Zaśmiała się z przymusem. - Obawiam się, że nie mam pojęcia, o co tu chodzi. Ale to nic... Henryk na pewno będzie wiedział, co robić.

- Gdzie jest Oliver? - zapytała powoli Karolina. Miała na końcu języka: „Gdzie jest list, który do niego wysłałam?”. Podejrzewała, że znajduje się on w torebce Małgorzaty.

- Nie wiem - odrzekła w popłochu Małgorzata. Jej usta zadrżały; wykręciła ręce, żałośnie rozglądając się wokół. - Myślałam, że tutaj.

- Nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości.

- Ojej! - zawołała Małgorzata. - Tak strasznie mi przykro. Strasznie, strasznie mi przykro. Chciałabym pomóc, ale naprawdę nie wiem, gdzie on jest.

- Chciałam zamienić z nim kilka słów - ciągnęła Karolina.

- Ale przecież Henryk już z nim rozmawiał. Henryk powie nam, co robić.

- Henryk nie widział go od ostatnich wydarzeń.

Myśl o jakichś wydarzeniach sparaliżowała Małgorzatę, podobnie jak ukryta aluzja do bezsilności Henryka.

- Ojej - mruknęła, a potem: - Henryk! - I wykręcając szyję, zaczęła zerkać na boki, jakby szukała drogi ucieczki. - Tak mi przykro - rzuciła z roztargnieniem. - Taka długa podróż. Tak strasznie mi przykro.

- Małgorzato... - rzekła stanowczo Karolina z zamiarem zapytania o list, gdy naraz w progu pojawił się Henryk, który wszedł cichutko, z tajemniczym uśmiechem na ustach.

- Kawy? - zapytał.

- Mamy gościa, Henryku - oznajmiła z naciskiem Karolina.

Małgorzata podniosła się niepewnie. Wzrok miała przysłonięty; sherry na pusty żołądek zrobiło swoje. Pokój wraz z Karoliną w brązowej sukni lekko zawirował Małgorzacie przed oczami, po czym znieruchomiał, dzięki czemu zarejestrowała spojrzeniem barczystą sylwetkę Henryka oraz światło bijące od jego włosów i brody.

- Henryku! - wykrzyknęła, rzucając się ku niemu z wyciągniętymi ramionami. Uchwyciłszy go za kłapy, zachwiała się, tak że jej głowa wyładowała na piersi mężczyzny, a kolana przywarły do jego nóg. Włosy znów opadły na plecy, a rozsypane szpilki wbiły się w dywan na sztorc. - Henryku - powtórzyła ciszej, przyciśnięta do niego.

Henryk niezgrabnie pociągnął Małgorzatę za tył sukni, próbując oderwać ją od siebie.

- Co się stało? - zapytał. - Co się stało, Małgorzato? - Nie pozostawało mu nic innego, jak podtrzymać ją mocnym uściskiem. - Co cię do nas sprowadza?

- Musiałam przyjechać. Czekałam na list. Potem musiałam przyjechać.

- Mówiłam ci, że napisałam do Olivera - przypomniała półgłosem Henrykowi Karolina.

Wymienili nad głową Małgorzaty niespokojne spojrzenia, zastanawiając się, gdzie też może teraz być Canning.

- Już dłużej nie mogę - oświadczyła Małgorzata. - Nie sposób tak żyć bez celu. Henryku, poradź mi, co mam robić.

Wiedziony chęcią przyjscia jej z pomocą, Henryk wzmocnił uścisk jednej ręki, jednocześnie gładząc Małgorzatę niezdarnie po głowie drugą. Pierwsza zabrała głos Karolina, z nutą uprzejmego nacisku w głosie.

- Usiądź, Małgorzato. Zajmiemy się tobą. Chodź tutaj i usiądź. Puść Henryka.

Głucha na wszelkie perswazje Małgorzata przyłgnęła mocniej do Henryka.

- Zmusz ją, żeby usiadła, Henryku - poleciła Karolina z lekkim rumieńcem na twarzy.

- Może usiądziesz? - zaproponował bezradnie Henryk.

- Musisz jej kazać - powiedziała Karolina, widząc, jak sprawy stoją.

- Wolałbym, żebyś usiadła, Małgorzato - rzekł, na co Małgorzata zwróciła na niego puste spojrzenie. Henryk zawahał się, po czym stanowczo chwyciwszy w pół jej bezwładne ciało, bez wysiłku zaniósł ją na sofę.

Pozwoliła mu na to bez oporów, kiedy jednak próbował odejść, zarzuciła mu rękę na szyję, ze słowami:

- Henryku, Henryku, nie, Henryku, nie odchodź... - I zwiotczała, w dalszym ciągu nie zwalniając uścisku.

Henryk bezsilnie opadł na sofę obok niej i przeniósł żelazny uchwyt jej rąk na swoje dłonie. Nie puszczając go, zmieniła pozycję i położyła mu głowę na kolanach.

- Nie odeślesz mnie, Henryku, prawda? Pozwolisz mi zostać? - zapytała lękliwie, ale z nutą przebiegłości w głosie.

- Oczywiście, że pozwolę - odparł Henryk. - O nic się nie martw.

- Kocham cię, Henryku - wyznała Małgorzata. - Wiesz o tym?

- Małgorzato - wtrąciła Karolina, wiedzioną wyrobionym przez lata pragnieniem chronienia Henryka oraz poczuciem bezpieczeństwa płynącym z faktu, że jakkolwiek jej mąż nieszczególnie udziela się w małżeństwie, to przynajmniej nie szuka szczęścia u innej kobiety. - Małgorzato, bardzo cię proszę, opanuj się. Musisz się wziąć w garść i nam pomóc. Natychmiast puść Henryka; nie powinnaś tak go traktować, ma własne zmartwienia.

Nawet w jej własnych uszach zabrzmiało to nieprzekonująco. Małgorzata popatrzyła na nią z urazą i mocniej wcisnęła twarz w udo Henryka. Wymamrotała coś niewyraźnie, po czym powtórzyła lękliwie:

- Henryku?

- Zrób coś, na miłość boską - zwróciła się do Henryka Karolina, drżąc z gniewu. - Najwyższy czas z tym skończyć.

- Co mam robić? - rzucił w przestrzeń Henryk.

Wygląda, jakby znalazł się na naszej łasce, pomyślała Karolina. Tylko czeka, kiedy wreszcie będzie mógł

spokojnie odejść. Małgorzata znieruchomiła, jakby i ona na coś czekała. Tylko ja dążyć do rozwiązania sytuacji, pomyślała, równie nieruchoma jak tamci, nie wiedząc, co mogłaby zrobić. Drzwi uchyliły się, najpierw z wahaniem, potem zdecydowanie otwały się na oścież. Oliver wszedł do środka i zamknął je za sobą.

- Dzwoniłem dwa razy - oznajmił - i nikt nie odpowiadał. Paliły się światła, więc zdecydowałem, że zajrzę. Macie szczęście, mogąc zaufać sąsiadom na tyle, by nie zamykać drzwi na klucz.

Miał na sobie swój gangsterski prochowiec i gangsterski kapelusz, który zdjął i trzymał przed sobą. Emanował beztroską, nawet zadowoleniem, stojąc ze złączonymi stopami, jak na paradzie wojskowej. Jego słowa wdarły się w histeryczną atmosferę salonu niczym krągłe, twarde kamyki, wszystkie jednakowe i idealnie ukształtowane.

- Miałam nadzieję, że przyjedziesz - przywitała go Karolina z niezamierzoną ulgą w głosie.

Henryk skinął do niego z sofy i nieruchomo trwał na swoim miejscu. Oliver ogarnął wzrokiem scenę: swoją żonę wciśniętą w Henryka, zdławiony oddech Karoliny i plamę czerwieni na jej policzkach.

- Widzę, że macie kłopoty - powiedział. - Tego się obawiałem. Znalazłem adresowany do mnie list, rozpieczętowany, i czułem, że to nastąpi. Przyjechałem prosto tutaj, aby w razie czego zapobiec katastrofie. Przepraszam, że nie dałem wam znać telefonicznie; jest później, niż myślałem, nieodpowiednia pora na wizyty. Najmocniej przepraszam. Skoro już tu jestem, co mogę dla was zrobić?

Karolina rozpoczęła swoje przygotowane przemówienie.

- Nie sądzę, abyś chciał pozostać w tym domu dłużej, niż uznamy to za stosowne. Uważam jednak, że są sprawy, o których powinieneś się dowiedzieć. Zakładam, że jeszcze nic ci o nich nie wiadomo, lecz jeśli tak nie jest, mamy prawo wiedzieć, co w związku z nimi postanawiasz. Rozumiesz, o czym mówię?

- Chyba tak - odrzekł uprzejmie Oliver z rozbawio-

nym uśmieszkiem, który zdecydowanie nie przypadł Karolinie do gustu. - Tak miemam.

- To dobrze - powiedziała Karolina. - Chciałabym wiedzieć, kiedy po raz ostatni widziałeś Annę?

Uśmiech Olivera przygasł, jak gdyby wbrew jego oczekiwaniom udzielanie odpowiedzi na podobne pytania było mu raczej nie w smak.

- Sądziłem, że chcieliście mnie o czymś poinformować - odparł.

- Zakładam, że nie widziałeś jej jakiś czas. Wiesz, gdzie ona jest?

- Raczej nie tutaj - odpowiedział Oliver. - Niespecjalnie lubiła tu przyjeżdżać.

- To nieistotne! - zawołała Karolina, wypadając na chwilę z roli inkwizytora.

- Tu bym się z tobą nie zgodził - zauważył beznamytnie Oliver, gwałtownie wciągając powietrze w płuca. - Posłuchaj - dodał, przejmując inicjatywę. - Przestańmy się wzajemnie obwiniać i porozmawiajmy otwarcie. Gdzie ona jest? Czy zrobiła coś głupiego?

Karolina zaczęła mówić i urwała.

- A może nie wiecie, gdzie ona jest? - podjął bez cienia uśmiechu Oliver. - Czy o to właśnie chodzi?

- Oczywiście, że wiemy.

- No więc?

- Chcesz rozmawiać o tym w obecności Małgorzaty? Sądziłam, że wolałbyś omówić to z nią na osobności. Niektóre z tych spraw jej nie dotyczą.

Oliver nie odpowiedział.

- Może położysz się na chwilę? - zaproponowała Małgorzacie Karolina. - Chciałabym porozmawiać z Oliverem w cztery oczy. To nie potrwa długo.

Małgorzata usiadła, nie wypuszczając Henryka z objęć.

- Oliverze - rzuciła rozkazująco Karolina.

- Chodź, Małgorzato - powiedział Oliver, postępując krok w jej kierunku; Małgorzata drgnęła, wczepiając się mocniej w Henryka. - Zabiorę cię na górę - ciągnął Oliver neutralnie przyjaznym tonem.

- Nie - powiedziała Małgorzata. Desperacko zwróciła się do Henryka: - Nie pozwól im mnie wyrzucić. Rozbi-

jają moje życie na kawałki. Moje życie. Spraw, żeby mi je oddali.

- Połóż się - wtrąciła cierpliwie Karolina. - Potem Oliver zabierze cię do domu i porozmawiacie.

- To ciebie nie dotyczy. Naprawdę - dorzucił Oliver z lekką irytacją, która zdawała się doprowadzać Małgorzatę do szaleństwa - po jej twarzy spłynęły ogromne łzy.

- Henryku, nie pozwól im mnie zabrać, pozwól mi tu zostać, pozwól mi zostać z tobą. Mam tylko ciebie, Henryku, nie pozwól im mnie zabrać.

- Nie zrobią tego, jeśli nie będziesz chciała - zapewnił z wysiłkiem Henryk.

- Tak mi przykro, Henryku - powiedział Oliver, który nie wyglądał na szczególnie skruszonego.

- Ty, ty się lepiej przyznaj - zaszlochała w jego kierunku Małgorzata. - Henryk wie, jaki jesteś. Ty... - Dalej popłynął znany Henrykowi z listu kwiecisty opis wyrządzonych jej krzywd.

Henryk odnotował z niejaką ulgą, że Oliver nie posiada się ze zdumienia.

- Boże, nie wiedziałem, że do tego doszło - rzekł, po czym wrócił się do Małgorzaty z czułością, o jaką Henryk nigdy by go nie podejrzewał: - Małgorzato, daj spokój. Przecież nie jest aż tak źle.

Lecz Małgorzata ukryła twarz na piersi Henryka, zanosząc się płaczem.

- Już dłużej nie mogę. Oddajcie mi moje życie. Próbowалам, naprawdę, i dłużej nie wytrzymam.

- Henryku, proszę - powiedziała ściszym głosem Karolina.

Henryk wstał i wyprostował się.

- Chodźmy, Małgorzato - rzucił władczo - musisz się położyć. Karolina przygotowuje ci termofor i będziesz mogła zasnąć. Nikt nie będzie cię do niczego zmuszał.

Małgorzata podniosła się, chwytając go za rękę.

- Nie pozwól im się zbliżyć.

- Nie pozwolę.

- Chodź ze mną.

- Dobrze - odparł Henryk. Wziął ją za rękę jak dziecko i wyprowadził z pokoju.

Karolina zmierzyła Olivera podejrzliwym spojrzeniem, jak gdyby obawiała się, że pod jej nieobecność uszczupli rodzinną kolekcję sreber albo przynajmniej chyłkiem ucieknie. Oliver nie odwzajemnił jej spojrzenia, wziął tylko ze stolika książkę i usiadł na fotelu Henryka, zakładając nogę na nogę. Przy drzwiach Karolina odwróciła się ponownie, chcąc sprawdzić, czy nie knuje nic za jej plecami, on jednak nie ruszył się z miejsca, denerwująco pogodny i swobodny jak na urągowisko. Wybiegła z pokoju, by nastawić wodę na termofor.

Na piętrze Henryk rozłożył zapasowy tapczan i stwierdziwszy, że jest niepościelony, przekopał szuflady w poszukiwaniu powłoczek. Wreszcie znalazł pościel usianą niezapominajkami i przystąpił do jej obiekowania - była to czynność, której nie wykonywał od ukończenia szkoły. Powolny i niezdarly, niepotrzebnie krążył wokół tapczanu, bez końca wygładzając prześcieradło oraz koce, upychając poduszki w powłokach i strzepując falbanki. Małgorzata bez słowa dreptała za nim jak piesek, chcąc mieć go na wyciągnięcie ręki niczym trzylatek, dość duży, by nie trzymać się mamiwej spódnicy, lecz na tyle mały, by plątać jej się pod nogami. W pokoju od dawna nikt nie sypiał i panowało tu przenikliwe zimno. Henryk odszukał piecyk elektryczny i włączył go do prądu. Następnie odrzucił kołdrę i oznajmił:

- Proszę. Gotowe. Możesz się kłaść.

Małgorzata przysiadła na skraju łóżka.

- Zaciągnąć zasłony? - zapytał Henryk.

- Nie - odparła. - Sprawiają, że czuję się jak w pułapce.

Henryk zrobił ruch w kierunku drzwi i Małgorzata znów zaczęła dygotać.

- Nie odchodź, Henryku. Nie zostawiaj mnie. Nie wiem, co tu się dzieje, ale wiem, że dotyczy to mnie. To okropne.

Henryk znowu stanął przy łóżku.

- Musisz się położyć - rzucił nieznoszącym sprzeciwu tonem.

- Skoro muszę, zrobię to - odpowiedziała Małgorzata.
- Ale nie odchodź. Nie pozwól im tu przyjść. Tylko ty nie jesteś przeciwko mnie.

Henryk nic nie odpowiedział. Usiadłszy obok, chwycił Małgorzatę za kostki u nóg i zdjął jej buty.

- Wstań - zakomenderował.

Małgorzata wstała. Henryk łagodnym, neutralnym ruchem rozpiął jej suknię i ściągnął ją przez głowę. Kobieta nie oponowała, na jego znak uniosła tylko ręce. Henryk przerzucił nieszczęsną suknię przez krzesło i popatrzył na Małgorzatę krytycznie.

- Wygodniej ci będzie chyba bez pończoch i tego pasa, co? Może je zdejmiesz?

Małgorzata skinęła twierdząco głową, nie ruszając się z miejsca. Na jej udach i przedramionach ukazała się gęsia skórka. Niewiele myśląc, Henryk rozpiął podwiązki, zrolował pończochy i przystąpił do wyswobodzenia Małgorzaty z zapiętego na rząd haftek pasa. Przyszło mu do głowy, że uczestniczy w parodii uwiedzenia, w której rolę ofiary pełni on sam. Brał na siebie znacznie więcej, niż normalnie mógłby przyjąć. Mimo to czuł, że nie pozostawiono mu w tej kwestii wyboru.

- A teraz - zakomenderował - do łóżka.

Natychmiast stwierdził, że będzie musiał sam ją tam umieścić. W trakcie tej czynności zastała go Karolina, która stanęła w drzwiach z obiecany termoforem, dwiema tabletkami nasennymi oraz kubkiem parującego napoju. Po namyśle zrezygnowała z zimnego kurczaka - myśl o jedzeniu zdawała się dodatkowo wprowadzać Małgorzatę z równowagi. Na jej widok bezwładne ręce Małgorzaty zacisnęły się kurczowo na szyi Henryka.

- Twój termofor - oznajmiła z wymuszoną uprzejmością Karolina - gorący napój i coś na sen. Chyba będzie ci wygodnie, co?

- Owszem - odparł Henryk, jakby podejmowanie decyzji wciąż należało do niego.

Ułożywszy Małgorzatę w pościeli, wepchnął do łóżka termofor, otulił kobietę kołdrą i zapalił lampkę nocną. Małgorzata z westchnieniem opadła na poduszki.

- Idziemy, Henryku? - zapytała od drzwi Karolina, nie mogąc dłużej znieść bezczynności oraz widoku cierpliwych zabiegów męża. - Pora załatwić sprawę.

- Henryku... - powiedziała z niepokojem Małgorzata.

- Zaczekam na korytarzu - oznajmiła Karolina.

Henryk wiedział równie dobrze jak ona, że sam na sam z Oliverem przekracza jej możliwości.

W towarzystwie Henryka Małgorzata powoli odzyskiwała przytomność umysłu. Zachował milczenie, dopóki z własnej inicjatywy nie usiadła na łóżku i nie połknęła tabletek.

- O co tu chodzi, Henryku? - zapytała prawie normalnym głosem. - Co Anna ma z tym wspólnego?

- To z nią Oliver widywał się w Cambridge.

- Rozumiem. Nie przyszło mi to do głowy. Lubiłam Annę, myślałam, że ona też mnie lubi.

Henryk ze wstydem uświadomił sobie, że zbyt mało znał córkę, by móc to potwierdzić. Nie chcąc myśleć o Annie, uparcie powrócił do przerwanej wątku.

- Anna nie wróciła do domu i Karolina pomyślała, że Oliver mógłby ją do tego nakłonić.

Szczęściem Małgorzata nie wdała się w analizę zaszywanej informacji.

- Wszystko, co robiłam, było kłamstwem - powiedziała. - Tak bardzo go kocham, a on zostawił mnie samą. Co mam robić?

- A co chcesz robić?

- Nie wiem. Pewnie będę dalej tak trwać, beczynn timerzymując się przy życiu, jeść i spać, dopóki nie umrę. To bez znaczenia, byle być blisko ciebie. Dawniej gardziłam takimi ludźmi, prawda, Henryku?

- A Oliver?

- Był wszystkim, co miałam. Jedywym, na czym mi zależało - odparła rozhisteryzowanym głosem Małgorzata.

- Moim zdaniem, powinnaś go zostawić - zaryzykował Henryk.

- Pewnie ty wiesz lepiej niż ja - uznała Małgorzata. - Wiem, że tak właśnie jest. - Ujęła jego rękę i przytuliła ją do twarzy. - Zrobię, cokolwiek mi każesz, Henryku, dobrze wiesz. Ty wiesz, jak żyć, ty żyjesz, jesteś chyba je-

dyną osobą, która robi to *naprawdę*. Pozwolisz mi tu zostać, prawda?

- Tak, dopóki się lepiej nie poczujesz.

- Zabiłabym się z braku poczucia celu, gdybym musiała teraz znaleźć się z dala od ciebie. To straszne. Kocham cię, Henryku. Zrobiłabym dla ciebie wszystko.

- Musisz zrobić coś dla siebie. - Wiedział, że nie przyjmie tego do wiadomości, nie sądził jednak, że potraktuje jego słowa jako komplement, jako wyraz łączącej ich więzi.

- Naprawdę ci na mnie zależy! - zawołała triumfalnie, wyciągając do niego rękę.

- Musisz odpocząć - odrzekł, wyplątując się z uścisku.

Oparła głowę na poduszce, on zaś poczuł niesmak, jak zawsze, gdy w ten sposób wymuszał na niej posłuszeństwo. Nie pragnął ani więzi, ani władzy, ani kontaktu. Miał wrażenie, że nieodwołalnie skazał się na ten los.

- Dobranoc - powiedział łagodnie i wyszedł z pokoju.

W korytarzu Karolina chwyciła go za ramię.

- To nie do zniesienia - oświadczyła. - Zupełnie nie do zniesienia. Czy musiałeś ją rozebrać?

- Tak - odparł z prostotą Henryk. Skonstatował bezsilnie, że odpowiedź na pytania w rodzaju, kim był, gdzie się znajdował i jaką pełnił w tym wszystkim rolę, kosztowałyby go więcej trudu. Mimo to spróbował. - Nie podoba mi się to - powiedział. - Mierzi mnie konieczność dotykania innych. W tej chwili ona nie jest jednak w stanie nad sobą zapanować.

- Podoba ci się władza, którą nad nią posiadasz.

- Nieprawda. Powinnaś wiedzieć, że tak nie jest.

Karolina wiedziała, lecz nie chciała się do tego przyznać. Pragnęła jedynie znaleźć uzasadnienie dla kipiącego w niej gniewu.

- Czas porozmawiać z Oliverem - oznajmił Henryk.

Oliver siedział tam, gdzie go zostawili. Wypalił jednego papierosa ze srebrnej papierośnicy, którą Karolina trzymała dla gości, i właśnie przypalał drugiego. Płomień ze srebrnej zapalniczki oświetlił jego śniadą twarz.

Na widok beztroski gościa Karolina miała ochotę rzucić się na niego i go rozszarpać, by wreszcie zburzyć ten jego niewzruszony spokój. Zamiast tego wbiła paznokcie we własne dłonie i powiedziała:

- Przejdźmy do rzeczy.

Henryk wyłonił się zza jej pleców i podszedł do okna, gdzie uniósłszy fałdę różowej aksamitnej zasłony, wyjrzał na ogród, izolując się od pozostałych. Oliver lekko zmarszczył brwi, jakby ta manifestacja obojętności nie przypadła mu do gustu.

- Poradziłeś sobie? - zapytał.

- Tak - odparł Henryk, nie odrywając wzroku od trawnika.

- Zażyła dwie tabletki nasenne - wtrąciła Karolina - i położyła się. Obawiam się, że dziś wieczorem jej nie ruszysz. Doprawdy nie wiem, jak można być tak... bezmyślnie destrukcyjnym. Przecież musiałeś wiedzieć - nawet ktoś taki jak ty musi poczuwać się do jakiejś odpowiedzialności.

- Wiem, co o mnie myślisz - odrzekł Oliver. - Nie przyjechałem tu po to, by tego wysłuchiwać, choć to pewnie nieuniknione, zanim przejdziemy do sedna sprawy. Uznajmy ten etap za zamknięty, zgoda? Teraz, na miłość boską, powiedzcie mi, *gdzie jest Anna*. - Zwrócił się do Henryka. - Gdzie ona jest? Co, według was, powinienem zrobić?

- Jest w Yorku - odpowiedziała Karolina. - Mieszka u Piotra Hughes-Wintertona. Chce za niego wyjść... jak najszybciej.

- To brzmi jak szczęśliwe zakończenie - skomentował powoli Oliver, nie odrywając wzroku od Henryka.

- Chcę, byś kazał jej wrócić - oznajmiła Karolina.

- Po co? Przypuszczałbym, że jej nieobecność będzie ci na rękę. A może uważasz, że nie zasługuje na wstąpienie do klanu Hughes-Wintertonów, skoro spała ze mną? O to chodzi? Chcesz ją zawstydzić? Byłabyś do tego zdolna...

Karolina zbiełała na twarzy.

- Henryku - wydusiła z furją. - Przecież to również twoja decyzja. Powiedz mu... Henryku... powiedz mu dlaczego...

Wyrwany z zamyślenia, Henryk odwrócił imponującą głowę od okna i zerknąwszy na Olivera przelotnie, rzucił z oddali bezbarwnym głosem:

- Anna jest w ciąży. - Następnie znów skierował twarz ku oknu.

Ogarnęły go mdłości. Imię Anny poruszyło czułą strunę, zalewając go falą tkliwości. I choć pod spodem wciąż był nieruchomy i zimny, w głębi tlił się wąty płomyk dawnego życia, który za wszelką cenę pragnął osłonić.

Oliver skurczył się, chwytając ręką drugą dłoń, jak gdyby szukał oparcia.

- Dlaczego nie mówiliście tak od razu? - zawołał ze złością.

- Pomyślałam, że powinieneś wiedzieć - odrzekła Karolina, ponownie przejmując panowanie nad sytuacją. - Naturalnie, naszym zdaniem, powinna wrócić i urodzić dziecko zamiast spychać wszystko na barki tego nieszczęsnego chłopca. Oczywiście, zajmemy się nią, to nasz obowiązek. Nie wiem jednak, czy... zdołamy nakłonić ją do powrotu. Pomyśleliśmy, że ty mógłbyś to zrobić...

- Dlaczego ja? - zapytał Oliver stłumionym, zawziętym głosem.

Karolina zawahała się nad odpowiedzią: jej największym pragnieniem było nie znalezienie osoby, która sprowadzi Annę, lecz kozła ofiarnego. Poza tym wolała nie mówić, że Anna być może kocha Olivera na tyle, by ulec jego perswazjom i zejść z barykady. Równałoby się to stwierdzeniu, że podobna więź między nią i córką nigdy nie istniała oraz że Henryk niewiele tutaj pomoże. Chciała, aby Oliver zdradził Annę, przed nimi, przed nią. Naraz zrozumiała, że sytuacja nie zmierza w pożądanym kierunku.

- To twoje dziecko - powiedziała. - I twoja odpowiedzialność. Musisz pomóc.

- Cicho bądź - odparł Oliver. - Wiem, wiem, że to moje dziecko. Jednak załatwię to po swojemu. Anna...

- Musisz wiedzieć, dlaczego tam pojechała. Musisz kazać jej wrócić do domu.

- Ona nie ma domu - warknął Oliver. - Pozwól mi pomyśleć.

- Sytuacja jest wystarczająco jasna...
- Henryku! - Oliver przerwał próbę wywodów Karoliny. - Czego ona chce? Czego tak naprawdę chce?
- Jej pragnienia są w tej chwili nieistotne - oświadczyła Karolina.
- Henryku, czego ona chce?
- Aborcji - odparł oschle Henryk. Zacisnął potężne palce na zasłonie, po czym wypuścił ją.
- Musisz zrozumieć... - zaczęła Karolina.
- Jasne, rozumiem. Oczywiście, że rozumiem. Nie dopuszczę do tego. Nie zabije mojego dziecka dla jakiegoś cholernego Hughes-Wintertona.
- On jej do tego nie zmusza - wtrącił Henryk. - To Anna.
- No dobrze, ale *dlaczego?* - zapytał rozpaczliwie Oliver. - Kocham Annę - zwrócił się do Henryka - pomyślałeś o tym? Bardziej niż ty... niż którekolwiek z was... jest w stanie sobie wyobrazić. Dałbym jej wszystko, wszystko, coś wspaniałego, lecz muszę poznać jej pragnienia. Gdybym miał pewność, że mnie kocha... lub mogłaby pokochać... - Rozważał coś zawzięcie, gwałtownie poruszając brwiami. - Henryku, myślisz, że przyjechałaby? - zapytał.
- Nie wiem. Nie wiem, czy ona sama wie - odparł sceptycznie Henryk.
- Dasz mi numer telefonu?
- Henryk z wahaniem włożył rękę do kieszeni.
- Co możesz... co chcesz sam zrobić? - zapytał Oliver.
- Dam - odparł Henryk. - Aparat jest w korytarzu. - Wyjął z kieszeni list Anny, poszukał wzrokiem numeru i już miał wręczyć Oliverowi list, gdy naraz rozmyślił się i zapisał cyfry na osobnej kartce papieru. - Trochę za późno na telefon.
- Nieważne - rzucił Oliver. - Przepraszam na chwilę.
- Wypadł z pokoju i chwilę potem z korytarza dobiegł jego oschły, władczy głos.
- Centrala? Proszę połączyć mnie z tym numerem w Yorku. Śpieszę się. Dziękuję.
- Następnie zapadła długa chwila ciszy.
- Nic nie rozumiem - odezwała się Karolina. - Co on zamierza zrobić?

- Zabrać ją. Jeżeli ona się na to zgodzi. I poślubić, jak sądzę.

- I chcesz mu na to pozwolić?

- Nie mogę podejmować decyzji za Annę. Uważam, że powinien się z nią zobaczyć. Chyba ma do tego prawo.

- Dobrze wiesz, że jest za młoda. To twój obowiązek, Henryku... musisz go powstrzymać, musisz. Nie rozumiesz? To obrzydliwe...

- Przecież wiesz - odparł powoli Henryk - że nic jej tu nie trzyma. Nie ma po co tu przyjeżdżać. - Czuł, że nie mówi całej prawdy. Istniało coś, co powinien zrobić, ale nie wiedział co. Niebawem zrozumie, że było to nieuniknione, ale nie teraz, jeszcze nie. Poruszył się i wyrzał przez okno.

- A Małgorzata? - zapytała Karolina, przeskakując z jednego problemu na drugi.

- Na razie pozostanie pod naszą opieką.

- Jak możesz pozwolić, aby nam to robił? - zawołała Karolina.

Wchodzący do pokoju Oliver usłyszał jej słowa.

- Dała się przekonać - oznajmił. - Powiedziałem, że mam prawo się z nią zobaczyć. To nie było miłe. Jej ton... nie wiem, jak go określić. Mówi, że jutro spotka się ze mną w Yorku. Uważam, że szanse są nikłe, ale zamierzam zaryzykować. Pojadę tam jutro. Nie chciała z wami rozmawiać. Jest zła, zwłaszcza na ciebie, Henryku.

- Tak - odparł Henryk. - Nic dziwnego.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Ciszę przerwał Henryk, który bez słowa, niespodziewanie opuścił zastłonę, odcinając ich od widoku pociemniałej szyby i ogrodu. Odwróciwszy się od okna, wymaszerował z pokoju. Uczynił to bez zastanowienia; nie zależało mu na efektownym zakończeniu i demonstracyjnych gestach. Po prostu zachował się tak, jakby naraz uznał swą obecność za zbędną. Karolina i Oliver, skrzętni i poukładani, zwrócili się ku sobie w przypływie solidarnej wspólnoty; oboje poczuli się w równym stopniu niesłusznie odrzuceni. Karolinie przemknęło przez myśl, że Oliver jest bliższy zrozumienia - nie, słusznej oceny znaczenia - ogromu wyrażonej jej krzywdy niż Henryk. Doprowadzona do

ostateczności, cmoknęła i wzruszyła ramionami, jakby zachęcała go do komentarza.

- Chyba nie mieliśmy prawa dłużej liczyć na jego uwagę - sformułował myśli ich obojga Oliver. - Ma coś lepszego do roboty. Jak zawsze. To dla nas dodatkowa trudność.

- Zależy, co masz na myśli, mówiąc „coś lepszego” - rzuciła ostro Karolina, odzyskując rezon. Uniosła głowę, dorzucając sztywno: - Dzisiaj twój wyjazd raczej nie wchodzi w rachubę, czy nam się to podoba, czy nie. Pościelę ci łóżko Jeremiego. - Chciała powiedzieć „łóżko Anny”; nie lubiła, gdy ktoś obcy sypiał w pokoju syna, był to jego azyl. Niemniej jednak łóżko Anny nie wchodziło w grę, co dało jej powód do obrazy również w imieniu Jeremiego. - Może nawet dobrze się składa. Musimy oczywiście wszystko dokładnie przedyskutować. Twoje... twoje plany są nie do przyjęcia, musisz wziąć pod uwagę to, czego ona... Anna... będzie chciała za dziesięć lat. Henryk dał jej zbyt dużo swobody, jest zanadto pobłażliwy, nie rozumie, jak bardzo jest jeszcze niedojrzała. Bądź łaskaw tu poczekać, ja tymczasem ogrzeję łóżko poduszką elektryczną. Trzeba przewietrzyć pokój.

Oliver nie odpowiedział; zapalił kolejnego papierosa, co Karolina uznała za odpowiedź twierdzącą. Wyszła z wysoko podniesioną głową, zamykając go w pokoju jak niesfornego ucznia w klasie.

Przez chwilę stał nieruchomo i zaciągał się dymem, śniady i niezależny, opierając się o kominek. Następnie odwrócił się gwałtownie i rzucił papierosa pomiędzy płonące szczapy. Rozejrzał się z niezadowoleniem i wychylił do przodu jak pięściarz przed decydującym starciem. Jego spojrzenie padło na srebrną papierosnicę i zapalniczkę, po czym spoczęło na tacy ze szklankami. Sięgnął po szklanki Małgorzaty i Karoliny oraz pozostałe, kruche, smukłe i powabne, jak wszystkie przedmioty należące do pani domu, i cisnął je na biało-niebieskie holenderskie kafelki paleniska. Po chwili wahania dorzucił do nich karafkę wraz z zawartością. Następnie zmiażdżył skorupy obcasem. Sherry zmieszane ze szklanym proszkiem wsiąkło w leżący przed

kominkiem dywanik. Wciąż niezadowolony, dołączył do reszty wytworny mosiężny zegar ze szklaną kopułą, który zatykał i ucichł. Oliver kopnął go; zegar uderzył o tylną ścianę kominka i legł pod nią, przewrócony na bok. Mężczyzna dokładnie wytarł buty w dywan i otarł czoło. Wszystko trwało tylko chwilę, on jednak spocił się obficie i stracił oddech. Wyprostował się, jak gdyby pozbawiono go uciążliwego balastu, i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Henryk wrócił do gabinetu i machinalnie sięgnął po niedopracowany rękopis, leżący na biurku. Odczuwał przemożną potrzebę, by go dotknąć i zagłębić się w nim bez reszty. Zaczął czytać, po czym przystąpił do notowania na marginesie ołówkiem uwag, poprawek oraz alternatywnych zwrotów. Proces stopniowo stał się znajomy i absorbujący, a notatki coraz dłuższe; gdy dobrnie do końca tego, co napisał, będzie mógł kontynuować, jakby przerwa nigdy nie miała miejsca. Był zdumiewająco, triumfalnie świadom ruchów ołówka na papierze, prowadzącej go dłoni oraz toku myślenia, bezwzględnie ukierunkowanego na potrzeby doboru słów oraz koncepcję dzieła. Z jego twarzy znikł wyraz roztrągnięcia oraz mętnej dobrotliwości; stała się bystra i na wskroś inteligentna; ba, nawet okrutna.

Upłynęło trochę czasu, nim dostrzegł Olivera, który bez pukania wszedł do środka i stał przy drzwiach, obserwując go z mieszaniną rozbawienia, bojaźni i swoistej melancholii.

- Widzę, że pracujesz - powiedział, kiedy Henryk podniósł głowę.

- Tak.

- Pewnie zajmie ci to całą noc?

- Tak.

- Przyszedłem się pożegnać. Mogę usiąść?
- Proszę - odparł z roztargnieniem Henryk.

Oliver postawił krzesło przed kominkiem i wyciągnął chude ręce do ognia, grzejąc je raz z jednej, raz z drugiej strony. Płomień rzucił na nie czerwonawą łunę, stwarzając złudzenie, jakby prześwietlał je na wylot, wyraźnie zaznaczając różowawy zarys kości.

- Karolina poszła pościelić mi łóżko - poinformował Oliver Henryka, spoglądając na swoje dłonie. - Mimo to nie zostanę, to byłoby w złym guście, prawda? Pojadę jak najdalej na północ; nie mógłbym usiedzieć na miejscu. Zresztą czeka mnie spotkanie z Anną. Karolina chce omówić wszystko raz jeszcze - nie byłoby to przyjemne dla żadnej ze stron i nie przyniosłoby większego pożytku, prawda? Wolę ulotnić się, póki czas, bądź łaskaw przekazać jej moje wyrazy ubolewania. Przyznaję, że myśl o zostawieniu cię ze zmywaniem jest wcale miła. Myślisz, że wróci do mnie, Henryku?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.
- Jeśli tak... czy będziesz miał coś przeciwko temu?
- Przeciwko temu? - powtórzył Henryk. - Chyba będę mniej nieszczęśliwy, niż sądziłem na początku. O ile to chciałeś usłyszeć. Myślę, że Karolina tego nie przeboleje.

- Innymi słowy, nie „pobłogosławisz” nas?
- Zastosuję się do woli Anny, bez względu na to, czego zapragnie. Ale jeśli... jeśli do ciebie wróci... podejrzewam, że uczyni to po to, by nie mieć ze mną nic wspólnego. Sądzę, że widzi to właśnie w ten sposób. I może ma rację.

Oliver przeniósł na niego wzrok.

- Co, twoim zdaniem, powinna zrobić? - zapytał swym dawnym, dociekliwym tonem. - Co ty o tym myślisz?

Henryk zastanowił się.

- Uważam, że nie powinna tam zostać - zawyrokował.
- Ograniczyłaby się w ten sposób. Lecz może właśnie tego pragnie. Nie jestem pewien, czy znam ją na tyle dobrze, by móc wiedzieć, co powinna zrobić. Na jej miejscu wyjechałbym, sam, i znalazł jakieś wyjście. Drzemie

w niej siła; nie jest jeszcze tym, kim się stanie. Moim zdaniem, byłoby to najlepsze wyjście. Niemniej jednak zrobi, jak zechce.

- Mało cię to obchodzi, co? Nie rozumiem cię. Przecież wiesz, że masz nad nią władzę; gdybyś zechciał ją wyegzekwować - *zdecydowanie* wyegzekwować - i pojechał tam, by zabrać ją do domu, mógłbyś powstrzymać ją od małżeństwa, z nim, ze mną czy z kimkolwiek, i nakłonić do wszystkiego. O ile wiem, właśnie na to czeka. Ale ty nie chcesz pomóc, prawda? Wolisz zostać tutaj, zagłębić się w pracy i czekać, aż coś się wydarzy. Dlaczego?

- Nigdy nie byłem zbyt dobry w podejmowaniu jakichkolwiek działań - odrzekł Henryk. - Moja interwencja niewiele by pomogła; przeciwnie, zniszczyłaby wszystko, co jej ofiarowałem. Uważam, że postępuję słusznie. Tak, tak właśnie myślę. Zresztą sam nie wiem.

- I nie chcesz się dowiedzieć. Masz zamiar pozwolić mi spróbować, pozwolić mi ją poślubić - po to, by, jak powiedziałeś, tobą zawładnąć. Pamiętasz?

Henryk utkwiał w nim uważne spojrzenie szarych oczu.

- Byłem wtedy niesprawiedliwy. Nie wiedziałem, co robić. Teraz widzę, że ją kochasz.

- Widzisz, prawda? - rzucił mniej wojowniczo Oliver i usiadł wygodniej. - W pewnym sensie miałeś wtedy rację; wiesz o tym. To, że przyjechałeś tam z mojego powodu, przeze mnie i dla mnie, poczytywałem sobie za zasługę. Myślałem, że ściągnę cię na ziemię i udowodnię, że niczym nie różnisz się od nas, zwykłych śmiertelników. Ale wywinałeś się, co? Teraz masz to w nosie. Siedzisz tu i odrabiasz swoją dniówkę, a my musimy biec dalej. Cóż, nic innego nam nie pozostaje. Bardziej bym cię szanował - o tak, i mniej ci zazdrościł - gdybyś nie okazywał tak demonstracyjnie obojętności.

- Nie jestem obojętny - odparł Henryk.

- Ty nawet nie wiesz, co to znaczy - skwitował Oliver, w zamyśleniu grzejąc ręce nad ogniem. - Ludzie mego pokroju żywią wobec takich jak ty skomplikowane uczucia. Jestem świadom, że w gruncie rzeczy nie dbasz o to,

czy ci o tym opowiem, czy nie, choć pewnie wolałbyś tego uniknąć. Lecz nie jest mi obce powszechne pragnienie wylewania trosk w głąb studni twojego rozumnego milczenia. Ludzie pewnie wychodzą z założenia, że skoro troski cię nie dotyczą, masz dość wolnego czasu, by pomóc im w ich zmaganiach. Nie powiem, żebym to pochwalał, ale ulegam temu i ja.

Chciałem być twoim przyjacielem - prawdziwym przyjacielem - pragnąłem zażyłości... Wiesz, co mam na myśli; wierzyłem, że otworzysz przede mną świat i zmienisz wszystko nie do poznania. Byłem dla ciebie tym, czym moja żona była dla mnie; wściekłym na własną niezdarność i brak wyczucia osobnikiem, pragnącym uczestniczyć w tym, co stało się twoim udziałem - ach, jestem pewien, że gdybyś naprawdę mnie znał, kimkolwiek byłem, zobaczyłbyś, że rozumiem, iż jestem właściwą osobą, iż zasługuję na twoje... twoje zaufanie. Ale tak się nie stało, prawda? Nigdy mi nie ufałeś?

- Chyba nigdy nie byłem dobry w ufaniu komukolwiek - odparł Henryk. - Nie mam wiele do zaoferowania.

- Nie - powiedział Oliver. - Miałem jednak nadzieję. Być może wybrałem niewłaściwą drogę, lecz to pewnie bez znaczenia. Byłem bystrym chłopcem. Pisałem ładne wypracowania, z lirycznymi opisami kwiecistych żywopłotów, zwierząt na łące, morza - rozumiesz, co mam na myśli - tych wszystkich jasnych, czystych rzeczy, z którymi nie stykałem się na co dzień. Miałem nauczyciela, sentymentalnego, starego idiotę z obwisłymi, mokrymi wąsiskami, który mówił: pięknie, pięknie, co za lustrzane odbicie natury, będzie z ciebie pisarz, chłopcze, jeśli tylko wytrwasz. Zyskałem prawo wypasu na boskich pastwiskach, skoro umiałem tak ładnie o nich pisać.

Potem poszedłem do szkoły średniej, ambitnej, acz niezbyt dobrej. Nauczyłem się gramatyki, pisania streszczeń, języków oraz liźnąłem nieco przedmiotów ścisłych, po czym pod koniec zostałem wyśmiany przez mądrego człowieka, lewicującego nauczyciela historii, absolwenta Cambridge. Powiedział: „Myśl, Canning, myśl, masz

przyszłość w swoich rękach i obowiązek wobec społeczeństwa; należysz do tych, którzy muszą walczyć". Po-
tem poszedłem na uniwersytet, gdzie narastał we mnie
słuszny gniew na brud i chaos, asfalt, ubóstwo, rzędy ciał-
nych klitek oraz brukową prasę. Mówiłem ci o tym
dziesiątki razy i pewnie masz tego powyżej uszu, ale to
prawda: to wszystko istnieje i jest złe. Nienawidziło się
i dżentelmenów - takich jak ty - którzy siedzieli sobie,
spoglądając na pola i tworząc, przekonani o swoim prawi-
wie do boskich pastwisk, o których zwykłem pisać. Być
może częściowo wynika to z faktu, że nie należę do tych
szczęśliwców - głównie zaś z tego, że widziałem asfalt,
brud i kurz na własne oczy - ale chciałbym im to odebrać
i otworzyć pastwiska dla wszystkich. Tymczasem kiedy
patrzymy na betonowe podwórka, planując ich likwida-
cję, pastwiska cofają się, ginąc nam z oczu. To metafora,
chyba rozumiesz.

- Nie jestem dżentelmenem - odpowiedział Henryk.

- Ani ziemianinem. Dobrze o tym wiesz. Kwestia bycia
czy niebycia dżentelmenem jest w tym wypadku nie-
istotna. Mieszkam tu, ponieważ lubię tę ziemię...

- Nie jest nieistotna dla Karoliny.

- Nie.

- Tym samym nie jest nieistotna dla Anny. Nie zapo-
minaj o tym. To źródło jej cierpienia. Jej balast. Możesz
sobie mówić, że to nieistotne, będąc po właściwej stro-
nie. Lecz z mojego punktu widzenia sytuacja wygląda
inaczej. Z perspektywy Anny również.

- Możliwe.

- Wiesz, że mam rację. Anna... Kiedy byłem chłop-
cem, dziewczęta stanowiły miarę naszej wartości. Czło-
wiek opracowywał w myślach kampanię. Brało się taką
do parku i testowało, jak daleko można się posunąć. Po-
tem oczywiście należało się pochwalić. Małgorzata była
prawdziwą damą - śmiała się, była zrównoważona, choć
rozdadana. W głębi duszy bałem się jej śmiertelnie. Za-
planowałem więc kampanię i skutecznie wypróbowa-
łem na niej swoją technikę. Pomyślałem sobie wtedy:
Pełny sukces, mogę zawładnąć tymi wszystkimi ważnia-
kami. Wiem, co myślicie, ty i Karolina, o moim zachowa-

niu. Lecz nie działałem tylko i wyłącznie z wyrachowania, dla samej przyjemności obserwowania jej bólu. Cierpiałem, jeśli cię to interesuje. Sądziłem, że zawsze będzie dla mnie trochę zbyt czysta, że zawsze będzie nadę mną górować - składałem jej głupotę na karb braku konieczności myślenia moimi kategoriami. Wiodła jakieś życie, ale potrzebowała boga, mistrza - wiesz, o co mi chodzi, teraz przeniosła to pragnienie na ciebie - ja zaś nie mogłem temu sprostać, nikt by nie mógł. Wierzę w relacje międzyludzkie, uważam, że należy kierować się uczciwością, osiągnąć równowagę, wypracować zaufanie. To najważniejsze. Bez względu na opinię Karoliny moja porażka nie stanowi dla mnie powodu do dumy. Z tobą będzie jej lepiej, ty nie musisz udawać, ani widzieć w niej parodii tego, w co wierzysz. Umiesz być miły, prawda? Nie kosztuje cię to zbyt wiele wysiłku.

Ale Anna... Anna jest taka, jak ja. Zmaga się z tymi samymi zasadniczymi problemami. Pokochałem ją tamtego lata, obserwując, jak walczy z troskliwością Karoliny oraz jej brakiem u ciebie. Ona żyła, i nikt jej w tym nie pomagał... - Popatrzył na Henryka, po czym ponownie przeniósł wzrok na wystawione ku ogniu ręce. - Dla mojej żony wszystko ma charakter stały - powiedział, jak gdyby wstępował na niebezpieczne terytorium, na którym nieodwołalnie musiał się zgubić. - Mówi: drzewo, i obchodzi je dokoła, postukując w pień i wachając liście, pełna podziwu dla promieni, które prześwitując przez koronę, kładą się na jej nowej jedwabnej sukni. I tam rzeczywiście jest drzewo...

- Tak - odrzekł Henryk, prostując się na krześle.

- Bóg raczy wiedzieć, co ty widzisz. Jeden Bóg to wie. Ja patrzę, widzę coś, po czym spostrzegam, że to dziura.

- A jednak tam jest drzewo.

- Ach, jasne, jesteś o tym przekonany. Przeobrażone drzewo, idealne i lśniące, namacalny świadek twojej obecności oraz tego, że widzisz i żyjesz. Cholernie proste, ale niefortunnie przekonujące, jak byś to ujął. Dziury są identyczne, równie nieskomplikowane, choć nie pozostawiają złudzeń. Nie mogę wykręcić się pytaniem: cóż znaczą drzewa? Owszem, znaczą - Anna i ja

egzystujemy na tym samym obszarze. Nie chodzi o to, że straciliśmy wiarę w niewzruszone drzewo Małgorzaty, ani o to, że nie jesteśmy wystarczająco bystry lub nie mamy dość szczęścia, by dostrzec twoje drzewo wieczyste. Sęk w tym, że żadnych drzew nie ma, jest tylko wolna przestrzeń. Żadnych drzew. Mimo to uparcie do niej wracamy. Stajemy niekiedy na tym samym pastwisku, wypatrując na horyzoncie drzew. Jak sądzisz, dlaczego spędzam czas na pisaniu o twoich powieściach? Przypuszczam, że w twoim mniemaniu *nie wiem*, co widzisz...

- Owszem - odparł Henryk.

- No właśnie! - zawołał z triumfem Oliver. - Lecz nie przestaję się tym zajmować. Istnieje wielu takich jak ja. Jaki mamy z ciebie pożytek?

- Pewnie żaden.

- Dokładnie. Lecz musimy cię czytać, przyjmując na wiarę istnienie owych pastwisk. Nie możemy jednak tak żyć - musimy znaleźć własny sposób na życie.

- Anna powiedziała coś w tym rodzaju.

- Och, ona jest taka jak ja, ona wie. Wie więcej, niż jest w stanie udźwignąć...

- Zobaczymy - odparł Henryk.

Zapadło milczenie, naturalne, lecz krępujące. Henryk popatrzył na Olivera, który skierował twarz ku ogniu, po czym przeniósł wzrok na niezastłonięte okno. Noc rozciągała się za nim niby druga szyba. Odczekał chwilę z zaciśniętymi ustami, po czym, jakby ulegając nieodpartej pokusie, przyciągnął do siebie rękopis i zanotował coś na nim od niechcenia. Kiedy Oliver nie zareagował, sporządził kilka dłuższych notatek. Z chwilą gdy czynność pochłonęła go bez reszty, Oliver podniósł głowę.

- Nie będę ci dłużej przeszkadzał - oznajmił, wstając z krzesła. - Jeszcze natknę się na Karolinę. Opiekuj się Małgorzatą: znajdzie kogoś, kto ją pokocha, prawda? Dam ci znać o decyzji Anny.

- Dziękuję.

- Czuję, jakby to był ostatni raz. Trudno przewidzieć. Lecz jeśli tak, wybacz. Jak powiedziałem, miałem nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

- Przykro mi - odrzekł Henryk.
- Napiszę recenzję twojej kolejnej... to będzie ta, prawda? Będziesz miał coś przeciwko temu?
- Nie - odparł szczerze Henryk.
- Przeczytasz moją recenzję?
- Raczej nie - powiedział Henryk. - Rzadko to robię. To jedna z tych rzeczy, bez których z powodzeniem można się obyć.

Oliver spojrział na Henryka z wahaniem.

- No to do widzenia - rzekł.
- Do widzenia - odparł Henryk.

Oliver wahał się jeszcze, zwlekając z zakończeniem przydługiej sceny pożegnania, jak gdyby z chwilą opuszczenia pokoju, wraz z jego ciepłem oraz atmosferą ciszy i skupienia, miał utracić coś bezpowrotnie. Henryk jednak spojrział na niego nieruchomym wzrokiem, nie zachęcając do podjęcia rozmowy. Oliver powstał chwilę, po czym skłonił się z szacunkiem i wyszedł.

Powiniennem był coś powiedzieć, pomyślał Henryk, obracając w palcach ołówki. On na coś czekał, może na decydujący komentarz w sprawie Anny. Lecz Oliver był zjawiskiem tak dalece mu obcym, że Henryk nie był w stanie wymyślić nic sensownego.

Uśmiechnął się ostrożnie. Zwykle myślimy, nie wdając się w głębsze refleksje na ten temat, że większość ludzi pozostawionych samym sobie kurczy się i maleje. Znajdują się jakby w zawieszeniu, czekając na kontakt, wydarzenie bądź zwrot w arystotelesowskiej powiastce, dzięki którym odzyskają swą istotę, na powrót wprawieni w ruch. Nie dotyczy to obiektu beznadziejnej miłości, niezmiennie wyolbrzymionego poprzez nieobecność, ani Henryka, któremu dopiero samotność przywróciła rzeczywiste rozmiary.

Przeniósł się na krzesło zwolnione przez Olivera i zapatrzył w ogień; pochłonięty obserwacją, splótł ręce na kolanach i porządkował rozproszone myśli. Przypominał sobie, zbierał fakty, szeregował je i eliminował wrażenia poszczególnych zmysłów: wspomnienie chropowatego głosu Olivera oraz widok jego drobnej, pobladłej twarzy i woń spodni rozgrzanych przez ogień, znużone ciało

Małgorzaty, jej włosy, sherry Karoliny, krótkotrwała suchość i gorycz w ustach. To, czego dotykał - chłodne udo Małgorzaty, napięte ramię Karoliny, wytarta, mszysta faktura listu Anny, kościsty uścisk dłoni Olivera - zostało sprowadzone do poczucia siły drzemiącej w jego potężnych dłoniach, teraz opartych beczynn timer jedna na drugiej.

Próbowałem kusić los, pomyślał; choć wówczas wyglądało to zupełnie inaczej. Zawsze obawiał się, że w przeciwieństwie do Małgorzaty, Olivera i Anny, którzy w naturalny sposób zmagali się z szarością, jest ku temu szczególnie predysponowany. Postrzegał własną siłę nie w purytański, lecz niemal fizyczny sposób, jako coś, za co przyjdzie mu zapłacić, za co cena na jego rachunku ustawicznie rośnie. Wbrew temu, czego oczekiwał, częścią zapłaty nie były lata spędzone w obozie jenieckim. Były to jego najpomyślniejsze, najstraszliwsze lata: wyznały ostateczny rozłam z wygodnym życiem klas średnich, do którego bez powodzenia usiłował zaprząć swój zgoła nieproporcjonalny splendor. Zawsze wiedział, że jego upadek będzie zwykleszy i na mniejszą skalę. Miał się składać z rzeczywistej, acz prawie niezauważalnej utraty samotności na rzecz cechy, którą Oliver określiłby chlubnym mianem człowieczeństwa. Dotarło do niego, że miał to zaplanowane niczym schemat powieści; dramatycznie adekwatną karę za pychę, karę, którą podświadomie zaaranżował, a przynajmniej sprowokował.

Odkrywając Annę wraz ze wszystkimi cechami, które w swej nonszalancji uznał za nowe, choć wcale takimi nie były, doszedł do wniosku, że odkrywa coś, co do tej pory pozostawało niezbadane. I wyruszył na spotkanie swego „losu” z sekretną ciekawością oraz podnieceniem, które różniły się od jego wcześniejszej postawy jedynie pod względem skali, nie rodzaju. Podobnie jak Samson, czerpał pewną przyjemność z ofiarowania swej siły na rzecz relacji międzyludzkich, składając ją na ołtarzu miłości.

Cóż, pomyślał, sam tego chciałem. Obnażyłem się, nie doznając przy tym uszczerbku. Na próżno usiłowałem wyprzeć to z umysłu. Samson musiał wiedzieć, że włosy odrastają, oto niezaprzeczalna natura rzeczy; musiał

podnieść się po upadku, wyteńczyć siły pod ciężarem murów i zburzyć świątynie, które były do zburzenia. Bez względu na doznane urazy. Lecz Samson był mężem czynu - a jego własne wykrety, oprócz widowiskowego upadku, zdają się niewarte wzmianki. Na nic samooskarżenia - nie zawróci kijem rzeki, choćby nie wiem jak chciał.

Do pokoju wpłynęło nowe, nieziemskie światło, sączące się z nieznanego źródła, wyznaczając ruchome, rozśpiewane trójkąty pomiędzy chłodną powierzchnią szyby o barwie morskiej zieleni, białym kręgiem lampy i ogniem trzaskającym w kominku. Podobnie jak wcześniej Oliver, który grzał dłonie przy ogniu, Henryk rozplótł ręce i wystawił je w kierunku żądła blasku.

Na tle pulsującej kurtyny płomieni ujrzał Annę i Olivera, dwie zapamiętałe w desperackim tańcu, szarzejące sylwetki, płaszące z pochylonymi głowami wokół zięjącego tunelu pustki, drzewa, które wcale drzewem nie było. Potem widział już tylko rozedrgany ogień, który piał się w górę, po czym kaskadą spływał w dół, by zaraz rozpocząć całą wspinaczkę od nowa. Błękitny, zielonkawy i pawi, złoty, srebrny, purpurowy i szkarłatny, wtapiał się w miękką, puszystą warstwę mroku.

W skupieniu, które niemal pozbawiło go tchu, Henryk powstał z miejsca, pozwalając, by światło płonęło wokół niego, przenikając go na wskroś, i obserwował znajomą, choć jak zwykle trudną do zniesienia transformację pokoju. Początkowo wszystkie obiekty trwały nieruchomo, jednak spójne i geometrycznie klarowne. Dywan lśnił lasem zaostzonych igiełek barwnej poświaty. Meble jaśniały pulsującym złotem, papiery zaś na biurku połyskiwały jak srebrzyste kamienie pośród oceanu ognia. Następnie, gdy włókna światła napięły się, wirując w coraz żywszym tempie, jego otoczenie rozpląnęło się niczym strawione płomieniem. Rozdarte przenikliwym blaskiem ściany rozwierały się jak kurtyna, okno stanęło otworem, odsłaniając bezkresny, szklany tunel, prowadzący wprost w ruchomą taflę nieba.

Ogarnięty pożogą, przeniósł się w sferę odartą z człowieczeństwa; tam, gdzie mógł żyć pełnią życia. Zapatrzył

się w blask pełzający pośród zarośli i zaciskający się pętlą ponad drzewami. Pchnął okiennicę i zgiełk światła przybrał na sile. Błede języki księżycowej łuny wiły się wśród trawy, strzelając smukłymi wieżami ponad koronami drzew, by osnuć świetlistym halo zbocze wznoszącego się dalej pagórka. Henryk rozluźnił ramiona i ruszył ich śladem, coraz szybciej i szybciej.

Wprzeciwieństwie do pozostałych, Anna nie bardzo przejmowała się Henrykiem: zbyt pochłaniały ją bieżące wydarzenia. Kiedy poszła do Piotra, ten rozsądnie zabrał ją do Londynu, gdzie spędzili kilka dni w pustym mieszkaniu jego rodziców. Anna wylegiwała się w podwójnym łożu, podczas gdy Piotr biegał po zakupy, gotował, nastawiał płyty i mówił, trzymając ją za rękę. Anna pozwoliła, by stworzył własną wersję historii; wszechogarniającą pustkę jej dzieciństwa, potężny cień Henryka, pełne determinacji działania Olivera, z którego szponów wyrwała się nie bez szkody dla niej samej, no i wreszcie, prawie od niechcenia, samą ciężę, jak gdyby owa namacalna przeszkoda stanowiła po prostu kolejne pasmo sieci psychologicznej, w którą Anna była - lub jest - uwikłana. Rozprawiał o tym ze spokojem godnym podziwu, gdyż kochał Annę i pragnął ją zrozumieć. Wreszcie zaproponował, aby pojechali do jego matki: oboje wiedzieli, że decyzja o ślubie zapadła nieodwołalnie.

Anna wyjechała z Cambridge, tak jak stała. Piotr nalegał na skompletowanie jej garderoby, przy czym wykazał się niezwykłym wyczuciem w kwestii butów i swetra. Obstawał przy zakupie płaszcza z wielbłądziej wełny, jednego z tych, których Anna zawsze instynktownie nie znosiła, oraz koralowego filcowego kapelusza, który ko-

jarzył się jej z Małgorzatą. Koral był kolorem Małgorzaty, i to jej złocista twarz z ustami pociągniętymi beżową pomadką powinna wyglądać spod ronda, a nie wyostrozony, o wiele za blade pyszczek Anny. Piotr jednak utrzymywał, że kapelusz dodaje jej „powagi”, w związku z czym Anna starannie umieściła go na głowie jako świadectwo swych dobrych chęci, i pojechali na spotkanie lady Hughes-Winterton oraz nowego życia.

Piotr telefonicznie uprzedził matkę o wizycie i planowanym ślubie z Anną.

- Nie spodoba jej się, że informuję ją o tym przez telefon - powiedział - lecz znacznie bardziej by jej się nie spodobało, gdybym czekał z tym do ostatniej chwili. Nie wiem, co byłoby najlepszym rozwiązaniem.

Podczas podróży ustawicznie zapewniał Annę o życzliwości matki, jej przemożnej chęci posiadania córki oraz opiece, jaką Anna znajdzie pod jej skrzydłami. Anna puściła mimo uszu większość jego wywodów, lecz - wzorem Karoliny - mimowolnie zaczęła postrzegać błogi, wiejski żywot lady Hughes-Winterton jako oazę wytchnienia oraz ostateczny kres swoich zmagani. Ogarnęła ją niespotykana, ale dotkliwa tęsknota za stanem, którego mimo szczerych chęci i wielokrotnie podejmowanych prób jej matce nigdy nie udało się w pełni osiągnąć ze względu na Henryka, nią samą oraz wybuch wojny. Było to coś, z czym dawniej walczyła, co przestało mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Niemądrze rozjątrzać dawne konflikty.

Natychmiast stało się jasne, że telefon Piotra dał lady Hughes-Winterton czas na przygotowanie się do wizyty Anny. Z pośpiechem świadczącym o prawdziwej życzliwości pojawiła się na podjeździe, aby ich powitać, uścisnęła Piotra i przytuliła pulchny policzek do twarzy Anny w geście dającym do zrozumienia, iż nie należy to do jej codziennych zachowań, a zatem Anna może liczyć na specjalne względy oraz pełną wyrozumiałość. Dziewczyna doszła do słusznego wniosku, że cała scena została starannie wyreżyserowana, co nasunęło jej wątpliwości, czy sama sprostą dalszym wymaganiom scenariusza. Za pomocą płaszcza z wielbłądziej wełny i koralowego

kapelusza wejście okazało się dość łatwe. Reszta miała okazać się znacznie bardziej skomplikowana.

Lady Hughes-Winterton nie odpowiadała wyobrażeniom Anny, co było dziwne, gdyż w pełni zgadzała się z przedstawionym przez Piotra opisem oraz modyfikacjami wprowadzonymi doń przez Annę. Wyglądała tak, jak powinna: nie za wysoka, nie za tęga, sprawiała jednak wrażenie, jakby jej zgrabna figura była wynikiem katorżniczego odchudzania się lub jeszcze bardziej katorżniczego ściśnięcia gorsetem obfitego łona. Bóg wyznaczył jej rolę wiejskiego tłumoka, ona zaś postanowiła udaremnić mu plany. Dysponowała siłą będącą w stanie pokrzyżować plany każdemu. Nosiła tweedy w kolorze mąki owsianej oraz złudnie dyskretnego fioletu, lecz czyniła to bez przekonania. Anna zaobserwowała, jak siadając, obciąga i wygładza na sobie odzież, choć paradoksalnie należała do kobiet, które siadają ze względną swobodą i rozstawionymi kolanami, odsłaniając przed tymi, którzy znajdują się na wprost nich, podwiązkę, górę pończochy uwieńczoną skrawkiem potężnego uda oraz pomarszczony zarys fioletowych jedwabnych majtek.

Miała miękka, czystą cerę kobiety będącej z natury wiejskim tłumokiem i prawie się nie malowała, jeśli nie liczyć nonszalanckiej plamy jaskrawej szminki. One *wszystkie* malują usta na czerwono, pomyślała Anna; nieważne, czy to do nich pasuje, czy nie. To rodzaj odznaki: coś delikatniejszego i bardziej dyskretnego z pewnością nadałoby im zbyt podretuszowany wygląd. Ułożone z nie dbałą precyzją krótkie, gęste włosy mieniły się naturalnym złotem i srebrem, kasztanem oraz czekoladowym brązem. Kok Karoliny wyglądałby przy nich staroświecko, choćby dlatego, że stanowił nadmierne uproszczenie, co było niesprawiedliwe. Dbą o to, co posiada znaczenie, uznała w duchu Anna, widząc, jak uwagę lady Hughes-Winterton przykuwa jeden z jej paznokci, połamany i obgryziony. Zdawało się jej, że wyczuwa odrazę, lecz lady Hughes-Winterton ograniczyła się do stwierdzenia:

- *Prosty* pierścionek byłby najlepszy, prawda, Piotrze? Może mały szmaragd ciotecznej babki Emilii?

Anna stopniowo doszła do wniosku, że małżeństwo z Piotrem pociągnie za sobą nadludzki wysiłek w postaci ułożenia sobie stosunków z jego matką. Ogarnęła ją złość, ponieważ nie istniał żaden konkretny powód, dla którego miałyby to okazać się trudne. Dobra wola lady Hughes-Winterton rzucała się w oczy. Na podstawie opisu Piotra Anna wyrobiła sobie pogląd, że próba jego poślubienia równa się próbie wyrwania Jeremiego spod opiekuńczych skrzydeł Karoliny. Obecnie jednak wyglądało na to, że zadanie będzie łatwiejsze, w pewnym sensie znacznie łatwiejsze, gdyż matka Piotra była bardziej opanowana i racjonalnie myśląca, poza tym wciąż podkreślała, że - w przeciwieństwie do innych matek - marzyła o ślubie syna i pragnęła ujrzeć u jego boku synową. Po jakimś czasie Anna stwierdziła, że ów pogląd był w pełni uzasadniony, jako że inaczej niż większość kobiet - lady Hughes-Winterton nie stała wobec groźby utraty syna na rzecz jakiegokolwiek innej kobiety, gdyż zbyt biegle opanowała sztukę stawiania wymagań lub urządzania scen i wypowiedzania komentarzy na stronie, aby Piotr zechciał coś zmieniać w łączących ich stosunkach. Czy to Anna, czy ktokolwiek inny, zostanie po prostu do nich naturalnie przyłączony. Dlatego matka Piotra bez trudu zaakceptowała Annę i urządziła małe, lecz ceremonialne przedstawienie z wręczenia pierścionka ciotecznej babki Emilii, który przyniosła ze skórzanej szkatułki i podała Piotrowi, aby włożył go na obgryziony palec wybranki, na który, zgodnie z jej zapowiedzią, pasował idealnie.

Pierścionek spodobał się Annie; sama z pewnością wybrałaby podobny. Nie zależało jej na Piotrze na tyle, by odczuć brak romantycznej i bardziej intymnej oprawy sytuacji. Mimo to poczuła niepokój. Gdy wręczenie pierścionka przerodziło się w prywatny pokaz biżuterii Hughes-Wintertonów - pośród której jedne eksponaty były cenne, inne bardzo cenne, większość zaś po prostu ładna - Piotr został odesłany dokądś w niewiadomej misji, a lady Hughes-Winterton podawała Annie kolie z granatów ze słowami: „To by do ciebie pasowało; dopilnuję, byś po ślubie otrzymała je na własność” - Anna

zrozumiała, że przechodzi w posiadanie przyszłej teściowej i że to z nią przyjdzie jej spędzać czas podczas nieobecności Piotra, pochłoniętego sprawami będącymi tutaj domeną mężczyzn. W ów wytwornie zawołowany sposób miała stać się ni mniej, ni więcej, tylko elementem posiadłości.

Pomiędzy telefonem Piotra do domu a ich przyjazdem, lady Hughes-Winterton miała czas zakupić nowe egzemplarze książek Henryka oraz, co było wiele bardziej zdumiewające, dokładnie je przejrzeć. Stały w widocznym miejscu na półce w salonie; z każdej okładki spozierało wspiane i prowokujące oblicze Henryka. Anna nie uważała, by utwory ojca mogły przypaść lady Hughes-Winterton do gustu: w jej sypialni stały wszystkie siedemdziesiąt dwie powieści Angeli Thirkell¹², cykl Bassetshire Trollope'a w jednakowej szacie graficznej, najwyraźniej zakupiony *post*, jeśli nie *propter* Angeli Thirkell, Nancy Mitford oraz „Dumy i uprzedzenia”. No i oczywiście stojak wypełniony egzemplarzami „Harper's” oraz „Country Life”. Niemniej jednak na podstawie pobieżnego zapoznania się z treścią książek Henryka lady Hughes-Winterton zdołała wypracować sobie błyskotliwy pogląd, który być może zainteresowałby jego samego, lecz Annę, zmuszoną do wysłuchiwanie go na zmianę z litanią nazwisk osób, które powinna znać, irytował niepomernie.

- Moim zdaniem - mówiła lady Hughes-Winterton - reprezentowana przez Teresę pogarda dla śmierci wydaje się bardzo *przekonująca*, nie sądzisz? To znaczy, nie jest to coś, co zwykle czujemy, prawda, i nie wierzę bohaterom, którzy utrzymują, że rzecz się ma przeciwnie. Wszystko bardzo ładnie, lecz byłabym pod większym wrażeniem, gdyby powiedziała, że jest przerażona. Zgodzisz się ze mną? Mimo to twój ojciec wydaje się tak pewny swego, że trudno podważyć jego racje. Doprawdy, jego bohaterowie sprawiają, że czuję się taka *mała*.

12 Angela Thirkell (1890-1961), Nancy Mitford (1904-1973) - powieściopisarki brytyjskie opisujące świat arystokratycznych romansów przedstawiony na idyllicznym tle angielskiej prowincji (przyp. tłum.).

A ty? Przypuszczam - dodała - że suma tego wszystkiego nie czyni go najłatwiejszym we współżyciu. - Ostatnie słowa padły z ust wyrozumiałej matki Piotra, która dysponując pewnym (Anna nie wiedziała, jakim) zasobem wiedzy, dawała dyskretny wyraz swemu współżyciu.

Dla dobra Piotra Anna nie mogła go odrzucić, lecz ofiarować w zamian samą siebie i pozwolić, by ją rozumiano. Nie wiedziała jednak, jak zacząć. Stopniowo też zaczęto dawać dziewczynie do zrozumienia, że jej małomówność jest wadą, jeśli nie dokuczliwym upośledzeniem.

Tok drugiej rozmowy był równie męczący.

- A Salterowie? Musieli mieszkać niedaleko was. Wiktoria Salter, taka miła, też była całkiem bystra, poszła na studia i niedawno wyszła za mąż za jednego z Anlottów. Musiałyście być mniej więcej w tym samym wieku. Nie? Szkoda, na pewno polubiłabyś Wicię, była taka ciepła i otwarta. Albo Wade-Thomasowie; on miał coś wspólnego z rynkiem wydawniczym, twój ojciec mógł go znać. Sam też napisał książkę, „Spacery i anegdoty z Dartmoor”. Ciekawa rzecz, całkiem w dobrym guście. Jego syn był w twoim wieku, chodził do szkoły z Piotrem. Ma nadzieję znaleźć pracę w ministerstwie spraw zagranicznych, tak jak on. Ma na imię Geoffrey, jest miły i taki schludny. Nie znasz? Szkoda. Może gdyby mieli córki... pragnęli mieć córkę, ale nigdy nie dopisało im w tej kwestii szczęście. Zupełnie jak mnie. Mówiłam Charlotcie Wade-Thomas, że musimy uzbroić się w cierpliwość, do czasu pojawienia się synowych. Nie, żeby niecierpliwie wyczekiwała małżeństwa Geoffreya; są ze sobą bardzo żłyci. Obawiam się, że jest raczej *zaborcza*, biedactwo. Powinna wykazać dość rozsądku, aby się od tego powstrzymać. Powtarzam jej, oczywiście, że nie polubi biednej dziewczyny, jeśli będzie chciała, aby ta spełniała wszystkie jej wymagania; przecież ona nie zajmie twojego miejsca, mówię, musisz traktować ją jak człowieka, bez względu na jej przywary. Szkoda, żeby bycie teściową *to* uniemożliwiło. Przyznasz mi rację?

Anna przyznała matce Piotra rację. Mimo to czuła, że sama nie jest lubiana; była zbyt zamknięta w sobie, zbyt milcząca i zbyt gorliwie potwierdzała poglądy swej rozmówczyni. Nigdy nie potrafiła znaleźć punktu zaczepienia, który w przypływie szczerości, zapału, a nawet poczucia humoru umożliwiłby jej wyrażenie różnicy zdań, co wzbudziłoby niewątpliwą aprobatę lady Hughes-Winterton. Zrozumiała, że matka Piotra zaczyna podejrzewać ją o zwykłą nieuczciwość - zresztą nie bez racji, chociaż dolegliwości związane z ciążą szczęśliwie niemal zupełnie ustały - oraz knowania mające na celu zatajenie jakichś ciemnych sprawek. Świadomość tego była paraliżująca. Nieznajomość wymienionych osób, choć ostentacyjnie pominięta milczeniem, posłużyła jako dodatkowy zarzut; Anna czuła, że w obecnej sytuacji ratuje ją jedynie fakt, że jest córką Henryka, co widać dopuszczało pewien umiarkowany ekscentryzm. Mimo to dawano jej do zrozumienia, że nie spełnia pokładanych w niej oczekiwań. Doskwierało jej to boleśnie; była zbyt znużona, by uznać problem za nieistotny, choćby z uwagi na to, że Piotr stanowił dla niej ostatnią deskę ratunku. Wiedziała też, że należało podjąć zdecydowane kroki w kwestii pozbycia się dziecka - dzięki starannym zabiegom lady Hughes-Winterton zarówno Anna, jak i Piotr mieli harmonogram wypełniony po brzegi, przez co traciła nadzieję, że zdoła załatwić sprawę na czas. Raz czy dwa razy, nocą, kiedy matka Piotra poszła spać, Anna próbowała z nim o tym porozmawiać. Przekonała się jednak, że graniczyło to z niemożliwością - po części dlatego, że od chwili przyjazdu Piotr przejawiał opartą na poczuciu winy niechęć do seksu i pragnął za wszelką cenę uniknąć pokusy, częściowo zaś, ponieważ nagle zdecydowanie zaczął unikać rozmów o dziecku. Czy kierowała nim chęć utrzymania go przy życiu, czy też zepchnięcia w niebyt za pomocą milczenia, Anna nie wiedziała. Jednak zasadniczym powodem ich ograniczonych kontaktów był stary zwyczaj Piotra, polegający na siadaniu na matczym łóżku i zdawaniu lady Hughes-Winterton wyczerpujących relacji ze wszystkiego, przynajmniej podczas nieobecności ojca.

Anna bez trudu wyobrażała sobie, jak siedzą pośród różowej satyny, lady Hughes-Winterton w czepku z kremowego jedwabiu i koronek i takimż szlafroku, Piotr skulony u wezgłowia łóżka, w przytulnym, różowawym świetle lampki stojącej na toaletce - przemawiający „rozsądnie”, i jakże żarliwie. Odczuła niedorzeczne pragnienie wymuszenia na nim obietnicy, by nie wspomniał nic o dziecku. Na podstawie mglistego poczucia winy, z jakim to uczynił, uświadomiła sobie z przerażeniem dalszy bieg wypadków. Zastanawiała się, ile lady Hughes-Winterton już wie - na przykład o Oliverze? W jakim Piotr przedstawił go świetle? Hołdował tak niezbitemu przekonaniu o wyrozumiałości matki, że nie docierało do niego, jaką krzywdę mógł niechcący wyrządzić Annie. Świadomość tego dodatkowo wzmożła napięcie pomiędzy obiema kobietami; Anna przestała być pewna, czy nieopatrzenie wypowiedziane słowo nie zburzy całej misternej mistyfikacji. Wiedziała też, że jej zdenerwowanie z tego powodu nie uchodzi bystrej uwagi rozmówcy.

Tak czy inaczej, czerpała uporczywie pewną przyjemność z nowej sytuacji, perspektywy ślubu z Piotrem oraz zostania synową lady Hughes-Winterton. Liczyła też na sir Waltera - mężczyźni na ogół darzyli ją większą sympatią niż kobiety - i stopniowo doszła do wniosku, że obecna organizacja czasu pozwoliła jej zrozumieć, jak bardzo potrzebuje i lubi Piotra. Perspektywa błogiego życia u jego boku była krzepiąca; dni, kiedy ich kontakt fizyczny ograniczał się do pośpiesznego uścisku na korytarzu lub dziedzińcu, obudziły w niej tęsknotę, by każdej nocy zasypiać bezpiecznie u jego boku. Triumfalnie wmówiła sobie, że świadomość tego spłynęła na nią stopniowo, jako ostateczne remedium. Była gotowa. I zdecydowana. Wiedziała, że będzie w stanie sprostać sytuacji.

Telefon od Olivera, który odebrała, myśląc, że to matka, w konsekwencji obudził w niej złość. Możliwość jego dalszego ruchu, pretensje o jej milczenie i chęć decydowania o dalszych losach dziecka nie mieściła się w planach Anny. Poza tym była wściekła, że Oliver całkowicie neguje jej starannie wybraną drogę życiową jako roz-

wiązanie wprost nie do pomyślenia, niewarte choćby wzmianki. Cóż on mógł wiedzieć o rzeczywistości, w jakiej żyła lady Hughes-Winterton - albo czy łagodne usposobienie i przewidywalne zachowanie Piotra podważa jego wiarygodność? Zaklęła do słuchawki, wołając: „Przestań, przestań, przestań”, i początkowo nie chciała o niczym słyszeć. Kiedy powiedział wreszcie, że chce się z nią spotkać w dworcowym hotelu w Yorku celem omówienia przyszłości dziecka - jego dziecka, przypomniał - jego cichy głos brzmiał tak lodowato i oschle, że zawahała się na chwilę, po czym powiedziała:

- Nie wiem, czy przyjdę. Będziesz musiał zaryzykować.

Zawsze wolała umówić się z kimś na spotkanie i nie przyjść, niż wprost odmówić.

- Zaryzykuję - odpowiedział cichy głos - ponieważ jeśli nie przyjdiesz, nie zamierzam tego tak zostawić. Lepiej, żebyś o tym wiedziała. Kiedy to przemyślisz, dojdiesz do wniosku, że łatwiej będzie się jutro wymknąć niż świecić oczami przed panią Wałkoniową, gdy zastukam do jej drzwi. Nie licz na jakiegokolwiek skrupuły z mojej strony. Tak więc jesteśmy umówieni. Może będziesz musiała zaczekać, trudno przewidzieć, jak długo potrwa podróż i o której wyjadę. Jeszcze nie skończyłem z twoim ojcem. Masz mu coś do przekazania?

- Nie. Powinien był wykluczyć cię ze sprawy. Ale sam dobrze o tym wie. Wie, że nie mam mu nic do powiedzenia. Domyśli się dlaczego. Nie ma o czym mówić.

- Powinno się go zastrzelić - odparł pogodnie cichy głos w słuchawce. - Ale nieważne. Trzymaj się, niedługo przyjadę i wszystko będzie dobrze. Damy radę, kochanie.

Odłożył słuchawkę, nim Anna zdążyła ochłonać ze zdumienia nad nieoczekiwanym wrażeniem, że przyjazd Olivera jest jej na rękę. Najpierw ogarnęła ją złość, ale zaraz poczuła gwałtowną tęsknotę za jego szorstkością, obcesowością oraz szarą norą, gdzie się spotykali. Łzy zakłuły ją pod powiekami. Przy nim nie muszę *ktamać*, pomyślała. Na widok pokojówki, która ciekawie zerkała na nią zza załomu korytarza, oprzytomniała i pośpiesznie

wróciła do pokoju, gdzie zapewniła lady Hughes-Winterton, że to „tylko przyjaciel, który być może zawita do Yorku; powiedziałam mu, żeby zadzwonił, jak znajdzie chwilę czasu”.

Kolejny dzień był zdumiewająco długi i złowrogi. Zaczęła się pomyślnie; po śniadaniu mieli dla siebie pół godziny, podczas gdy lady Hughes-Winterton wydawała rozporządzenia w sprawie posiłków, dzwoniła do dostawców i płaćiła rachunki. Usiedli razem na długim podnóżku (*petit point*, haftowany ręką ciotecznej babki Emilii) przed świeżo rozpalonym kominkiem w salonie. Na zewnątrz trawnik i żwirowy podjazd pokrywał szron; w domu powietrze było chłodne i rześkie, ogień wesoło trzaaskał w kominku. Piotr otoczył Annę ramieniem.

- Szczęśliwa? - zapytał.

- Tak. Bardziej, niż oczekiwałam. To Oliver dzwonił wczoraj wieczorem.

- Tak myślałem.

- Chce się ze mną zobaczyć.

- Spodziewałem się tego - odrzekł Piotr, nadal przekonany silniej niż Anna, że nie usłyszeli jeszcze od Olivera ostatniego słowa. Nie wyobrażał sobie, by ktoś mógł tak łatwo z niej zrezygnować.

- Chodzi o dziecko. Ojciec musiał mu wszystko powiedzieć. Oliver sądzi, że powinien mieć w tej sprawie coś do powiedzenia. Ciekawa strategia; zawsze myślałam, że nie chciał, by mieli z Małgorzatą dzieci. Tak czy inaczej, uważa, że ma... ma prawo decydować. Mówiłam ci, że dawno powinniśmy byli to załatwić. Jestem pewna, że im później, tym bardziej jest to niebezpieczne.

- Nie bardziej niż na początku - odparł Piotr. - Ale chciałbym, żebyś je urodziła. Mówią, że to... usunięcie... sprawia, że nie można ich już mieć. Wolałbym je zachować, zapewniając sobie tym samym gromadkę własnych. Jak widzisz, to nie przejaw heroizmu, lecz wyrachowania. Zresztą tak nie wolno.

Anna miała ochotę się rozpłakać.

- Ale ja go *nie chcę*, Piotrze - powiedziała. - Nie mogę znieść nawet myśli o nim, nie jestem gotowa. - Święcie wierzyła we własne słowa. Poza tym jak z dzieckiem

u boku znajdzie swoje miejsce na świecie? To, że na moście niczego nie zobaczyła, mogło stanowić znak; *femina gravida*, balast...

Piotr poklepał ją po ramieniu.

- Nie wydaje mi się - podjął - żeby nie miał prawa... powiedzmy, głosu. Skoro istotnie tego chce, w pewnym sensie go za to szanuję. Ale nie musisz się z nim spotykać, jeśli nie masz ochoty.

- Nie mam.

- Bardzo dobrze, nikt cię do tego nie zmusza. Nie widzę w tym żadnego problemu.

- Powiedziała, że tu przyjedzie.

- Jeśli to zrobi, będzie miał ze mną do czynienia. Chyba bym sobie z nim poradził, przecież nie jest agresywny, co? Nie musisz mieć z tym nic wspólnego. Nie chcę, żebyś się denerwowała, to bez sensu.

Na wspomnienie pogardy Olivera wobec młodych mężczyzn w rodzaju Piotra i zawziętości, z jaką przystępował do walki, Annę ogarnęły wątpliwości co do owego „poradzenia sobie”. Następnie przyszło jej do głowy, że jest niesprawiedliwa, gdyż Oliver na pewno doceni niezaprzeczalną uczciwość Piotra.

Piotr miał autentyczną wyższość moralną, która przemówi do wrodzonego purytanizmu Olivera i do pewnego stopnia rozbroi go. Bardziej przemówi do Olivera, uczciwszego niż Anna, niż do niej samej; Anna wszak doceniała ją i podziwiała, znajdując w niej silne oparcie. Ludzie pokroju jej i Olivera zbyt łatwo lekceważyli przyzwoitość Piotra, jego prostotę oraz rzeczywistą siłę - chyba że traktowali je jako ostatnią deskę ratunku. Z pewnością nie nazwaliby go „interesującym”, jednak, koniec końców, okazywał się nieodzownym towarzyszem życia oraz spoiwem łączącym Annę z ziemią. Podnosząc wzrok na jego wyraźnie rysującą się w chłodnym świetle, złocistą głowę, pomyślała, że Oliver i Henryk nie dopuszczali możliwości istnienia reprezentowanej przez Piotra rzeczywistości, ona zaś posiadała świadomość, o której tamci nie mieli pojęcia.

- Nawet nie wiesz, jaka jestem ci wdzięczna - rzuciła impulsywnie. - Przy tobie wszystko wydaje się takie re-

alne i do zniesienia. Chyba będę z tobą szczęśliwa. Coraz bardziej cię kocham.

- Życie to więcej, niż można by się spodziewać - odparł Piotr. - Oczywiście, jeśli się wie, w jakim celu przyszło nam żyć. Ja wiem, że cię kocham, tyle mogę powiedzieć.

- Ja też, Piotrze.

- Mam nadzieję. Chciałbym, aby tak było.

- I nie zobaczę się z Oliverem.

- Zdecyduj sama. Jednak szczerze mówiąc, uważam, że tak będzie lepiej.

- Znacznie lepiej.

Do pokoju weszła z uśmiechem lady Hughes-Winterton.

- Tu jesteście - powiedziała. - Proszę, jak ładnie wyglądacie. - I stała w drzwiach, dopóki Anna nie poczuła się zmuszona, by zwolnić miejsce obok Piotra i stanąć przy oknie.

- Pamiętasz o wizycie u Porterów w sprawie bażantów, prawda, kochanie? - podjęła lady Hughes-Winterton. - Powiedz też, że Dafne oczywiście może pożyczyć Jętkę na zbiórkę, niech się czuje swobodnie, dopilnujesz tego, prawda? Nie wiem, czy planujecie dziś z Anną przejażdżkę, ale pozostaje przecież Marina, jest dosyć...

- Anna bardzo dobrze jeździ konno, mamo...

- Jestem pewna, że tak jest. Zrobisz to dla mnie?

Piotr wstał.

- Pojedziesz ze mną, Anno?

Lady Hughes-Winterton milczała. Anna spojrzała na nich; oboje unikali jej wzroku.

- Nie... nie - odparła po chwili, wbijając wzrok w podłogę. - Raczej nie... to znaczy, chyba zostaną w domu.

- Weź duży samochód, Piotrze, w razie gdyby potem ktoś z nich wolał, by go podrzucić. I zostań na lunch, jeśli cię poproszą. Anna i ja świetnie poradzimy sobie bez ciebie. Mamy dużo spraw do omówienia, więc nie musisz się śpieszyć z powrotem.

Piotr wyszedł sprężystym krokiem, po drodze całując Annę i szepcząc:

- W razie kłopotów poczekaj, aż wrócę.

Jego słowa uświadomiły Annie, że największy problem w dalszym ciągu nie został rozwiązany. Skoro ma nie jechać na spotkanie z Oliverem, co będzie, jeśli on zjawi się tutaj, co jest wielce prawdopodobne, podczas nieobecności Piotra? Było jasne, że w zetknięciu z Oliverem wyrozumiałość lady Hughes-Winterton przysłaby jak bańka mydlana. Na twarzy Anny pojawił się niezauważony przez Piotra wyraz osamotnienia, co nie uszło bacznej uwagi lady Hughes-Winterton. Kolejny punkt dla niej. Cholerny Oliver, pomyślała ze złością Anna. Nawet podczas odwrotu człowiek pozostawia za sobą niezłe zamieszanie. Nie chodzi nawet tu o dziecko, tylko o tę całą konspirację. Zupełnie jak mucha, która wymknęła się z pułapki i teraz wlecze za sobą lepkie włókna pajęczyny, przystając od czasu do czasu i bezskutecznie usiłując je z siebie zrzucić. I naraża się przy tym Bóg wie na co.

Lady Hughes-Winterton zaplanowała cały dzień. Najpierw wyszły na dwór, gdzie Anna przytrzymawała kosz, do którego lady Hughes-Winterton zbierała liście do przystrojenia domu. Potem przyszła kolej na odwiedziny u kur, świń i koni, bez żadnego widocznego celu, tylko dlatego, że patrzeć na nie sprawiało ich właścicielce niekłamana przyjemność. Anna również czerpałaby z tej czynności zadowolenie, przemawiając czule do klaczy czy szukając jaj; po to tu przyszła. Lecz obecność towarzyszki budziła w niej irytację. Nie dlatego, żeby lady Hughes-Winterton traktowała zwierzęta jak przedmioty; wręcz przeciwnie. Konie parskały z zadowoleniem, kiedy wchodziła na podwórko, dłoń zaś odsuwająca pierzaste ciało kury w poszukiwaniu jajka była pieśzczośliwa i łagodna. Annę ogarnęło to samo uczucie, które towarzyszyło jej na widok Małgorzaty w St Anne bądź w Cambridge. Niektóre zjawiska posiadały charakter jednostkowy i można było przejąć je w posiadanie, o ile nie uczynił tego przed nimi nikt inny. Kury i konie należały do lady Hughes-Winterton, która znała je i traktowała z należytą czułością. Anna szła za nią z koszykiem po skrzypiącej od szronu ścieżce, wciągając w nozdrza ostre, jesienne powietrze oraz zapach koni,

i podziwiała otoczenie jak turysta lub gość w miejscu stale zamieszkiwanym przez innych.

W domu ułożyły liście i ostatecznie ustaliły porządek posiłków: prosty lunch, jako że Piotr miał pozostać poza domem, obfita kolacja, jako że do czasu posiłku miał już powrócić. Następnie lady Hughes-Winterton przystąpiła do omawiania szczegółów dotyczących ślubu. Anna uświadomiła sobie, jak taktowne były poprzednie rozmowy na ten temat. Nigdy nie wyrażono choćby cienia zdziwienia z powodu milczenia rodziców Anny, nigdy nie padły bezpośrednie pytania o ich stanowisko, plany bądź ustalenia. Dyskusje obracały się wokół strojów i dat, bliżej nieznanymi druzhen, kolorów i bukietów. Okazywano zainteresowanie, nigdy niczego nie wymuszając. Anna zrozumiała, że należy to przypisać którejś z nocnych dyskusji Piotra z matką, i w głębi duszy miała mu to za złe. Przecież ostatecznie nie mogła wyjść za mąż bez Karoliny, a nawet bez Henryka. Początkowe pragnienie wykluczenia ich ze sprawy wynikało z paniki, obecnie jednak nie wiedziała, co tak skutecznie skłoniło Hughes-Wintertonów do całkowitego pomijania milczeniem kwestii jej rodziny. Nie miała odwagi sama podjąć tego tematu. Jednym słowem, zawiodła i tutaj.

- Naturalnie, jeśli pobierzecie się tak niedorzecznie wcześnie, jak planujecie - powiedziała lady Hughes-Winterton - nie myśl sobie, że tego nie rozumiem, skarbie, sama musiałam stoczyć batalię, żeby w ogóle doszło do mojego ślubu; Walter był taki zaganiany - więc jeśli pobierzecie się tak wcześnie, spodziewam się, że do czasu zakończenia studiów przez Piotra pomieszkasz ze mną. Tyle chyba możemy dla niego zrobić, prawda? Nie należy odwracać jego uwagi, skoro jest już na finiszu. Potem przepchniemy go przez egzaminy na urząd państwowy, co nie powinno być takie straszne, a potem na serio zajmiecie się poszukiwaniem domu. Chcę, abyś wiedziała, że - tak samo jak Piotr - zawsze możesz liczyć tu na dach nad głową.

Anna odparła, że to bardzo miło; nie umiała zdobyć się na bardziej stosowną odpowiedź. Ponownie ogarnęło ją poczucie osamotnienia. Przypomniała sobie okropny

epizod z własnego dzieciństwa, kiedy musiała spędzić jakiś czas z rodziną, w której dzieci posiadały własną nianię oraz żłobek. Cały boży dzień spędzały w odosobnieniu, wiodąc koszmarny półżywot, odwiedzały dorosłych w porze podwieczorku, gdzie po krótkiej rozmowie wracały do siebie, jadły kolację i szły spać. Życie z matką Piotra zapowiadało się podobnie.

Przy lunchu lady Hughes-Winterton powróciła do swego katechizmu. Anna miała nadzieję, że jej męki dobiegną końca wraz z zamknięciem listy przyjaciół pani domu. I choć to drugie istotnie wkrótce nastąpiło, lady Hughes-Winterton wydawała się niestropiona. Z nietypowym dla siebie roztargnieniem rozpoczęła wyliczankę od nowa, wprowadzając coraz dłuższe anegdoty na temat obcych rodzin, przygody Wici Salter na balu myśliwskim czy niezwykłej umiejętności Geoffreya Wade-Thomasa, niewątpliwie odziedziczonej po jego ojcu, która polegała na wynajdywaniu ścieżek na pozornie jednolitym gruncie. Kiedy po lunchu piły herbatę - lady Hughes-Winterton wyznawała zasadę, że herbata pomaga na trawienie, co było niezmiernie istotne, gdyż z powodu drobnych problemów sercowych (nic poważnego, ale nie wolno tego zaniedbać) zawsze po lunchu udawała się na spoczynek - nieoczekiwanie wyskoczyła z nazwiskiem, które z pewnością jako jedyne na liście było znane im obu.

- A nie znałaś przypadkiem - zapytała, pobrzękując łyżeczką - młodego człowieka, którego ojciec był moim wielkim przyjacielem? Michała Farne'a?

- Michała? - powtórzyła nedorzecznie Anna, czerwieniejąc jak burak. - Michała? Oczywiście, że go znam. Ja... często jeździliśmy razem konno. Był... byliśmy przyjaciółmi. Któregoś lata spędziliśmy razem mnóstwo czasu...

- Naprawdę? - zdziwiła się lady Hughes-Winterton, najwyraźniej nie wiedząc, co począć z uzyskaną informacją. - Sądzę, że był doskonałym jeźdźcem.

- O tak - potwierdziła Anna, zakłopotana wizją tego, czego w swoim mniemaniu dawno się wyrzekła. Przed oczami, w pełnej krasie, stanęła jej postać oblanej słoń-

cem złocistej postaci na koniu, który tratując kopytami ziemię, sypał bryzgi piasku na nią i Olivera. Dalej zobaczyła wszystko, co miało z tą postacią związek - dziedzińiec stajni, uzdy wiszące w rozgrzanym mroku wozowni, jasność stogów siana, zielono-niebiesko-złoty chaos sadu w Darton oraz krzewy płonące na wzgórzach ponad żywopłotem, Michała w białej koszuli, który niczym anioł zemsty ze śmiechem deptał siano, i siebie samą, pochłoniętą realną wizją wielkiego i świetlistego przeobrażenia, czekającego na nią za rogiem każdej ulicy. - To było bardzo upalne lato - dorzuciła bezradnie. Wspomnienia uniemożliwiły jej racjonalny komentarz. - Najgorętsze od lat.

- Naprawdę? - powtórzyła lady Hughes-Winterton.

Zarumieniona Anna była tak zbита z tropu, że nie zauważyła bystrego spojrzenia towarzyszki; uświadomiła sobie tylko gwałtowny przypływ ulgi, który ogarnął ją w chwili, gdy dama, lekko wzburzona, udała się na spacer.

Po jej odejściu Anna ujrzała swe otoczenie w nowym świetle. W salonie znajdował się popielaty dywan oraz zielonkawe atłasowe zasłony, przymarszczone pod sfałdowanym lambrekinem; latem zielono-srebrzyste adamaszkowe ściany nadawałyby pomieszczeniu przewiewność, zimą wiało tu przeraźliwym chłodem. Tlejące szczapy w kominku przybierały postać białawego popiołu. Wokół stało mnóstwo *petit point*, haftowanych na szarym tle; parawan, kilka podnóżków, wszystkie ozdobione wiktoriańskimi różami.

Przyjechałam tu z powodu Michała, olśniło ją. Chciałam widzieć w Piotrze Michała. Pragnęłam, żeby wokół było jasno, słonecznie i spokojnie jak u niego; pragnęłam poczucia przynależności.

Lecz Piotr nie był Michałem. Raptem zrozumiała, że jej przekonanie na temat domniemanej siły Piotra oraz jego życia było całkowicie bezzasadne. Nie wzięła pod uwagę siebie, własnych metod poznania: tutaj byłaby jedynie półczłowiekiem, niemowlęciem ograniczonym do ciasnych ścian żłobka. Być może w swoim zaślepieniu tego na chwilę zapragnęła, lecz istniało przecież lepsze rozwiązanie.

Byłam wtedy bardzo nieszczęśliwa, ale o czymś *wiedziałam*, pomyślała, podczas gdy pamięć podsuwała jej wybiórczo plamy słońca, heroiczny gest Michała i jasne drzewa w sadzie, narzucając całości określony porządek. *Wiedziałam*, powtórzyła uparcie w duchu, mając na myśli: Teraz już wiem. Nie zapomni tego, czego doświadczyła w nocy na moście. Nauczy się przypisywać podobne znaczenie zetlałym szczapom w kominku, lecz nim to nastąpi, najpierw muszą upłynąć lata. Przeszłość stanęła przed nią w całej wyrazistości: Piotr nie był Michałem, nic tu nie miało dla niej znaczenia i nic nie żyło pełnią życia, jak Michał. Musi wyjechać stąd jak najprędzej i znaleźć, oczywiście, nie samego Michała, nigdy nie przyszłoby jej to do głowy, lecz coś o podobnym znaczeniu. Łudziłam się, że to zacisze, ucieczka, myślała, przetrząsając kieszenie kurtek Piotra w poszukiwaniu kluczyków do jego samochodu sportowego. Nie ma co, pora ruszyć się z miejsca.

Wreszcie odnalazła kluczyki w jeździeckiej bluzie chłopaka; po cichu liczyła, że ich nie zabrał. Bogacze na szczęście mają mnóstwo kieszeni, w których, wychodząc, mogą pozostawiać różne rzeczy. Anna włożyła płaszcz z wielbłądziej wełny i koralowy kapelusz, po czym napisała list do Piotra, który po namyśle wepchnęła do jego kieszeni w miejsce kluczyków. Matka w życiu go nie znajdzie.

Kochany Piotrze, doszłam do wniosku, że muszę zacząć decydować za siebie, gdyż to, co robimy, ma na nas większy wpływ, niż mogliśmy podejrzewać, przystępując do dzieła. Zupełnie jakbyśmy byli dziećmi. Zamierzam zacząć od spotkania z Oliverem. Chcę, żebyś wiedział, że mogę nie wrócić, choć to jeszcze nie jest przesądzone. Po części tego pragnę, naprawdę. Wzięłam Twój samochód. Jeśli nie wrócę, dam ci znać, gdzie go zostawiłam. Łatwiej o tym pisać, gdyż wiem, że podejrzewałeś, co nastąpi. Twoja, bez względu na wszystko, Anna.

Nie chcąc obudzić śpiącej, najciszej jak mogła wyprowadziła samochód z garażu, po czym wyjechała na biegnącą przez wrzosowiska szosę w kierunku Yorku. Prowadząc samochód krętymi, szarymi drogami pomię-

dzy ścietym mrozem listowiem i trawą, poczuła, że żyje; wyprostowała się na siedzeniu, mając pod palcami realną obecność kierownicy, i utkwiała spojrzenie w drodze. Od pewnego czasu nie miała sposobności, by pobyć trochę sama ze sobą. Pomyślała o dziecku, po raz pierwszy bez rozgoryczenia. Oliver troszczył się o nie; niech się więc urodzi, niech żyje własnym życiem, nie jest częścią jej, lecz sobą. Może być takie jak Henryk, Oliver, Karolina czy nawet Jeremi. Niech sobie żyje. Myśl o tym, że mogłoby być do kogoś podobne, przykuła jej uwagę; od-tąd trudno jej będzie znowu zacząć traktować je jak przedmiot.

York pojawił się nadszpiewanie szybko - bladezłote mury, dostojna katedra, wąskie uliczki, ceremonialne bramy wjazdowe. Przypomniała sobie, że ostatnim razem, kiedy tu była, też uciekała, czując się przy tym beznadziejnie zagubiona. Ucieczka wyrządzała tyleż złego, co jakakolwiek inna forma działania lub bierność. Po-tem uciekła do szkoły, ze szkoły do domu, z domu do Olivera, od Olivera do Piotra. A teraz, od Piotra, dokąd? - pomyślała, parkując samochód przed hotelem, który tak bardzo ją onieśmielił, gdy była uczennicą. To również nosi wszelkie znamiona ucieczki. Ale nią nie jest - nie może być.

Widziała, że Olivera nie ma. Było jeszcze wcześniej, usiadła więc w głównym holu na przepastnym fotelu u stóp krętych, zdobionych schodów i wyciągnęła na puszystym dywanie nogi obute w schludne trzewiki dziewcziczki, po czym spałaszowała cztery nieprzyzwoicie drogie kanapki, chcąc jakoś usprawiedliwić swą obecność. Jadła powoli; kiedy skończyła, Olivera wciąż nie było. Nie zdziwiło jej to, choć miała żołądek ściśnięty oczekiwaniem. Nie bardzo wierzyła w Olivera.

Mój problem polega na tym, pomyślała, że nigdy nie odbiegam dość daleko. Nie mam odwagi podjąć radykalnych kroków, dać sobie trochę czasu i zdobyć się na realną ocenę sytuacji. Po rozmowie z Oliverem pozostanie mi wyjechać do Meksyku albo gdzie indziej - najpierw, jeszcze dziś, do Londynu. Urodzę dziecko i znajdę dla niego jakąś opiekę - pomyślała przelotnie o dzieciach

Ernesta Pontifexa, pochłoniętych beztroską zabawą¹⁴ - a potem spróbuję coś osiągnąć. Ojciec zapłaci. Z dala od niego może potrafię coś napisać, choć nie jestem nim i nigdy nie będę. Bądź co bądź, jak dotąd nie próbowałam, nie zbliżyłam nawet pióra do papieru.

Ty znowu swoje, pomyślała; łudzisz się, że najpierw musisz rozliczyć się z Oliverem. Nie robisz nic innego, jak tylko uciekasz przed Piotrem, co jest znacznie gorsze. Pora ruszyć przed siebie. Samotnie.

Pod wpływem nagłej decyzji wstała z poszumem słonecznego lata w głowie i nie oglądając się za siebie, wyszła z holu. W czystej, różowej toalecie upudrowała nos i wepchnąwszy niesforny kosmyk pod kapelusz, czule przyjrzała się swej nowej, lśniącej, upiękzonej twarzy. Następnie skierowała się do wyjścia, za którym czekał na nią samochód Piotra. Zostawi go w bezpiecznym miejscu, w Londynie.

W drzwiach Oliver chwycił ją za łokieć.

- Dokąd się wybierasz w tym beznadziejnym kapeluszu? - zapytał.

Niczym wyrwana ze snu, powoli zwróciła się w jego kierunku, rozumiejąc, że nie odwróci biegu zdarzeń i że człowiek jest istotnie miarą swych dokonań. Patrzyła, jak wraz z przybyciem Olivera jej ostatnia szansa (na co?) rozmywa się bezpowrotnie.

- Tak sobie szłam - odparła. - Ale nieważne. I tak pewnie nie zaszłabym daleko.

Oliver ścisnął jej rękę jak w kleszczach. Z trudem panował nad sobą; mimo pozornego spokoju jego twarz przeciął grymas i Anna zobaczyła, że drżą mu kolana.

- Proszę - powiedziała. - Tylko się nie martw. Kochany. Usiądźmy. Przecież bez ciebie i tak daleko bym nie zaszła.

Ulga, jaką im obojgu przyniosły te słowa, była dość nieoczekiwana. Oliver uśmiechnął się nieśmiało, potem szerzej i rzekł:

- Czyli wygląda na to, że dalej pójdziemy już razem.

¹⁴ Nawiązanie do powieści Samuela Butlera (1885- 1902) „Droga człowieka” (przyp. tłum.).

Jakoś nie pasował do wykwintnego, pałacowego wnętrza hotelu. Nawet się nie ogolił; jego łobuzerski wygląd różnił się od zwykle towarzyszącej mu aury ułożonej schludności.

- Najwyższa pora - odparła Anna.

Szarość, wspomniana jasność, rzeczy minione i przyszłe; należy je ogarnąć i dalej trwać. Widok Olivera uświadomił Annie, jak niedorzeczne były jej plany życia bez niego. Obawiała się takiego zakończenia. A jednak poczuła przypływ mimowolnej satysfakcji.

- Napijmy się - zaproponował Oliver. - Mamy tyle spraw do omówienia.